



Jennie Shortridge

*Kiedy
zapomnisz*

„Intrygująca,
poruszająca opowieść”.

Erika Bauermeister,
autorka Szkoły
Niezbędnych Składników

DUŻA
CZCIONKA

między
słowa*mi*

Jennine Shortridge

Kiedy zapomnisz

zapominanie

Tak krótka miłość, a tak długie

Pablo Neruda*

* *Dwadzieścia poematów o miłości i jedna pieśń rozpaczy,*
tłum. J. Zych (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Usłyszała, że za jej plecami zrobiło się zbiegowisko, ale czuła, że powinna czegoś wypatrywać -szukać tuż nad wodą u stóp niskich gór, pod łodziami chmur. Gdzieś w oddali majaczył znajomy most. I coś jeszcze. Coś, co migotało na obrzeżach... no właśnie, czego? Horyzontu? Nie, jej umysłu. Coś, czego szukała. Usłyszała krzyki stojących za nią ludzi. Na molo po prawej stronie skrzeczały mewy. Tuż obok chwiały się skrzypiące maszty wysokich żaglowców, jak gdyby były tam od zawsze, a ona dopiero teraz je dostrzegła. - Halo?

Wyraźny męski głos. Blisko. Próbowała się odwrócić, żeby go zobaczyć, ale miała zdrętwiałe nogi. Nie, były po prostu zimne. Lodowate. Martwe. Czy ona także była martwa? Gdzie się znajdowała? Co to za miejsce?

Spojrzała w dół i zobaczyła, że stoi po kolana w ciemnej wodzie. W jednej dłoni trzymała szpilki, a na ramieniu dźwigała dużą torbę, od której bolał ją kark. Brzeg *jej* spódnicy był mokry.

- Przepraszam, dobrze się pani czuje? - Znajdował się coraz bliżej.

- Nie wiem - odparła, odwracając głowę. Choć tyle mogła zrobić.

Mężczyzna wszedł do wody i zmierzał w jej kierunku od plaży ubrany jedynie w kuse kąpielówki i czarny czepek zapięty pod brodą. Próbowała się od niego odsunąć. Kim był? Dlaczego miał na sobie taki strój? Jego ciało - pierś, ramiona i tułów - było obnażone, piegowate i wysmagane słońcem. Na brzuchu miał białą bliznę, której nie chciała oglądać. Dlaczego stał obok niej prawie nagi? Po chwili na brzegu dostrzegła tłum ludzi w podobnych strojach - kobiet i mężczyzn. Niektórzy byli ubrani w pianki do nurkowania, inni w stroje kąpielowe. Wszyscy mieli na sobie czarne czepki. Wszyscy spoglądali na nią.

- Nie czuję nóg - przyznała.

- Nic dziwnego - odparł. - Stoi tu pani prawie od pół godziny, a woda ma tylko piętnaście stopni. - Zatrzymał się w odległości kilku metrów. Wydawał się przyjazny. Jak czyjś brat. Pod oczami miał zmarszczki od śmiechu, ale jego uśmiech był niepewny. - Chce pani wyjść? - Jego spojrzenie sugerowało, że powinna, więc pokiwała głową.

- Jak się pani nazywa? - zapytał.

Otworzyła usta, żeby się przedstawić, ale zabrakło jej słów. Zbliżył się do niej, brodząc w wodzie - powoli i ostrożnie jak ktoś, kto podchodzi do zranionego psa lub wariata.

- Mieszka pani w okolicy? - zapytał. - A może przyjechała pani tramwajem

linowym?

Myślał, że zwariowała? Marzyła o tym, by przestał zadawać jej pytania. Znalezienie odpowiedzi było dla niej męką. Zaczęła ją boleć głowa, a może bolała ją już od dawna.

Pozwoliła, by do niej podszedł i wziął ją pod ramię. Jego dłoń była ciepła, podobnie jak ramię i tułów. Uświadomiła sobie, że jest jej przeraźliwie zimno, chociaż słońce oświetlało jasne, wyraźne kontury świata, którego nie znała.

- Spróbujemy wrócić na brzeg? - zapytał i delikatnie ją odwrócił, tak że ustawili się przodem do tłumu na piasku.

Za ich plecami rozciągał się baner, na którym widniał napis „Zawody pływackie Alcatraz”. Domyśliła się, że będą pływać. Wszyscy naraz.

- Dobrze się czuje? - zawołał ktoś.

- Lepiej zadzwońmy po karetkę - odparł prowadzący ją mężczyzna.

- Już to zrobiłem - odpowiedział ktoś inny.

- Chodzi tylko o moje nogi - powiedziała. - Są lodowate. Po prostu włożę buty.

- W porządku - odparł mężczyzna, podprowadzając ją w stronę brzegu. - Nie zatrzymujmy się.

Jej stopy przesuwaly się z trudem jak kawałki drewna po papierze ściernym. Bolały. Wszystko ją bolało. Coś się w niej zmieniało - próbowało przyspieszyć i sprawić, żeby trybiki się zazębiły, jednak mechanizm się zatarł. Chciała zawrócić i dalej spoglądać na wodę, znaleźć miejsce, z którego przybyła, ale mężczyzna prowadził ją w stronę tłumu gapiów. Za ich plecami znajdowało się mnóstwo budynków, a jeszcze dalej na wzgórzu kolejne.

Podniosła wzrok i na tle nieba zobaczyła litery. Ghiradelli. Zamarzyła jej się czekolada.

Wysoka kobieta w czarnym kostiumie kąpielowym weszła do wody i otuliła ją ramieniem, podczas gdy mężczyzna podtrzymywał ją pod ramię. Mieli takie ciepłe ciała.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała kobieta, ale ona nie była tego taka pewna. Usłyszała sygnał karetki i zadrżała.

Ambulans pędził po bulwarze wzdłuż plaży. Czerwone i niebieskie światła. Potworna, głośna syrena. Ten dźwięk wywoływał u niej taki sam ból jak próba znalezienia odpowiedzi na pytania. Nie znosiła syren - chyba najbardziej na świecie.

Pozostali rzucili się do niej z ręcznikami, opatulili ją i wzięli od niej buty i torebkę. Ludzie w uniformach przepchnęli się przez tłum i kazali jej się położyć

na piasku. Tak, dobry pomysł. Była wykończona.

- Jak się pani nazywa? - pytali podczas sprawdzania akcji serca, pulsu i nakładania maski tlenowej. -Ma pani dowód osobisty? Jaki dziś mamy dzień? Wie pani, gdzie się znajduje? Kto jest prezydentem Stanów Zjednoczonych?

- Obama - wyszeptała w końcu do maski.

Była to jedyna odpowiedź, jakiej potrafiła udzielić. Choć dobrze znać prezydenta swojego kraju, czuła, że to nie wystarczy.

ROZDZIAŁ DRUGI

LUCIE

Pomarańczowa barwa, słodycz truskawek. Śmiech kobiet w sąsiednim pomieszczeniu. To pielęgniarki, które wydawały się ze sobą przyjaźnić i wszystkie oprócz jednej były dla niej miłe.

Chleb z masłem. Gorący prysznic. Cisza snu. Doświadczając tych wszystkich rzeczy, od razu wiedziała, że sprawiają jej przyjemność. Czy zawsze tak czuła, a może to wrażenie było czymś nowym?

Kalendarz w świetlicy informował, że jest szósty lipca, lecz trudno jej było w to uwierzyć. Wskazówka pierwsza: za oknami wisiało ciężkie szare niebo. Szukała zasuwek i klamek, żeby wpuścić do środka nieco powietrza, normalnego życia. W tym miejscu tlen wysysany był przez wrzaski i następujące po nich ataki płaczu,

ciągle wirowanie obsesyjnych umysłów, gęsty, stłumiony oddech uspijonych pacjentów pod wpływem środków na uspokojenie. Ale oczywiście okien nie dało się otworzyć.

Wskazówka druga: wszystkie magazyny leżące na stoliku pochodziły sprzed kwietnia, a niektóre miały nawet kilka lat. Dopiero kiedy je przejrzała, zauważyła nalepki z adresami - wszystkie zostały wysłane do prywatnych odbiorców. Do szpitala trafiły przez organizacje charytatywne. Zwykle szpitalne poczekalnie z pewnością nie musiały się dopraszać o magazyny, ale to był oddział psychiatryczny. Przesiadawali tu tylko wariaci czekający, aż ich wypuszczą. Dlatego niezależnie od dowodów nie zamierzała się kłócić z pielęgniarkami o to, jaki jest miesiąc.

Siedziała, przeglądając stare informacje prasowe i szukając czegoś, co odwróci jej uwagę od innych pacjentów - ich objawów i chorób. Uciekała od włóczącej się po oddziale mamroczącej, bezzębnej kobiety i mężczyzny z tikiem nerwowym, który szarpał głową i gapił się w przestrzeń. Odwracała wzrok od chłopaka tak młodego, że miał jeszcze trądzik - mimo braku słuchaczy bez przerwy opowiadał o Bogu i jego demonach, podrygując nogą do rytmu, którego nikt poza nim nie słyszał.

Po trzech dniach rozmów z lekarzami i policjantami w końcu do niej dotarło, że cierpi na amnezję. Nie pamiętała żadnych faktów ze swojego życia – ani w sensie ogólnym (nazwisko, zawód, numer ubezpieczenia), ani osobistym (Kim jestem? Skąd pochodzę? Co się ze mną stało?). To, że lubiła chleb z masłem, nie stanowiło klucza do jej przeszłości, podobnie jak gorące kąpiele i głęboki sen. Nie były wspomnieniami, tylko zwykłymi przyjemnościami.

W jej świadomości pozostały jedynie przypadkowe fragmenty bezużytecznej wiedzy. Na przykład skąd wiedziała, że jej pokój urządzano we wczesnych latach dziewięćdziesiątych? Niebieska tapicerka na krzesłach była wypłowiała i matowa, a pokryte białym laminatem stoliki porysowane. Musiały mieć *co* najmniej dwadzieścia lat, ale skąd miała tę pewność? Nie знаła nawet swojego nazwiska.

Lucie Walker. Tak powiedziała jej lekarka w czasie porannego obchodu. Jeden z dzwoniących, jak się okazało, nie był wariatem, i teraz wszyscy w szpitalu San Francisco General nazywali ją Lucie, co i tak było lepsze niż „proszę pani”, jak zwracano się do niej przez kilka ostatnich dni. Nie dało się nie zauważyć ironii w nazwisku Walker, które oznaczało wędrowca - najwyraźniej odeszła ze swojego życia. Jej „narzeczony”, mężczyzna z Seattle, rozpoznał ją na zdjęciu pokazanym w wiadomościach. Prezenter poprosił, żeby do stacji zgłosiły się osoby, które mogły mieć kontakt z N.N. Czy nie mogli wymyślić czegoś lepszego niż N.N.? Została odnaleziona. Teraz tylko ktoś

musiał ją odebrać.

Mężczyzna z Seattle leciał po nią aż do San Francisco jak po zagubioną walizkę pozbawioną etykiety z adresem. Zapomniała, jak ma na imię. Greg? Garrett? Jakoś na „G”. Nie wiedziała, że zna kogokolwiek o imieniu zaczynającym się na „G”. A już na pewno nie swojego „narzeczonego”.

To było w tym wszystkim najgorsze. Nie wiedziała, kogo zna i czy w ogóle zna kogokolwiek. Nie wiedziała, czy ktokolwiek ją kocha, liczy na nią albo za nią tęskni. Poczula, jak w jej piersi ścięgnięta odrywają się od kości, jak rozrywają ją stalowe palce. Gwałtownie wciągnęła oddech, wydając okropny, obłąkany odgłos, a gładzący mężczyzna w końcu umilkł. Bełkocząca pacjentka krzyknęła. Facet z tikiem zapytał: - Wszystko w porządku?

Lucie ukryła twarz w dłoniach. Co się działo? Znała ten ból, to rozdzierające wrażenie, nie wiedziała jednak, skąd się wzięło. Za kim tęskniła? Kto tęsknił za nią? Jak mogła tego nie wiedzieć?

Mężczyzna o imieniu zaczynającym się na „G” powiedział jej psychiatrze, że za nią tęskni, chociaż ona wcale go nie pamiętała i prawdę mówiąc, nie wierzyła, że jest tym, za kogo się podaje. Zastanawiała się, czy to przez niego płacze. A może przez rodziców, rodzeństwo? Dzieci? Nie, pomyślała Lucie, nie chcę być osobą, która porzuciła własne dzieci.

Gdyby tak było, ten mężczyzna z pewnością zawiadomiłby władze. Jeśli była matką, to stylową. Miała na sobie garsonkę od Armaniego, torebkę od Gucciego i szpilki od Prądy. Jej krótka fryzura przetykana była pasemkami w dziwacznych kolorach płowej bieli i nieziemskiej purpury. Uznała, że zwyczajny brąz należy do niej. No i te kosmetyki! W przepastnej skórzanej torbie znajdowało się kilka kosmetyczek, z których największa zawierała tak wiele produktów, że można było nimi pomalować tancerkę z Las Vegas. Co właściwie wiedziała o tancerkach z Las Vegas? Czy ta wiedza wiązała się jakoś z jej przeszłością, czy była tylko strzępkiem myśli? Strzępek myśli, strzępek myśli, pomyślała z nadzieją, że tak właśnie jest.

Lucy poznała doktor Emmę Gladstone (która sama siebie nazywała doktor Emmą jak jakaś prezenterka telewizyjna) pod koniec pierwszego dnia pobytu w szpitalu. Lekarka siadła na skraju łóżka i wyjaśniła, że Lucie cierpi na rzadkie zaburzenie - fugę dysocjacyjną. Dysocjacyjna. Czy nie odnoszono tego określenia do ludzi z rozdwojeniem jaźni? Oprócz jednego z rodzajów amnezji fuga była też formą kompozycji - melodią przewijającą się w wielu głosach. Skąd to wiedziała? Wiele głosów, wiele osobowości. Czy to coś oznaczało? Było tropem czy jedynie przypadkową informacją?

- Oto dlaczego uważamy, że to właściwa diagnoza - oznajmiła doktor Emma. - Masz klasyczne objawy: odbyłaś nagłą, bezcelową podróż, nie pamiętasz szczegółów ze swojego życia i nie wiesz, kim jesteś. - Spojrzała na nią znad notatek. Wtedy jeszcze bezimienna Lucie odwróciła wzrok. - A to wszystko bez urazu głowy ani innych uszkodzeń fizycznych. - Lekarka urwała. - Wydaje nam się, że to zaburzenie wywołała trauma emocjonalna.

Lucie wzruszyła ramionami. Traumatyczne wydawało jej się tylko to, że niczego nie pamiętała. Doktor Emma odłożyła notatnik i westchnęła.

- To poważne zaburzenie. Większość chorych z czasem odzyskuje pamięć, choć wymaga to wysiłku. Niestety, istnieje niewielki procent pacjentów, którym pamięć nie wraca.

- To przykre.

Jej stan był na tyle poważny, że Lucie potrafiła się zdobyć tylko na głupi komentarz i spojrzeć na zewnątrz przez zatrzaśnięte okno. Innych szczegółów, które tego wieczoru usłyszała od doktor Emmy, wysłuchiwała bez zrozumienia. Czowała się przezroczysta jak duch. Bez tożsamości. Bez przeszłości. Bez życia.

O szóstej rano obudziły ją promienie słońca, podobnie jak każdego ranka w szpitalu, a kiedy dotarły do niej codzienne odgłosy - łoskot wózka rozwożącego śniadanie, śpiew wody spuszczonej w toalecie, zbyt donośne głosy pacjentów i pielęgniarek - nie mogła już zasnąć. Niedługo potem pojawiła się doktor Emma, która pod lekarskim kitlem miała na sobie bluzę z kapturem (wskazówka trzecia, pomyślała Lucie, wciąż nie wierząc w tę całą sprawę z lipcem), a na głowie duże różowe okulary przeciwsłoneczne. Miała dołeczki w policzkach, różaną cerę i była świeża jak kwiatusek - pewnie trafiła tu prosto po studiach.

- Naprawdę musi pani przychodzić do pracy tak wcześnie? - zapytała Lucie z łóżka.

Była półprzytomna i w kiepskim humorze. Podciągnęła się i opuściła nogi, tak że siedziała teraz na skraju łóżka owinięta kocem wokół talii.

- Jestem na nogach już od kilku godzin - odparła doktor Emma, po czym sięgnęła po wibrujący telefon, przycisnęła guzik i wsunęła aparat z powrotem do kieszeni fartucha. - Mam dla ciebie wspaniałą wiadomość.

Lucie próbowała przełknąć ślinę i oddychać - okazało się, że jednak ma tożsamość, nazwisko i dom. Nie wspominając już o narzeczonym. Skinęła głową i spróbowała się uśmiechnąć. Wiedziała, że powinna się cieszyć tą nowiną. Powinna być zachwycona, ale jej serce kilkakrotnie zgubiło rytm.

- Kiedy przyjeżdża? - zapytała.

- Nie wiedział, który samolot uda mu się złapać, ale miał nadzieję, że będzie tu

około południa. Może nawet uda wam się zjeść razem lunch.

Ustaliliście, że mówi prawdę? - zapytała z nadzieją na uchyloną furtkę niepewności, przez którą będzie mogła uciec.

- Zeskanował i wysłał nam twój akt urodzenia oraz wasze wspólne zdjęcia. Zaproszenie ślubne. W wydziale do spraw komunikacji poprosił, żeby przesłano nam informacje na twój temat. Sprawdziliśmy jego dane w dokumentacji udostępnionej nam przez policję, żeby upewnić się, że jest tym, za kogo się podaje. Wszystko się zgadza. Pewnie mogłabyś mieć siostrę bliźniaczkę, która także zaginęła, ale... - Lekarka uśmiechnęła się i przechyliła głowę. - Co się dzieje? - zapytała.

Nie wypowiadała się w sposób, którego Lucie spodziewała się po psychiatrze. Mogła się zachowywać bardziej oficjalnie i zapytać: „Jak się pani czuje?” albo „Czy odczuwa pani dyskomfort?”. Ale powiedziała po prostu „Co się dzieje?”, a przerażenie i dezorientacja, które Lucie w sobie tłamsiła, wypłynęły na powierzchnię.

- A co jeśli okaże się kimś innym, niż myśli, że jest?

Zaskoczył ją lęk, który usłyszała w swoim głosie.

Skąd się wziął? Dlaczego czuła się tak rozchwiana? Była niezapisaną kartką papieru, a zachowywała się jak ktoś z przeszłością, teraźniejszością i tożsamością. Miała wrażenie, że patrzy na to wszystko spoza własnego ciała i odczuwa ból innej osoby, tak jakby sama nią była. Jednak to był jej ból. Wskazówka pierwsza.

- Zobaczymy, jak się poczujesz po spotkaniu - wyjaśniła doktor Emma. - A potem ty, ja i twój narzeczony usiądziemy i porozmawiamy o tym, co dalej. - Ścisnęła ją za ramię, uśmiechnęła się zachęcająco i ruszyła na dalszy obchód.

Co dalej. Wynikało z tego, że opuści szpital. Pewnie nie jest aż tak stuknięta.

Lucie westchnęła, po czym wstała i ruszyła w stronę niewielkiej łazienki. Odkąd przywieziono ją do szpitala, unikała lustra. Czuła się zakłopotana, kiedy stała przed nim i patrzyła na odbicie obcej osoby. Teraz jednak była już kimś. Musiała przyjrzeć się sobie. Włączyła światło, weszła do środka i oparła rękę na chłodnej porcelanie.

Jej fryzura wołała o pomstę do nieba, ale na szczęście włosy odrastają. Dotknęła palcami linii znaczących jej czoło. Wyrzyły się na stałe. Lucie cieszyła się z tego, że nie jest kobietą, która uległa pokusie i wstrzyknęła sobie botoks. (Uf, wiedziała co to botoks. Czuła, że to dobry znak). Nie była ani młoda, ani stara. Znajdowała się gdzieś pośrodku.

Miała regularne, choć banalne rysy: wysokie, wygięte w łuk brwi, długi prosty nos, piegi. Szerokie usta, pełne wargi, ale krzywe zęby - przypominały przechylony płot sztachetowy. Pokręciła głową i cofnęła się, zdejmując szpitalną

koszulę, żeby spojrzeć na swoje ciało. Dostrzegła jeszcze kilka piegów na klatce piersiowej i ramionach, niewielkie piersi, pieprzyk koło pępka i różowo-brązowe znamię na prawym udzie, które przypominało kręgi zbożowe. Na razie jej to wystarczyło. Wzięła szybki prysznic, z powrotem wciągnęła koszulę i stanęła przy swoim łóżku, żeby wcisnąć guzik i przywołać pielęgniarkę. Miła filipińska salowa z poprzedniej nocy skończyła dyżur, a wróciła opryskliwa pracowniczka dziennej zmiany.

- Słucham - powiedziała niemiła pielęgniarka, stając w drzwiach, jak gdyby wejście do środka było równoznaczne z przyznaniem się do porażki.

Lucie miała wrażenie, że ta kobieta nadawała się lepiej do prowadzenia ciężarówek.

- Potrzebuję dziś moich ubrań - wyjaśniła Lucie. - Najlepiej jeszcze dziś rano.
- Jej brudna garsonka i bluzka oraz bielizna trafiły do pralni. Zostały jej tylko porysowane szpilki i torba.

- Wiszą w szafie. - Zirytowana pielęgniarka pokręciła głową i odwróciła się. - I to od wczoraj - rzuciła przez ramię.

- Nikt mi o tym nie powiedział - odparła Lucie.

Zrobiła to jednak zbyt cicho, by pielęgniarka ją usłyszała. Widocznie ktoś przyniósł jej ubrania, kiedy spała. Podeszła do szafy, wyjęła plastikowy pokrowiec z garsonką i położyła go na łóżku.

Kostium miał nietypowy, geometryczny krój. Chociaż był w kolorze ecru, udało się wywabić z niego plamy. Rozebrała się i włożyła po kolei części garderoby, które zdjęła z siebie po przybyciu do szpitala: jedwabne figi w odcieniu kości słoniowej i modelującą sylwetkę halkę z wbudowanym stanikiem. Nie miała na ciele ani odrobiny tłuszczu, więc nie rozumiała, po co jej bielizna modelująca, ale musiała coś włożyć pod cieniutką, półprzezroczystą bluzkę.

Spróbowała się umalować, lecz już po chwili wepchnęła wszystkie kosmetyki z powrotem do torby.

Dochodziła pierwsza, a narzeczonego wciąż nie było. Lucie wzięła głęboki oddech i natychmiast go wypuściła. Tak, leciał aż z Seattle. Nie, nie ponosił odpowiedzialności za rozkład lotów, dostępność taksówek ani zakorkowane ulice San Francisco. Czy ta niecierpliwość stanowiła część jej osobowości, czy była tylko oznaką zdenerwowania? To nerwy, pomyślała. Przecież była pusta. Może teraz mogła sobie wybrać takie cechy, jakie jej się podobały. Podniosła kolejny magazyn i próbowała się odprężyć.

„National Geographic” z listopada dwa tysiące szóstego roku - starszy niż numery „Newsweeka” i „In-Style”, które przeglądała wcześniej. Wiadomości wypadały z jej

głowy równie szybko, jak do niej trafiały. Po co jej informacje, że Kongres odrzucił najnowszą ustawę o tworzeniu ekologicznych miejsc pracy albo że masywne obcasy znów są modne, skoro to wszystko było już nieaktualne? I czy w ogóle takie rzeczy ją - tę prawdziwą „ją” - obchodziły? Ubrania? Działania podejmowane przez Kongres?

Jej uwagę przykuła okładka „National Geographic” i nagłówek „Znaleziono potomstwo Lucy!”. Poczła przyływ paniki i wstyd na myśl, że mogłaby porzucić własne dzieci, chociaż nikt nie wspominał, by je miała. Nie potrafiła pozbyć się lęku, że jest okropnym człowiekiem. Co jeśli ten mężczyzna z Seattle to o niej wiedział? Jeśli był tym, za kogo się podawał, znał róż-ne fakty z jej życia i mógł to wykorzystać przeciwko niej, a ona nie miałaby nawet pojęcia, czy są prawdziwe. Naszła ją jeszcze jedna myśl: co jeśli ten facet był jakimś zboczeńcem albo się nad nią znęcał, a ona tego nie pamiętała i...

Jeżu, pomyślała, a serce zaczęło jej walić jak młotem. Muszę się wziąć w garść. Sprawdzili go. Przecież ciągle to robią, prawda? Oddają wariatów pod opiekę członków rodziny? Narzeczonych? Uznała, że musi komuś wierzyć - do siebie nie miała już zaufania.

Lucie usiadła, żeby przeczytać artykuł o swojej imienniczce - stercie kości osobniczki, która ponad trzy miliony lat temu żyła w Etiopii. Kiedy czytała ten tekst, coś w niej zadrzało. Pamiętała tę historię. Pamiętała, że tę człekokształtną małpę nazywano „Matką człowieka” i że według badaczy była to pierwsza małpa, która poruszała się na dwóch nogach. W tamtych czasach, czyli w latach siedemdziesiątych, ludzie odczuwali niepokój na myśl o tym, że być może wywodzą się od Afrykanów, a co dopiero od małpy.

Lucie musiała być dzieckiem, kiedy o niej czytała -pewnie wciąż chodziła do szkoły. Czy zaintrygowało ją jedynie imię, które dzieliła z pierwszą kobietą znaną na Ziemi? Na wieść o tym, że odkryto potomstwo tego małego hominida, Lucie poczuła, jak zalewa ją niespodziewana fala emocji. Lucy małpa rzeczywiście była matką. Lucie kobieta miała korzenie - przynajmniej te pierwotne. Zamrugła rzęsami, by powstrzymać cisnące się jej do oczu łzy.

To nie była jedynie wskazówka - odczuwała prawdziwy ból na myśl o rodzinie, którą porzuciła.

Podwójne drzwi na końcu korytarza się rozwarły i Lucie podniosła wzrok. Na oddział weszła para, która nerwowo spoglądała na tablice z ostrzeżeniem: „Uwaga: ryzyko samowolnego opuszczenia oddziału przez pacjentów”. Odprężyła się. To nie jej narzeczony. Przynajmniej nie sądziła, by był nim ten mężczyzna dźwigający kamerę wideo. Kobieta miała na ramieniu torbę i ubrana była w garsonkę podobną do

kostiumu Lucie. Energicznie podeszli do dyżurki, gdzie zagadnęli siedzącą za biurkiem pielęgniarkę, która pokręciła głową i wskazała im drzwi. Wywiązała się cicha sprzeczka i po chwili pojawiła się przelożona pielęgniarek. Kobieta wdała się z nimi w ożywioną dyskusję, która toczyła się sotto voce. Wciąż spoglądali na Lucie.

- Co? - zawołała w końcu przez salę rozdrażniona.

Pacjent-gaduła umilkł. Tym razem facet z tikiem się nie odzywał, jak gdyby on także zastanawiał się nad tym, co się dzieje.

Zaraz. Sotto voce. Skąd znała to określenie? To termin muzyczny, prawda?

Pielęgniarka wyszła zza biurka i podeszła do Lucie, a para dziennikarzy deptała jej po piętach.

- Ci ludzie pracują dla stacji telewizyjnej, która pokazała pani zdjęcie - wyjaśniła pielęgniarka. - Jakimś cudem przekonali kogoś, żeby ich wpuścił. - Spojrzała na nich gniewnie. - Dowiedzieli się o przyjeździe pani narzeczonego i chcą zrobić wywiad. Zaraz ich stąd wyrzucimy, ale jeśli chce pani z nimi porozmawiać, może to pani zrobić, byle poza terenem szpitala. Oczywiście może pani też odmówić.

Reporterka zignorowała pielęgniarkę i zwróciła się do Lucie, wyciągając rękę z nieco zbyt entuzjastycznym uśmiechem.

- Ann Howe z Bay News Eight. A to mój operator.

Lucie nie uściśnęła jej dłoni. Czy to wszystko był głupi kawał? Jak telefony z fałszywymi informacjami, które rozdzwoniły się po pojawieniu się jej zdjęcia w wiadomościach? Podśluchała rozmawiające o tym pielęgniarki, które nie zdawały sobie sprawy z tego, że ich głosy niosą się po wykładanych kafelkami korytarzach.

Plotkowały o wszystkim, co ponoć robiła Lucie podczas pobytu w ich mieście. Niektórzy widzieli ją podobno w autobusie albo w restauracji. Byli świadkami, jak zrywa owoce z drzew na Russian Hill albo rozdaje pieniądze żebrakom na Fisherman's Wharf. Najgorsi byli jednak dziwacy, którzy twierdzili, że Lucie jest żeńskim Antychrystem, nowobogacką Kasandrą, córką mordercy.

Czyjej rzekomy narzeczoney był po prostu chorym wymysłem jakiegoś żartownisia, a ci dziennikarze zamierzali jej o tym powiedzieć w ramach jednego z tych okrutnych programów telewizyjnych? Odsunęła się od kobiety. Chciała uciec.

Dziennikarka wydawała się podekscytowana.

- Jesteśmy szczęśliwi, że pomogliśmy pani narzeczonemu w poszukiwaniach, a nasi widzowie z niezwykłym zainteresowaniem śledzą pani losy. Czy pan Goodall już przyjechał? Droga 101 jest całkiem zakorkowana, więc nieco się spóźniliśmy...

Pielęgniarka stanęła przed kobietą z uniesionymi ramionami, jak gdyby chciała osłonić Lucie, a drzwi na oddział otworzyły się raz jeszcze.

Wszedł samotny mężczyzna. Był wysoki i szczupły, miał gęste czarne włosy, brązową skórę i szerokie kości policzkowe jak ktoś o indiańskim pochodzeniu. Wyglądało na to, że ubierał się bezmyślnie, w pośpiechu. Z jego bioder zwisały workowate szorty bojówki, a pognieciona biała koszula była krzywo zapięta. Zignorował wszystkich wokół. Patrzył tylko na Lucie i choć ona nie знаła jego twarzy, na jego widok poczuła, że coś się w niej zmieniło - uspokoiła się i po raz pierwszy od trzech dni miała wrażenie, że się odpręży. Widział ją, naprawdę ją widział. Podeszedł do niej i stanął u jej boku.

- Filmuj, filmuj, filmuj - wyszeptwała dziennikarka do kamerzysty. - Boże, nagrywasz to? Niesamowite.

Pielęgniarka podbiegła do dyżurki i chwyciła za telefon.

- Ochrona na jedenaste. Ochrona na jedenaste. – jej głos odbił się echem ponad ich głowami.

Ciemnowłosy mężczyzna nie dostrzegał poruszenia, które zapanowało - widział tylko Lucie. Jego twarz wykrzywiła się ze wzruszenia. Stanął przed nią i wyciągnął do niej rękę. Musiała się wzdrygnąć, bo cofnął ją i splótł na piersi, mówiąc:

- Lucie, o Boże. Ja... przepraszam. - Jego oczy wypełniły się łzami.

Pomyślała, że to niezwykle, i jej także zachciało się płakać.

Spojrzała mu w twarz. W zmarszczkach mimicznych i delikatnych załamaniach w kącikach ust kryła się inteligencja, czułość. Wiedziała, że chce ją pocieścić, ale to on wydawał się zraniony.

- Już dobrze - powiedziała, głównie po to by przestał płakać. - Czy ja naprawdę jestem... nią? Sobą?

- Lucie, oczywiście, że to ty. - Spojrzał na nią z niedowierzaniem. - Boże. Jezu. Jak mogę...?

Nie pamiętała go, a jednak czuła, że go zna.

- Już dobrze - powtórzyła.

Wyciągnęła ramiona, żeby go przytulić i pozwolić, by on przytulił ją. Stali obok siebie, jak gdyby byli ze sobą złączeni. Ich ramiona instynktownie wiedziały, jak się spleść, a ciała potrafiły się do siebie dopasować. Przytulił policzek do jej włosów. Jej głowa wtuliła się w jego gładką szyję. Znała jego zapach. Lucie dziwiła się, że ich ciała tak dobrze się znają, choć jej umysł wciąż szukał wskazówek, które pomogłyby jej to wszystko pomieścić.

Na oddział wpadło dwóch ochroniarzy, którzy zachowywali się tak, jakby odgrywali scenę z westernu. Od razu ruszyli w stronę kamerzysty i zasłonili mu obiektyw. Dziennikarka wszczęła dyskusję, pielęgniarka próbowała ją przekrzyczeć, a mężczyzna

plakał bezgłośnie wtulony we włosy Lucie. Był rzeczywisty. Znał ją. Kochał. I tylko on mógł jej pomóc zrozumieć, kim była.

- Cśś... - wyszeptała, głaszcząc go po plecach i pozwalając, by jej dłonie przemierzały wzgórza i doliny jego łopatek, żeber i kręgow. Palce jej prawej ręki instynktownie wpasowały się w głęboką szczelinę, która powstała w jego mięśniach tuż nad paskiem szortów. Mgła za oknem się podniosła, a palące słońce sprawiło, że miasto stało się białe jak popiół. - Cśś... - powtórzyła.

ROZDZIAŁ TRZECI

GRADY

Czy możesz powtórzyć, jak się nazywasz? -zapytała. Jej głos był znajomy i kojący. Przestał w końcu płakać, ale po tym pytaniu znów coś w nim pękło. Lucie naprawdę nie miała pojęcia, kim on jest.

- Grady - odparł, zastanawiając się, czy powinien wypuścić ją z ramion i uścisnąć jej dłoń. Miał ochotę nią potrząsnąć i krzyknąć: „Lucy, obudź się! To ja!”, ale powiedział tylko: - Goodall, Grady Goodall. - Zrobił krok w tył.

Patrzyła na niego w ten sam sposób co pięć lat temu, kiedy poznali się na targach przemysłu lotniczego i kosmicznego - z ciekawością, którą wzbudzają u kobiet uporczywie wpatrujący się w nie mężczyźni. Tamtego dnia rzeczywiście się na nią gapił, chociaż dopóki się do niej nie zbliżył, nie zauważył w niej nic szczególnego. Nagle wszystko stało się wyjątkowe: to, w jaki sposób jej skóra promieniowała światłem, morski odcień jej oczu. Była wyższa niż większość kobiet, szczupła i elegancka. Od tamtego czasu nie myślał o nikim innym, nawet kiedy pomiędzy nimi się nie układało. Niełatwo było kochać Lucie, i jego pewnie też.

- Ile mam lat? - zapytała, dotykając palcami czoła. Wyglądała tak samo, zupełnie tak samo, nawet bez ułożonej fryzury i makijażu, z widocznymi piegami, jak dawnej. Chociaż schudła i jej ubrania już jej nie opinały, nie miało to znaczenia. Mimo że wyglądała tak samo, nie była taka sama.

- Za dwa miesiące masz urodziny. Czwartego września. - Boże, pomyślał. Jak ona to przyjmie? Przez ostatnich pięć lat obsesyjnie bała się czterdziestki. - Urządzamy wielkie przyjęcie, bo... cóż...

Lucie przechyliła głowę w sposób, którego nigdy u niej nie widział. Była po prostu ciekawa, dlaczego urwał.

- Bo kończysz czterdzieści lat - mówił dalej. - To także dzień naszego ślubu.

Zaplanowali radosne wydarzenie tego samego dnia, tak by przyćmiło urodziny, których się obawiała. Jednak nic z tego nie wyszło. Miał wrażenie, że uciekła, by tego wszystkiego uniknąć. By stworzyć pomiędzy nimi jak największy dystans. Tylko w ten sposób potrafił to sobie wytłumaczyć. Lucie uniosła brew. - Aha - rzuciła.

Była zaskoczona, ale nie potrafił stwierdzić, co czuje: radość czy złość. Czy uważa

to za dobry czy zły pomysł. Przez pięć lat uczył się każdej jej miny, zmruczenia oczu i zaciśnięcia ust, żeby wiedzieć, jak reagować, jak ją zadowolić, jak najlepiej ją kochać, a teraz nie potrafił nawet udawać, że umie odczytać emocje malujące się na jej twarzy. Według lekarki, z którą rozmawiał przez telefon, Lucie cierpiała na fugę dysocjacyjną - poważne zaburzenie spowodowane emocjonalnym wstrząsem, jednak Lucie wydawała się mniej wstrząśnięta niż kiedykolwiek. Dziennikarka i operator w pośpiechu opuszczali szpital odprowadzani przez ochroniarzy. Grady, który nigdy wcześniej nie był na oddziale psychiatrycznym, spodziewał się takiej reakcji personelu. Dziennikarka krzyknęła:

- Grady! Powiedz przyjaciołom i rodzinie, jak się czujesz teraz, kiedy znalazłeś Lucie całą i zdrową!

- Co? - zapytał, spoglądając to na dziennikarkę, to na Lucie.

Nagle go oświeciło. Jakim cudem dowiedzieli się, że tu będzie? No tak, nic dziwnego. Media rzuciły się na jego opowieść jak tłuste kleszcze, jak krwiopijczyce wampiry.

Lucie zwróciła się do reporterki.

- To nasza prywatna sprawa. Proszę zostawić nas w spokoju. - W jej głosie nie było ani odrobiny dawnego gniewu, jednak jej słowa miały w sobie moc.

Para zniknęła za drzwiami, a Grady żałował, że przez ostatni tydzień nie udało mu się tak skutecznie rozprawić z dziennikarzami.

Pielęgniarki odwróciły się od nich, kręcąc głowami i przeganiając innych pacjentów z pokoju. Potem i one znalazły sobie inne zajęcia.

W końcu został sam na sam z Lucie. Miał wrażenie, że dzieje się tak po raz pierwszy.

Podeszła do krzesła, na którym leżało otwarte czasopismo, podniosła je i usiadła, sugerując, by zrobił to samo. Zastanawiał się, czy powinien usiąść obok niej. Naprzeciwko? Nie, znajdowałiby się zbyt daleko, żeby odbyć intymną rozmowę. Wybrał krzesło ustawione prostopadle do niej.

- Wyczytałaś coś interesującego? - zapytał, wskazując głową na magazyn.

Pilnował się, żeby jego nogi albo palce nie dotknęły jej stopy, a kolano nie zetknęło się z jej kolanem. Spojrzał na okładkę. Był to stary numer „National Geographic”. Nie czytała tego typu czasopism. Lucie uwielbiała design, modę i luksus. Nie potrafił sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego wybrała właśnie tę gazetę.

- Tak - odparła tylko. - Mogę ci zadać kilka pytań?

- Oczywiście.

Jego głos podniósł się i opadł, a palce napięły się i rozluźniły. Tęsknił za pływaniem. O tej porze zawsze pływał. Marzył o tym, by znaleźć się w chłodnej

błękitnej otchłani, w jej uspokajającej ciszy. Odkąd pamiętał, woda była jego rajem, cichą ucieczką od głośniejszej rodziny kobiet, które kochał, ale których nie potrafił zrozumieć. Dorastając, większość wolnego czasu spędzał w basenie publicznym, a latem pływał w lodowatych, przenikających do szpiku kości wodach zatoki Puget. W liceum był członkiem drużyny pływackiej, a na Uniwersytecie Waszyngtońskim studiował dzięki skromnemu stypendium pływackiemu. Przez ostatni tydzień - kiedy nie szukał Lucie, nie telefonował i nie rozklejał ulotek - wskakiwał do basenu sportowego w siłowni i przebywał pod wodą tak długo, jak potrafił, wynurzając się dopiero wtedy, gdy jego płuca upominały się o tlen.

- Jak długo mnie nie było? - zapytała.

Mógł odpowiedzieć, że całe wieki. Nieskończoność.

- Osiem dni. Prawie dziewięć - odparł, jak gdyby opowiadał o jakiejś błahostce. Osiem dni, dwadzieścia dwie godziny i szesnaście minut. To przemilczał.

Zdziwiła się, a na jej policzki wpłynął rumieniec.

- Naprawdę? Przecież jestem tu dopiero od trzech dni. - Ściągnęła brwi. Wyglądała nieco bardziej znajomo: Lucy skonsternowana. - To wszystko jest takie... - Zamknęła oczy, a kiedy znów je otworzyła, były pełne łez. Dawna Lucie nie płakała. - Przepraszam - powiedziała. - To wszystko dzieje się tak szybko. Nie mam pojęcia, gdzie byłam, ani... - Wciągnęła powietrze do płuc. - Wiesz, dlaczego przyjechałam do San Francisco? Dlaczego stałam w wodzie?

Potrząsnął głową. Chciałby to wiedzieć. Przyłożył dłonie do serca,

- Byłaś tutaj - odparł. Miał wrażenie, że to, co mówi, jest idiotyczne i banalne. Ale była to prawda, a on nie zdołał zatrzymać tych słów. Czuł się tak, jak gdyby coś się w nim przebudziło, żeby ukoić tę pozornie łagodną i smutną kobietę. - Przez cały czas byłaś ze mną, Luce. Uwierz mi.

Spojrzała na niego tak, jak pies patrzy na swojego właściciela - z uczuciem i ciekawością, ale także obojętnością istoty innego gatunku.

- Było ci ciężko - rzuciła. - Przez moje zniknięcie.

Uświadomił sobie, że ona tego ciężaru nie odczuwała. Czuła ból, ponieważ nie wiedziała, kim jest. Jeśli chodzi o ich związek, jej pamięć została wyczyszczona - żadnego smutku, żalu, a nawet gniewu. Prawie jej zazdrościł.

Zawstydzony, wyciągnął zdjęcia, które ze sobą przywiózł. Lekarka powiedziała, że mogą jej pomóc w odzyskaniu pamięci.

- Powiedzieli, żebym je zabrał. Jest tu kilka fotografii z imprezy charytatywnej, na której byliśmy w związku z twoją pracą...

Kiedy je od niego wzięła, zauważył, że nie nosi pierścionka z ogromnym brylantem, który był tak drogi, że chciała się dołożyć. Nie rozstawiała się z nim,

odkąd w poprzednie walentynki otworzyła niebieskie pudełeczko, ale teraz wyglądało na to, że zniknął. Chyba że znajdował się w szpitalnym schowku.

Błyskawicznie przejrzała zdjęcia. Kiedyś podobały jej się fotografie z wielkiej gali, na którą poszli wystrojeni, ale teraz przerzucała fotografie, nawet się im nie przyglądając.

- A to ty z całą moją rodziną. Tutaj tylko z moją mamą i... A to moja siostrzenica.

- Czy... Czy twoja rodzina ma indiańskie pochodzenie?

Przecież wiedziała, pomyślał, po czym pokręcił głową. Nie wiedziała.

- Mój tata pochodził z plemienia Puyallup. Mama jest Irlandką. A my mieszańcami. - Spróbował się uśmiechnąć.

Podniosła wzrok.

- A gdzie jest moja rodzina?

Nie przemyślał tego. To pytanie musiało paść. Zrobił wdech.

- Twoi rodzice umarli, kiedy miałaś piętnaście lat. - Musiał ją o tym poinformować. Powinna to wiedzieć.

Drgnęła, ale nie zapytała o szczegóły.

- A co z pozostałymi krewnymi? Muszę mieć... spędzony bez niej utwierdził go w przekonaniu, że pragnie z nią być, okazywać jej miłość, cześć i troskę bez względu na okoliczności, a to wszystko było dla niego sporym odkryciem. Rozstanie nie tylko wzmocniło jego uczucie - dzięki niemu zdał sobie sprawę, że całe dobro, jakie go spotkało, zawdzięcza Lucie - w ciągu ostatnich pięciu lat czuł się bardziej męski niż w ciągu trzydziestu siedmiu lat, zanim ją poznał. Mimo jej wad, ostrego języka i braku cierpliwości do niego znał łagodną Lucie skrywającą się gdzieś środkiem - Lucie, która została tak skrzywdzona w dzieciństwie, że nie potrafiła o tym nawet mówić. To właśnie tę Lucie zawsze kochał i chciał uszczęśliwić. Zastanawiał się, czy to właśnie ta Lucie wyłoniła się spod starej twardej skorupy. Grady zawsze był człowiekiem uczciwym do bólu, ale nigdy nie otrzymał szansy na nowy początek. Nie zamierzał kłamać. Po prostu nie wyjawiał jej wszystkiego, nie tylko ze względu na siebie. Przez odejście Lucie wpadła w furję.

- Pokłóciliśmy się, a ty poszłaś na spotkanie. Powinienem być cię zatrzymać, Luce, do czasu, aż się pogodzimy. - Uświadomił sobie, że mówi prawdę. Powinien był to zrobić. - Ale wyszłaś tak szybko, a ja o tym nawet nie pomyślałem. Byłem zły.

- Co to był za dzień?

To, że interesują ją tylko fakty, ulżyło mu.

- Wtorek.

- Chodzi mi o datę.

- Dwudziesty ósmy czerwca. - Po tych słowach Grady'emu zrobiło się niedobrze. - Wtorek dwudziestego ósmego czerwca.

- Dotarłam na to spotkanie? - zapytała Lucie. - Z projektantką?

Grady pokręcił głową.

- Godzinę później zadzwoniła asystentka Lany, żeby zapytać, czy się do nich wybierasz. Wtedy pojąłem, że coś jest nie tak. Naprawdę uwielbiasz tę projektantkę. Przejeżdżasz przez centrum obok jej salonu tylko po to, żeby zobaczyć, czy na wystawie pojawiło się coś nowego. Bardzo wtedy zwalniasz. - Nie potrafił powstrzymać uśmiechu. - Inni kierowcy dostają szału i trąbią, ale moja Lucie o to nie dba, ona po prostu...

- Możesz powtórzyć, jak się nazywa ta projektantka? - zapytała, a Grady poczuł, jak uchodzi z niego powietrze.

- Lana Tang.

- Aha. - Wpatrywała się w punkt na dywanie, po czym podniosła wzrok. - Chyba naprawdę to lubię, prawda? Na przykład to? - Dotknęła marynarki.

Wzruszył ramionami.

- Tak. Lubisz ładne rzeczy.

- Co jeszcze?

Poprawił się na krześle. Poduszki na siedzeniu były zbyt cienkie, krzesło zbyt ciasne, a przestrzeń pomiędzy nim a Lucy zbyt mała, żeby ich ciała się nie zetknęły. Przycisnął nogi do ramy krzesła.

- Nie wiem. Po prostu uwielbiasz zakupy. Zawsze powtarzasz, że to tańsze niż psychoterapia.

Cholera. Po co to mówił? Skrzywiła się, ale pytała dalej.

- Co się stało potem? Kiedy usłyszałaś, że nie dotarłam do tego butikiku?

Butik. Tak powiedziałaaby jego matka.

- Wsiadłem do samochodu i ruszyłem trasą, którą mogłaś wybrać. Powiniennem być od razu zadzwonić na policję, lecz pomyślałem, że zepsuł ci się samochód albo złapałaś gumę.

Pokiwiała głową.

- To ma sens.

Westchnął. Już wtedy wiedział, że go zostawiła. Szukał *jej* jeżdżąc po mieście, i choć był pewny, że robi to na próżno, wysyłał jej SMS-y i zostawiał wiadomości na poczcie głosowej - nie wiedział, co innego mógłby zrobić. Nie dzwoni się na policję dlatego, że zostawia cię dziewczyna, zwłaszcza jeśli było się kompletnym

dupkiem i w pełni zasłużyło na jej gniew. Dopiero kiedy znaleźli jej samochód, dotarło do niego, że stało się coś o wiele gorszego.

- Potem zadzwonili do mnie z policji. Twój samochód stał porzucony w strefie załadunku. Był otwarty, a na siedzeniu pasażera leżał twój pusty portfel.

Wiedział, że wyjęła z bankomatu sześćset dolarów, żeby zapłacić projektantce. Jak zwykle zalegała ze spłatą kart kredytowych, ale Grady o tym nie wspomniał.

Lucie westchnęła z zaskoczeniem.

- Okradziono mnie? Porwano? Wciąż myślę, że musiało się stać coś takiego, że może ktoś uderzył mnie w głowę...

Umilkła. Oboje wiedzieli, że na jej ciele nie było żadnych obrażeń, że nie doznała żadnego fizycznego urazu. Zrobiono jej wszystkie możliwe badania, przeskanowano mózg i organy wewnętrzne. Jej serce i głowa, pomyślał Grady, są bez obrażeń, ale zmienione.

Mówił dalej:

- Cóż, na początku my też tak podejrzewaliśmy. Najdziwniejsze jest to, że twój samochód znaleziono przy stacji kolejowej, a nie pod salonem projektantki.

Chociaż wcześniej Grady zastanawiał się, czy wsiadła do jakiegoś pociągu, wydawało mu się to zbyt nielogiczne. Po co jechać pociągiem, kiedy ma się zupełnie sprawny samochód? To nie miało sensu, ale prawdę mówiąc, nie miała go też cała reszta. Czekał i obawiał się okropnych wieści, które miały nadejść („Czy została porwana?”, „Czy ktoś ją skrzywdził?”. „Boże, czy ona żyje?”), przeglądał rozkłady jazdy pociągów, żeby nie dopuszczać do siebie najgorszych myśli. Próbował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek mówiła o tym, że chciałaby gdzieś pojechać, lecz rozmawiali jedynie o tym, że zimą wybiorą się w podróż poślubną na Hawaje. Czy miała przyjaciół gdzie indziej, w innych miastach? Nic o tym nie wiedział. Jej jedyną krewną była ciotka mieszkająca w okolicach Everett, Lucie jednak nie wyrażała ochoty, by kiedykolwiek się z nią spotkać. Wręcz przeciwnie.

Po pięciu długich dniach dzięki danym udostępnionym przez firmę przewozową Amtrak policjanci odkryli, że Lucie pojechała do Sacramento. Grady spytał ich, dlaczego zajęło im to tyle czasu, ale nie otrzymał satysfakcjonującej odpowiedzi. Chociaż nie powiedzieli tego głośno, wiedział, że uważali, iż Lucie po prostu od niego uciekła. Ich zainteresowanie sprawą zmałało. Nie zanotowali żadnych podejrzanych czynności. Ani ona, ani nikt inny nie korzystał z jej kart kredytowych. Grady ich nie zablokował, w razie gdyby ich potrzebowała, ale bacznie śledził wyciągi z konta. Nic. Następnego dnia odkrył *jej* prawo jazdy w biurze rzeczy znalezionych na stacji King Street w Seat-tle. Nie musiała go pokazywać w pociągu - przydało jej się tylko do kupna biletu.

Grady natychmiast zadzwonił na policję w Sacramento, zgłaszając, że jego zaginiona narzeczona mogła tam być - na wypadek gdyby nie zrobiły tego władze Seattle. Następny samolot do Sacramento odlatywał dopiero następnego dnia. Zastanawiał się, czy powinien sięść za kierownicą, a może kupić bilet na (dobry Boże!) pociąg. I co potem? Miał się przechadzać po mieście, wołając „Lucie, Lucie”, jak gdyby szukał zaginionego psa? Kurwa, pomyślał. Co ja mam teraz począć?

Zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście nie uciekła, żeby zacząć nowe życie, więc zrobił to co zawsze, kiedy los zdawał się odbierać mu całą nadzieję: zadzwonił do Dory, swojej najmłodszej i najbardziej wyrozumiałej siostry. „Czy powinienem pozwolić Lucy odejść, czy dalej jej szukać?”, zapytał przez telefon, a Dory na szczęście odparła: „Kahkwa pelton”. Było to stare przysłowie Chinooków, którego używał ich ojciec, ilekroć uważał, że zachowują się niemądrze. Jego dzieci nie pamiętały zbyt wiele z tego języka, ale to wyrażenie często rozbrzmiewało na spotkaniach rodzinnych.

- Oczywiście, że powinieneś jej szukać - odparła Dory. - Pojadę z tobą do Sacramento. Pójdziemy do lokalnej telewizji. Niech wszyscy wiedzą, że jej szukamy - powiedziała, chociaż wiedział, że jego siostra nie dostanie urlopu. - Znajdziemy ją, Grady, obiecuję.

Zabukował bilety na następny dzień i wydrukował kilkaset dodatkowych plakatów, które miał zamiar rozwiesić w Sacramento. Zaledwie dwie godziny przed wyjściem z domu Grady odebrał telefon od jednego z policjantów, który powiedział, że w zatoce San Francisco znaleziono kobietę.

Na początku Grady pomyślał, że utonęła. Dręczyły go ponure wizje odwiedzin w kostnicy, gdzie będzie musiał zidentyfikować jej zwłoki. Poinformowano go, kobieta stała w wodzie tylko po kolana. Grady nie wierzył, że to może być Lucie. Nie zrobiłaby czegoś takiego. Nie jego Lucie, która zawsze miała kontrolę nad... wszystkim. Kliknął w link do reportażu nadanego przez kanał Bay News 8 i na zielonkawej fotografii udostępnionej przez policję zobaczył Lucie, a jednocześnie nie Lucie: rozczochraną, brudną, wystraszoną. Widząc jej przerażenie i samotność, odczuwał niemal taką samą żalobę jak wtedy, gdy myślał, że utonęła. Przez półtora dnia bez końca starał się przekonać władze, że to jego narzeczona.

- Pamiętasz podróż pociągiem? - zapytał ją teraz.

Lucie wbiła wzrok w kolana i pokręciła głową. Dystans pomiędzy Sacramento i San Francisco na pewno przebyła autobusem. Odkąd opuściła ich dom, wydarzyło się wiele rzeczy i niemożliwe wydawało się, by nic nie pamiętała, ale Grady musiał jej wierzyć.

Nerwowo poruszała rękami, skubiąc rękawy garsonki. Po raz pierwszy

zauważył jej połamane paznokcie, szorstką skórę dłoni. Usiłował sobie wyobrazić, co musiała zrobić, żeby przetrwać, ale nie potrafił. Grady wiedział tylko, że musi ją zabrać do domu i przygotować *jej* gorącą kąpiel, tak jak lubiła - z solami do kąpieli i olejkiem migdałowym. Nakarmić ją zupą. Przytulić i wyszeptać, że odtąd zawsze będzie przy nim bezpieczna.

- Możesz wrócić jutro? - Podniosła wzrok. - Może uda nam się dłużej porozmawiać.

Nad jego górną wargę wystąpił pot. Wstał.

- Aha. - Grady także się podniósł. - Myślałem, że chcesz stąd wyjść. Wrócić do domu.

Musiał się pohamować, żeby nie złapać jej za rękę i nie wyprowadzić jej na świeże powietrze, z dala od innych pacjentów, którzy byli chorzy, a może nawet agresywni, ale potrząsnęła głową.

- Potrzebuję jeszcze trochę... czasu.

- Rozumiem - powiedział. - W porządku. A więc jutro. Może o dziewiątej albo dziesiątej? - Lucie cierpiała na bezsenność i zasypiała zazwyczaj dopiero przed świtem.

- Lepiej o siódmej - odparła. - Nie mogę spać, kiedy słońce jest już na niebie. To takie dziwne. - Nachyliła się do niego i wyszeptała: - Tutaj są sami wariaci.

Zamknął oczy i wdychał woń jej skóry. To był jej zapach, jej skóra, jej głos. Sycił się nimi. Pod wieloma względami to wciąż była jego Lucie.

Otworzył oczy. Został sam.

ROZDZIAŁ CZWARTY

HELEN

Dzieci krzyczały i biegały po pokoju. Tego popołudnia zachowywały się bardziej niesfornie niż zwykle, a Helen czuła, że już niedługo będzie się nimi zajmować. Nie miała już siły ani energii, żeby gonić łobuziaki i rozdzielać płaczące dzieci, które wdawały się w bójkę. Kiedyś tylko chłopcy zachowywali się nieposłusznie, ale ostatnio dziewczynki były równie nieokiełznane.

Klub dla dziewcząt i chłopców Tulalip opierał się na pracy wolontariuszy takich jak Helen - emerytowanych nauczycieli i pedagogów, z których wielu uciekło z miasta dla wysokich drzew i błękitnej wody w mniejszych miejscowościach na północno-zachodnich obrzeżach stanu Waszyngton. Helen niemal przez całe dorosłe życie mieszkała nieopodal rezerwatu Tulalip. Osiedliła się tu ponad czterdzieści lat temu z mężem Edwardem Dziesięć Dłoni, dziś już nieżyjącym. Po pięciu poronieniach przestała się starać o dziecko. Jej siostra zapewniała ją, że dobrze jest być ukochaną ciocią. Helen nie miała na wychowaniu dzieci, więc w ramach nagrody pocieszenia zrobiła uprawnienia nauczycielskie i przez prawie trzydzieści lat uczyła w przedszkolu i pierwszych dwóch klasach szkoły podstawowej Tulalip.

Chociaż już od piętnastu lat nie pracowała jako nauczycielka i zatrudniła się na część etatu jako kasjerka w kasynie, żeby dorobić do emerytury, wciąż lubiła spędzać popołudnia z dziećmi w wieku od pięciu do ośmiu lat w klubie dla dziewcząt i chłopców. Nie znosiła nastolatków. Nie były zbyt wdzięcznymi istotami - nie tak jak maluchy, które przytulały ją i całowały za to, że przeczytała im bajkę, z pewnym szacunkiem nazywały „panną Helen” i nie znały jeszcze uczucia pogardy.

- Ojej - wymamrotała Helen, czując ucisk w miejscu, które bolało ją przez te wszystkie lata, kiedy pragnęła odzyskać swoją dziewczynkę.

Nie powinna była dzwonić do tego szpitala. Po co w ogóle próbowała? Żeby znów doświadczyć odrzucenia? A jednak wiedziała, że wciąż będzie się starać. Była to winna siostrze, a nie istnieje nic silniejszego od więzów krwi. Nie potrafiła przestać kochać swojej siostrzenicy, tak jak nie potrafiła zatrzymać rozpadu swojego zgrzybiałego ciała, chociaż i ona, i ono ją zdradziły.

Staruszka wciągnęła oddech do płuc, poczuła ucisk i zakaszła, po czym wyklaskała rytm cza-czy - raz, dwa, raz, dwa, trzy. Jak za sprawą czarów, dzieci się zatrzymały, ucichły i zwróciły do niej twarzą, posłusznie wyklaskując rytmiczną

odpowiedź: „Już cię słuchamy”.

- Dziękuję, chłopcy i dziewczynki - powiedziała z uśmiechem, ciesząc się, że są posłuszne. - A teraz niech wszyscy usiądą na dywaniku, żeby posłuchać bajki. Raelene Coy, czy chciałabyś być dziś moją pomocnicą?

Dziewczynka kiwnęła głową. Co roku Helen obdarzała matczyną miłością którąś z dziewczynek, zachowując przy tym dystans. Dziś po raz pierwszy poprosiła Raelene, żeby pomogła jej opowiedzieć bajkę. Nie chciała, by dziecko czuło się nieswojo z tego powodu, że zostało wyróżnione. Helen ukrywała swoje uczucia. Nauczyła się tego przed laty od swojego męża, kiedy Lucie od nich odeszła. Teraz starsza kobieta cieszyła się po prostu emocjami, które towarzyszyły jej na widok zaciekawionych oczu, policzków z dołeczkami i niepohamowanego wybuchu uczucia.

- W takim razie chodź - powiedziała, zajmując miejsce na stołeczku przed grupą dzieci. - Stań przy mnie. Będziesz pokazywać obrazki.

Mała Raelene stanęła obok - tak blisko, że Helen czuła ciepło promieniujące od jej ciała.

Starsza kobieta wyciągnęła chusteczkę spomiędzy piersi, potrząsnęła dłonią i otarła suche usta, po czym zaczęła czytać.

ROZDZIAŁ PIĄTY

GRADY

Kiedy wcześniej tego dnia Grady wysiadł z taksówki przed szpitalem San Francisco General, zawahał się. Majaczył nad nim wielki, brzydki budynek z białego betonu, przed którym znajdowali się ludzie na wózkach lub o kulach - mniej lub bardziej cierpiący. Grady zszedł z podjazdu i znalazł się na trawie ogrodu. Próbował złapać oddech. Spoglądał na ładniejsze budynki ze starej cegły, które otaczały nowsze, brzydkie skrzydło, patrzył w dół przez żelazne bramy na wyrastające w oddali wzgórza spłowiałe od słońca brudną bielą. Tęsknił za zielenią Seattle.

Potrzebował dwudziestu minut, żeby zebrać się na odwagę. Zawrócił, przeszedł przez szklane automatyczne drzwi i minął błyszczące białe korytarze w poszukiwaniu właściwego oddziału - zapomniał zabrać ze sobą notatki, które

sporządził w domu - a następnie wcisnął guzik windy, wybierając piętro, na którym przebywali jedynie pacjenci oddziału psychiatrycznego. Jego Lucie. Zaczął płakać, jeszcze zanim ją zobaczył.

Teraz Grady ponownie znalazł się na zewnątrz. Nie miał pojęcia, co robić, dokąd iść. Znow przeciął ogród i zszedł po długim ciągu schodów, zmierzając w stronę bramy. Po drugiej stronie znajdował się brudny bulwar, zakorkowany i umęczony codziennym gwarem.

Spodziewał się, że jeszcze tego samego dnia zabierze Lucie do domu. Kupił dwa bilety na lot Alaska Air na szesnastą dziesiątą. Nie miał ze sobą żadnej walizki ani szczoteczki do zębów, nic. Co miał teraz zrobić?

Gdyby tylko udało mi się popływać, pomyślał. Postanowił, że poszuka hotelu z basenem.

W pobliżu nie było żadnych taksówek, więc Grady ruszył na północ w stronę czegoś, co przypominało obiecujące skupisko budynków. W pobliżu szpitala musiało się znajdować kilka hoteli dla rodzin spoza miasta. Uznał, że spacer pomoże mu zebrać myśli.

Kompleks szpitalny rozciągał się po prawej stronie - brudne parkingi i pojedyncze ogródki kontrastowały ze zdobionymi ceglanyimi budynkami. Słońce parzyło Grady ego w głowę. Zdążył już przepocić koszulę. Minął zaniechanego mężczyznę oddającego mocz na ulicy, tuż przy jezdni, i obryzgującego zderzak zaparkowanego obok samochodu. Grady myślał tylko o Lucie zamkniętej w miejscu, do którego nie pasowała.

Tylko że ona nie była więźniem. Lekarka powiedziała, że kiedy Grady przyjedzie, będzie mogła ją wypisać. Jeśli wierzyć ostrzeżeniom zawieszonym na oddziale, pacjenci często z niego uciekali. A Lucie postanowiła zostać.

Za budynkami szpitala znajdowały się zniszczone witryny sklepów, jeden bardziej obskurny od drugiego. Pokonał mniej więcej półtora kilometra w upale, po czym przeszedł tunelem pod głośną autostradą. Cień przyniósł mu ulgę, ale ryk samochodów był ogłuszający. Po drugiej stronie ulice biegły pod innym kątem, więc Grady skręcił i ruszył w górę 9th Street - jego uwagę przykuł niewielki budynek pomalowany intensywną niebieską farbą. Na szyldzie napisane było „Stud” - ogier. Przez chwilę czuł się zdezorientowany, ale zauważył tęczowe flagi i chorągiewki w oknach, na latarniach oraz na sklepie z ubraniami vintage, gdzie w witrynie stały manekiny ubrane w skórzane stroje wysadzone ćwiekami. Już miał zawrócić, kiedy przecnicę dalej dostrzegł to, czego szukał - markizę motelu z napisem: „telewizja satelitarna, basen”. Ostatnie „n” było niebezpiecznie przechylone, jak gdyby miało upaść - Grady czuł się podobnie. Nie miał ochoty

szukać innego noclegu ani wzywać taksówki, więc ruszył w stronę motelu. Chciał być jak najbliżej Lucie.

Po drugiej stronie popękanego asfaltowego parkingu zauważył srebrzystą wodę. Basen był niewielki, ale czysty. Pomyślał, że taki mu wystarczy. Był idealny.

Wszedł do środka, żeby się zameldować. Natychmiast obezwładnił go intensywny odór - mieszanina pleśni i niemytego ciała.

Za kontuarem recepcji siedział otyły mężczyzna, którego włosy przyklejone były brylantyną do łysej czaszki. Choć za Grady zatrzasnęły się szklane drzwi, mężczyzna nie przestawał czytać czegoś, co wyglądało na tanią powieść detektywistyczną. Grady odchrząknął. Smród potu zaczynał być nie do zniesienia.

- Dzień dobry - rzucił Grady. - Czy są jakieś wolne pokoje? Tylko na jedną noc.

Mężczyzna nie podniósł nawet wzroku i mruknął:

- Karta kredytowa. - Wziął od Grady ego kartę, przeciągnął ją przez czytnik i oddał wraz z paragonem do podpisu.

Grady widział teraz, że portier trzyma nie książkę detektywistyczną, lecz rozpadający się tom *Obcego* Camusa. On sam próbował przebrnąć przez tę powieść na studiach, ale wydała mu się niejasna i ponura. A jednak wciąż trzymał ją w piwnicy w jakimś pudle z podręcznikami akademickimi. Dlaczego nigdy ich nie wyrzucił? Pokręcił głową. Źle ocenił mężczyznę, podobnie jak wcześniej Lucie. Przed dwudziestym ósmym czerwca nigdy by nie wpadł na to, że go zostawi - najpierw fizycznie, a teraz na każdy inny możliwy sposób.

Grady podpisał paragon i oddał go portierowi, po czym wziął klucz, który ten mu podsunął. Mężczyzna ani razu nie podniósł wzroku. Mógłby wynająć pokój komukolwiek, pomyślał Grady, po czym uświadomił sobie, że może właśnie o to chodzi.

Zapach pleśni wypełniający także jego pokój dochodził z klimatyzatora, który wypluwał z siebie ciepłą wilgoć. Grady wyłączył urządzenie i uchylił okno, po czym usiadł na łóżku. Z zewnątrz dochodziło wycie samochodów, a nad budynkiem z rykiem przeleciał samolot. Materac był tak niewygodny jak w łóżkach sprzedawanych w domach towarowych -sprawiał wrażenie, jak by był podbity kartonem i wypchany gazetami. Grady westchnął. Nie tak miał wyglądać ten dzień.

Zeskoczył z materaca, kiedy w lewym pośladku poczuł elektryczną wibrację.

- Co jest... - mruknął, po czym zdał sobie sprawę, że to jego komórka.

Wyciągnął ją z tylnej kieszeni spodni. Kolejna wiadomość od kolejnej siostry. Przez cały dzień wysyłały mu SMS-y i nagrywały się na pocztę głosową: „Czy to naprawdę ona? Jak się czuje? Pamięta cię?” Były zrozpaczone tym, co stało się z Lucie, a

jednocześnie silne i niezawodne. Organizowały poszukiwania i przyjechały do Seattle, żeby mu pomóc, jak zwykle emanując pozytywnym nastawieniem i podnosząc go na duchu. Żałował, że nie zachowują dystansu, nie dają mu tkwić w karzącej ciszy i odczuwać ciężaru tego, co zrobił. Jego siostry chciały, by zawsze był radosny.

Najpierw zadzwonił do Dory, swojej ulubienicy. Kiedy włączyła się poczta głosowa, odetchnął z ulgą. Mógł jej zostawić wiadomość, tak by przekazała ją pozostałym Goodallom - od najmłodszej do najstarszej siostry: od Dory przez Renie, Nan i Izzy po Floss i Eunie. Eunie zadzwoni do ich matki, która w pewnym momencie skontaktuje się z Gradym, ale przynajmniej na razie mógł zrezygnować z pośredników.

- Hej, Dory - powiedział. - To ona. Oczywiście wiedziałem o tym, ale sama rozumiesz, dopóki jej nie zobaczyłem... No, tak czy siak, jest zdrowa. Wprawdzie cierpi na amnezję, lecz czuje się... dobrze. Na swój dziwny sposób. Nie jest nawet zestresowana. Wyobrażasz to sobie? Niezestresowana Lucie? Bardzo schudła, ale czuje się nieźle. Nie odniosła żadnych obrażeń. Dasz znać pozostałym? Chciałbym się skupić na tym, żeby przygotować Lucie do powrotu do domu. Dobrze? Kocham cię. Uściskaj resztę.

Grady odłożył telefon i przez chwilę siedział, wpatrując się w ścianę. Spojrzał na zegarek. Dochodziło dopiero wpół do trzeciej.

Gdyby wiedział, że Lucie każe mu czekać, przywiózłby ze sobą laptop, żeby móc pracować, ale wypadł z domu bez zastanowienia, żeby zdążyć na lotnisko Seattle-Tacoma. Jeszcze bardziej od komputera i szczoteczki do zębów brakowało mu kąpielówek. Wstał, schował klucz do kieszeni, po czym wyszedł z pokoju. Parking był pusty. Klienci z poprzedniego dnia już się wymeldowali, a nowi jeszcze nie przyjechali. Podszedł do basenu i wziął głęboki oddech: spaliny samochodowe i chlor. Po drugiej stronie leżało skupisko zardzewiałych leżaków.

Rano Grady obudził się w Seattle zroszonym chłodną mżawką, a teraz nie mógł znieść zaduchu panującego w San Francisco. Skóra mrowiła go na myśl o wodzie - jej błękitnej otchłani. Nerwowe podekscytowanie, które zawsze poprzedzało moment zanurzenia się w basenie, eksplodowało z jego porów jak woda sodowa. Rozejrzał się wokół, po czym szybko się rozebrał - ostrożnie zdjął buty, koszulę i szorty rzucił na leżak. Oczywiście został w bieliźnie, tak by ktoś widzący go z daleka pomyślał, że Grady ma na sobie kolarki.

Ustawił się na krawędzi basenu. Zakręcił lewym ramieniem, potem prawym, a następnie dwoma naraz.

Wciągnął głęboko powietrze do płuc, szybko potrząsając dłońmi. Rytuały poprzedzające wskoczenie do wody uspokajały go niemal tak samo jak pływanie.

Normalnie przed zanurzeniem się w basenie poprawiłby okulary do pływania, ale te oczywiście znajdowały się w domu w torbie sportowej razem z kąpielówkami. Musiał się zadowolić pływaniem z zamkniętymi oczami.

Zrobił jeszcze jeden głęboki wdech, po czym uniósł pięty i wskoczył do wody, skupiając się na tym, by przybrać pozycję hydrodynamiczną i bez poruszania rękoma dostać się na drugą stronę basenu. Bokserki tylko nieznacznie mu się zsunęły. Naciągnął je, kiedy stylem motylkowym nurkował na dno.

Gdy tylko Grady znajdował się pod wodą, a otaczające go dźwięki stawały się stłumione, zamieniał wątpliwość na pewność, niezdarność na wdzięk. Nieznacznie otworzył jedno oko i zobaczył betonową ścianę. Trzymając ramiona wzdłuż tułowia, zarzucił pięty, wykonał nawrót i policzył machnięcia ramion dzielące go od drugiego krańca niewielkiego basenu. Wyciągnął prawe ramię tak daleko, jak potrafił, obracając się na bok. Sięgnięcie i pociągnięcie, prawa, lewa. Po zaledwie siedmiu machnięciach dotarł do przeciwległej ściany. Ułożył ramiona wzdłuż tułowia, przyspieszył kolejny nawrót i odepchnąwszy się od ściany, sunął w przeciwną stronę z zamkniętymi oczami. Liczył machnięcia i otwierał oczy tylko wtedy, gdy czuł, że zbliża się do ściany. Szósty zmysł podpowiadał mu, kiedy nawrócić.

Jako mały chłopiec marzył o tym, żeby być amfibią, a nie ssakiem, który potrzebował tlenu z powietrza. W prawdziwym świecie otaczały go hałas, zbyt wiele sióstr i matka, która była zbyt zajęta wychowywaniem gromadki potomstwa, żeby zwracać uwagę na cichego, smutnego chłopca. Bez końca ćwiczył wstrzymywanie oddechu w publicznym basenie wyśmiewany przez inne dzieciaki z chaotycznego prowincjonalnego miasteczka.

W tamtych czasach Grady wciąż padał ofiarą docinek z powodów, których nigdy do końca nie pojął. Sądził, że ma to coś wspólnego z jego indiańskim pochodzeniem albo z jego częstym milczeniem. Często go popychano i prowokowano do bójki, a on nigdy nie podniósł pięści, chociaż był wyższy od większości kolegów z klasy i sięgał rękami dalej niż którykolwiek z nich. Rzecz jasna, odczuwał złość - te ataki go rozwścieczały. Po prostu nie umiał się bić, nie wiedział, w jaki sposób uderzyć pięścią tak, by nie wyglądać przy tym jak maminsynek. Nie miał w tym doświadczenia - umiał się bronić tylko przed rozochocionymi siostrami, które chciały go zagilgotać na śmierć. Kłopot w tym, że nie mógł im przyłożyć pięścią. Skąd miał wiedzieć, jak walczy prawdziwy mężczyzna, skoro nie posiadał ojca, który mógłby go tego nauczyć? Kilka razy miał podbite oko i obolałe żebra, ale trwałego uszczerbku doznała tylko jego duma.

Zdarzały się chwile, które wszystko mu wynagradzały. W letnie soboty matka zabierała Grady ego i jego siostry na błotniste plaże w Dash Point State Park. Chłopiec biegiem dopadał brzegu i wskakiwał do zatoki Puget, jakby wpadał w czyjeś ramiona.

Po wypadku Grady czuł pod wodą obecność ojca, zwłaszcza w lodowatych odmętach zatoki. Kuter zatonął w wodach Alaski, w tym samym oceanie, który przecinał i opływał wyspy, wysepki i półwyspy, docierając aż tutaj. Duch opiekuńczy jego ojca - łosoś - żył zarówno w słonych, jak i w słodkich wodach, a Grady potrafił znaleźć ukojenie nawet na chlorowanej publicznej pływalni.

Kiedy był mały, Grady usłyszał od taty, że jak dorośnie, będzie musiał znaleźć własnego ducha opiekuńczego, jednak zaledwie kilka lat później jego ojciec zmarł. Grady nie wiedział, do kogo zwrócić się z pytaniami. Matka miała za dużo na głowie - poza tym co ona wiedziała o duchach opiekuńczych? Była biała. Ojciec często opowiadał o kuzynach, ale nigdy o rodzeństwie, a Grady w końcu zdał sobie sprawę z tego, że dla Indian „kuzyn” oznaczał „przyjaciela” lub „kolegę”, podobnie jak „ciocią” nazywano po prostu „zaprzyjaźnioną starszą kobietę”, niekoniecznie krewną - przecież wszyscy byli ze sobą spokrewnieni. Choć granice w indiańskich rodzinach były płynne, Grady uświadomił sobie, że od strony ojca nie mają prawdziwych krewnych, a jego „indiańskość” przepadła wraz z ojcem w wodnych odmętach. Ponieważ jednak chłopak miał właściwe rysy, ludzie uznawali, że posiada jakieś starodawne plemienne związki ze wszystkim, co indiańskie. Choć dorastał głównie pod okiem pobożnej katolickiej matki irlandzkiego pochodzenia, w przeciwieństwie do niej - i ku jej rozczarowaniu - Grady nie znajdował pocieszenia w kościele ani w słowach Pisma Świętego.

Mimo tych wszystkich wątpliwości sądził, że jego duch w jakiś sposób połączył się z duchem ojca. Kiedy dorósł, pływał niemal codziennie w porze lunchu - potrafił pokonać dwie pełne dwudziestodwumetrowe długości basenu w siłowni na jednym oddechu. Lucie nie rozumiała jego obsesji na punkcie pływania, ale jako biegaczka uznała, że ma to coś wspólnego ze sprawnością lub endorfinami. Miał poczucie winy, że nigdy nie zaproponował, by do niego dołączyła, ale wolał pływać sam. Chciał się czuć swobodnie, być sobą.

Motelowy basen miał niecałe dziesięć metrów. Grady przepłynął kilka długości, zanim płuca zaczęły go błagać o oddech. Wypłynął na powierzchnię i pokonywał kolejne długości basenu miarowym tempem.

Mechaniczność ruchów oczyściła jego umysł, uwolniła od paniki, którą czuł po przebudzeniu przez ostatnich dziewięć dni, kiedy tylko przypominał sobie o tym, co zaszło.

Myślał raczej o płynnej dynamice, o powierzchniowym napięciu i oporze wytwarzanym w wodzie przez jego tors. Przy właściwym ułożeniu ciała mógł zoptymalizować przepływ laminarny, tak by woda opływała go spokojnie jak wiatr na płacie nośnym. Osiągnięcie opływowego kształtu było kluczowe zarówno w pływaniu, jak i projektowaniu statków powietrznych. A także w życiu. Gładkość, brak nieszczelności i tarć pomiędzy powierzchniami. Liczyło się to, by uniknąć turbulencji, chaosu, nieprzewidywalności. W rodzinie, w pracy i - co najważniejsze - z Lucie, która prowokowała go swoimi bezkompromisowymi sędami i potrzebą perfekcji. Do czasu ucieczki Lucie Grady kierował się w życiu popularną zasadą „płyn z nurtem”.

Przepłynął trzydzieści dwie długości, kiedy na stopniach po płytkiej stronie basenu zobaczył dwie postaci. Zwolnił i popłynął na drugą stronę, żałując, że nie może się wcisnąć w jakąś dziurę na dnie zbiornika. Zatrzymał się przy drugim krańcu basenu i spojrzał ukradkiem na ciemnoskórą młodą kobietę w stroju pokojówki i małą dziewczynkę w różowym kostiumie kąpielowym z falbankami. Obok nich na betonowej powierzchni leżały klapki.

Grady szybko zanurzył się z powrotem pod wodę, ale zapomniał, ile długości przepłynął. Nie mógł pozwolić na to, by kobieta i jej dziecko zobaczyły go w bieliźnie. W ostatniej chwili zrezygnował z nawrotu - zwinął się w kulkę, oparł stopy na ścianie i odepchnął się lekko, płynąc w innym kierunku. Czuł, że powinien stamtąd zniknąć. Postanowił, że spróbuje uciec. Uznał, że kobieta i dziecko bawią się tak dobrze, iż pewnie nawet go nie zauważą.

Grady zatrzymał się na przeciwległym końcu basenu, żałując, że nie ma tam drabinki. Zbyt szybko podciągnął się na ramionach i poczuł, jak przy wynurzeniu z wody bokserki ześlizgują mu się z bioder. Stał, podciągnął je i żwawym krokiem okrążył basen, żeby zabrać swoje ubrania. Od strony recepcji nadchodził portier - niski i otyły - zapewne po to, by nawrzeszczeć na Grady ego za to, że pływał w bokserkach. Grady naciągnął szorty, po czym podniósł koszulę i buty, wbijając wzrok w betonową powierzchnię.

- Hej - krzyknął mężczyzna. - Co ty wyprawiasz? Kiedy Grady odwrócił się, żeby przeprosić, zdał sobie sprawę, że recepcjonista wrzeszczy na pokojówkę.

- Nie możesz przyprowadzać dzieciaka do pracy ani korzystać z basenu, do cholery.

- W porządku - powiedział Grady. - Mnie to nie przeszkadza. - Uśmiechnął się do kobiety, ale ona była zajęta wycieraniem córki i pocieszaniem jej w obcym języku.

- Niech pan się nie wtrąca. - Mężczyzna wciąż kierował się w stronę pokojówki,

a tłuszcz na jego brzuchu podskakiwał przy każdym gniewnym kroku.

- Niech pan da spokój - odparł Grady. - Wszystko w porządku. Wyszły z basenu. Nic złego się nie stało.

Dziewczynka wpatrywała się w Grady ego rozszerzonymi, poważnymi oczami. Zdał sobie sprawę, że przywykła do takiego traktowania.

- Stało się. - Recepcjonista wyciągnął rękę i chwycił ramię kobiety, nie pozwalając się jej oddalić. - Wylatujesz, *comprendes?* Wynoś się stąd i zabieraj bachora. Na twoje miejsce czeka tuzin takich jak ty. – Puścił ją i zawrócił w stronę recepcji.

- Panie, nie przy dziecku - rzucił Grady.

Kobieta wzięła małą na rękę. Dziewczynka wciąż się w niego wpatrywała.

- Przykro mi - powiedział

Matka minęła go pospiesznie, nie podnosząc wzroku. To nie było sprawiedliwe. Nic nie było. Grady westchnął i wrócił do pokoju, zatrząskując za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

LUCIE

Mimi - miła filipińska pielęgniarka - zaczęła swoją zmianę w porze kolacji. - Przyniosłam coś wyjątkowego na twój ostatni posiłek - oznajmiła, wchodząc do pokoju z tacą. Lucie siedziała na niebieskim krześle przy oknie w luźnej szpitalnej koszuli i spoglądała na budynki, kable telefoniczne i fragment majaczącej w oddali zatoki.

- Wyrzucają mnie?

Wiedziała, że wcześniej tego dnia powinna była wrócić z Gradym, ale w ostatniej chwili stchórzyła. Teraz niczego nie była już pewna.

Mimi się zaśmiała.

- Spokojnie. Twój narzeczony to naprawdę miły facet, który bardzo się o ciebie martwi. A do tego taki przystojny...

Lucie skinęła głową. Wszystko, co powiedziała pielęgniarka, było prawdą.

- Po prostu trudno mi sobie wyobrazić, że naprawdę mam na imię Lucie. Lucie?

To nie brzmi znajomo. Poza tym Seattle? Deszcz?

Pielęgniarka ją zignorowała.

- Jutrzejszy dzień będzie dla ciebie przygodą. Odkryjesz na nowo swój dom, życie i mężczyznę, który cię kocha. Tak?

Lucie westchnęła. Gdyby tylko następnego ranka mogła się obudzić jako ktoś inny - jako Lucie, którą kiedyś była. Lucie, którą Grady najwyraźniej wciąż kochał i po którą przyjechał. Cieszyła się, że jej nie spieszał. Wydawał się cierpliwy. Zastanawiała się, czy i ona miała w sobie cierpliwość. Był łagodny. A ona? Co w niej kochał? Gdyby tylko mogła się tego dowiedzieć...

Mimi zdjęła z talerza stalową pokrywę, spod której wydobył się zapach czosnku i mięsa.

- Adobo z wieprzowiny. Zauważyłam, że niewiele jesz, więc przyniosłam trochę z domu. A do tego warzywa i ryż. To wbrew szpitalnemu regulaminowi, więc nikomu nie mów, dobrze?

Chociaż zapach był kuszący, Lucie odparła:

- Nie chcę, żebyś miała przeze mnie kłopoty. Mimi wzruszyła ramionami.

- Przypominasz mi moją siostrę. Spokojnie, nikt się nie dowie.

Jej siostrę. Lucie zamknęła oczy. Nie miała rodziny. Ze wszystkich informacji, jakie otrzymała w ciągu kilku ostatnich dni, ta była najgorsza.

- Dobrze się czujesz? - Mimi z łoskotem opuściła pokrywę i ruszyła w stronę Lucie. Chwyciła jej twarz w dłonie. - Otwórz oczy - poleciła, a Lucie posłuchała.

- Wszystko w porządku. - Lucie spojrzała na drobną, ładną twarz pielęgniarki. - Po prostu... Słyszałaś, że nie mam rodziny?

Mimi opuściła rękę.

- Oczywiście, że masz. Twój przyszły mąż przyjechał aż tutaj, żeby cię odebrać. To rodzina.

- Ale nie mam siostry. - Lucie wiedziała, że brzmi żałośnie. - Ani matki, ani ojca. Nikogo. Poza jakąś ciotką, której nie lubię.

Mimi pokręciła głową.

- Bywa, że nie lubi się kogoś z członków swojej rodziny. Co nie znaczy przecież, że się go z niej wyklucza.

Lucie skinęła głową. Pielęgniarka miała rację. Wstała i podeszła do łóżka.

- Jak to się nazywa?

- Adobo. Filipiński dar dla świata. Smacznego. Za jakiś czas wrócę po tacę. Lepiej, żeby talerz był pusty. - Mimi się uśmiechnęła. - Jeśli będziesz grzeczna, może będę miała dla ciebie jeszcze jedną niespodziankę.

- Deser?

Lucie odkryła w sobie obsesję na punkcie cukru. Marzyła o lukrecji i żelkowych rybkach oraz ciasteczkach Famous Amos i Oreo z automatów z przekąskami. Niestety, nie miała pieniędzy, więc musiała się zadowolić galaretkami i budyniami, które towarzyszyły szpitalnym posiłkom, od czasu do czasu urozmaicając je kawałkiem żółtego ciasta z pozbawionym smaku, słodkim lukrem.

- Coś lepszego - odparła Mimi i odeszła. - Zobaczysz.

Wieprzowina rzeczywiście była przepyszna. Soczysta i delikatna, idealnie przyprawiona i przyrumieniona na brzegach. Dodatek wilgotnego ryżu i maślanych warzyw sprawiał, że danie doskonale poprawiało nastrój. Lucie nie zdawała sobie sprawy z tego, jaka była głodna. Starła się unikać monotonnych szpitalnych posiłków. Po kilku minutach talerz był pusty.

Mimo trzech dni odpoczynku Lucie była wycieńczona, a jej ciało obolałe - nie wiadomo od czego. Może spała na ziemi? Pokonała pieszo dużą odległość? Mogła tylko zgadywać. Oparła się o poduszki i zamknęła oczy, czekając na magiczne działanie adobo.

Kiedy trafiła na ostry dyżur do szpitala, była pewna, że miała udar albo tętniaka. Dlaczego miałyby stać w wodzie i ryzykować, że dostanie hipotermii? Dlaczego niczego nie pamiętała?

Siedziała na skraju wózka w gabinecie na parterze, a mnóstwo ludzi w fartuchach dotykało jej głowy, karku, badało oczy, puls, serce. Później zawieziono ją do innego pomieszczenia, gdzie różne aparaty skanowały ją ze wszystkich stron, a niewidzialne promienie przenikały przez jej skórę, czaszkę i tkankę mózgową. Zbadano jej nawet narządy okolic miednicy. Powinna im była powiedzieć, że jej mózg znajduje się o wiele wyżej, ale tego dnia czuła się dezorientowana, jak gdyby jej ciało nie należało do niej. Było jej obojętne, co się z nim stanie. Lekarze sporządzili raport, który nie wykazał żadnych śladów przemocy - ani seksualnej, ani żadnej innej - chorób wenerycznych ani ciąży. Ta wiadomość najwyraźniej miała ją pocieszyć, ale zamiast tego otworzyła drzwi, przez które przedostał się nowy lęk: co się działo z jej ciałem, kiedy jej umysł się błakał?

I te ciągłe pytania! Wszyscy na każdym kroku zadawali jej pytania. Potrafiła odpowiedzieć na te dotyczące aktualnych wydarzeń, historii, geografii. Umiała spełnić wszystkie dziwne prośby o to, by pokazała zęby, uniosła ramiona i powtórzyła lub dokończyła głupiutkie powiedzonka: „płakać nad rozlanym mlekiem”, „czarna krowa w kropki bordo gryzła trawę, kręcąc mordą” i „i cóż, że ze Szwecji”.

Nie wiedziała tylko, kim jest, skąd pochodzi i jak znalazła się w wodzie. Miała wrażenie, że była już kiedyś w San Francisco, ale te wspomnienia zdawały się

znajdować za murem, ukryte, jak gdyby należały do głębokiej przeszłości. Czyjejs przeszłości. Była pewna tylko jednego: czegoś szukała. To nie zrobiło jednak wrażenia na lekarzach.

Po jakimś czasie zmienili taktykę i zaczęli ją pytać o problemy, ostatnie traumatyczne wydarzenia.

- Jeśli nie wiem, kim jestem, skąd mam wiedzieć to, o co państwo pytają? - rzuciła.

Była tak sfrustrowana, że miała ochotę kimś potrząsnąć i powiedzieć: „Powiedzcie mi, kim jestem! Nie każcie mi zgadywać!”.

W końcu się poddali, odesłali ją na oddział psychiatryczny na górze, wydali bawełnianą koszulę i miękkie kapcie oraz tacę ze szczoteczką, pastą do zębów, hotelowym mydełkiem i szamponem. Pomyślała, że to najgorszy hotel, w jakim kiedykolwiek była. Czuła, że powinno to być zabawne. Choć nie pamiętała, by kiedykolwiek zatrzymywała się w hotelu, wiedziała, że w przeszłości na pewno jej się to zdarzało.

Kiedy drzwi oddziału się za nią zamknęły, głośny odgłos zatraskującego się zamka przyniósł jej niewyjaśnioną ulgę.

Nagły łoskot sprawił, że Lucie zerwała się z łóżka. Mimi trzymała tacę pod niebezpiecznym kątem. Wyszepiała:

- Przepraszam. Spadła mi łyżka. Śpij dalej.

- Nie, nie szkodzi. - Lucie uśmiechnęła się do młodej pielęgniarki. - Miałaś rację. Kolacja była przepyszna. Dziękuję.

Mimi skinęła głową.

- Jesteś gotowa na następną niespodziankę? - Lucie wzruszyła ramionami. Czemu nie? Wszystko, co jej się przytrafiało, było niespodzianką. - Chodź ze mną - rzuciła Mimi tajemniczym, figlarnym głosem.

Nie było jeszcze zbyt późno - dochodziła dopiero dziewiąta - ale w świetlicy panowała ciemność, a w dyżurce było pusto. Lucie włożyła śliskie kapcie i ruszyła za Mimi kafelkowym korytarzem do stacji przygotowywania posiłków. Pielęgniarka odłożyła tacę do wanienki i wskazała Lucie, żeby podeszła z nią do zamkniętych na klucz drzwi. Odwróciła się do niej i wyszepiała:

- Uwaga, samowolnie opuszczamy oddział.

Lucie nie chciała tego robić. Nie wiedziała nic o życiu na zewnątrz. Czy w ten sposób Mimi chciała ją jakoś sprawdzić albo udowodnić jej, że następnego dnia może opuścić szpital?

- Posłuchaj - zaczęła Lucie. - Naprawdę nie...

- Cśś... - uciszyła ją Mimi. - Miałam rację z adobo, prawda? Zaufaj mi.

Mimi przyłożyła identyfikator do czytnika z boku drzwi i otworzyła zamek. Minęły znaki ostrzegające przed wariatami-uciekierami.

- Nie będziesz miała kłopotów?

Lucie kręciło się w głowie. Wyszły na szeroki korytarz, który wydawał się rozrastać i migotać. Zdawało jej się, że to najdłuższy korytarz, jaki kiedykolwiek widziała. Stąd mogła się udać... gdziekolwiek. Mogła uciec. Mimi była drobna. Lucie czuła, że dzięki swoim długim nogom bez trudu wyprzedzi pielęgniarkę. Mogłaby sobie znaleźć własne miejsce w świecie, wymyślić nowy sposób na życie i nie musieć się mierzyć ze sprawami związanymi z tamtym mężczyzną ani przeszłością, której już nie pamiętała. Na pewno posiada jakieś umiejętności. Była pewna tego, że wie, jak pisać na komputerze. Jej palce odnajdywały litery w powietrzu, wyczuwając niewidzialną klawiaturę. Mogłaby wykonywać jakąś pracę biurową, wynająć gdzieś niedrogi mieszkanie i...

- Będę je miała tylko wtedy, gdy na mnie doniesiesz. - Mimi przyłożyła identyfikator do czytnika przy kolejnych drzwiach. - Jesteśmy - oznajmiła. Zamek kliknął, a pielęgniarka weszła do niewielkiego ciemnego pomieszczenia. - No, pośpiesz się.

Lucie znalazła się w przytłumionej przestrzeni, gdzie unosił się zapach... czego? Innych ludzi, wielu ludzi. Kiedy Mimi zamknęła drzwi i włączyła jarzeniówkę, Lucie zdała sobie sprawę z tego, że znajdują się w ogromnej garderobie. Wzdłuż ściany na dwóch poziomach biegingy długie drążki zatłoczone ubraniami w cyrkowych barwach: spódnicami, bluzkami, garsonkami. Na półkach pod sufitem leżały poskładane swetry, a w przegródkach bielizna i ubranka dla dzieci. Na podłodze ustawione były pary butów. Mimi spojrzała na nią wyczekująco.

- Nie podobają ci się ubrania, w których cię znaleziono, prawda?

Lucie skinęła głową i zaplotła ramiona wokół szpitalnej koszuli, którą tak polubiła.

- To bank ubrań. Znajdziemy ci nowy strój na jutro!

Uradowana Mimi klasnęła. Lucie poczuła falę mdłości wywołaną zapachami ludzkich ciał mieszającymi się ze sobą na tak niewielkiej przestrzeni.

- Są... czyste?

Lucie wiedziała, że muszą być, ale ubrania żyły życiem tych, którzy je wkładali. Tam gdzie właścicielom coś wystawało lub sterczało, tworzyły się przetarcia. Nerwowie pocierali brzegi rękawów, a leniwi nie obrębiali nogawek. Zapachy były tylko częścią tego, co zagnieździło się w danym ubraniu, niezależnie od tego, ile razy sieje wyprało. Lucie, której nic nie przypominało o przeszłości, czuła się

bardziej pusta niż wszystkie te rozciągnięte swetry i wyblakłe dżinsy.

- Oczywiście, że są czyste! Wszystko zostało wyprane. Można tu znaleźć całkiem niezłe rzeczy. Trzeba tylko trochę pogrzebać. Nigdy nie byłaś w lumpeksie? To coś w tym stylu.

Lucie wzruszyła ramionami. Czy była?

- A co z moimi ubraniami?

Mimi wskazała głową na rząd porzuconych garsonek czekających na miłośniczki tego typu strojów, które je przygarną. Lucie cieszyła się, że w końcu zrzuci z siebie ten niewygodny ciuch. Otrzymała prawdziwy prezent.

Uściskała pielęgniarkę.

- Jesteś taka miła dla każdego wariata?

Mimi wzruszyła ramionami.

- Dobrze - rzuciła Lucie. - Chyba chciałabym coś... swobodnego.

Ten mężczyzna, Grady, był uosobieniem swobody. Wyglądał, jakby czuł się komfortowo i jakby nie przywiązywał do ubrań zbyt wielkiej uwagi, a to się jej podobało. Chociaż nie chciała tego do siebie dopuścić, wiedziała, że Grady mówi prawdę. Znał ją. Pokonał te wszystkie kilometry dla niej. Musiał ją kochać.

- Swobodnego, ale słodkiego - oznajmiła Mimi. - Wszystko będzie na ciebie pasowało. Jesteś taka wysoka i szczupła.

„Słodki” nie było właściwym przymiotnikiem, ale Lucie wyciągnęła ręce w kierunku kłębowiska barw. Przesuwała wieszaki wzdłuż drążka ze stukotem, aż trafiła na pomarańczową koszulkę, na której niewielkimi drukowanymi literami napisane było: „Jestem rzeczownikiem”. Top wciąż miał doczepione metki.

Szpital otrzymał go od organizacji charytatywnej. Nikt inny go nie nosił.

Mimi zmrużyła swoje ładne ciemne oczy, kręcąc głową, ale dla Lucie był to początek. Czowała, że może być rzeczownikiem. Na razie jej to wystarczało.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

GRADY

Wczesnie rano następnego dnia Grady stanął przed szpitalem San Francisco General. Jego bokserki wciąż były lekko mokre. Przez noc nad miastem znów zawisła wilgotna mgła, przesłaniając okna na górnym piętrze szpitala. W jednym z nich mogła

stać Lucy i spoglądać w żółtawą szarość, zastanawiając się, czy Grady przyjdzie. Może miała nadzieję, że nie, a może - jakimś cudem - że tak. A może wciąż była dawną Lucie i leżała zwinięta na boku z głową pod poduszką, żeby odgrodzić się od światła i hałasu.

Umówili się na siódmą rano, ale powiedziała, że budzi się wraz ze słońcem. Jeszcze raz spojrział na zegarek. Była szósta czterdzieści cztery. Poprzedniego wieczoru nie odebrał telefonu od matki, ale w wiadomości, którą mu zostawiła, dosłyszał zawód: „Nawet cię nie pamięta?”. Jak gdyby to była jego вина. Zamknął oczy.

Zawsze czuł, że tak to się skończy. Dostał szansę na coś prawdziwego - na szczęśliwe życie z Lucie - lecz ją stracił. Nie chciał o tym myśleć.

Odwrócił się i odszedł spod szpitala, kierując się z powrotem w stronę zaśniedziałej bramy.

Nigdy nie rozumiał, co Lucie w nim widziała, chociaż było jasne, że od początku *jej* się podobał. Może był to czysto fizyczny pociąg, podekscytowanie wywołane jego brązowymi dłońmi na *jej* bladej skórze, a może fakt, że tak bardzo różnił się od innych biznesmenów z Seattle. Z początku Lucie i Grady nie mieli ze sobą zbyt wiele wspólnego. Ona lubiła rzeczy dobrej jakości. On w ogóle o to nie dbał. Ona wychowała się w mieście. On był prowincjuszem z małej miejsciny.

Seattle zawsze wydawało mu się ogromne i imponujące. Był pod wrażeniem wieżowców górujących nad Elliott Bay, głośnych wiaduktów oddzielających miasto od przyrody - beton od otwartych akwenów i zachmurzonego nieba. Przez większość życia unikał tak zwanego Szmaragdowego Miasta. Wolał leżącą na obrzeżach rodzinną miejscowość Tacoma. Chociaż znajdowała się niecałą godzinę na południe od Seattle, miał wrażenie, że to zupełnie inny świat.

To łut szczęścia zdecydował o tym, że w dniu, w którym poznał Lucie, znalazł się w Seattle. Nie szukał nowego zajęcia - przyzwyczał się do pracy dla firmy produkującej części do samolotów, chociaż była nieskończenie nudna. Ale Dory wysłała mu ogłoszenie o targach przemysłu lotniczego i kosmicznego organizowanych w Washington State Convention Center. Wiedziała, że zawsze marzył o tym, by projektować samoloty dla Boeinga. Od dziecka uczył się budowy samolotów pasażerskich i uwielbiał zwiedzać ich fabrykę. Dory napisała w mailu: „Spełnij swoje marzenia!” - z wykrzyknikiem, jak to ona. Siostry wspierały go od najmłodszych lat, kiedy stracili tatę. Dopingowały go, kiedy w gimnazjum próbował się dostać do drużyny koszykarskiej, ale (mimo wysokiego wzrostu) nie został wybrany. Były przy nim także wtedy, gdy w ostatniej klasie liceum Virginia Vountclaire zaszła z nim w ciążę, a dzień po ukończeniu szkoły wzięli

ślub cywilny.

- Gratulacje, braciszku! - wołały, jak gdyby było to radosne wydarzenie.

Nie zważały na to, że dziewczyna, która wprowadziła się do pokoju Grady ego, prawie z niego nie wychodziła i przez większość czasu płakała. Kiedy przed narodzinami dziecka Virginia go zostawiła i wróciła do rodziców, entuzjazm jego siostr tylko lekko przygasł. „Widać tak miało być”, powtarzały. „Kiedy życie zamyka drzwi, otwiera okno”. Nie pozwolił jednak, by okno się otworzyło - ani na związek, ani na małżeństwo - do czasu, aż poznał Lucie. Była inna. Dzięki niej pragnął osiągnąć rzeczy, które dotąd wydawały mu się poza zasięgiem. Jej pewność siebie i wiara w niego pomogły Grady emu odnieść sukces w nowej pracy. Z łatwością wyobrażał sobie, że dzieli z nią życie.

Nienawidził tego, że określenia „pierwsza żona” musi używać w stosunku do kogoś, kogo ledwie znał, choć Lucie powtarzała, że nie przeszkadza jej bycie „tą drugą”. Była pragmatyczna, on jednak żałował, że nie może być jego pierwszą. Jeszcze gorsza była świadomość, że gdzieś na świecie dorasta chłopiec, który go nienawidzi i myśli, że Grady nie chce mieć z nim nic wspólnego, choć prawda była taka, że rodzina Voutclaire’ów zabroniła mu jakiegokolwiek kontaktu z synem. Czeki, które wysyłał im przez pierwszych pięć lat, wracały do niego nieotwarte, więc założył konto oszczędnościowe dla syna. Żałował, że dzieciak nie wie, iż Grady doskonale rozumie, przez co przechodzi, i że jego ojciec także go porzucił.

Tamtego dnia, siedząc w boksie w biurze, odruchowo omal nie skasował wiadomości od Dory - kolejnego cikliwego, dopingującego maila od siostry -jednak w ostatniej chwili się zawahał. Tym razem miała rację. Jeśli kiedykolwiek otrzyma szansę, by poznać swojego syna - który był już teraz prawie dorosły i mógł podejmować własne decyzje - czy nie lepiej, by Grady okazał się ojcem, który robi to, do czego został stworzony?

Następnego dnia zadzwonił do szefa z informacją, że jest chory, i pojechał na północ do Seattle, odnajdując drogę wśród dezorientujących pętli i zjazdów z autostrady. W końcu znalazł parking przy centrum kongresowym. Przystanął przed szklanymi drzwiami i przeczesał włosy ręką, zastanawiając się, czy nie powinien był pójść do fryzjera, po czym poprawił krawat i pewnie wszedł do środka. Ta firma zaprojektowała jego ulubiony samolot. Musiał spróbować, choć raz w życiu. Naprawdę spróbować.

Kiedy już wypełnił podania, rozdał swoje CV i uściśnął dłonie ludziom, których nazwiska natychmiast wyleciały mu z głowy, polecono mu, by dołączył do grupy innych inżynierów, których skrzępowanie odpowiadało samopoczuciu

Grady'ego. Pochrzakiwali jak bawoły zapędzone do zagrody pełnej składanych krzeseł i stołów, po kolei prowadzone na rzeź. Idąc na rozmowę o pracę, oglądali się z zakłopotaniem.

Kiedy wywołano jego nazwisko, Grady się wystraszył, a kiedy podprowadzono go do drzwi, żałośnie spojrzął przez ramię na pozostałych. Dlaczego się na to nie przygotował? Oczywiście wiedział wszystko, co należało wiedzieć o Boeingu - od dziecka był wielbicielem firmy - ale może powinien był poczytać o projektowaniu odpornym na błędy albo o aktywnej kontroli przepływu. Oczami wyobraźni widział zespół starszych inżynierów wpatrujących się w niego ze sceny i zadających mu dotyczące kwestii technicznych pytania, na które nie potrafił odpowiedzieć. Zaszło mu w ustach.

W niewielkiej sali konferencyjnej znajdowała się tylko jedna osoba. Jeśli kobieta była inżynierem, Grady przysiągł sobie, że zje aktówkę ze sztucznej skóry, którą siedem lat temu dostał od matki na Boże Narodzenie. Kobieta była wysoka i elegancka, ubrana w szarą garsonkę w prążki podkreślającą wcięcie w pasie i delikatne zaokrąglenia powyżej i poniżej talii. Miała włosy ostrzyżone prawie po męsku, ale jej twarz była niezwykle kobieca. Kobieca i piękna, pomyślał Grady, choć wiedział, że nie wszyscy mogą tak uważać, patrząc na jej krzywe zęby i sportową sylwetkę. Pod profesjonalnym makijażem dostrzegł piegi. W zielonych oczach tliło się sarkastyczne poczucie humoru, inteligencja przerastająca jego i pewność, której on sam miał nigdy nie doświadczyć. Kiedy go zobaczyła, jej lśniąca usta rozszerzyły się w uśmiechu.

- Pan Goodall, jak mniemam?

Wydawała się niemal zaskoczona, jak gdyby on także nie był tym, kogo się spodziewała. Chociaż później powiedziała mu, że zakochała się w nim w chwili, w której go ujrzała, i że pomyślała: „Tu jesteś”, trudno mu było w to uwierzyć.

Zaśmiali się z zakłopotaniem, po czym zabrali się do interesów. Pracowała jako rekruterka w branży hightech. Instruowała go i radziła mu, jak pozytywnie przejść przez trudny proces rekrutacyjny i otrzymać pracę w zespole opracowującym produkt w Boeingu. Oczywiście nie było to stanowisko projektanta, na które liczył - Lucie powiedziała, że tytuł inżyniera uniemożliwia mu wymarzoną pracę - a ona otrzymała niezłą prowizję od firmy, kiedy Grady został zatrudniony. O dziwo, utrzymywała z nim kontakt o wiele dłużej, niż musiała. To właśnie Lucie zaprosiła go na kolację. Spodobało mu się to. W końcu dorastał wśród silnych kobiet. Nie przeszkadzało mu to, że Lucie przejęła inicjatywę.

Cóż, nie przeszkadzało mu to do czasu, aż ustalili datę ślubu, po czym

rozpoczęło się planowanie w militarnym stylu. Nie sądził, że potrzeba perfekcji i sprawowania kontroli, jakie cechowały Lucie, okażą się tak przytłaczające. Grady zaczął się zastanawiać, czy wciąż chce się z nią ożenić. Przestraszył się. Wszystko zepsuł. Teraz zaś siedział na ławce przed szpitalem w San Francisco i zastanawiał się, co ma zrobić. A Lucie, niegdyś wszechpotężna bogini jego życia, siedziała w środku - samotna i złamana. Najgorsze było to, że nie miał pojęcia, jak jej pomóc. Sprawił jej zawód, zniszczył ją, stracił. Czy teraz, kiedy ją odnalazł, znów ją zawiedzie?

- Weź się w garść. - Usłyszał ponury głos i odwrócił się, żeby spojrzeć na sąsiednią ławkę.

- Słucham?

Wpatrywała się w niego starsza kobieta w trzech płaszczach i niedopasowanych kaloszach. U jej stóp leżało sześć plastikowych siatek na zakupy wypełnionych wszystkim, tylko nie zakupami. Grady uznał, że się przesłyszał. Pewnie mówiła do siebie jak wielu bezdomnych w San Francisco. W Seattle prosili zazwyczaj o drobne i odpowiadali „dziękuję”, kiedy wręczało im się monety albo rzucało „nie, przepraszam”. Ta kobieta przynajmniej nie oddawała właśnie moczu.

- Powiedziałam: „bądź mężczyzną”. - Spojrzała na niego spod ciężkich powiek. - Dorośnij. Nikt nie lubi odwiedzać tego typu miejsc, ale wierz mi, że ci, którzy w nich mieszkają, mają gorzej. Idź. Idź odwiedzić swojego bliskiego. Może uda ci się go pocieszyć.

- Dobrze, proszę pani - odparł.

W dzieciństwie nauczono go, że tak właśnie należy się zwracać do osób starszych. Spojrzył na zegarek. Dwie po siódmej. Lucie na niego czekała.

Kiedy Grady znalazł się w lobby, pomyślał, że powinien był przynieść Lucie prezent. Postanowił zajrzeć do szpitalnego sklepiku. Lucie nie przepadała za tradycyjnymi prezentami, które mężczyźni wręczali kobietom. Nie jadała słodczy i nie lubiła pretensjonalnych przedmiotów. Grady ominął dział z czekoladkami, pluszowymi misiami i figurkami i podszedł do półki z kartkami. Może coś prostego z miłym przesłaniem? Skrzywił się. Jasne. „Przykro mi, że postradałaś rozum”? „Błagam, wróć do mnie, choć byłem dupkiem”? Westchnął i odwrócił się, żeby wyjść. Do sklepiku weszła właśnie młoda kobieta w obcisłym pomarańczowym topie i krótkiej dżinsowej spódnicy, która skierowała się do działu ze słodczymi. Grady odwrócił wzrok. Nie chciał być posądzony o to, że się na nią gapi, chociaż czuł, że jest piękna. Mimo że starał się ją ominąć, spotkali się twarzą w twarz w wąskiej alejce.

- Przepraszam - powiedziała ze spuszczoną głową. - Czy mogłabym pożyczyć dolara?

Z zaskoczeniem podniósł wzrok. Lucie. Oczywiście, że tak. Wyglądała tak jak zaraz po przebudzeniu: była świeża i miała przenikliwe spojrzenie. Czuł się niemal zdezorientowany tym, że mimo tego stroju wygląda tak, jak gdyby była siostrą bliźniaczką kobiety, którą kochał.

- Oczywiście - odparł, obszukując kieszenie. - Właśnie do ciebie szedłem.

Wzięła banknot, który jej podał, a zaciskając dłoń, musnęła jego palce.

- Pomyślałam, że oszczędzę ci kolejnej wizyty w wariatkowie. - Wzruszyła ramionami, a na jej twarzy pojawił się uśmiech, który tak kochał, z jednej strony wygięty w dłuższy łuk niż z drugiej. Za każdym razem kiedy się tak uśmiechała, miał ochotę ją pocałować. - Poza tym marzyły mi się słodczyce. Miałam nadzieję, że wpadnę na ciebie albo zdobędę się na odwagę, żeby coś ukraść.

Zaśmiał się. Lucie często go rozśmieszała, choć takie lekkie żarciki nie były w jej stylu. Miała ostre, błyskotliwe poczucie humoru, a zanim coś powiedziała, myślała, ostrożnie układając każde zdanie.

- Hmm, ty nie jadasz słodczy - powiedział, patrząc, jak wybiera m&m'sy i zastanawia się nad paczką żelek.

- Uwielbiam słodczyce - odparła, odwracając się do niego. - Chyba wiem lepiej, prawda? - Przygryzła dolną wargę. Wyglądała na zmartwioną, więc wzruszył ramionami.

- Jasne. Oczywiście.

Nienawidził fałszywego tonu w swoim głosie i lekkiego śmieszku, który wyrwał mu się po tym zdaniu. Nienawidził wrażenia, że to wcale nie jego Lucie, tylko jakaś nowa osoba, która w końcu się domyśli, że Grady na nią nie zasługuje. Rzecz jasna, jego Lucie już dawno zdałaby sobie z tego sprawę. Sięgnął do tylnej kieszeni po portfel.

- Chyba przyda ci się trochę więcej - oznajmił, wręczając jej dziesięć dolarów.

- Dziękuję, Grady. - Zabrzmiało to tak, jakby ćwiczyła wymawianie jego imienia.

Skinął głową, zastanawiając się, co się stało z sześciuset dolarami na suknię. Dostrzegł napis na koszulce Lucie. Małe białe litery głosiły: „Jestem rzeczownikiem”. Na nogach miała płaskie sandały, a na ramieniu niewielką torbę z kolorowego materiału w etniczne wzory. Dawnej Lucie nie spodobałby się ten strój.

I wciąż nie miała pierścionka. Gdzie on się podział?

Grady przyglądał się, jak Lucie skrzętnie wybiera słodczyce. W płaskich butach sięgała mu tylko do obojczyków. Wydawała się strasznie chuda - miała kruche

nadgarstki i choć nie można było powiedzieć, że jej policzki są zapadnięte, nie były też pyzate.

- Jesteś głodna? - zapytał. - Jadłaś śniadanie? -Chociaż nie jadł kolacji, on sam nie miał apetytu, ale Lucie powinna coś zjeść poza tymi wszystkimi słodyczami.

- Umieram z głodu - odparła. - Szpitalne jedzenie to właściwie nie... jedzenie. Kto jada zupę z pszenicy?

Lucie znów się uśmiechnęła. Widział, że się stara. Poprzedniego dnia go przytuliła, choć miała zagadkową minę, a jej słowom brakowało pewności. Coś się zmieniło, lecz starał się nie robić sobie zbyt wielkich nadziei. Odchrząknął.

- Może się stąd zwiniemy i pójdziemy coś zjeść?

Posiłek. Powinni zacząć od posiłku. Jeśli wszystko się ułoży dobrze, może uda im się zrobić kolejny krok, choć nie wiedział jeszcze, jaki on będzie. Wspólne spędzenie dnia, rozmowa o dawnym życiu. Może nawet zaplanowanie powrotu do Seattle.

Skinęła głową, po czym zabrała m&m'sy, żelki, drażetki Stabursts i rolkę owocowych dropsów Life Savers.

- Jasne - odparła. - Chodźmy. Już mnie wypisali.

- Ale... - zaczął Grady i urwał.

Nie mógł przełknąć śliny ani złapać oddechu. Podeszła do kasy, żeby zapłacić, a on ruszył za nią. Czy postanowiła wrócić z nim do domu? Do ich wspólnego domu? Do ich... łóżka?

- A co z twoimi rzeczami? - zapytał. - Gdzie reszta?

Gdzie się podziały garsonka od Armaniego i torba od Gucciego, które tak uwielbiała? Gdzie pierścionek za dwanaście tysięcy dolarów? Jak mógł ją o to zapytać, nie wprawiając jej w poczucie winy, że go zgubiła? Przecież i tak by tego nie pamiętała. Pewnie ktoś go ukradł, a może Lucie sama podarowała go jakiemuś bezdomnemu farciarzowi.

Wyłożyła paczuszki słodyczy na niewielki szklany blat przy kasie, uśmiechnęła się do starszej sprzedawczyni, a następnie zwróciła do niego.

- To już wszystko. Niczego więcej nie potrzebuję.

Poklepała niewielką, pozornie pustą torbę, po czym wpakowała do niej słodycze naliczane po kolei przez kasjerkę.

ROZDZIAŁ ÓSMY

LUCIE

Ciepłe naleśniki miękko rozpływały się na jej języku, a Lucie hojnie maczała każdy kęs w syropie klonowym, po czym wsuwała go do ust. Ona i Grady nie mówili zbyt wiele, ograniczając się do uprzejmej rozmowy na błahe tematy - „Wygodnie ci było w motelu?“, „Dobrze spałeś?“ - a on najwyraźniej nie był głodny. Jego omlet z białek wydawał się zimny i mizerny. Grady odkroił tylko jeden rożek. Lucie umierała z głodu. Doznania, jakich dostarczało jej jedzenie - znajome, słodkie i przynoszące satysfakcję smaki... to wszystko było jak życie. Kiedy wzięła pierwszy kęs, do oczu napłynęły jej łzy. Otarła je, udając, że do oka wpadła jej rzęsa.

Lucie czuła, że w tygodniu, w którym jej nie było, musiała mało jeść. Jej dawne ubrania były luźne, a żebra i kości biodrowe sterczące, ale przynajmniej przeżyła. Miała wrażenie, że nigdy nie nadrobi zaległości. Kiedy wczoraj posmakowała dania

przyrządzonego przez siostrę pielęgniarki Mimi, odnalazła drogę powrotną do człowieczeństwa.

- To chyba najlepsze naleśniki, jakie kiedykolwiek jadłam - powiedziała, po czym się zaśmiała. - No tak, skąd niby mam to wiedzieć.

Usta Grady ego zadrgały, jednak nic nie powiedział.

- Nie jesteś głodny? - zapytała. - Jadłeś wcześniej?

- Nie, nie, już jem - odparł, wbijając widelec w anemiczny omlet. - Po prostu nie mogę uwierzyć, że jesz naleśniki. Chyba polubiłaś słodycze.

Spojrzał na nią z taką powagą, że znów musiała się zaśmiać. Dobrze się było śmiać. Dobrze było siedzieć w restauracji nad papierową podkładką pod talerz i białym kubkiem kawy z miłym, przystojnym, choć cichym mężczyzną po drugiej stronie stolika. Jakim cudem aż tak jej się poszczęściło w poprzednim życiu? Wyobrażała sobie, że inne kobiety mdleją na jego widok. Dlaczego chciała zostać w szpitalu?

Jej zły nastrój ustępował i znikwały kolejne warstwy chmur. Wraz z każdym niewielkim krokiem naprzód -wyborem ubrania i jedzenia - coraz bardziej czuła się sobą. Nawet jeśli jeszcze nie wiedziała, co to znaczy.

- Nie zawsze byłam takim prosięciem? - zapytała żartobliwie, czując się niemal znajomo, jak gdyby przerzucanie się żarcikami było w ich stylu, a ona właśnie sobie o tym przypominała.

- Cóż... - Urwał, a powaga malująca się na jego twarzy kazała jej sądzić, że jest inaczej. - Po prostu nigdy nie tykałaś cukru ani białej mąki. - Wzruszył ramionami. - Nie mówię, że nie powinnaś, ale zawsze jadałaś raczej lekko i byłaś dość wybredna.

- Wybredna? - To nie brzmiało dobrze. - Czy ja mam... anoreksję? - Czy przed zniknięciem też była taka chuda?

- Nie, nie, nie. Po prostu dbasz o zdrową dietę. -Odkroił kawałek omletu widelcem i podniósł go do ust. - Zadbalaś na przykład o to, żebym jadł takie śniadania.

- Dlaczego? - Omlet wyglądał na pozbawiony smaku. - Dlaczego zmusiłam cię, żebyś to jadł?

Tym razem to Grady się zaśmiała.

- Do niczego mnie nie zmusiłaś, Luce. Po prostu zachęciłaś mnie, żebym zdrowiej się odżywiał. W mojej rodzinie wiele osób ma wysoki cholesterol. Chyba chciałaś - oboje poczuli ukłucie czasu przeszłego - mojego dobra.

Lucie oparła się o krzesło i odsunęła od siebie talerz. Jak mogła nie wiedzieć o sobie tak podstawowych rzeczy? Wydawało jej się, że to, co słyszy, nie dotyczy jej. Nic dziwnego, że Grady dziwnie na nią spojrzał, kiedy rzuciła się na te wszystkie

słodycze.

- Nie chciałem ci zepsuć śniadania – powiedział i chyba naprawdę miał wyrzuty sumienia.

Lucie pomyślała o tym, jak dziwnie musi się czuć Grady z tym, że jego dziewczyna - narzeczoną - tak bardzo różni się od kobiety, którą była zaledwie dziesięć dni temu. Czy naprawdę podobała mu się jej garsonka? Może powinna była ją włożyć? Czy podobało mu się to, jak wygląda w makijażu? Podarowała całą kosmetyczkę siostrzenicom Mimi, a duża torba leżała teraz na półce w banku ubrań. Zatrzymała tylko kalendarzyk w rozmiarze karty kredytowej z adresem strony internetowej TechSource.com wydrukowanym u dołu oraz pilnik do paznokci i balsam do ust. A teraz miała jeszcze trochę słodczy. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że je stęchłe blanszowane migdały, które znalazła w torbie ani że używa miniaturowego lakieru do włosów, kremu do skórek, odplamiacza w sztyfcie, pesety i paczki rajstop. Skąd się wzięły te rajstopy? Kto nosiłby je w torbie?

Grady odchrząknął.

- Jestem zaskoczony, że tak szybko cię wypisali. Wydawało mi się, że mamy się spotkać z twoją lekarką, porozmawiać o tym, jaką podjąć terapię w Seattle, i o tym, co dalej.

Lucie wyprostowała się na krześle i ściągnęła łopatki. Czowała ciężar jedzenia w żołądku.

- Mam kartkę ze wszystkimi niezbędnymi informacjami. Doktor Emma musiała się zająć jakimś pilnym przypadkiem, a jej zastępca kazał mi się stosować do jej zaleceń i mnie wypisał. Jestem więc wolna.

Czy Grady naprawdę chciał porozmawiać z *jej* lekarką? Nie przyszło jej to do głowy. Myślała, że ucieszy się z jej wypisu.

- Jesteś wolna - powtórzył, a jego usta lekko się wykrzywiły. Próbował się uśmiechnąć, lecz Lucie widziała, że walczy ze łzami.

- Przykro mi, że wczoraj cię zawiodłam, ale dziś jest nowy dzień.

Grady skinął głową.

- Muszę wiedzieć więcej. Dzięki temu mój stan się polepszy.

- W porządku. Co chcesz wiedzieć?

- Hmm, sama nie wiem! - Roześmiała się, chociaż tym razem jej śmiech był nerwowy. Czego właściwie chciała się dowiedzieć?

Grady odsunął swój talerz.

- W takim razie zacznijmy od podstaw.

Z wdzięcznością pokiwała głową i zaczęli. Miejsce urodzenia {Boise, Idaho), data urodzenia (czwarty wrzesnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego

pierwszego roku), rodzeństwo (musiała się upewnić, ale odpowiedź znów brzmiała: „brak”). Zmieniła temat - nie chciała kolejny raz słyszeć o zmarłych rodzicach i zerwanym kontakcie z ciotką.

- Mam pracę?

Grady się ożywił.

- Oczywiście, że tak. Jesteś headhunterką, Luce. I to świetną.

Zmrużyła oczy.

- Słucham?

- Pracujesz jako rekruterka. Masz własną firmę. Znajdujesz ludziom pracę w branży technicznej w całym kraju. Pamiętasz? - Spojrzał na nią wyczekująco, niemal tęsknie. Czyjej praca była dla niego aż tak ważna?

Nazwa tego zajęcia brzmiała śmiertelnie nudno, ale wyjaśniało napis na kalendarzu - TechSource.com. Potrząsnęła głową.

- Nie bardzo - odparła. Żeby dodać mu nieco otuchy, dorzuciła: - Jeszcze nie.

- No tak, rozumiem. - Odchrząknął i wbił spojrzenie w stół. - Nie powinienem cię popędzać. - Załamał mu się głos.

Jego wzruszenie sprawiło, że oczy Lucie wypełniły się łzami. Odczuwała głęboko skrywaną miłość czy zwykłą empatię?

- Mogę jeszcze raz obejrzeć zdjęcia? - zapytała ze względu na niego. Wczoraj odczuwała niepokój na widok osoby, która wyglądała jak ona i czuła się komfortowo w świecie, o którym Lucie nie miała teraz pojęcia, i w relacjach, które były *jej* obce. Chciała jednak ujrzeć siebie w ich dawnym wspólnym życiu.

- Zostawiłem je w szpitalu - powiedział. - Dla ciebie.

- O nie. - Lucie westchnęła. - Pewnie wciąż są w moim pokoju. Przykro mi, Grady.

Sięgnęła przez stół i przykryła jego dłoń swoją. Ich ręce gładko i niemal automatycznie zmieniły położenie i teraz to on nakrywał jej dłoń. Pamięć ciała. Kości, nerwy i mięśnie wiedziały więcej od jej umysłu. Jego skóra była ciepła i miała odcień kawy z mlekiem, a ramiona były niemal pozbawione włosów.

- Porozmawiajmy przez chwilę o tobie, dobrze? - powiedziała, a on wzruszył ramionami i potarł kark. Lucie pierwszy raz zauważyła długie zadrapanie po prawej stronie żuchwy Grady ego. Chociaż nie wydawało się głębokie ani zagrażające życiu, Lucie się wzdrygnęła. - Na przykład skąd masz tę szramę? I czy ten drugi facet wygląda gorzej? - Próbowała zażartować, ale Grady spuścił głowę i zakrył ranę ręką.

Głupia jestem, pomyślała. Zmieniła temat.

- Opowiedz mi o swojej rodzinie. Dorastałeś w Seattle?

Nie pamiętała, z którego plemienia pochodzi, chociaż jej o tym mówił. W zachodnim Waszyngtonie było ich tak wiele. Wiedziała to. Na pewno. Salish, Duwamish, Suquamish. Znała te nazwy, tylko nie wiedziała skąd. Ona na pewno była biała, bielutka z tymi swoimi piegami i błękitnym zabarwieniem skóry pod oczami.

Powoli się przed nią otworzył. Opowiedział jej o dzieciństwie w Tacomie. Jego tata był rybakiem -plemię Puyallup miało prawo do połowu łososi w zatoce - dawno temu zginął w wypadku na morzu. Mama wciąż tam mieszkała. Nigdy powtórnie nie wyszła za mąż. Grady miał sześć starszych sióstr, których imiona wyliczył, ale Lucie ich nie zapamiętała.

- Musisz wiedzieć coś jeszcze - powiedział, rumieniąc się. - Byłem już żonaty, tuż po liceum, ale moje małżeństwo nie przetrwało nawet roku.

- W porządku. - Lucie wzruszyła ramionami. -Czy wciąż masz... mamy z nią kontakt?

- Nie. - Odwrócił wzrok i zacisnął szczękę, po czym znów na nią spojrzał. - Mam syna, którego nigdy nie poznałem.

- Musi ci być bardzo ciężko - powiedziała, a on znów uciekł wzrokiem i zamilkł.

Lekarz, który wcześniej tego dnia wypisywał Lucie, wydawał się zatroskany.

- Po powrocie do domu będzie się pani musiała poddać terapii. Na wypisie doktor Emma zapisała kontakt do psychiatry w Seattle. Powinniśmy panią umówić, jeszcze nam się to nie udało. Pani stan jest poważny i powinna pani znajdować się pod opieką psychiatry. Doktor Emma na pewno o tym wspominała.

„Bez końca”, miała ochotę powiedzieć Lucie. Skinęła głową, choć nie miała najmniejszej ochoty na spotkanie z kolejnym psychiatrą.

- Powiedziała też, że ostatecznie powinnam odzyskać pamięć.

Lekarz zacisnął usta, po czym odparł:

- Cóż, to bardzo indywidualna kwestia. Nawet do dziewięćdziesięciu procent pacjentów cierpiących na to zaburzenie odzyskuje część lub większość wspomnień, ale pani prawdopodobnie nigdy nie przypomni sobie dni, w trakcie których uznawano panią za zaginioną.

-Nie? Pokręcił głową.

- Przykro mi, ale nie. W przypadku fugi dysocjacyjnej niemal nigdy się to nie zdarza.

Doktor Emma nie wspominała o tym szczególnym aspekcie tego zaburzenia, a Lucie poczuła mdłości na myśl, że nigdy nie będzie miała dostępu do jakiejś części swojego życia. Mieli ją zapamiętać obcy ludzie, którzy widzieli ją w

autobusie albo zrywając owoce. Czy widzieli coś, czego nie zgłosili? To było duże miasto, a Lucie błąkała się po nim przez kilka dni.

Lekarz zapisał coś w karcie i podniósł wzrok.

- Oprócz terapii powinna pani podjąć trud i porozmawiać z ludźmi, którzy panią znali, przejrzeć zdjęcia i odwiedzić miejsca, w których bywała pani wcześniej - Spojrzał do wypisu. - Najważniejsze jest to, żeby spotkała się pani z doktor Seagreave. Poproszę, żeby któryś z naszych pracowników umówił panią na pierwszą wizytę.

Lucie potrząsnęła głową.

- Zajmę się tym, kiedy tylko dotrę do domu. Chcę się upewnić, że termin będzie pasował mojemu... Mnie i mojemu narzeczonemu.

Lekarz wydawał się niepewny, więc Lucie się uśmiechnęła.

- Chcę być pewna, że będzie mnie mógł zawieźć na wizytę. Pewnie sama jeszcze nie będę potrafiła poruszać się po mieście.

Mężczyzna skinął głową i podpisał papiery, po czym podał je Lucie.

- W takim razie, pani Walker, może pani iść. Powodzenia.

Grady opłacił rachunek i wstali, żeby wyjść na ulicę skąpaną w przetykanej słońcem mgłą. Lucie wzięła kilka krótkich, płytkich oddechów, czując, jak w jej ciele buzuje adrenalina. Miała ochotę pobiegać, chciała, żeby twardy chodnik zamienił się w ziemię. Chciała machać ramionami i pozwolić, by jej oczy wypełniły się łzami od wiatru. Nie miała bagażu ani historii. Nie miała nic.

Kiedy dotarli do najbliższego rogu, Grady odwrócił się do niej, a na jego twarzy malowały się czujność i znużenie - jak gdyby przygotowywał się na najgorsze.

- No i? - powiedział. - Co dalej?

Lucie wzięła głęboki oddech. Powietrze wypełniło jej płuca i brzuch, rozszerzyło klatkę piersiową i ramiona.

- Cóż, Grady - zaczęła i poczuła, jak w *jej* gardle rodzi się esencja jego imienia. Na zębach czuła spółgłoski i mocne samogłoski. Podobało jej się jego imię. Podobał jej się ten mężczyzna. Nie miała nikogo innego. - Może po prostu wrócimy do domu?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

GRADY

Na końcu ich ulicy na słupie telefonicznym wciąż wisiała ulotka. Dostrzegli ją, kiedy Grady skręcił w lewo w Meridian Avenue i podjechał pod drzwi ich domu - drugiego z kolei budynku po prawej stronie. Zależało mu na tym, by wszystkie ogłoszenia zniknęły przed ich powrotem. Tego ranka zadzwonił nawet do kawiarni, sklepu i biblioteki z lotniska w San Francisco, zastanawiając się, jak poczuje się Lucie, kiedy przyjedzie do domu, a okolica obklejona będzie plakatami informującymi o jej zaginięciu. Deszcz spłucze w końcu kilkadziesiąt innych w całym mieście, ale miał nadzieję, że przez kilka pierwszych dni zdoła jej oszczędzić tego widoku. Jakim cudem przegapił to ogłoszenie? Parkując na krawężniku przed domem, rzucił okiem na siedzącą obok Lucie. Wydawało się, że niczego nie zauważyła.

Siostry namówiły go do rozwieszenia plakatów i przez kilka pierwszych dni był tym pochłonięty. Jednak przyczepiając, przyklejając i przybijając każdy z nich, czuł, że proste ogłoszenie - a nawet ich setki - mu jej nie zwróci. Na szczęście Grady miał dość rozumu, żeby odmówić występu w telewizji, gdzie miałby błagać hipotetycznych porwaczy Lucie, żeby ją uwolnili, lub ją samą, żeby wróciła.

- Pomyśl o tych wszystkich ludziach, którzy cię zobaczą i którzy zobaczą, w jakim jesteś stanie... - namawiała go Dory.

Jej łagodne, żrebięce spojrzenie niemal go przekonało. Choć tym razem był stanowczy, w lokalnych wiadomościach co rusz pojawiło się profesjonalne zdjęcie Lucie z jej strony internetowej („Zaginęła atrakcyjna biała kobieta!”), a dziennikarze wciąż do niego dzwonili, żeby sprawdzić, czy wiadomo coś nowego.

Lucie i Grady bez ruchu siedzieli w samochodzie. Nie jedli lunchu i choć zrobiło się już wczesne popołudnie, żadne z nich nie wspomniało o kolejnym posiłku. Grady zastanawiał się, czy Lucie rozpoznaje ich dom, ale ona nie patrzyła na budynek - spoglądała prosto przed siebie. Martwił się, że Lucie słyszy łomotanie jego serca. Czy pamiętała, że wybrała szarą farbę, chociaż on wolał zieloną? Że prosiła go, by ściał sękatą wiśnię, która nie rodziła już owoców, ale każdej wiosny wciąż obsypywała się białym kwieciem? Czy pamiętała, że robił wszystko, żeby ją uszczęśliwić?

W końcu Lucie otworzyła drzwi i wysiadła, lecz zamiast pójść w stronę domu, ruszyła w dół ulicy. Grady obserwował ją w tylnym lusterku. Oddech uwiązał mu w gardle. Znow straciła rozum i odeszła. Czy powinien ją gonić? Zawołać ją? Wyrwać z transu? A może tym razem powinien dać jej odejść? Nie szukać jej i pozwolić, by zrobiła to, do czego dążyła z tak wielką determinacją?

Kiedy zatrzymała się na rogu, opamiętał się, wyskoczył z samochodu i ruszył za nią, po czym się zatrzymał. Lucie podeszła po prostu do słupa telefonicznego i przyglądała się plakatowi. Dotknęła palcami policzka, po czym wyciągnęła rękę, żeby wydrzeć papier ze zszywek, które Grady wczepił w cztery rogi kartki. Złożyła kartkę z ogłoszeniem na trzy części i wsunęła do torebki wypełnionej tym, co zostało po słodyczach. Następnie odwróciła się i zawróciła w stronę domu.

- Cześć - powiedziała, stając obok niego na chodniku.

Przywitała się z nim tak jak zawsze, jak gdyby był to zwykły dzień, a ona wróciła z joggingu. Wszystko to przywracało ją do rzeczywistości - to, że znów była z Grady w Seattle przed domem, w którym mieszkali od prawie pięciu lat. Wyobrażał sobie, że gdy wejdą do środka, ona rzuci torebkę na krzesło w jadalni, przejrzy listy, a potem być może pójdzie do gabinetu, żeby sprawdzić maile. Lekarka powiedziała, że w znajomym otoczeniu i wśród bliskich większość pacjentów odzyskuje wspomnienia. Była to tylko kwestia czasu.

Miał ochotę ją przytulić, ale trzymał ręce wzdłuż tułowia.

- Naprawdę się cieszę, że jesteś w domu. Obrzuciła wzrokiem okolicę, przekrzywiając głowę.

- Który jest nasz?

Lucie nie odważyła się jeszcze wejść na górę do sypialni urządzonej na wyremontowanym strychu. Kiedy przyjechali, Grady pozwolił, by rozejrzała się po domu, a ona weszła prosto do kuchni i przejechała dłonią po steatytowym blacie. Otworzyła lodówkę i spojrzała na opustoszałe półki - po jej odejściu nie robił zbyt wielu zakupów - po czym zamknęła drzwiczki. Następnie ruszyła do łazienki i zatrasnęła za sobą drzwi.

Grady próbował się czymś zająć - odebrał maila w gabinecie, sprawdzając, co działo się w pracy podczas jego nieobecności. Chciał jej dać przestrzeń, czas i swobodę w domu, ale łapał się na tym, że wsłuchuje się w odgłos kroków i ruchów Lucie, która przekradała się z pokoju do pokoju jak przygarnięty ze schroniska kot.

W ciągu minionych dni w pracy wynikł poważny problem, a Grady czuł wyrzuty sumienia, że nie zabrał laptopa do San Francisco. Jako szef zespołu powinien był się tym zająć i nadzorować społecznych inżynierów, którymi zarządzał. Żaden z nich nie próbował się do niego dodzwonić na komórkę. Wszyscy wiedzieli, dokąd jedzie - w ciągu minionego tygodnia bezradnie śledzili rozwój wydarzeń. Na swój jajogłowy sposób się o niego troszczyli, ale teraz był już w domu wraz z Lucie i chciał się zachowywać tak, jakby wszystko było w porządku. Potrzebował normalności.

Zamknął oczy i wyobraził sobie ciszę wody huczącą w jego uszach, jej chłodny dotyk na skórze. Gdyby tylko mógł się wymknąć na basen i choć chwilę popływać... Ale nie. Musiał być tutaj ze względu na Lucie. Wyobraził sobie, jak starsza kobieta przed szpitalem mówi: „Jasne. Musisz być przy niej ze względu na siebie, ty tchórzu. Myślisz, że znów to zrobi, prawda?”.

Na biurku zawibrowała jego komórka. Dory. Była nie tylko jego ulubioną siostrą, ale także swojego rodzaju terapeutką. A przynajmniej licencjonowaną pracownicą opieki społecznej w zakresie zdrowia psychicznego. Dory chciała zbawić świat i wszystkich jego mieszkańców, tymczasem pracowała w centrum usług społecznych w Pierce County, gdzie oceniała stan pacjentów i kierowała ich dalej.

- Hej - odebrał i podszedł do drzwi, żeby je zamknąć. - Cześć.

- Dzwonię w dobrym momencie? - zapytała. Pozostaje siostry nawet by go o to nie spytały.

- Jasne. - Grady spojrział na drzwi. Starał się mówić cicho. - Lepszego nie będzie. Spaceruje po domu... Pewnie stara się go poznać.

- Jezu.

- Wiem. Trudno to pojąć.

- Dowiedziałeś się czegoś nowego? Co powiedzieli lekarze w San Francisco?

- Cóż, z żadnym nie udało mi się porozmawiać. Przez telefon mówili, że jej stan jest poważny, ale że z czasem pewnie odzyska większość wspomnień.

- Hmm - mruknęła z powątpiewaniem.

Słyszał stukot klawiatury i wyobraził sobie Dory w biurowym boksie, gdzie pracowała na co dzień.

- Każda diagnoza zawierająca słowo „dysocjacyjny” oznacza zazwyczaj oderwanie od rzeczywistości. To nie psychoza, ale... no cóż. Słyszałeś o zaburzeniu dysocjacyjnym tożsamości? Kiedyś tak nazywano rozdwojenie jaźni.

- Boże - rzucił Grady.

- Nie, nie, nie. To nie to samo. Chciałam po prostu powiedzieć, że mają rację. To poważne zaburzenie. Poza tym naprawdę rzadkie. Przed wypisaniem jej ze szpitala dostała plan terapii, prawda?

- Tak, ma chodzić do psychiatry, który specjalizuje się w tego typu zaburzeniach.

Przy śniadaniu Grady poprosił, żeby Lucie pokazała mu dokumenty. Nie dlatego że nie wierzył Lucie. Po prostu czuł, że w tej sytuacji powinien przyjąć aktywną rolę. Choć może gdzieś w głębi potrzebował czasu, żeby znów jej zaufać.

- Nie zapisali jej leków?

- Powiedzieli, że jeśli wpadnie w depresję lub zacznie odczuwać niepokój, tutejszy psychiatra coś jej przepisze. Nie jest ani zdolowana, ani niespokojna. Chyba czuje się... no cóż... dobrze.

- Kiedy ma wizytę u lekarza?

- Dopiero przyjechalśmy.

- Nie odkładajcie tego. Nie pozwól jej na to.

- Tak, tak, wiem. - Grady usłyszał ruch w salonie. - Muszę już iść. Pogadamy później, dobrze?

- Zadzwoń dziś do lekarza. Nawet jeśli Lucie tego nie zrobi.

Grady przewrócił oczami.

- Tak jest, proszę pani.

- Pieprz się - powiedziała, po czym wybuchła śmiechem. - Uściskaj ode mnie Lucie.

- Ty też się pieprz. - Wiedział, że chce mu pomóc. - Nie martw się. Poradzę sobie. Ale dzięki. Jesteś najlepsza.

Grady odłożył słuchawkę, ukradkiem podszedł do drzwi i uchylił je, żeby podsłuchać, co się dzieje. Usłyszał skrzypnięcie i miękkie sapnięcie skórzanego fotela oraz szuranie pufa po drewnianej podłodze. Lucie nienawidziła jego fotela, lecz poszła na ustępstwo, kiedy zamieszkali razem. Kiedy wieczorami relaksowali się w salonie, Lucie siadała na drogiej szwedzkiej kanapie, podwijając nogi i utrzymując niemal idealną postawę. Właściwie nie pamiętał, by kiedykolwiek siedziała w jego fotelu, i teraz także nie potrafił sobie tego wyobrazić.

Grady otworzył drzwi na tyle szeroko, by zobaczyć jej bose nogi wyciągnięte na sfatygowanej tapicerce. Nie ruszała się. Nie widziała go. Zastanawiał się, czy zasnęła.

- Halo? - rzuciła. Zdjęła nogi z podnóżka.

- Tak? - Słyszając swój oficjalny ton, Grady potrząsnął głową. - Cześć - powiedział, wchodząc do salonu, żeby zatuszować to, że ją szpiegował. - Zastanawiałem się właśnie, jak się czujesz. Czy już się... rozgościłaś?

Poprawiła się w fotelu, jak zwykle podwijając nogi. Wyglądała tak jak dawniej, a Grady poczuł, że przyspiesza mu tętno. Spojrzała na niego spod przymrużonych powiek, co oznaczało, że coś ją gryzie. Czy wracała do siebie? Czekał na kolejny znak.

- Tak sobie myślałam - powiedziała swoim dawnym, opanowanym głosem - że może na jakiś czas... Zauważyłam, że jest tu pokój gościnnie.

- Ach, tak - odparł. - Oczywiście.

To nie była ona. Ta Lucie nie chciała, by spał obok. Najbardziej ze wszystkiego

tęsknił za jej obecnością w łóżku, za jej ciałem przytulonym do niego w nocy.

- Oczywiście. Przenieś się do pokoju gościnnego.

- Nie, nie chcę cię wyrzucać z...

- Ale powinnaś...

- Mówię poważnie. I tak czuję się tu jak gość. - Nieszczęśliwa mina Grady ego musiała odpowiadać jej samopoczuciu, bo dodała: - Przepraszam, ale powinieneś zostać w swojej... w naszej sypialni, gdzie jest ci wygodnie. - Wzruszyła ramionami. - Tylko na jakiś czas, aż do...- Odwróciła wzrok.

Ślub miał się odbyć za dwa miesiące. Zarezerwowali salę, wybrali zespół i wydrukowali zaproszenia, które czekały na zaadresowanie w jadalni schowane w eleganckich białych pudełkach. Lucie należało, żeby rozesłać je na sześć tygodni przed ślubem. Czy je widziała? Czy za dwa tygodnie wciąż będzie je chciała wysłać do stu trzydziestu gości - jego rodziny i kolegów z pracy oraz ich wspólnych znajomych? Kiedy odeszła, prawie wyrzucił pudełka (zaniósł je nawet do kontenera na śmieci), ale potem odłożył je z powrotem na podłogę obok kredensu. Nie mógł znieść myśli, że cokolwiek się zmieni. Ostatecznie zostawił wszystko tak, jak było. Brakowało tylko Lucie.

Przez resztę dnia poruszali się jak ostrożne, ciche duchy po domu, który należał do nich i w którym doświadczyli tylu emocji - śmiali się, kłócili, a czasem wykrzykiwali okropne słowa. Uprawiali seks. Grady czuł zażenowanie na myśl o tym, jak bardzo jego ciało potrzebuje *jej*, jak bardzo chce schować twarz w jej nagim ramieniu, przyciągnąć *do* siebie jej muskularne biodra i usłyszeć, jak krzyczy z rozkoszy - tylko po to żeby poczuć się pełny, ludzki, znów z czymś związany. Jej zniknięcie było dla niego ciosem, ale teraz, kiedy była w domu, a jednocześnie jakby jej w nim nie było, nie mógł znieść myśli o nim.

Zadzwoił do biura i ugasił kilka pożarów, zastanawiając się, jak długo uda mu się pracować z domu. Czy jeszcze kiedykolwiek zdoła go opuścić choćby na chwilę i nie martwić się, że Lucie zniknie? Ta myśl sprawiła, że oddech uwiązał mu w gardle, a Grady musiał świadomie wdychać powietrze przez nos, żeby wrócić do życia.

Zaniósł laptop do salonu, żeby usiąść i popracować, z nadzieją że zastanie tam Lucie, ale pokój był pusty. Czy już odeszła? Zamknął oczy i wsłuchiwał się w ciszę. Jak długo będzie to trwało? Jak długo przy każdej okazji będzie sobie wyobrażał, że Lucie odchodzi? Grady siadł w fotelu, oparł nogi na pufie i położył sobie komputer na udach. Oczy bolały go po nieprzespanej nocy. Pozwolił, by głowa opadła na miękką skórę fotela, i na chwilę zamknął oczy.

Dzień przed ucieczką Lucie nie był udany. Od kilku tygodni na siebie warczeli za przewinienia tak absurdalne, że można by je było wyśmiać, gdyby nie mierziło ich

poczucie, że już się nie dogadują. Przestał podsuwać jej własne pomysły dotyczące ślubu, bo zawsze je odrzucała. Reagowała złością, kiedy Grady nie odpowiadał na pytania o to, które sztuczce będą najlepiej pasować do kryształów - tak naprawdę chciała, żeby wybrał to, co spodoba się jej. On byłby zadowolony z papierowych talerzyków i plastikowych kubeczków. A Lucie dwukrotnie oskarżyła go o to, że pytając o ostateczny budżet, sabotuje ich ślub. Zaczął się zastanawiać nad tym, po co właściwie się pobierają. Czy tylko po to by Lucie mogła urządzić eleganckie przyjęcie? Czy w ogóle obchodziło ją to, za kogo wychodzi? Co rano budzili się coraz dalej od siebie, na odległych krańcach łóżka, gdzie poprzedniej nocy zasnęli - dzieliła ich ta sama pustka.

Tamtego ranka Lucie wstała i włożyła getry do biegania. Obserwował ją spod przymkniętych powiek, leżąc na łóżku i udając, że nie interesuje go jej gibkie ciało ani lśniąca, jedwabista skóra posmarowana warstwą kremu z filtrem. Zawstydził się pożądaniem, które w nim wzbudziła, więc przewrócił się na drugi bok, żeby ukryć podniecenie. Miał wrażenie, że ona już go nie pragnie. Skończyła się ubierać, weszła do łazienki, po czym bez słowa opuściła dom. Odczekał pięć długich minut, zanim uświadomił sobie, że Lucie nie wetknie głowy do pokoju, żeby się pożegnać. Nie mógł w to uwierzyć. Zawsze informowała go, że wychodzi, nawet kiedy się kłócili. Zawsze krzyczała z dołu przynajmniej: „Dobra, pa!”, a tego poranka nie odezwała się ani słowem.

Chociaż ostatnio oboje odnosili się do siebie z nietypową wrogością, czuł, że coś jest nie tak. Coś się zmieniło, a on nie mógł tego znieść. Wściekł się. Pomyślał, że jeśli ona może być oziębła, to on też.

Grady wskoczył pod prysznic i pośpiesznie się ubrał - chciał opuścić dom jeszcze przed jej powrotem. Prawie mu się to udało.

Kiedy szybkim krokiem szedł do samochodu, zauważył, że Lucie biegnie ulicą w stronę domu. Przypominała maszynę - jej sprężyste nogi i ręce poruszały się rytmicznie, a w ciągu wielu lat wyteżonej koncentracji jej krok osiągnął perfekcję. Biegając przez okolicę, nie widziała nikogo ani niczego - oczy chroniła polaryzacyjnymi okularami Bolle i czapczką Nike nasuniętą nisko na czoło. To między innymi dlatego sąsiedzi uważali ją za snobkę. Lucie skupiła się w pełni na sobie, żeby osiągnąć upragnione cele - począwszy od przebiegnięcia maratonu, a skończywszy na pozyskaniu nowego klienta - i widziała tylko to, do czego dążyła. Taka była, kiedy się w sobie zakochali - nie widziała nikogo poza nim. Uwaga, którą na nim skupiała, była cudowna, niezastuzona, ale upajająca. Miał nadzieję, że do końca życia będzie czerpał z tego źródła.

Oczywiście, koniec końców, kiedy byli ze sobą na tyle długo, by poczuć się komfortowo, jej uwagę odwróciły różne przedmioty - dom i jego zawartość,

ubrania, buty i torebki. Czasem się zastanawiał, czy na początku także uważała go za taki przedmiot, egzotycznego pupila o indiańskich rysach. Uwielbiała jego ciemną skórę i włosy w stylu Geronimo.

No i jeszcze ten ślub. Tak bardzo skupiła się na szczegółach dotyczących tego jednego dnia, że zaczął się zastanawiać, czy nie zapomniała o powodzie tego wszystkiego - o decyzji, by spędzić z nim resztę życia. Z chwili na chwilę Grady czuł się coraz bardziej wściekły. Wślizgnął się do swojego częściowo odnowionego volvo z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku, nie dając jej szansy, by pierwsza go zignorowała, po czym wcisnął gaz i wjechał na jezdnię. Przez cały dzień do niej nie dzwonił, nie pisał SMS-ów ani maili. To, że ona także tego nie robiła, było o wiele bardziej znaczące, niż gdyby działo się to jakiegokolwiek innego dnia. Ale przecież to ona rozpoczęła to całe milczenie, prawda? Dlaczego nie zadzwoniła, żeby przeprosić albo przynajmniej zerwać ciężką ciszę, która pomiędzy nimi zawisła? Czuł, że ją traci, i z początku tak bardzo go to wkurzyło, że zignorował podszywającą te emocje rozpacz.

Tego wieczoru został w pracy dłużej, niż musiał, po czym grając na poczuciu winy, przekonał dwóch techników, żeby poszli z nim do pubu na drinka. Zamówił whisky Maker's Mark, a nie jak zwykle piwo Manny s Pale Ale. Nie pamiętał, ile wypił. Nic nie jadł. Nie wiedział, jak wrócił do domu. Ledwo potrafił sobie przypomnieć, że przez całą noc nadaremnie sprawdzał komórkę i że postanowił przespać się na niewygodnej szwedzkiej sofie. Najgorsze było to, że kiedy następnego poranka Lucie weszła do salonu ubrana w swoją najlepszą garsonkę, usiadła obok niego, wciąż cuchnącego whisky, skacowanego i zapytała z gniewem: „Chcesz to wszystko odwołać? Czy powinnam w ogóle jechać na przymiarke sukni?”, z trudem uniósł się na łokciu - wciąż lekko pijany - i próbując zignorować ból głowy, syknął: „Jakby cię to w ogóle obchodziło”. Z zadowoleniem zauważył urazę i zaskoczenie, które pojawiły się na jej twarzy. Nie spodziewała się, że będzie złośliwy, że odpowie na atak. „Masz w dupie to, co myślę. I wiesz co? - warknął i dźgnął ją palcem dla podkreślenia swoich słów. - Ja też mam cię w dupie” - skłamał.

To właśnie wtedy go uderzyła. Kiedy dostrzegł nadchodzący cios, z zaskoczeniem cofnął głowę. Jej kłykcie ześlizgnęły się z jego zuchwy na szyję, a brylant przeciął skórę. Instynktownie zasłonił szyję dłońmi, żeby się obronić - napadł na niego jakiś potwór, szpetna furia mlóących pięści i rozszarpujących ciało pazurów. Próbował schwytać jej ramiona, przytrzymać ją, ale jego dłonie były mokre i ciepłe od krwi, a ona miała na sobie białą garsonkę, więc zamarł w bezruchu.

Przestali się szamotać równie nagle, jak zaczęli, i oboje w wpatrywali się w krew. Nagle Lucie wydała nieludzki, przerażający jęk. Miał wrażenie, że w tym

samym pokoju ktoś obdziera ze skóry dzikie zwierzę. Nigdy nie słyszał podobnego dźwięku, a już z pewnością nie wydała go Lucie. Wtedy właśnie uciekła -wypadła z domu, jak gdyby budynek stanął w ogniu. Nie wybiegł za nią i od tamtego czasu zadawał sobie to samo pytanie: dlaczego? To oczywiście lęk sprawił, że Grady za nią nie pobiął. Czego właściwie się bał? Przemocy? Opuszczenia, którego właśnie doświadczał? Jeśli nawet w pewnym momencie wybaczył sobie całą resztę, czuł, że nigdy nie odpuści sobie tego, że tak po prostu pozwolił jej odejść.

Grady cieszył się, że Lucie straciła pamięć, że nie musiała bez przerwy odtwarzać w głowie tamtej chwili tak jak on, przypominać sobie tych zwierzęcych emocji, odgłosów, odczuć i głupich, okropnych błędów. Mógł teraz zrobić dla Lucie tylko jedno - ochronić ją przed tym wszystkim. Skoro otrzymali szansę, by zacząć od nowa, to... cóż. Mogło im się udać.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

LUCIE

Pod jej palcami przesuwały się chłodne i gładkie powierzchnie. Wszystkie meble i sprzęty w domu były eleganckie i drogie. Wyjątek stanowił jedynie zniszczony skórzany fotel w salonie -kiedy na nim usiadła, dopasował się do *jej* ciała jak wygodna stara rękawica bejsbolowa - i przekrzywione z jednej strony pianino w niewykończonej piwnicy. Czy jedno z nich potrafiło na nim grać?

Podobnie jak potrafiła wypowiedzieć się na temat wystroju pomieszczeń w szpitalu, wiedziała także sporo o urządzeniu tego domu: tkanin, rodzajów wykończenia. Stary bungalow wyremontowano w nowoczesnym stylu, tak że przypominał staruszkę ubraną w kreację haute couture. Lucie próbowała sobie wyobrazić, jak budynek wyglądał wcześniej - drewno w ciepłym odcieniu, uroczę szafki i inne drobiazgi, które wyrwano z niego i wyrzucono. Zastanawiała się, czy dom wyremontowali poprzedni mieszkańcy czy obecni właściciele. Nie dlatego że dom nie był ładny. Był. Ona i Grady sporo zarabiali - co do tego nie było wątpliwości. Jak miała wrócić do pracy? Do bycia rekruterem w branży technicznej z pewnością potrzebna była wiedza. Czy mogła po prostu zacząć w miejscu, w którym skończyła? Czy zgodnie z tym, co mówili lekarze, wszystko sobie przypomni? Grady wspomniał, żeby była właścicielką firmy i nie zatrudniała żadnych pracowników. Nie było nikogo, kto mógłby *jej* przypomnieć, czym zajmowała się na co dzień. Przebywała w tym domu od ponad godziny i... nic. Niezależnie od tego, jak bardzo się starała, miała wrażenie, że te rzeczy i ta przestrzeń należą do kogoś innego. Nie weszła jeszcze do sypialni. Wiedziała, że znajdzie tam rzeczy, kiedyś osobiste, a teraz zupełnie obce. Nie chciała ich.

Pokój gościnny był niewielki, ale ładnie urządzone. Na łóżku leżały czekoladowobrązowa kołdra i mnóstwo poduszek. Lucie cicho zamknęła drzwi i położyła się na materacu, słuchając, jak Grady wchodzi do salonu - pewnie jej szukał. Zastanawiała się, co w niej widział. Dlaczego ją kochał? I dlaczego ona kochała jego?

Wcześniej tego dnia kiedy postanowiła wracać do Seattle, czuła się lekka i spragniona przygód. Może nie odważna, ale ciekawa. Teraz wiedziała, że popełniła poważny błąd. To nie był *jej* dom. Ani jej życie. Spodziewała się magii, dzwonów, świateł i spływających kaskadą fajerwerków towarzyszących nagłemu powrotowi wspomnień. Teraz miała jednak wrażenie, że jest gościem w nieznanym i niezbyt wygodnym domu.

Czuła, że powinna powiedzieć o tym Grady emu teraz, zanim zabrną zbyt daleko w tej maskaradzie. Był miłym człowiekiem i z pewnością całym sercem kochał dawną Lucie Walker, ale ona nie była już tamtą kobietą. Oczywiście dowody były niezbite - była Lucie Walker. A jednocześnie wcale nią nie była.

Otworzyła drzwi, po czym weszła do salonu. Miała sucho w ustach i łomotało jej serce.

Grady siedział na skórzanym fotelu z dłońmi opartymi na laptopie, zamkniętymi oczami i lekko rozchylonymi ustami. Zastanawiała się, czy medytuje lub myśli, ale jego oddech podszyty był legato głębokiego snu.

Legato. Kolejny termin muzyczny. Lucie poczuła nagły przyływ wiedzy - nie miała jednak pojęcia, co takiego wie. Na obrzeżach jej świadomości rozblysnął promień zrozumienia, który zgasł równie szybko, jak się pojawił.

Obserwowała, jak Grady wdycha i wydycha powietrze, i dopasowała swój oddech do jego. Ten facet był wycieńczony tym, co przez nią przeszedł. Łomotanie w jej piersi ucichło, a powróciła czułość, jaka ją ogarnęła, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy. Mogłaby podejść i pogłaskać go po niesfornych włosach, a nawet ucałować w czoło, lecz pozwoliła mu spać.

Stopnie prowadzące do piwnicy skrzypiały i trzeszczały, a kiedy Lucie znalazła się na betonowej posadzce, w powietrzu poczuła zapach wilgoci i pleśni. Kryło się tu mnóstwo rzeczy. Lucie czuła się jak detektyw, archeolog próbujący odgadnąć znaczenie każdego z przedmiotów. Składana bieżnia - zakurzona i odłączona od prądu. Jej? Jego? Wieszak, na którym wisiały płaszcze i inne elementy garderoby: skórzana kurtka lotnicza w rozmiarze Grady ego, różne okrycia przeciwdeszczowe, kurtki przeciwwiatrowe, czerwony wełniany płaszcz - stylowy i długi. Zdjęła go z wieszaka, podniosła do twarzy i wciągnęła powietrze. Trącił stęchlizną, ale tkanina przesiąkła także zapachem perfum. Płaszcz pochodził z lat pięćdziesiątych albo sześćdziesiątych. Wsunęła ramiona w rękawy i otuliła się tkaniną. Był odrobinę za duży, lecz podobał jej się. Pod jedną ze ścian leżało przynajmniej dwadzieścia kartonów ułożonych na drewnianych paletach. Najwyraźniej w piwnicy panowała wilgoć. Domyśliła się tego po zapachu. Zdjęła pokrywkę jednego z pudeł i znalazła w nim stare zielonkawe i fioletowo-różowe naczynia z dawno minionych czasów. Z pewnością nie pasowały do reszty domu, a Lucie od razu domyśliła się, co zawierały pudła: pozostałości życia sprzed perfekcji, do której została doprowadzona przestrzeń na piętrze. Znow się zamyśliła: czy należały do Grady ego? może do niej? Za wszelką cenę starała się sobie przypomnieć, gdzie były te rzeczy, zanim znalazły się tutaj. Musiała

zamknąć oczy, bo ogarnęły ją nagle mdłości, a do gardła podeszło rozpaczliwe uczucie paniki. Cofnęła się - nie chciała już oglądać tych kartonów. Pomyślała, że któregoś dnia poprosi Grady ego, żeby zszedł z nią do piwnicy i opowiedział *jej* o każdej z tych rzeczy. Może w ten sposób uda jej się trafić choć na strzęp wspomnienia, otworzyć jakieś drzwi do przeszłości.

Lucie rozejrzała się wokoło i podeszła do pianina. Na koszulkę i krótką spódniczkę wciąż miała narzucony czerwony płaszcz. W piwnicy panował chłód, a płaszcz otulał ją jak szlafrok.

Instrument był stary, a brzegi klawiszy wyszczerbione, jak gdyby skubał je jakiś gryzoń. Drewno było wypaczone i poplamione - brakowało też przedniej nogi. Lucie rozejrzała się za czymś, co mogłaby podłożyć pod nogę pianina, i znów podeszła do pudeł. W kilku z nich znajdowały się książki. Te w miękkiej oprawie się nie nadawały. Pogrzebała głębiej i na dnie znalazła warstwę tomów w twardych okładkach.

Wyciągnęła jeden z nich. *Człowiek w poszukiwaniu sensu* Viktora Frankla. Zniosła go do pianina i wsunęła pod złamaną nogę, po czym wstała i spróbowała zakolysać instrumentem. Stał teraz stabilnie.

- No i proszę, znalazłam sens - powiedziała, wysuwając taboret spod klawiatury.

Usiadła. Nie wiedziała, dlaczego to zrobiła ani po co siedzi przy instrumencie i pozwala, by jej umysł się oczyścił. Czy wcześniej też tak robiła?

Położyła dłonie na klawiaturze i czekała. Na co? To takie głupie, pomyślała.

Bez udziału świadomości przycisnęła klawisz prawym kciukiem. Środkowe C, pomyślała, choć nie miała pojęcia, skąd to wie. Patrzyła, jak jej środkowy i mały palec naciskają odpowiednio klawisze E i G. C-dur, Zdjęła dłonie z klawiatury i położyła je na kolanach. Jej oddech przyspieszył, a palce napięły się na udach - może był to tylko przypadek. Zamknęła oczy. W uszach czuła pulsowanie krwi.

Na klawiaturze leżą dwie pary rąk, pomyślała, nie tylko moje.

Poczuła ziejącą pustkę, jak gdyby wyrwano *jej* coś z jej piersi. Lucie nagle otworzyła oczy. To samo wrażenie miała w szpitalu - głęboki smutek spowodowany utratą... kogoś. Znów zaczęła panikować, myśląc: kogo straciłam? Kogo brakuje?

Lucie wstała i wyciągnęła rękę, żeby wsunąć taboret pod pianino, kiedy wzdłuż brzegu zauważyła złożenia, które przypominały inicjały albo nazwy dźwięków. D A... Pochyliła się, żeby lepiej przyjrzeć się literom. Przetarła palcem kurz zgromadzony w wydrążonych liniach i znalazła coś jeszcze: Y Y L U L U. W

takim razie to nie dźwięki. Lulu? Czy to ona? Wyprostowała się roztrzęsiona. Wciąż waliło jej serce.

Te literki wydrapało dziecko. Czyje ręce grały na klawiaturze obok jej?.

Przez chwilę czekała na więcej. Jej serce się uspokoiło, a tętno ucichło. Wypuściła długi oddech - cieszyła się, że znów czuje pustkę. Czy powinna o to zapytać Grady ego? Przecież gdyby miała dzieci, z pewnością by jej o tym powiedział. I tak zachowywała się już wystarczająco ekscentrycznie. Owszem, będzie musiała z nim porozmawiać, ale mieli na to jeszcze czas. Lucie podejrzewała, że nie tylko ona czuje się rozedrgana i zagubiona. Wróciła na górę.

Kiedy dotarli do domu, było słoneczne popołudnie. Teraz zaczął zapadać zmierzch, a światło odbijało się od stali nierdzewnej, ogrzewając kuchnię i sprawiając, że stawała się przytulniejsza. Lucie umierała z głodu. W lodówce nie znalazła nic poza litrem wody gazowanej, przykrytym folią talerzem z czymś brązowym, pudełkiem proszku do pieczenia i ustawionymi w drzwiczkach przyprawami.

Wysunęła ciężką szufladę zamrażarki, spodziewając się, że nie znajdzie w niej nic poza grubą warstwą lodu, i odkryła prawdziwą żyłę złota: pakowane próżniowo torebki z jedzeniem - każda z nich była podpisana i opatrzona datą. Znalazła gulasz, chili, sos do spaghetti i kurczaka tetrazzini. Poczuła, jak na myśl o domowym jedzeniu robi jej się ciepło pod czerwonym płaszczem. Dobrze było wiedzieć, że potrafi gotować i że jest tak świetnie zorganizowana.

Zastanawiała się, co brzmi lepiej: gulasz czy tetrazzini. Kolejna pocieszająca myśl - znała te potrawy. Zdecydowała się na gulasz i wyciągnęła twardą taflę, żeby ją rozmrozić.

Za plecami wyczuła ruch i odwróciła się wystraszona. Grady stał w progu z dziwną miną.

- Co robisz? - zapytał.

- Pomyślałam, że zjemy coś na kolację - odparła z nagłym poczuciem winy. Czowała się jak intruz. - Mam nadzieję, że się nie masz nic przeciwko. Chciałam to rozmrozić. - Podniosła paczuszkę z gulaszem. - Wygląda smacznie. Czy ja to ugotowałam?

- Mama przygotowała mi to wszystko w zeszłym tygodniu. - Grady zmrużył oczy. - Ty nie znosisz gotować. - Urwał, po czym zapytał: - Zimno ci? Przecież tu jest dwadzieścia pięć stopni.

Płaszcz. No tak, Grady musiał się zdziwić, że Lucie go włożyła.

- To też nie moje?

- Nie wiem. - Grady wydawał się rozdrażniony. - Nie powiedziałaś mi, do kogo

należał, ale nigdy go nie nosiłaś. Pomyślałem, że należał do twojej mamy albo ciotki.

- Może - odparła, wciskając ręce do kieszeni i przyciągając je do przodu, tak że otulił ją zwietrzały zapach przeszłości, która w jakiś sposób - przez pochodzenie, historię lub dziedzictwo - należała do niej.

Lucie spodziewała się, że Grady będzie nieco bardziej zadowolony z tego, że smakował *jej* gulasz jego matki, ale jej reakcje zdawały się tylko pogłębiać jego zły nastrój. Sprzątnął ze stołu, wyrzucił resztki, opłukał talerze i bezgłośnie włożył je do zmywarki - jak robot. Lucie siedziała przy stole w jadalni, nie wiedząc, co dalej. Wysokie krzesła o prostych oparciach nie były zbyt wygodne.

Wstała i przyjrzała się zawartości eleganckiej gablotki. Za ażurowymi drzwiczkami wypatrzyła stojak na wino z mnóstwem ciemnych butelek. Grady wszedł do salonu, żeby sprzątnąć resztę naczyń ze stołu. Odwróciła się.

- Napijesz się wina? - zapytała.

Skinął głową.

- Wino, które pijemy, trzymamy w kuchni - odparł. - Przyniosę butelkę.

Zmarszczyła brwi.

- Dlaczego nie pijemy tego?

Wzruszył ramionami. Miała wrażenie, że nie wie, co odpowiedzieć.

- Może dlatego że to lepsze roczniki? Nie wiem, Luce. To nie ja układałem zasady, tylko ty. – Jego twarz była ściągnięta. Wyglądał tak, jak gdyby chciał się poddać. Zrezygnować z niej, z nich, z dalszych starań.

Lucie sięgnęła do gablotki, wyciągnęła butelkę i podała ją Grady emu.

- Otwórz tę - powiedziała. - Jeśli kiedykolwiek nadarzył się moment, kiedy potrzebowaliśmy butelki dobrego wina, to właśnie teraz.

Jego oczy wypełniły się łzami. Nie poruszył się.

- Grady - westchnęła. - Przykro mi, że wszystko robię źle, że wybieram niewłaściwe rzeczy i że nie pamiętam, jak być nią. Staram się, ale... Nie oczekuję, że będziesz mnie kochał tak, jak kochałeś ją. Naprawdę nie. Po prostu... - Lucie zamknęła oczy, starając się odpędzić własne łzy.

Poczuła, jak bierze od niej butelkę. Powoli podniosła powieki.

- Przyniosę kieliszki.

Na twarzy Grady ego malowała się teraz troska. Wymienili spojrzenia i doświadczyli chwilowej więzi jak wtedy, gdy spotkały się ich ramiona.

Lucie pomyślała, że ta jedna chwila może być warta wszystkich momentów rozpacz.

- Dziękuję - powiedziała.
- Przyniosę te lepsze - dorzucił, zmierzając do kuchni.

Lucie zastanawiała się, jak mogła zostawić takiego mężczyznę - kogoś, kto tak bardzo ją kochał.

- Pooglądamy telewizję? - zawołała, ocierając oczy.

Alkohol i telewizja. Czy istniało coś, co mogło ich bardziej otępić i pomóc przetrwać pierwszą noc niż te dwa środki? Przez dłuższą chwilę milczał, w końcu odkrzyknął:

- Jasne.

Weszli do salonu - Lucie usiadła na skórzanym fotelu, a Grady ułożył się na kanapie, opierając bosc stopy o podnózek. Próbowwała się nie gapić, ale jego stopy były równie piękne jak dłonie - długie i eleganckie.

Wino okazało się lepsze, niż sądziła. Chateauf-neuf-du-Pape. Jakimś cudem Lucie wiedziała, że to drogi gatunek. Płyn ogrzał i ukoił wspomnienia nawet najtrudniejszych chwil, które przeszli w ciągu kilku poprzednich dni. Kiedy o jedenastej rozpoczęły się wiadomości, ona i Grady - lekko upojeni - pograżyli się w swobodnym milczeniu.

Za biurkiem siedziało dwoje prezenterów - starszy mężczyzna i dość młoda kobieta. Uśmiechali się fałszywie, podczas gdy na ekranie migotała czołówka przy akompaniamencie głośnej muzyki.

- Za chwilę opowiemy o niesamowitym spotkaniu mieszkańca z Wallingford z zaginioną narzeczoną. To wszystko tuż po przerwie - powiedział prezydent.

- Nie - rzuciła Lucie, stawiając stopy na podłodze. - Nie mogą tego zrobić. Przecież im zakazałam. - Spojrzała na Grady ego. - Mogą?

Potrząsnął głową i opróżnił kieliszek.

- Jak widać, mogą.

- Wszyscy to zobaczą - oznajmiła Lucie. Poczwała bijące z piersi gorąco, od którego wilgotniała jej skóra. - Zresztą ludzie już pewnie o tym wiedzą, prawda?

Plakaty. Może podczas jej nieobecności w lokalnych wiadomościach wspomniano już o tej całej sprawie. Kiedy ginęli ludzie, ich zdjęcia pojawiały się wszędzie.

Grady się wzdrygnął.

- Przepraszam - powiedział. - Po prostu chcieliśmy cię odnaleźć. - Podniósł butelkę. Była pusta. Odstawił ją. - Nie musimy tego oglądać, jeśli nie chcesz.

Przełknęła ślinę i poczuła, jak zaciskają jej się zęby i gardło. Przesunęła się na skraj fotela i czekała. Chociaż robiła to niechętnie, chciała zobaczyć, co się będzie działo.

Po ostatniej reklamie na ekranie znów pojawił się siwowłosy prezydent.

- A teraz podnosząca na duchu opowieść ze Szmaragdowego Miasta. Nasza siostrzana stacja przygotowała materiał o zjednoczeniu pary z Seattle. Ann?

Reportarka, którą poznali poprzedniego dnia, stała przed szpitalem San Francisco General, trzymając przy twarzy spory mikrofon.

- Grady Goodall miał dziś udany dzień - oznajmiła. Lucie stwierdziła, że głos dziennikarki brzmi dość dramatycznie. - Mieszkaniec Seattie niestrudzenie szukał swojej narzeczonej, która w tajemniczy sposób zniknęła ponad tydzień temu.

Lucie spojrzała na Grady ego. Patrzył w kieliszek.

- Trzydziestodziewięcioletnia Lucie Walker zaginęła zaledwie dwa miesiące przed ślubem - wyjaśniła dziennikarka. Tym razem Lucie miała wrażenie, że w jej głosie pobrzmiewa oskarżenie. - Nikt nie wiedział, czy padła ofiarą przestępstwa czy lęku przed zobowiązaniem.

- Jezu - mruknął Grady,

- Okazało się, że Walker doznała rzadkiej postaci amnezji i z jakiegoś powodu znalazła się w lodowatych wodach zatoki San Francisco...

- Tylko do kolan - rzuciła Lucie. Brzmiało to tak, jak gdyby rzuciła się do wody.

- ... i została przyjęta do szpitala San Francisco General, gdzie wczoraj para zobaczyła się ponownie po raz pierwszy. Byliśmy tam, żeby zarejestrować dla państwa ich pojednanie.

Na ekranie pojawił się materiał filmowy. Grady szedł w stronę Lucie z twarzą wykrzywioną od smutku. Ta intymna chwila przeznaczona była tylko dla niej, ale wszyscy inni widzieli, co przez nią wycierpiał.

Spojrzała na niego i dostrzegła, że on także urzeczony ogląda to, co się dzieje na ekranie.

- Cudowna historia, Ann - skomentował prezenter. - Kto by pomyślał, że ta historia tak dobrze się skończy?

Materiał trwał zaledwie kilka sekund. Nie pojawiła się w nim Lucie przemawiająca ostrym tonem do dziennikarzy ani pielęgniarki krzyczące do operatora, żeby wyłączył kamerę. Pozostał tylko bajkowy obraz dwojga zakochanych.

- Naprawdę mi przykro, Luce - powiedział Grady, wyłączając telewizor. Nachylił się, opierając łokcie na kolanach i chowając twarz w dłoniach. - Nie powinienem był pozwolić siostrzom skontaktować się z mediami.

- Próbowałeś mnie znaleźć. - Nie byłoby tak źle, gdyby nie upokorzenie, które ogarniało ją na myśl, że postradała rozum na oczach świata i że tak bardzo kogoś zraniła swoim zniknięciem.

Westchnął.

- Nie wiedziałem, co robić. Powinienem był się domyślić, że moje siostry

przesadzą. - Był zły.

- Potrzebowałeś pomocy, potrzebowałeś swojej rodziny. - Niemal marzyła o tym, by znaleźć się w jego skórce otoczona rodziną, która tak bardzo go kochała.

Grady nic nie odpowiedział. Po dłuższej chwili wstał.

- Jestem wykończony. Ty pewnie też.

Lucie skinęła głową.

- Potrzebujesz czegoś z góry? Wszystkie twoje rzeczy są w naszej... w łazience na piętrze, jeśli chcesz coś zabrać.

Lucie zaprzeczyła.

- Nie, dziękuję. Mam wszystko.

Czego od niego chciała? Czegoś więcej, choć upierała się, że jest tylko gościem w tym domu. Potrzebowała bliskości. Jednego z tych spojrzeń, które mówiło, że między nimi się ułoży. Że chociaż ona tego nie pamięta, są ze sobą złączeni.

- Dobrze - rzucił. - W takim razie do zobaczenia rano. - Szedł do wyjścia, ale znów się odwrócił. - Aha, jutro musimy umówić cię do tej lekarki.

Skinął głową, życzył jej dobrej nocy i zostawił ją samą.

Kiedy wchodził po schodach, Lucie westchnęła. Nie poruszyła się, dopóki nie usłyszała, jak przechodzi po skrzypiących deskach i zamyka za sobą drzwi.

Później, kiedy próbowała zasnąć, Lucie odtwarzała w wyobraźni obraz ich dwojga na ekranie - ludzi, którzy się kochali. Pamiętała, jak jej dłonie znalazły się na jego plecach, jak go głaskała, wdychała jego zapach. Nagle jej świadomość wypełnił kobiecy głos śpiewający: „Nikt nie może mi odebrać tych wszystkich wspomnień”.

Gershwin. Była tego pewna. Ta świadomość ją rozbudziła. Przez chwilę leżała z łomocącym sercem, po czym wstała z łóżka, włożyła czerwony płaszcz, wyslizgnęła się na ciemny korytarz i znalazła schody prowadzące do piwnicy. Na dole włączyła światło, podeszła do pianina, usiadła i pozwoliła, by jej dłonie spoczęły na klawiaturze.

Jej lewa ręka ułożyła akord, a potem następny. Jak to było? Tonacja e-moll albo jakoś tak. Co dalej? Lucie potrząsnęła głową. Nie staraj się za bardzo, pomyślała. Cicho zanuciła melodię: „To jak nosisz kapelusz...” Jej dłonie niepewnie ułożyły się na właściwym miejscu, lekko przyciskając klawisze. Wcisnęła lewy pedał, żeby dźwięki były bardziej przytłumione, i jej podekscytowanie wzrosło - wiedziała, a jednocześnie nie wiedziała, jak ta piosenka rodzi się pod jej palcami.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

HELEN

Po kolacji, na którą składały się pojedyncze udko z kurczaka, posmarowana masłem bułka i niewielka porcja sałatki coleslaw, Helen z czułością ścisnęła w dłoni szklaneczkę whisky Canadian Club i przeglądała albumy z fotografiami. Stare zdjęcia, na których całe *jej* życie poukładane było według dat i wydarzeń, często dotrzymywały jej towarzystwa wieczorami. Nie łączyły *jej* już więzy krwi ani pokrewieństwa z żadnym człowiekiem (a przynajmniej nie z takim, który chciałby mieć z nią coś wspólnego), więc wołała wślizgnąć się w nasączoną whisky przeszłość, niż oglądać telewizję, w której nie pokazywano już nic wartościowego. Nie tak jak za dawnych czasów, kiedy teleturnieje stanowiły rozrywkę, a jednocześnie kształciły. Helen westchnęła. Tęskniła za mężem Betty White - jak on się nazywał? Zamknęła oczy i próbowała sobie przypomnieć. No tak. Allen Ludden. Krótco ostrzyżony, w eleganckich okularach.

Jeszcze bardziej tęskniła za własnym mężem, przystojniejszym niż jakakolwiek telewizyjna gwiazda. Jego przodkowie wywodzili się głównie z plemienia Skykomish i od pokoleń mieszkali na terenie rezerwatu lub w jego okolicy. Jednak w żyłach dziadka Edwarda ze strony ojca płynęła krew plemienia Flathead z Montany. Mówiło się, że przybył na zachód z dwoma mułami, kocem utkanym przez matkę i nazwiskiem Dziesięć Dłoni podkreślającym silną etykę pracy całej rodziny. Edward także ją posiadał - zawsze wszystko naprawiał i pomagał sąsiadom w remontach, choć przez całe życie pracował na cały etat w porcie. Zrezygnował z pracy dopiero kilka tygodni przed śmiercią. Biedak, pomyślała, przypominając sobie ból, jakiego doświadczył w ciągu tych kilku ostatnich dni, zanim zabrał go rak. To było ponad dziesięć lat temu.

Helen westchnęła, przewróciła stronę i znalazła swoją ulubioną fotografię. Przedstawiała prawie trzydziestoletniego Edwarda spuszcającego łódkę na wodę jeziora Silver. Helen patrzyła na jego silne plecy i ramiona oraz gęste czarne włosy targane lekkim porannym wiatrem. Zrobiła to zdjęcie, po czym weszła do wody i wdrapała się do łódki. Łowili łososie i pstrągi tęczowe. Spędzali długie weekendy, pijąc piwo Rainier z puszek, jedząc kanapki z kiełbasą i czekając, aż jakaś ryba wciągnie ich szałwik pod powierzchnię - liczyli na dużą sztukę. Edward nie był gadatliwy, za to Helen mówiła za dwoje. Byli wtedy szczęśliwi. Byli ze sobą szczęśliwi przez większą część życia.

Ale nie po tym jak po śmierci matki Lucie wzięli dziewczynkę do siebie. Kiedyś urocze, roześmiane dziecko pełne miłości do ciotki i wuja zamieniło się

w milczącą nastolatkę. Owszem, Lucie chodziła do szkoły, dostawała same piątki, nigdy nie była niegrzeczna i niezbyt często wychodziła z domu. Dopiero trzy lata później po skończeniu szkoły odeszła na dobre. Była bardzo skryta i odrzucała ich próby, kiedy chcieli jej pomóc zacząć nowe życie w Marysville. Wiedzieli, że doświadczyła większej tragedii, niż byli to w stanie pojąć, ale gdyby w jakimkolwiek sposób dała im do zrozumienia, że cierpi, lub doceniła ich i ich starania, wszystko mogłoby wyglądać inaczej.

Helen z całego serca pragnęła nie zawieść siostry i pomóc siostrzenicy wejść w dorosłość. Co innego mogła zrobić dla biednej Glorii? Jej młodsza siostra zawsze była niezwykle impulsywna, prowadziła się z różnymi mężczyznami i podejmowała decyzje z taką łatwością, jak gdyby zmieniała kanały w telewizorze. Helen wiedziała, że ich rodzice patrzą z góry na wybryki Glorii i negatywnie oceniają jej zachowanie, a co gorsza, mają pretensje do Helen o to, że nie potrafi się lepiej zająć siostrą. Z pewnością mieli też pretensje o to, że zawiodła Lucie, choć Helen chciałaby zobaczyć, jak ktokolwiek poradziłby sobie z dziewczyną po jej powrocie z Kalifornii. Nikt nie potrafił do niej dotrzeć. Wydawała się wykuta z lodu i kamienia.

Koniec końców, Edward zaczął ignorować dziewczynę, którą kochał jak własną córkę, po tym jak siostrzenica regularnie raniła uczucia Helen. Przestał się starać i odnosił się do Lucie równie chłodno jak ona do nich.

Jednak Helen nie potrafiła jej nienawidzić. To dziecko kiedyś ich kochało - prawie tak mocno jak prawdziwych rodziców. Helen pociągnęła długi, palący łyk whisky. Choć Lucie opuściła ich, kiedy miała zaledwie osiemnaście lat, Helen wciąż marzyła o tym, żeby ją zobaczyć i ujrzeć jej uderzające podobieństwo do Glorii, która odeszła tak dawno... Jak wszyscy, którzy byli dla niej ważni.

Było jeszcze ciemno, kiedy Helen obudziła się nagle w rozkładanym fotelu z nieprzyjemnym posmakiem w ustach i lekkim bólem głowy. Ostatni album, który przeglądała, leżał pod dziwnym kątem na brązowym dywanie. Kilka stron było pogniecionych. W mroku spojrzała na zegarek. Minęła jedenasta. Prawie prze-gapiła wiadomości na kanale piątym.

Włączyła telewizor z nadzieją, że zobaczy Lucie, i tak się stało - jak gdyby siostrzenica czekała, aż Helen się obudzi. Tylko że tym razem to naprawdę była Lucie, a nie jej pokazywane co wieczór zdjęcie - upozowany portret, który w żadnym stopniu nie przypominał żywej osoby. To była prawdziwa Lucie, a Helen chłonęła każdy jej gest i minę.

Mężczyzna, który twierdził, że jest jej narzeczonym, porwał ją w ramiona. Jakie miał do tego prawo? Helen wiedziała, jak to jest. Przystojni mężczyźni z łatwością uwodzili

młode kobiety, a Lucie przypominała Glorię. Helen stwierdziła, że mężczyzna jest niemal tak wysoki jak Edward - byli do siebie uderzająco podobni, chociaż ten facet z pewnością nie dorastał do pięt jej mężowi. Stał się lokalnym bohaterem - tak jakby utrata ukochanej osoby robiła z kogoś gwiazdę.

Potrząsnęła głową i mruknęła. W takim razie ona powinna być królową Anglii. Straciła wszystkich.

Pociekło jej z nosa, a z oczu popłynęły łzy. Wytarła je rękawem. Władze jej nie wierzyły, ale jemu owszem. I proszę. Ta dziewczyna go nie kochała. Staruszka mogłaby im powiedzieć, że Lucie zachowywała się w ten sposób lata temu, kiedy trafiła do wujostwa. Helen wciąż wydzwaniała na policję i próbowała wyjaśnić, dlaczego z Lucie może być coś nie tak. Z początku traktowali ją protekcyjnie. Kiedy sprawa stała się poważniejsza, zrobili się sceptyczni, a teraz przy każdej próbie kontaktu po prostu ją zbywali.

Mężczyzna nazywał się Goodall. Pracował dla Boeinga. Mieszkał w Wallingford. Helen wiedziała, że jego numeru nie ma w książce telefonicznej. O, wiedziała o nim wszystko - a przynajmniej tyle, ile potrafiła wywnioskować z telewizji. Owszem, był wysoki i przystojny jak Edward i wyglądało na to, że ma indiańskie pochodzenie. Pewnie z początku dziewczynę to pociągało. Kiedyś kochała swojego wujka jak ojca. Edward był dla niej jak ojciec, chociaż nie przyszła nawet na jego pogrzeb. Helen niemal się z tego cieszyła. Nie chciała sobie wyobrazić, jak Edward przewraca się w wąskiej trumnie.

Boeing, pomyślała staruszka i poczuła, jak ruszają trybiki w zakurzonej mechanizmie jej umysłu -ta nazwa z czymś jej się kojarzyła. Pracuje dla Boeinga. Helen pomyślała, że ten numer bez trudu znajdzie w książce telefonicznej. Postanowiła, że sprawdzi tego całego Grady ego Goodalla, upewni się, co to za jeden. Może dzięki niemu uda jej się dotrzeć do Lucie. Helen zakaszłała w chusteczkę, czując pieczenie w starych płucach. Teraz albo nigdy, pomyślała.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

GRADY

Przyśniła mu się muzyka, znajoma piosenka. Jej dźwięk dobiegał z daleka, wpadał przez kolejne drzwi, a on nie mógł go dosięgnąć. Otworzył ostatnie drzwi, potknął się o próg i nagle się przebudził. Muzyka rozbrzmiewała dalej. Grady przetaił z oczu pajęczynę snu. Odwrócił się, żeby przytulić Lucie, zanurzyć twarz w jej karku i położyć dłoń na jej biodrze, dopóki sobie nie przypomniał, jak każdej nocy, że nie ma jej obok.

Tylko że teraz była. Grała na pianinie w piwnicy -choć podejrzewał, że potrafi grać, nigdy nie słyszał, żeby to robiła. Była to piosenka, którą wybrali na swój ślub. Uwielbiali ją, mimo że była staromodna. Kiedy przy jej dźwiękach ćwiczili taniec w salonie, Grady przejmował się tym, co pomyślą o nich sąsiedzi, jeśli zobaczą ich przez okno. Gdyby teraz Lucie zechciała z nim zatańczyć, już nigdy nie zastanawiałby się nad tym, co pomyślą inni.

Przewrócił się na bok, wstał z łóżka i zszedł na parter. Gra Lucie stawała się coraz głośniejsza i śmielsza. Czy ocknęła się i w ten sposób chciała dać mu to do zrozumienia? Czy powinien zbiec do piwnicy, porwać ją w ramiona? Nie, pomyślał. Jeśli zejdzie na dół, ona może przestać grać i popatrzeć na niego tym pustym spojrzeniem.

Zatrzymał się w korytarzu. Drzwi do pokoju gościnnego były otwarte. A co jeśli wejdzie, położy się na łóżku i na nią zaczeka? To by było okropne, pomyślał. Po prostu obleśne.

Nie potrafił sobie wyobrazić, że Lucie będzie musiała chodzić do psychiatry, brać leki. Dawnej by się jej to nie spodobało, ale prawdę mówiąc, jej nowa wersja zdawała się osobą o wiele bardziej odprężoną. Czy naprawdę tak ważne było, by przypomniała sobie dokładnie, co się z nią stało? On ledwo pamiętał większość dzieciństwa - tylko te chwile, które były najboleśniejsze.

Grady oparł się o ścianę i ześlizgnął do pozycji siedzącej, wyciągając nogi na drewnianej posadzce, tak że jego stopy dotknęły przeciwległej ściany. Zamknął oczy, żeby posłuchać. Ta piosenka mogła coś oznaczać, a on chciał się dowiedzieć, co wydarzy się dalej.

Ich pierwszy wspólny rok był dla Grady'ego zaskoczeniem. Słyszał o takim uczuciu - niepohamowanej namiętności, przez którą nawet w tłumie człowiek widzi tylko tę jedną jedyną i spóźnia się do pracy, bo zbyt długo leżał w łóżku. O miłości, która sprawia, że ukochanej osobie oddaje się wszystko i obiecuje kochać ją aż do śmierci - ale nigdy jej nie doświadczył. Dopóki nie zobaczył Lucie. A raczej dopóki nie zobaczył sposobu, w jaki na niego patrzyła.

Chociaż przez całe życie czuł na sobie czujne spojrzenia siedmiu kobiet, wzrok Lucie był inny. Mówił: „Jesteś mężczyzną” i „Jesteś interesujący/przystojny/pociągający” Mówił wszystko to, co wprawiało Grady'ego w miłe zażenowanie i sprawiało, że czuł wdzięczność. Nikt wcześniej nie postrzegał go w ten sposób.

Jego rodzina wciąż widziała w nim małego chłopca - jedyne, najmłodszego syna, który nie potrafił sobie poradzić ze śmiercią ojca. Nigdy nie zauważyła, że z tego wyrósł. Przypominał rodzinny zbiornik na wszystkie smutki - był urną ich żalu.

Podczas ich pierwszego wspólnego roku Lucie wydawała mu się fascynująca i tajemnicza, a niechęć do opowiadania o sobie stanowiła część jej uroku.

- Nic o tobie nie wiem - mówił - oprócz tego, że jesteś mądra i podniecająca, i...

- Że cię uwielbiam - kończyła, przykrywając jego usta swoimi i wtulając się w jego ciało. - Wiesz o tym, prawda?

Grady kiwał głową, jęczał z rozkoszy, a ona rzucała:

- Na razie wystarczy.

Kiedy nie dawał za wygraną, jej twarz zmieniała się w pozbawioną wyrazu maskę. Nienawidził tej miny. Odbierała mu jego ukochaną. Ale czasem mimo wszystko pytał. Uważał, że naprawdę powinien wiedzieć więcej o *jej* rodzinie i przeszłości. Ich związek stawał się coraz poważniejszy.

Mniej więcej pod koniec pierwszego wspólnego roku zadał o jedno pytanie za dużo, a ona się rozgniewała.

- W porządku - rzuciła. - Chcesz wiedzieć? Moi rodzice nie żyją. Ciotka i wuj nie mieli wyboru i musieli mnie przygarnąć, kiedy miałam piętnaście lat. Wszyscy byliśmy z tego powodu nieszczęśliwi i odetchnęliśmy z ulgą, kiedy wyjechałam na studia. W porządku? Jesteś usatysfakcjonowany? Moje życie rodzinne było katastrofą.

Grady pożałował, że tak na nią naciskał.

- Przepraszam, nie wiedziałem - odparł. - Dlaczego po prostu mi o tym nie powiedziałaś? Jezu, jak umarli twoi rodzice? - Zastanawiał się, czy zginęli razem, a może odeszli osobno. Czy zabrała ich choroba, wypadek?

Zamknęła oczy i potrząsnęła głową. Cokolwiek sobie przypominała, nie było to przyjemne.

- Przepraszam - powiedział, przytulając ją. Postanowił, że pozwoli *jej* o tym opowiedzieć, kiedy będzie gotowa.

W ciągu czterech następnych lat tak się nie stało. Nigdy nie dowiedział się niczego więcej o dzieciństwie Lucie, nawet kiedy delikatnie ją podpytywał. Od czasu do czasu wspominała o ciotce - jedynej żyjącej krewnej, jaka jej została. Jej wuj także zmarł, kilka lat po tym jak Lucie odeszła z domu. Ciotka była nadopiekuńcza i nie szanowała jej prywatności - wciąż obsesyjnie martwiła się o siostrzenicę. Wuj powiedział Lucie, że jeśli nie potrafi się dogadać z ciotką, nie jest mile widziana w ich domu. W wieku szesnastu lat wraz ze szkolnym pedagogiem ułożyła plan i uczyła się na tyle dobrze, żeby po liceum dostać stypendium na Uniwersytet Waszyngtoński.

Grady wiedział, że te doświadczenia - chociaż okropne - sprawiły, że Lucie

stała się kobietą, którą kochał: rozumną i samodzielną. Kimś, komu udało się przetrwać. Miała wszystkie te cechy, o których marzył, a których nie nabył jako chłopiec hołubiony przez rodzinę. Jednak jej rodzina także ją zraniła, a on przysiągł, że będzie ją kochał mocno, by jej to wynagrodzić.

Nie powiedziała mu, jak umarli jej rodzice. Czasem zastanawiał się, czy w ogóle to wiedziała albo czy wiedziała zbyt wiele. Dotykał palcem trzech kręgów na jej udzie - był pewien, że są to ślady po przypalaniu papierosem - i pytał, skąd je ma.

- Zawsze je miałam - odpowiadała.

Martwił się, że sama sobie to zrobiła, chociaż nie miał pojęcia, czy Lucie kiedykolwiek paliła. Miała kilka cienkich białych blizn wokół kostek. Podobne widział u swojej kuzynki Ronnie Lynn, która cięła się jako nastolatka. To wszystko okazało się jednak zbyt smutne i zbyt trudne - łatwiej im było o tym nie rozmawiać. Poza tym każdy mężczyzna na jego miejscu z radością pokochałby kobietę taką jak ona - kobietę, która nie czuła potrzeby omówienia każdej chwili z przeszłości, nie rzucała w niego bagażem dawnych związków i nie naciskała na niego, jeśli nie miał ochoty rozmawiać. Ona także nie miała na to ochoty - nie chciała mówić o emocjach, uczuciach, dawnych urazach ani bliznach.

Mimo to po roku ich namiętność przygasła, a zastąpiła ją rzeczywistość budowania związku. Lucie posiadała silną osobowość i życzyła sobie, by pewne sprawy wyglądały w określony sposób. Zanim zaczęli planować ślub, Grady stwierdził, że akceptuje to wszystko, dopóki Lucie jest szczęśliwa. To, czego nie potrafił znieść, kompresował, zmniejszał i przekształcał w myślach, aż mieściły się w maleńkiej, zamykanej skrytce w jego mózgu, gdzie przechowywał inne nieprzyjemne sprawy: porażki, świadomość, że z jakiegoś powodu nigdy nie będzie godzien Lucie, oraz myśli o tacie -łososiu, który wiecznie się od niego oddalał.

Ciemność ustąpiła, a przez okna wpadało światło słoneczne. Grady zasnął na twardej podłodze z głową przechyloną na prawo i obolałymi mięśniami karku. Drzwi pokoju gościnnego były zamknięte. Zakrył twarz dłońmi i oparł się o ścianę.

Widziała, jak śpi. Na pewno chrapał. Jezu.

Czuł, że musi popływać. Pójść do pracy. Zrobić coś normalnego. Chociaż Lucie zachowywała się dziwnie, jej stan był stabilny, a ona sama wydawała się zadowolona z tego, że jest w domu.

Grady jęknął i podniósł się z ziemi. Na podłodze tuż przed pokojem gościnnym leżał niewielki kawałek papieru. Podszedł cicho, żeby go podnieść. „D A Y Y L U L U”, przeczytał. Potrząsnął głową. Może umysł Lucie wciąż iskrzył jak uszkodzony przewód pod napięciem. Zaniósł notatkę do kuchni i położył ją na blacie, żeby znalazła ją po przebudzeniu.

Nastawił ekspres do kawy, po czym wspiął się po schodach, żeby się ubrać i spakować kąpielówki. Miał zamiar zostawić Lucie karteczkę z numerem swojej komórki, bo oczywiście już go nie pamiętała.

Co mogło się stać z *jej* telefonem? Przechowywała w nim wszystko. Pokręcił głową. Nie znał *jej* hasła. Mógł spróbować namierzyć aparat przez operatora, ale lepiej było dać sobie z tym spokój. Wszystkie wiadomości, które znajdowały się w aparacie, przypominały teraz duchy z minionej epoki.

Godzinę później Grady znalazł się w biurze, a kiedy zatrzasnęły się za nim szklane drzwi, poczuł, że jest bezpieczny. Potrafił rozwiązać problemy, które rodziły się tutaj. Tak jak przewidział, dzień wypełniony był różnymi sprawami. Te, które kiedyś były ważne i nie-cierpiące zwłoki, teraz wydawały mu się trywialne, a jednocześnie zupełnie odurzające. Jego umysł wypełniały techniczne szczegóły. Ludzie na niego liczyli, a on poczuł dawne szarpnięcie, które sprawiało, że całkowicie poświęcił się pracy.

Późnym popołudniem Grady siedział w swoim boksie podczas jednej z niewielu przerw pomiędzy spotkaniami. Spojrzał na ekran komórki - brak wiadomości od Lucie - i wsunął ją z powrotem do futerału, kiedy zadzwonił telefon na jego biurku. Pracownicy Boeinga nie komunikowali się już za pomocą telefonów stacjonarnych. Jego rodzina zawsze dzwoniła na komórkę. Czy Lucie próbowała go namierzyć przez główny numer Boeinga? Przecież zostawił *jej* karteczkę.

- Halo? - Jego serce zabiło nieco szybciej, jak zawsze kiedy dzwoniła, żeby zapytać, co sływać.

- Czy rozmawiam z Gradym Goodallem? - zapytała starsza kobieta. Nie była to jego matka ani Donna z księgowości.

- Tak.

- Panie Goodall, nazywam się Helen Dziesięć Dłoni? - Było to pytanie czy zdanie twierdzące? I czy rzeczywiście powiedziała „dziesięć dłoni”?

- Tak?

- Cóż, panie Goodall. Wiem, że to trochę dziwne i być może nie powinnam do pana dzwonić, ale musi pan wiedzieć, że Lucie Walker to moja siostrzenica. Byłam jej opiekunem prawnym.

Ciotka, której Lucie nienawidziła.

- Tak? - powtórzył. Czuł jednocześnie niechęć i głód informacji. Sięgnął po kartkę i długopis.

- Widziałam was wczoraj w wieczornych wiadomościach. Prawdę mówiąc, śledziłam tę całą sprawę. Kiedyś rodziny nie dzieliły się takimi wydarzeniami z całym światem, ale cóż. Chyba nie można pana nazwać *jej* rodziną. Tak czy siak,

próbowałam dodzwonić się do szpitala, w którym ją pan odnalazł, ale tam uznano mnie za wariatkę.

- Ojej - rzucił Grady. - Ale...

- Ale panu uwierzyli. - Lekko odchrząknęła. - Oczywiście nie zrobili tego na podstawie pańskiej elokwencji. Ufam, że ma pan jakiś dowód, bo inaczej nie wydaliby panu Lucie. Czy nie tak, pani Goodall?

- Oczywiście - wyjąkał. - Skąd mam wiedzieć, że naprawdę jest pani jej ciotką?

- Mieszkacie razem, jak mniemam? Dzielicie łóżko, nie zwracając sobie głowy ślubem?

Grady się zarumienił.

- Cóż, ja... - Westchnął. - Tak, proszę pani.

- W takim razie pan także wie o jej bliznach. - Grady wciągnął powietrze tak głęboko, że ślina wpadła mu do tchawicy. Zakrztusił się. - Wszystko w porządku, synu? Czy jest tam ktoś, kto może cię stuknąć w plecy?

- Nie, nie, już w porządku - wyrzęził, po czym ponownie odkaszlnął, zanim znów zdołał coś powiedzieć. - Tak, wiem, że ma blizny. Ona twierdzi, że to znamiona.

Kobieta cmoknęła.

- Może mi je pan opisać, żebym miała pewność?

Grady zamknął oczy.

- Trzy kręgi na górze prawego uda. To oparzenia po papierosie, prawda? Wiedziałem, ale ona zawsze...

Kobieta pociągnęła nosem i po drugiej stronie słuchawki rozległ się szelest chusteczki.

- Jak to się stało? - zapytał.

- Wiem tylko, że kiedy nas opuściła, nie miała tych blizn. To się stało po ich odejściu. Może mi pan wierzyć, że kiedy ją odzyskałam, było z nią o wiele gorzej.

- Skąd ją pani odzyskała? Co się stało z nią, z jej rodzicami i...

- Cóż, to chyba jej sprawa. Gdyby chciała się tym z panem podzielić...

- Kłopot w tym, że ona nic nie pamięta, pani Dziesięć...

- Dłoni. Mój numer to... Ma pan ołówek? Ona potrzebuje teraz rodziny, panie Goodall.

Grady zanotował numer, który wymieniła jednym tchem. Zastanawiał się, jak ją przekonać, żeby zdradziła mu więcej.

- Ja jestem jej rodziną. Proszę mi wierzyć, nikt nie jest bliższy Lucy niż ja.

- Proszę jej tylko przekazać, żeby do mnie zadzwoniła.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. Zgodnie z tym, co mówiła Lucie, starsza pani była gderliwa, wymagająca i lekko stuknięta. Wsunął kartkę do torby i spakował laptop. Kiedy zatrząskiwiał klamry, trzęsły mu się ręce.

Czuł, że długa sesja w basenie pomoże mu się uspokoić.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

LUCIE

Zamiast w jasnej bieli szpitala Lucie obudziła się w przytłumionej szarości i rozejrzała się za zegarkiem. Czuła się dezorientowana, dopóki nie przypomniała sobie, że jest w Seattle. „W domu”, cokolwiek to oznaczało.

Położyła się późno. Grała piosenkę za piosenką, dopóki nie powróciły do niej jak odwijane z papieru prezenty: jazz i klasyka, rock, utwory Beatlesów - tak jej się wydawało, a może był to jakiś inny zespół? Wiedziała tylko, że to coś starego.

Po pierwszej melodii nie było już słów ani tytułów, tylko nuty grane glissando lub staccato, progresje akordów, refreny i harmonizowanie. Tak jak wcześniej czuła czyjaś obecność na taborecie, czyjeś małe dłonie na klawiaturze obok swoich. Może przypominała sobie coś z dzieciństwa, swoje palce układające się na klawiszach - grała tak dobrze, że musiała to robić od wielu lat. Litery wydrapane na taborecie były dla niej tajemnicą, ale z jakiegoś powodu zdawały się z tym wszystkim związane. Zapisała je na kartce, żeby je rozszyfrować.

Wykończona, wspięła się cichutko po schodach - jak gdyby to ich skrzyknięcie mogło obudzić Grady ego, a nie muzyka. Zastała go śpiącego w korytarzu. Słuchał jej gry - była to myśl tak głęboka i poruszająca, że poczuła przyływ miłości. Pewnie w ich dawnym życiu wciąż dla niego grała i tak właśnie się wtedy czuła. Przez chwilę stała bez ruchu i obserwowała, jak Grady śpi. Dlaczego nie zszedł do piwnicy, kiedy ją usłyszał? Czy zrobiłby to, gdyby działo się to jeszcze przed jej zniknięciem, a ona była kobietą, którą wtedy kochał? Miała wrażenie, że ta nowa Lucie jest dla niego zbyt dziwna i niepokojąca, żeby zachowywał się naturalnie. Westchnęła. Cóż, muzyka musiała mu przynieść ukojenie, skoro usiadł na twardej podłodze i słuchał, dopóki nie zasnął. Przyniosłaby mu poduszkę, ale siedział. Przyniosłaby mu koc, ale było ciepło. Co powinna zrobić, żeby znów stać się tą Lucie, którą kochał? Ta myśl była dla niej zbyt bolesna, więc położyła się po prostu do łóżka.

Teraz wciągnęła z powrotem dzinsową spódnicę. Spała w T-shircie. Kiedy

wyszła z pokoju, Grady ego już nie było. Zostawił kawę w kubku termicznym wraz z liścikiem, w którym wyliczał, gdzie Lucie znajdzie wszystkie produkty na śniadanie. Informacja wydawała jej się zdawkowa, dopóki na dole kartki nie zobaczyła podpisu: „Kocham, G.". Uśmiechnęła się i odwróciła kartkę. Był to ten sam papier, na którym poprzedniej nocy zanotowała litery. Zastanawiała się, gdzie ją znalazł i czy zgadł, co to takiego. Może będzie potrafiła poskładać to wszystko w całość, kiedy trochę pobędzie w domu i kiedy zacznie jej wracać pamięć. Lekarze powiedzieli, że szansa na to wynosi dziewięćdziesiąt procent. Dlaczego więc zdawało jej się, że *jej* wspomnienia są tak daleko?

Lucie przeczesła włosy palcami i westchnęła. Śniadanie. Potem prysznic. Wszystko w swoim czasie. Zrezygnowała z owsianki i płatków śniadaniowych z błonnikami, o których Grady wspominał w liściku. W głębi lodówki znalazła woreczek z samotną piętka chleba z ziarnami. Wrzuciła ją do tosterka i grubo posmarowała dżemem. Pomyślała, że później przejdzie się po okolicy i poszuka sklepu spożywczego. Grady wspominał, że wszystkie zakupy robili kilka przecznic dalej. Najpierw jednak powinna w końcu wejść do sypialni, czego unikała od czasu wczorajszego powrotu do domu. Była to najintymniejsza przestrzeń dawnej Lucie, a ta Lucie wciąż nie wiedziała, czy chce ją poznać. Potrzebowała jednak czystych ubrań i musiała wziąć gorący prysznic. Wstała, oblizując ubrudzone dżemem palce. Już czas.

Weszła po surowych drewnianych stopniach, a kiedy znalazła się na górze, odetchnęła z ulgą. Nie zastała tu chłodnej perfekcji, która panowała w pozostałej części domu. Pokój migotał ciepłym złotawym światłem i był lekko zabałaganiony - przez oparcie krzesła przewieszane były ubrania Grady ego, który pospiesznie narzucił na łóżko kapę w odcieniu cynamonu. Przez wychodzące na południe okna wpadał lekki chłodny wiaterek, a w oddali malowała się impresjonistyczna panorama Seattle w otoczeniu morza i liści.

Po której stronie łóżka spała? Przyjrzała się przedmiotom ułożonym na dwóch stolikach nocnych. Na każdym z nich znajdowały się lampa, stos książek i oprawione w ramkę zdjęcie ich obojga. Podniosła fotografię stojącą bliżej. Przedstawiała ich dwoje w otoczeniu światłocieni. Ich kontrastujące karnacje do siebie pasowały. Mieli na sobie formalne stroje z okazji jakiegoś wydarzenia i oboje uśmiechali się jakoś nienaturalnie. Ich uśmiechy były fałszywe, jak wtedy gdy na przyjęciu ktoś wyciąga aparat i celuje nim komuś prosto w twarz.

Przeczołgała się przez łóżko, żeby wziąć drugie zdjęcie, po czym położyła się na plecach i porównała fotografie. Z przyjemnością zauważyła, że pościel przesycona jest zapachem Grady'ego. A więc on spał po tej stronie. Jego zdjęcie zostało zrobione w

kuchni wykładanej niebieską tapetą w kwiaty. Siedzieli nad ogromnymi kawałkami ciasta. Grady obejmował ją ramieniem i przyciągał do siebie. Lucie wiedziała, jak bardzo ją kocha. A przynajmniej ta Lucie ze zdjęcia. Czuli się ze sobą swobodnie i szczęśliwie. Zastanawiała się, czy to kiedyś wróci.

Stos książek potwierdził, że ta strona rzeczywiście należy do Grady ego: *100 lat lotnictwa. Zarządzanie projektami lotniczymi od A do Z*. Wspomniał, że pracuje dla Boeinga. Dlaczego nie zadała mu dodatkowych pytań o pracę? Postanowiła, że zrobi to wieczorem.

Lucie usiadła i przejrzała książki po swojej stronie łóżka:

Siła własnej osobowości. Myślenie optymalne. Ósmy zwyczaj: od efektywności do doskonałości. Miała wrażenie, że te lektury są trochę beznamiętne, a nawet żalotne.

Wyciągnęła górną szufladę stolika nocnego, w której znajdowało się kilka pudełek. W jednym z nich znalazła pilnik do paznokci, balsam do ust Burt's Bees i krem do rąk, a także tubkę lubrykantu K-Y. Lucie poczuła, że się rumieni. W innych pojemniczkach leżały agrafki, guziki, mały notatnik i długopis oraz miniaturowe buteleczki paracetamolu i leku na zgagę.

W głębi szuflady przyciągnęło jej uwagę zwykle plastikowe pudełko. Wyciągnęła je i otworzyła, w środku znalazła gadżet erotyczny o dziwnym kształcie. Był to wibrator w malinowym kolorze z różnymi nietypowymi wypustkami.

Oszołomiona Lucie doszła do wniosku, że jest sztywną pedantką skrywającą dziką naturę. Oblała się rumieńcem, a więc przez pięć długich lat jej relacje z Gradem były tak intymne. Oczywiście, że tak! Dlaczego czuła się zawstydzona? Nie wiedziała, czy będzie potrafiła spojrzeć mu w oczy, kiedy Grady wróci z pracy, i nie myśleć o tym, co on wie o niej, ani o tym, czego ona o nim nie wie. Wiedział, jak Lucie wygląda nago - i to pewnie z każdej strony. Znał każdy centymetr kwadratowy jej ciała, wiedział, jaka... jaka była pod tym względem. W łóżku. Ona sama tego o sobie nie wiedziała. Czy powinna płakać, śmiać się, a może spakować swój ubogi dobytek i odejść? To wszystko było zbyt nienormalne - ona była nienormalna. Musiała być, skoro nie pamiętała nawet czegoś takiego.

Lucie leżała na plecach, zakrywając twarz dłońmi, a w jej gardle rosła panika. Jak mogła nie wiedzieć o sobie niczego - nie znać żadnego głupiego szczegółu? Jaki bóg był aż tak okrutny? Czy wierzyła w Boga? Przez chwilę się zastanowiła i uświadomiła sobie, że nie wie nawet tego. Do oczu napłynęły jej łzy, lecz nie miała zamiaru płakać. Nie. Żadnego płaczu. Jednak po chwili łkała, a jej brzuch skręcał się w spazmach. Żyła od trzydziestu dziewięciu lat, z których pamiętała tylko cztery dni. Gdzie przebywała w czasie, kiedy zaginęła? Jakim cudem znalazła się tak daleko? Co

wydarzyło się po drodze?

Dlaczego towarzyszyła *jej* myśl, że gdzieś kogoś porzuciła - kogoś, kto od niej zależał? Pewnie mogła to być jej ciotka, ale Grady wspominał, że nie były sobie bliskie. Zdawał się jedyną osobą w jej życiu, ale nie chodziło o niego. Chociaż bardzo ją kochał i za nią tęsknił, była tego pewna.

Jak mogła się wdać z nim w awanturę tak traumatyczną, że zupełnie postradała zmysły? Usiadła. To musiała być potężna kłótnia.

Płacz ustał równie nagle, jak się zaczął. Czego Grady jej nie mówił? Pod tą historią musiało się kryć coś jeszcze. Nerwy przed ślubem nie sprawiały, że normalni, zdrowi na umyśle ludzie tracili wspomnienia. Albo nie była normalna, albo pomiędzy nią i Gradem zaszło coś naprawdę poważnego. Czy była przy nim bezpieczna? Tak, o czym była przekonana, choć teraz ledwo go знаła. Jednego była pewna: potrzebowała więcej informacji, i to nie od kolejnego psychiatry, który nic o niej nie wiedział. To, czego chciała się dowiedzieć Lucie, znajdowało się wokół, w tym domu, w szufladach, szafkach i dokumentach. I w Gradym.

Wytarła twarz w T-shirt, po czym ściągnęła go przez głowę. Postanowiła, że weźmie prysznic, znajdzie czyste ubrania, a potem dowie się, co takiego wydarzyło się w dniu, w którym uciekła.

Kosmetyki wysypywały się z każdej szuflady, półki i szafki w łazience. Półeczka pod prysznicem zavalona była szamponami, peelingami, odżywkami i kremami do stóp. A myślała, że zawartość jej torebki była przesadą. Czy naprawdę stosowała te wszystkie preparaty? Wyglądało na to, że oprócz kremu do golenia, dezodorantu i pasty do zębów niewiele z tych rzeczy należy do Grady ego. Łazienkę wypełniały kosmetyki świadczące o typowym kobiecym braku pewności siebie: kremy wygładzające do łokci, preparaty przywracające napięcie powiek, korektory do przebarwień, kremy przeciwzmarszczkowe. W jednej z szuflad znalazła duplikaty kosmetyków do makijażu, które miała w torebce. Natomiast szafka poniżej zawierała produkty do stylizacji włosów: balsamy, musy, kremy, żele i spraye. Czy którykolwiek z nich przeznaczony był do dzikich, wspaniałych fal Grady ego? Ona miała tak mało włosów - po co jej było tyle rzeczy?

Lucie wzięła szybki prysznic, znalazła balsam o przyjemnym zapachu i nałożyła go na twarz i ciało, posmarowała pachy dezodorantem o kobiecym zapachu, który znalazła w szafce, po czym przeczesła włosy palcami. Stała przed lustrem, wpatrując się w odbicie swojej niezbyt ładnej twarzy. Zaczynała ją rozpoznawać. Odwróciła głowę w lewo, potem w prawo, odchyliła ją do tyłu i z powrotem. Patrzyła w odbicie własnych oczu. Miały interesujący odcień zieleni.

Czy podobały się Grady emu? Westchnęła i ruszyła na poszukiwania czystej bielizny.

Uznała, że większa komoda należy do niej, i otworzyła górną szufladę, w której znalazła porządnie poskładaną jedwabną bieliznę w zgaszonych odcieniach. W głębi dostrzegła stos bawełnianych fig i wyciągnęła parę. Staniki wyglądały na zbyt wymyślne i niewygodne, a jej biust i tak był niewielki. Zamknęła szufladę. Każda kolejna wypełniona była po brzegi, a we wszystkich panował niezwykle porządek, który podkreślała ograniczona paleta barw: beżu, szarości i brązu. Kilka sztuk utrzymanych było w czerni i bieli. Przed zamknięciem każdej z szuflad przesuwała dłońmi po tym, co zawierała, i robiła lekki bałagan, żeby poczuć się swobodniej. W dolnej szufladzie znajdowały się stroje sportowe - getry i spodnie do jogi. Długie, dopasowane koszulki i bluzy z kapturami. Lucie odetchnęła z ulgą, po czym sięgnęła po czarne getry, biały T-shirt i szarą bluzę. Na dworze panował jeszcze poranny chłód.

Szafa była równie przeładowana co szuflady. Otworzyła ją, żeby znaleźć jakieś buty. Wybór ubrań okazał się fascynujący. Oprócz rzędów kobiecych garsonek i biznesowych strojów był tu krótki wieszak z sukniami wieczorowymi, kilka czarnych płaszczy i całe stosy pudełek z butami. W każdym z nich znajdowała się droga para: srebrne sandały z rzemyków, ozdobione świecidełkami baletki, trzy pary klasycznych czarnych szpilek o trzech różnych wysokościach obcasa - znalazła także czerwone i cieliste. Wzdłuż ściany stały w szeregu buty sportowe. Zauważyła, że nie wszystkie ubrania były noszone. Niektóre z nich wciąż miały metki i tkwiły w plastikowych pokrowcach. Za ubraniami znajdowały się paczki - niektóre otwarte, inne nie. Na etykietach adresowych widniały nazwy, takie jak Saks, Zappos, Designer Discount i Sephora. To tak jakby otrzymała misję skompletowania jak największej ilości rzeczy bez względu na realne potrzeby. Lucie westchnęła. Skąd jej się to wzięło?

Wybrała najbardziej zużytą parę sportowych butów i włożyła je. Ze zdumieniem zauważyła, że są idealnie dopasowane do jej stóp. Pewnie często w nich chodziła. Ta myśl była pocieszająca. Najwyraźniej nie nosiła wyłącznie szpilek.

Lucie ogarnęła teraz jeszcze większa ciekawość. Kolejnym pokojem, którego dotąd unikała, był gabinet. Należał do niej czy do Grady ego? A może do obojga? Zeszła na dół.

Przechodząc przez salon, przypominała sobie poprzednią noc i to, że czuli się ze sobą niemal swobodnie przy telewizji i butelce wina. Gdyby nie wieczorne wiadomości, może zrobiliby postęp. Skręciła za róg do gabinetu i zatrzymała się w progu.

W dwóch przeciwległych kątach znajdowały się dwa stanowiska pracy - eleganckie biurka z minimalistycznymi szafkami. Tu łatwo je było od siebie odróżnić. Na blacie Grady'ego beztrząsanie porzucane były pamiątki z jego życia: oprawiona w ramkę fotografia ludzi o ciemnej karnacji, którzy musieli być jego rodziną, papierowe samoloty i para uszkodzonych okularków (chyba takich do pływania). Na drugim biurku panował porządek - leżał na nim tylko cienki srebrny laptop. Lucie zastanawiała się, czy go otworzyć. Tymczasem wysunęła szuflady i znalazła w nich foldery oznaczone etykietami, na których widniały nazwiska Josh Clark, Indu Parekh, Buppha Srisai oraz nazwy firm, takich jak Google, Compu-Com, InterStat, Microsoft i, tak, Boeing. Szukała teczek z nazwiskiem Grady'ego, ale niczego nie znalazła. Zawiedziona, wyciągnęła pozostałe szuflady, zastanawiając się, czy znajdzie w nich jakieś osobiste notatki, listy albo notesiki z adresami - coś, dzięki czemu dowie się czegoś o swoich znajomych. Znalazła w nich jednak takie same pojemniczki jak w sypialni, a w nich spinacze, gumki recepturki, długopisy, ołówki, kilka dodatkowych pilników i krem do rąk. W głębi, podobnie jak wibrator na górze, leżały spięte gumkami stosiki broszurek. Kolejny sekret, pomyślała Lucie. Wyciągnęła foldery i je przejrzała. Ośrodki spa, kosmetyczki gwarantujące odnowę skóry, dentyści specjalizujący się w pięknych uśmiechach. I oczywiście chirurdzy plastyczni. Niektórzy z Seattle, inni z Los Angeles, a nawet z Bahamów. Lucie ponownie związała ulotki gumką i wsunęła stosik z powrotem do szuflady. Czy naprawdę była aż tak próżna? Czy Grady chciał, żeby poddała się tym wszystkim zabiegom? Próbowała sobie przypomnieć, dlaczego zachowała te ulotki, ale kosztowało ją to zbyt wiele wysiłku - poczuła pustkę i rozpacz. Wyglądało na to, że nigdy się nie dowie, co myślała wtedy ani kiedykolwiek.

Spojrzała na laptop i westchnęła. Czy powinna go otworzyć? Czy przez swoje zniknięcie nie dokończyła czegoś, co powinna była zrobić? Kogo zawiodła? Jakich spustoszeń dokonała w życiu innych ludzi?

Lucie wzięła głęboki oddech i zamknęła oczy. Czy miało to jakiegokolwiek znaczenie? Teraz nie mogła im już pomóc - ta myśl jednocześnie ją zabolowała i przyniosła ulgę. Najwyraźniej nie posiadała komórki - a przynajmniej już jej nie posiadała. Pewnie zgubiła ją albo wyrzuciła po swoim odejściu. Pewnie gdzieś w eterze czekała na nią masa wiadomości, których nigdy nie odzyska, od ludzi, którzy nigdy nie otrzymają odpowiedzi.

Otworzyła oczy. Przysunęła do siebie laptop i podniosła pokrywę. Wiedziała, jak to zrobić. Znała ikonki, które pojawiły się na ekranie - wiedziała, pod którą kryje się skrzynka pocztowa, a pod którą wyszukiwarka. Znała dźwięki, które

wydawały przy otwarciu. Kiedy jednak otworzyła skrzynkę pocztową i przeskanowała listę przychodzących maili, nie rozpoznała żadnego z nazwisk. Wiele wiadomości stanowiła poczta śmieciowa ze sklepów internetowych i firm zajmujących się dystrybucją kuponów. Oczywiście były też maile od ludzi, których znała, a większość adresów zawierała nazwy firm technicznych. Inne miały domenę Gmail albo Yahoo. Nie rozpoznała żadnego z nich, więc przestudiowała listę tematów, żeby sprawdzić, które z nich powinna otworzyć. Kto się o nią martwił? Kto podczas jej nieobecności napisał, że o niej myśli albo modli się, żeby wróciła cała i zdrowa? Informacja na temat jej zniknięcia pojawiła się w wiadomościach, zawisła na słupach telefonicznych. Kto spośród setek nadawców pisał do Lucie--osoby, a nie do Lucie-konsumentki albo rekruterki?

„Dostępny od pierwszego lipca”. „CV w załączniku”. „Czy są już jakieś nowe oferty dla programistów?” Te wiadomości pochodziły od ludzi, którzy czegoś od niej chcieli. Znalazła też kilka podziękowań i próśb o ponowne przesłanie faktury. Pewnie ktoś *jej* jeszcze nie zapłacił.

Lucie spojrzała na daty. Poza automatycznymi wiadomościami śmieciowymi od dwudziestego ósmego czerwca nie dostała żadnej wiadomości. W ciągu ostatnich dziesięciu dni nikt nie próbował się z nią skontaktować.

Poddali się, zajęli swoim życiem. Z westchnieniem zamknęła komputer i wyszła z gabinetu. Czowała, że przydałby jej się spacer. I prawdziwy posiłek. Świat zewnętrzny wydawał jej się o wiele bardziej obiecujący niż ten, w którym przebywała do tej pory.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

GRADY

Nie odebrała, kiedy dzwonił na numer domowy w południe i tuż przed wyjściem z biura. Teraz w szatni siłowni Sound Fitness czuł, jak ogarnia go panika. Tak bardzo starał się nie martwić, nie wpadać w obsesję, pozwolić Lucie na odrobinę swobody.

Może nie odebrała telefonu, bo myślała, że dzwoni u sąsiadów. A może wyszła z domu? Przecież nie wiedziała nawet, dokąd iść. Czy nie zabłądzi? Nie dopuszczał do siebie myśli o tym, że znów mogłaby odejść.

Zdażył już włożyć kąpielówki, wcisnąć włosy pod czepek i przygotować okulary do pływania. Czy powinien się ubrać i wrócić do domu? Gdyby na dzień przed jej odejściem nie był taki uparty, być może uniknęliby tego całego zamieszania. Odwrócił się w stronę szafki. Powinien jechać do domu.

Otworzył drzwiczki i potrząsnął głową. Jeśli teraz wróci do domu, będzie podenerwowany i ponury. Lucie potrafiła korzystać z telefonu, miała jego numer. Jakimś cudem przetrwała sama tydzień w San Francisco. Przetrwa też pierwsze pół dnia sama w domu. Wszystko się w nim skręcało, ale nie mógł jej pilnować dzień i noc. Przypomnił sobie coś, co matka powiedziała po tym, jak ich ojciec nie wrócił z ostatniego połowu, a jego siostry wpadły w histerię: „Dziewczynki, to nie nasza wina. Naszym zadaniem nie było utrzymać go przy życiu”.

Kiedy Grady był chłopcem, obwinał się o śmierć ojca, teraz wiedział, że było to irracjonalne. Powinien był być lepszym synem. Powinien był bardziej uważać, kiedy ojciec próbował go nauczyć słów w starym języku (Grady wstydził się tego przez dziećmi z sąsiedztwa). Powinien był baczniej się przyglądać, kiedy tata pokazywał mu, jak nawinąć żyłkę na kołowrotek, tak żeby nie płała się przy zarzucaniu wędki. Ale Grady nie chciał się uczyć wędkowania. Chciał, żeby ojciec pokazał mu, jak się rzuca frisbee albo jeździ na jednym kole na rowerze, który dzielił z siostrami. Nawet kiedy jego ojciec próbował, jasne było, że nie jest w tym zbyt dobry. Grady wciąż spadał z siodelka na podjeździe, a rower uciekał mu spod nóg. Rzucał frisbee zbyt daleko i musiał je gonić po ulicy. Dzieciaki śmiały się z niego zza płotów skryte w bezpiecznej przestrzeni wyłysiałych trawników. Nawet wtedy Grady wiedział, że nie były to porażki ojca, tylko jego samego. Wciąż czuł pieczenie pod powiekami i pamiętał minę, jaką miał tata, kiedy chłopak odwrócił się i wszedł do domu.

Grady zatrzasnął szafkę mocniej, niż zamierzał, przekręcił szyfr na kłódce i przeszedł bosy po posadzce z niebieskich kafelków prowadzącej do basenu.

Większość stałych bywalców, którzy odwiedzali basen w porze lunchu, była już w wodzie - starszy facet z przekłutym uchem, który jeździł srebrnym bmw, dzielił tor z młodą kobietą o szerokich biodrach, która zawsze mówiła „dzień dobry”, kiedy mijali się przy basenie. Trzech młodych i aroganckich przedstawicieli Boeinga

zajął po jednym torze, co zawsze strasznie wkurzało Grady'ego. Pływali na mniej więcej jednakowym poziomie i w jednakowym tempie, a jednak nigdy nie zajmowali jednego toru. Ludzie wciąż dzielili się torami, zwłaszcza kiedy na basenie było tłoczno. Stali bywalcy byli do siebie tak przyzwyczajeni, że nikt już nikogo nie pytał, tylko wskakiwali do basenu w odpowiednim momencie. Grady nieraz próbował zająć ten sam tor co faceci z Boeinga, ale ci poruszali się zbyt szybko i opływali go, przez co czuł się stary i śmieszny.

Po zewnętrznym pasie znajdującym się najdalej od wejścia pływał samotny mężczyzna, którego Grady nie rozpoznawał. Podszedł i zakreślił ramionami, czekając, aż pływak zbliży się do przeciwległej ściany. We właściwym momencie Grady wskoczył do basenu, a zanurzenie się w wodzie natychmiast przyniosło mu ulgę. Czuł się dobrze. Tak dobrze, że postanowił zostać i popływać.

Kiedy mieli się minąć, Grady zdał sobie sprawę, że mężczyzna nie zamierza mu ustąpić. Przedramię Grady'ego zaryło o ścianę basenu, kiedy przesunął się na prawo, by przepuścić pływaka, a zdarta skóra zapiekła go od chloru. Było mało prawdopodobne, by mężczyzna go nie zauważył, może po prostu nigdy wcześniej nie dzielił z nikim toru. Nie był najgorszym pływakiem, jakiego Grady widział, lecz miał kiepską kondycję.

Na końcu toru Grady przygotował się do nawrotu, który wykonał dość przyzwoicie. Może dzień wolny dobrze mu zrobił. Szło mu nieźle. Kiedy dotarł do połowy toru, mężczyzna znów nie usunął się na bok, więc Grady się wynurzył i pokazał dłonią, żeby pływak minął go z lewej.

Zamiast tego mężczyzna przepłynął nad Gradym, rzeżąc:

- Wal się, Winnetou, spieprzaj z mojego toru - po czym znów zanurzył głowę.

Wstrząśnięty Grady wyciągnął ramię, żeby wziąć zamach, ale czuł się roztrzęsiony, a ręka go nie słuchała.

Zgubił rytm, a kończyny sprawiały wrażenie zrobionych z gumy. Był tak wkurzony, że jego oddech stał się płytki. Co ten facet sobie myślał?

Przygotowując się do kolejnego nawrotu przy ścianie, Grady za późno uświadomił sobie, że przyjął niewłaściwą pozycję. Żeby ją skorygować, zbyt mocno zarzucił stopami, a jego piety łupnęły o betonową płytę jak dwa mięsiste młoty.

Intensywny ból wstrząsnął Gradym bardziej niż chamski pływak, bardziej niż fakt, że się pomylił i zbyt późno zawrócił. Cholera, jak miał się teraz wynurzyć? Nie było słów, którymi można było opisać ten ból. Poczul panikę, że tym razem naprawdę się doigrał, tym razem naprawdę zrobił sobie krzywdę. Pomyślał, że jeśli natychmiast nie weźmie się w garść i nie wynurzy się z wody, utonie.

Wypluwając na powierzchnię, zachłysnął się powietrzem. Machał rękami, pływając pieskiem na bok toru i ciągnąc za sobą bezużyteczne stopy. Gdy spróbował poruszyć nogami, poczuł ból palący jak ostrze noża. Co on narobił? Czy można połamać pięty? Grady nigdy o czymś takim nie słyszał.

Z trudem trzymał się krawędzi basenu. Kiedy mijający go mężczyzna obrócił głowę, żeby nabrać oddechu, uśmiechnął się i pokazał mu środkowy palec, po czym znikł pod wodą.

- Nie - mruknął Grady. - Nie przepuszczę ci.

Na końcu toru mężczyzna wykonał brzydki, niezgrabny nawrót i ruszył z powrotem. Grady poczuł, jak krew buzuje mu w żyłach, gęsta i zmacona.

Dlaczego nigdy się nie bronił? Oto do czego doprowadziło go to, że przez całe życie był przerażony i czuł się jak ofiara losu.

Puścił się krawędzi basenu i podpłynął do chamskiego pływaka napędzany adrenaliną. Każdy metr był istną torturą dla jego stóp. W końcu z mokrym łoskotem uderzył w niego barkiem. Grady rzucił się na mężczyznę i zaczął go okładać rękami, które przypominały łopatki przemysłowego wentylatora - uderzał w śliskie plecy i ramiona, jak gdyby próbował przez niego przepłynąć.

Mężczyzna zwinął się i opadł pod wodę, po czym z trudem przedostał się przez młócające ramiona Grady'ego i wypłynął z powrotem na powierzchnię. Wystawił głowę z przekrzywionymi okularkami i krzyknął:

- Co jest, kurwa? Co ty wyprawiasz, człowieku?

Wszyscy w basenie zatrzymali się, żeby popatrzeć.

- Masz się dzielić torem! - Grady wiedział, że brzmi jak rozhisteryzowany dzieciak, ale takie były zasady. Ten idiota po prostu je łamał i nie mogło mu to ująć na sucho. - Ty pieprzony dupku!

- Wszystko w porządku? - zawołała miła pływaczka.

Grady poczuł, że mu niedobrze. Zanurzył się pod wodę i za pomocą jednego ramienia dostał się na drugi koniec toru, gdzie został pod wodą z nadzieją, że gapie wrócą po prostu do pływania. Kiedy jednak wynurzył się, żeby zaczerpnąć powietrza, na basenie panował chaos - inni pływacy rozmawiali i wytykali go palcami. Chamski mężczyzna wyszedł z basenu i rozmawiał z jedną z dziewczyn z recepcji. Ruszyli w stronę Grady'ego, który opadł z powrotem pod wodę - pięty paliły go jak rozżarzone węgle.

Spojrzał do góry przez okularki i zobaczył, że nad nim stoją, a ich ciała falują i drżą w błękitnym wirze. Rozpoznał ładną blondynkę, która zawsze dawała mu dodatkowy ręcznik, nawet jeśli o niego nie prosił. Kiedyś sprawdził, czy inni też je dostają. Nie dostawali.

Zamknął oczy. Potrafił bardzo długo przebywać pod wodą, jak losoś. Jak ojciec, który nie wynurzał się już od trzydziestu czterech długich lat. Dlaczego nikt nie przestrzegał w życiu zasad takich jak: nie umieraj, dopóki twoje dzieci nie dorosną. Albo: nie zapominaj osoby, którą kochasz, i nie stawaj się nieznanym. Albo: naucz się wspólnie korzystać z toru, na miłość boską.

W ostatni poranek dzieciństwa Grady ego wakacyjne słońce rozrzuciło diamenty na powierzchni zatoki South Puget, a on i jego trzy najstarsze siostry pływali i pluskali się przy nabrzeżu Dash Point State Park. Ich matka zabrała trzy najmłodsze dziewczynki na lekcję baletu, a po resztę miała wrócić w południe. Choć Grady miał dopiero osiem lat, rodzice ufali jego umiejętnościom pływackim. Był pish, jak mówił jego ojciec, co w języku Chinooków oznaczało „małą rybkę”. Grady był dumny ze swoich umiejętności, a najbardziej cieszył się tym, że ojciec je dostrzegł. Harry Goodall był małym mężczyzną, który opowiadał głównie o pracy na morzu i rodzinnych finansach, a podczas krótkich pobytów w domu był zazwyczaj wykończony. Grady i jego siostry wiedziały, że rybactwo to najtrudniejsza praca, chociaż ich znajomi zachowywali się tak, jak gdyby ich tata pływał na statku wycieczkowym, bo - w przeciwieństwie do innych ojców - nie pracował w fabryce ani w sektorze handlowym czy usługowym.

Tamtego dnia Grady ćwiczył przebywanie pod wodą przez coraz dłuższy czas i prosił siostry, żeby liczyły, ile wytrzyma. Nie mógł się doczekać, aż następnego dnia opowie o tym tacie przez telefon.

- Eunie! - krzyknął w stronę brzegu, gdzie siostry wylegiwały się na ręcznikach. - Schodzę pod wodę! Zaczynaj liczyć.

Skinęła głową, a on wziął najgłębszy oddech, jaki potrafił, skrzyżował nogi po indiańsku i opadł powoli w stronę zamulonego dna. Niemądrze było otwierać oczy, ale Grady co jakiś czas unosił powieki, żeby spojrzeć na majaczące w wodzie rośliny lub przepływającego karmazyna. Zaczynał już czuć pieczenie w płucach, ale chciał pobić rekord. Jego uwagę przyciągnęły stłumione głosy ponad jego głową. Mrużąc oczy, spojrzął w górę przez szarozieloną wodę. Na nabrzeżu zobaczył ludzi. Wydawało mu się, że do niego machają, więc im odmachał. Bił właśnie swój rekord -na pewno właśnie o to chodziło, a Eunie przybiegła na brzeg, żeby pogratulować bratu, kiedy ten w końcu się wynurzy. Po chwili Grady zauważył więcej niż trzy postaci, a wszystkie zdawały się rozgorączkowane.

Coś musiało się stać. Odepchnął się od gąbczastego dna i wypłynął do góry. Mijało jednak zbyt wiele czasu i chłopiec nie wiedział, czy nie zabraknie mu tlenu. Dlaczego tak długo siedział pod wodą? Miał wrażenie, że jego płuca stanęły w

ogniu - ogarnęło go złe przeczucie, że tym razem się dograł. Nie pomyślał o tym, żeby zostawić sobie dość tlenu na wynurzenie, a teraz czuł, że może umrzeć.

Kiedy znalazł się na powierzchni i próbował złapać oddech, zobaczył, że jego siostry płaczą przytulone do siebie i do mamy - silnej i bladej pod słomkowym kapeluszem.

- Wyjdź z wody, synu. Musimy wracać do domu - powiedziała spokojnie, ale jakiś ton w jej głosie kazał Grady'emu myśleć, że ona także płakała.

- Dlaczego? Co się stało? - wysapał, wciąż nie mogąc złapać oddechu, i odpychał wodę rękami i nogami.

Wcale nie chciał tego wiedzieć, ale zastanawiał się, dlaczego jego siostry płaczą.

- Grady, do cholery, po prostu zrób to, o co cię proszę - rzuciła jego matka, po czym ruszyła z powrotem do samochodu. Rzadko przeklinała. Sprawa wyglądała poważnie.

- Na kutrze był wypadek! Tata nie żyje! - krzyknęła jedna z dziewcząt.

Grady nie wiedział nawet która. Wszystkie chwyciły się za ręce i łkając, poszły za matką.

Jestem pish pish, pomyślał Grady, a nie chłopcem, bratem czy synem. Wziął najgłębszy oddech, jaki potrafił, a płuca wypełniły jego klatkę piersiową tak, że prawie pękła. Opadał na dno z zamkniętymi oczami i przyglądał się otaczającemu go podwodnemu światu. To mętne, ciche miejsce było jedyną rzeczywistością, w jakiej pragnął przebywać. Mógłby na zawsze zostać w głębinie wraz z ojcem, gdyby nie to, że nagle powierzchnię wody przecięła postać płynąca w jego stronę. Dopiero kiedy znajdowała się tuż przy nim, Grady rozpoznał duże niebieskie oczy i falujące czarne włosy matki.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

LUCIE

Mieszkała na ulicy o nazwie Meridian - południk - która bardzo jej się podobała. Lucie spacerowała, przyglądając się urokliwym chatom, parterowym domom oraz przylegającym do nich ogrodom i potężnym drzewom. Słońce ogrzewało jej głowę i plecy, a ona szła spokojnym krokiem, od czasu do czasu się zatrzymując, żeby przyjrzeć się z bliska na wpół rozwiniętym hortensjom lub rozetrzeć w palcach lawendę. Podniosła gałązkę i umieściła ją w torebce obok zwitku gotówki, który zostawił *jej* Grady na wszelki wypadek.

W wyjątkowo zachwycającym ogrodzie starsza kobieta w słomkowym kapeluszu przycinała klon japoński. - Jak pięknie - zawołała Lucie do kobiety, a ładna jak na swój wiek Azjatka z zaskoczeniem podniosła wzrok. - Mam na myśli sposób, w jaki go pani przycina - wyjaśniła Lucie. - Jest taki pierzasty i rozłożysty.

- Widzę, że się pani znalazła - odparła kobieta, nie przerywając pracy.

Skóra Lucie pokryła się potem. Oczywiście. Plakaty, wiadomości. Znów zaczęła iść, ale zatrzymała się na granicy posesji kobiety i odwróciła się.

- Czy pani mnie zna?

Kobieta wyprostowała się, żeby spojrzeć na Lucie, i przeciągnęła się, zwijając dłonie w pięści i podpierając kręgosłup.

- Właściwie to nie - odparła. - Nikt pani nie zna. Przecież tego właśnie pani chce, prawda?

- Nie - opowiedziała Lucie. - Dlaczego miałabym tego chcieć?

- Mieszka tu pani od czterech lub pięciu lat, a pierwszy raz się pani do mnie odzywa. To pewnie przez tę całą amnezję?

Lucie cofnęła się o krok.

- Ja... pomyślałam po prostu, że ma pani piękny ogród i że... no cóż...

Kobieta pochyliła się i wróciła do pracy.

Lucie miała ochotę zawrócić i uciec, lecz spotkała kogoś, kto w pewnym sensie ją znał i nie bał się powiedzieć prawdy - Lucie podejrzewała, że Grady tego nie

robi. Podeszła bliżej.

- Czy byłam okropnym człowiekiem?

Kobieta spojrzała na nią spośród gałęzi. Jej oczy miały zaskakujący jasnoszary odcień.

- Pyta pani poważnie?

Lucie wzruszyła ramionami niepewna, o co właściwie pyta Azjatka. Chce wiedzieć, czy to ona jest poważna? A może jej pytanie?

Sąsiadka westchnęła i zdjęła kapelusz, po czym wyszła zza klonu. Jej siwe włosy połyskiwały w słońcu.

- Boże - westchnęła. - Chce pani wejść na herbatę?

Lucie skinęła głową. Choć kobieta wydawała się dość opryskliwa, Lucie chciała się dowiedzieć czegoś o sobie, o tym, jak ta kobieta ją postrzega.

- Z przyjemnością. Dziękuję.

Wnętrze niewielkiej chaty było urządzone równie pomysłowo jak ogród i pachniało olejkami cytrynowymi. Lucie pomyślała, że pewnie posmarowano nim tekowy stół i krzesła, które połowę salonu zamieniły w jadalnię.

- Niech pani siada, a ja zrobię nam herbaty. - Kobieta pierwszy raz się uśmiechnęła. - Pewnie nie wie pani, jak mam na imię. Jestem Susan.

- Lucie.

Kobieta skinęła głową.

- A tak - rzuciła - wiem - po czym pchnęła drzwi i weszła do kuchni.

Po przeciwległej stronie pokoju znajdował się stary, wpuszczony w ścianę kredens, na którym stały pamiątki rodzinne: dziecięce kubeczki, kieliszki ślubne, niewielkie wazoniki i stare słoiki, zaśniedziała srebrna cukiernica i dzbanuszek do mleka. Susan weszła z powrotem, niosąc tacę, na której stały niedopasowane do siebie szklanki z mrożoną herbatą i talerz kruchych ciasteczek. Słodczyce. Lucie się uśmiechnęła.

- Ojej, dziękuję.

Susan zajęła miejsce po przeciwnej stronie stołu i pociągnęła łyk ze szklanki.

- A więc amnezja? Jak to jest? Oczy Lucie wypełniły się łzami.

- Okropnie.

- Boże, przepraszam - powiedziała sąsiadka, wzdrygając się, - Kiedy się denerwuję, zamieniam się w jędzę. To wszystko jest po prostu trochę dziwne.

- Nic się nie stało. - Lucie wzięła ciasteczko z talerza.

- Stało się - nie zgodziła się Susan. - Jestem w tym okropna. Dobrze się czujesz?

To znaczy...

Lucie potrząsnęła głową.

- Nie wiem. Jestem po prostu... - wzdryła ramionami - pusta.

Susan zmrużyła oczy.

- To może opowiem ci trochę plotek o sąsiadach?

Lucie skinęła głową. Chociaż chciała się dowiedzieć jak najwięcej o sobie, tak było bezpieczniej. Odgryzła kęs ciasteczka i pozwoliła, by rozpuściło jej się na języku.

- Mieszka tu kilka ciekawych postaci. Na przykład za rogiem wynajmuje dom zespół deathmetalowy. To całkiem miłe dzieciaki, które ćwiczą w piwnicy tylko do dziesiątej. Uważam, że to bardzo ładnie z ich strony. Grają na naszej corocznej imprezie sąsiedzkiej. Swoją drogą, ty nigdy na żadnej nie byłaś.

Lucie wbiła wzrok w kolana.

- Cholera! - powiedziała Susan. - Cholera, cholera, cholera. Przepraszam. Następnym razem mi przyłóż.

Lucie się uśmiechnęła.

- Dobrze - odparła, podnosząc oczy.

Susan mrugnęła do niej i mówiła dalej.

- Mamy tu także prezentera sportowego, który mieszka w tym żółtym domu na rogu z partnerem, chociaż nazywa go swoim „współlokatorom” i udaje, że jest w związku na odległość z dziewczyną z San Diego. To mili faceci i zawsze chętni do pomocy, kiedy trzeba przenieść coś ciężkiego. Jest jeszcze stary Don Donaldson, twój najbliższy sąsiad. Mieszka po lewej stronie, kiedy stanie się przodem do waszego domu. Wszystkie dzieciaki strasznie się go boją.

- W tym dużym szarym domu? Wygląda na nawiedzony.

Susan skinęła głową.

- Don jest dość... jakby to ująć... ekscentryczny, ale myślę, że nie skrzywdziłby muchy. Nie widywaliśmy go zbyt często, kiedy żyła jego żona, za to teraz wciąż przebywa na zewnątrz, niezależnie od pory roku, i krzyczy na dzieci, żeby zabierały rowery z jego trawnika, więc nawet już tamtędy nie jeżdżą. Myślę, że próbuje po prostu utrzymać dom w idealnym stanie, tak jak robiła to jego żona. Była świetną ogrodniczką. Dostałam od niej większość sadzonek. Niestety, dla Dona „idealny” oznacza pozbawiony wszelkiej roślinności oprócz trawy i tych brzydkich starych krzaków rosnących wzdłuż granicy jego posesji.

- Czy ja go znam? - zapytała Lucie.

Chociaż to pytanie brzmiało dziwnie, Susan skinęła głową.

- O tak. Wasze konflikty są niemal legendarne. Ukształtowanie krajobrazu przed twoim domem doprowadza go do szału, bo rośliny nie szanują granic nieruchomości. Czasem rozsiewają się po jego stronie albo rozrastają. Kilka lat temu próbował cię zmusić, żebyś ścięła starą brzozę, bo jesienią liście spadały na jego

trawnik. Absurdalny pomysł. Przecież to miasto drzew i liści, prawda? Kiedy tego nie zrobiłaś, wcześniej rano zaczął odpiłowywać gałęzie zwisające po jego stronie.

- O Boże - rzuciła Lucie. - I co się stało?

- Ty i twój chłopak wybiegliście z domu z krzykiem. Właściwie to ty krzyczałaś. Twój facet wspierał cię moralnie. - Susan się uśmiechnęła, jak gdyby przywołała przyjemne wspomnienie. - Cała okolica się tym ekscytowała.

- Ale to my mieliśmy rację. Powiedziałaś, że brzoza rosła po naszej stronie.

Susan skinęła głową.

- Formalnie tak, chociaż twój chłopak powiedział sąsiadowi z naprzeciwka, że tak naprawdę wcale nie chcieliście tego drzewa. Postanowiłaś po prostu, że nie pozwolisz mu go ściąć.

Lucie zmarszczyła nos i odłożyła ciasteczko.

- To dość wredne.

Susan wzruszyła ramionami.

- Don to po prostu samotny starszy człowiek bez przyjaciół. Nie wiem, jak sobie radzi bez żony. Wszystko za niego załatwiała. Czasem zanoszę mu torcik kawowy albo coś innego, żeby sprawdzić, czy się trzyma.

- Nienawidzi mnie.

- Pewnie tak.

- Ty też? I wszyscy wokół?

Starsza kobieta umilkła, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Nie, nie można tego nazwać nienawiścią. Nigdy nie dałaś nam powodu, żeby cię lubić lub nie. Ty... cóż. Może przykład. Jesteś biegaczką, prawda?

No tak, sportowe ciuchy. Lucie spojrzała w dół na swoje getry i buty.

- Chyba tak.

- Codziennie wychodzisz z domu w takim stroju, masz na nosie okulary, które zakrywają ci twarz, nawet kiedy pada, a na głowie czapkę naciągniętą tak nisko, że dziwię się, iż cokolwiek widzisz. Biegasz po okolicy i nigdy nikogo nie zauważasz, z nikim się nie witasz, nie uśmiechasz się, nikomu nie machasz ani nie kiwasz głową jak pozostali. Sąsiedzi się ze sobą witają. Tak jak zrobiłaś to dzisiaj. To po prostu miłe.

Nikt jej nie lubił. Była antypatyczna. Czy miała jakichś przyjaciół?

Przez chwilę siedziały w milczeniu. Lucie westchnęła.

- Powinnam się już zbierać. Susan zmarszczyła brew.

- Chciałaś to wiedzieć, prawda?

- Tak. - Lucie wzruszyła ramionami. - Chciałam. - Skinęła głową i wstała, po czym podeszła do drzwi.

- Jeśli będziesz czegoś potrzebować... - Susan uniosła otwarte dłonie. - Wiesz, gdzie mnie znaleźć. Sąsiadko.

Lucie zatrzymała się i odwróciła.

- Cóż, prawdę mówiąc, mogłabyś mi w czymś pomóc. Czy mogłabyś mi powiedzieć, jak dojechać do sklepu spożywczego?

Susan się uśmiechnęła.

- Coś ci powiem. Ja też potrzebuję kilku rzeczy. Może pójde z tobą?

Po powrocie do domu Lucie odkroiła plasterk pikantnego cheddara i posmarowała kromkę chleba masłem, żeby zrobić sobie grzanekę z serem. Sklep, do którego zabrała ją Susan, był istną eksplozją kolorowych produktów i świeżutkich wypieków. Znalazła tam eleganckie czekoladki, ziarnistą kawę czekającą na zmielenie oraz kontuar, na którym leżało mnóstwo gatunków ryb i mięs. Lucie kupiła dość, żeby ożywić nieco ich kuchnię. Postanowiła, że po lunchu wróci do piwnicy i przeszuka niektóre pudła, po czym jeszcze raz przyjrzy się literom wydrapanym na taborecie i spróbuje poszukać więcej wskazówek. Może pogra na pianinie i zobaczy, co się wydarzy. Wspomnienia zdawały się najbliżej, kiedy grała. Niemal czuła przy sobie obecność kogoś ważnego, kogoś...

Podsłuchiwała na dźwięk telefonu. Gdzie on był? Ruszyła za dźwiękiem i znalazła aparat na półce pomiędzy jadalnią i kuchnią. Otarła ręce z masła i okruszków, po czym podniosła słuchawkę, jak gdyby odbierała telefon w domu znajomego.

- Halo?

- Hej. - Lucie nic nie odparła. Mężczyzna, znajomy głos... - Tu Grady.

- Oczywiście, wiem. Cześć.

- Mam mały problem.

- Wszystko w porządku?

W jego głosie pobrzmiwał dziwny ton.

- Jestem na pogotowiu. Nie mogę... sięść za kierownicą.

- O Boże, co się stało? Wszystko w porządku?

Nic nie odpowiedział, ale Lucie słyszała jego oddech. Poczekwała, aż znów się odezwie.

- Prawdę mówiąc, nie czuję się zbyt dobrze, Luce - powiedział w końcu. - Byłem w basenie i uszkodziłem sobie stopy. Jedną złamałem, a drugą potłukłem. Nie mogę prowadzić. Nie wiem nawet, czy dam radę chodzić. Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłem.

- Jak to się stało? Wskakiwałeś do wody czy...? - Wyobraziła go sobie w basenie w kąpielówkach, ale nie wiedziała, jak wygląda jego klatka piersiowa. Czy miał owłosione ciało? A może nosił slipki jak ten facet, który wyprowadził ją z

wody?

- Później ci opowiem, dobrze? Straciłem dziś panowanie nad sobą.

- Straciłeś...

- Pamiętasz, jak się jeździ samochodem?

- Ojej. - Lucie się zastanowiła. Jasne, pomyślała, wyobrażając sobie swoje dłonie na kierownicy, stopę na pedale gazu i sposób, w jaki oglądała się przez ramię. Jazda samochodem była jak... co? Chodzenie. Branie prysznic. Smarowanie chleba masłem. To czynność mechaniczna. Pamięć mięśniowa. - Tak, pamiętam.

- W miseczce przy telefonie jest dodatkowy kluczyk do twojego samochodu. Na breloczku jest duża litera L. Widzisz go?

- Tak. - Lucie podniosła kluczyk. - Który samochód jest mój?

- To ta czarna acura zaparkowana przy krawężniku. Tam gdzie wczoraj parkowałem.

- No tak. - Poprzedniego dnia ją podziwiała. - Jak mam cię znaleźć? - Lucie rozejrzała się za kartką, na której mogłaby zapisać wskazówki.

- Po prostu wklep adres do systemu nawigacji. -Grady podał jej nazwę szpitala. Brzmiał już trochę lepiej.

Zanim się rozłączyli, powiedziała:

- Czy nasze życie zawsze było takie fascynujące?

Grady wybuchnął prawdziwym, szczerym śmiechem, a ją ogarnęło coś bardzo przyjemnego. Postanowiła, że wkrótce znowu spróbuje go rozśmieszyć.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

GRADY

Oczywiście matka wybrała najlepszy moment, żeby zadzwonić, pomyślał Grady. Siedział przy oknie w poczekalni na ostrym dyżurze, czekając na Lucie. Odebrał telefon i natychmiast się rozłączył z nadzieją, że mama pomyśli, iż Grady jest w miejscu o słabym zasięgu, i spróbuje później. Czuł, że nie ma teraz siły rozmawiać z kimkolwiek ze swojej rodziny. Kiedy lekarz i pielęgniarka opatrywali mu stopy, jego komórka wibrowała od telefonów Dory. Wypuścił oddech. Jego najmłodsza siostra miała chyba jakiś wewnętrzny system namierzający.

Latem przed czwartą klasą, rok po śmierci ojca, Grady zaczął kraść. Nie było to nic poważnego - drobne kradzieże w sklepie na rogu, landrynki i karty bejsbolowe - takie, które miały w środku cieniutki pasek różowej gumy balonowej. Potem zaczął działać w okolicy. Śliwki i figi Shimleyów, żółty pistolet na wodę porzucony bezmyślnie przed domem Chenów. Dopiero kiedy pani Helgason wybiegła tylnymi drzwiami, krzycząc, żeby Grady trzymał swoje lepkie łapy z dala od jej suszącej się sznurze bielizny (choć interesowały go tylko klamerki), zdał sobie sprawę, że kradzież jest kiepskim pomysłem.

Uciekł, jak gdyby goniła go zgraja psów, i schował się w drewnianej budowli na

placu zabaw w parku. Siedział tam przez kilka godzin - tak mu się przynajmniej zdawało - pewny, że pani Helgason szybko się domyśli, który śniadoskóry chłopiec z sąsiedztwa próbował ją okraść. Zastanawiał się, czy dzwoniła już do jego domu. Mama wraca z pracy dopiero po szóstej, ale w zależności od tego, która siostra odbierze telefon, Grady może mieć takie same kłopoty, jakich spodziewał się, jeśli telefon odbierze mama.

Na plac zabaw wbiegła zgraja okolicznych dzieciaków, które rozsiadły się nad nim na wyższych belkach. Nie zauważyły Grady'ego, który siedział poniżej z łomocącym sercem. Postanowił, że poczeka, aż sobie pójdą. W przeciwnym razie istniało ryzyko, że nazwą go „dzikusem” albo - co gorsza - na niego skoczą.

Po chwili usłyszał znajomy głos:

- Hej! Widzieliście mojego brata? - To Dory go szukała. Jakoś go to nie zdziwiło. Ilekroć Grady miał kłopoty, Dory o tym wiedziała.

- Masz na myśli tę niedorozwiniętą ciotę? - odparł chłopięcy głos. Grady pomyślał, że to o wiele gorsze niż „dzikus”.

- Pocałuj się w dupę - odparła Dory, a Grady słyszał, że się zbliża.

Z jakiegoś powodu sądziła, że może mówić takie rzeczy do innych dzieciaków. Owszem, miała dwanaście lat i chodziła już do gimnazjum, ale Grady wiedział, czym się kończą takie wymiany zdań. Chociaż plemię jego ojca mieszkało na tych ziemiach dłużej od kogokolwiek, teraz Goodallowie byli mniejszością wśród sąsiadów.

- Mam się pocałować w dupę? A ty pocałuj to - rzucił chłopak do Dory.

Wokół rozległ się nerwowy śmiech pozostałych.

- W życiu nie tknęłabym tego obrzydlistwa. Pewnie jest tak mały, że trudno go znaleźć w tym całym tłuszczu. - To oznaczało, że rozmawia z Derekiem, największym i najwredniejszym szóstkłasią.

- Jezu, Dory - wymamrotał Grady pod nosem. Szkoda, że się zatrzymała. Teraz miała większe kłopoty niż on. Wyczołgał się spod belek.

Dory stała kilka metrów od pozostałych dzieciaków, z rękami na płaskich biodrach, i patrzyła prosto w oczy Derekowi, który łypał na nią z wściekłością ze swojego miejsca na górze. Był tak gruby, że zejście z budowli chwilę by mu zajęło, a Dory biegła szybko jak gazela. Grady zawołał:

- Tylko niedorozwinięte cioty biją dziewczyny, Derek. Zostaw ją w spokoju.

Chłopak przeniósł ociężałe spojrzenie na Grady'ego, który zrozumiał nagle, że za chwilę zostanie zrównany z ziemią i że będzie bolało. I to bardzo.

- Biegnij, Dory! - krzyknął, kiedy Derek i jego paczka zeszli z budowli i go okrążyli.

Zamiast tego Dory wbiegła w tłum.

- Przestańcie - zażądała. - Zostawcie mojego brata w spokoju.

Grady wiedział, że Dory próbuje go bronić, ale tylko pogorszyła sprawę. Teraz wiedzieli, że nawet siostra uważa go za mięczaka.

- Wynoś się stąd, Dory - powiedział swoim najwredniejszym głosem. - Natychmiast.

Nawet się obejrzał, kiedy w ustach i w nosie poczuł ziemię. Ktoś siedział mu na plecach i okładał go pięściami, podczas gdy pozostałe dzieciaki kopały go i biły. Zasłonił twarz i zwinął się w kulkę, czekając, aż to się skończy.

Wydało mu się, że od kopniaka w głowę dostał halucynacji, bo usłyszał dziki skowyt przypominający stado skrzeczących orłów. Dźwięk był coraz bliżej. Inne dzieciaki też go usłyszały, przestały go bić i zwróciły się w tym samym kierunku. Grady uniósł jedną nieopuchniętą powiekę i zobaczył swoje siostry, które wyły jak potępieńcy i biegły w ich stronę ze wściekłymi minami i uniesionymi ramionami.

- Co jest, u diabła? - powiedział Derek.

- To te dzikie Indianki - odparła jakaś dziewczynka. - Uciekajmy!

- To tylko dziewczuchy - odparł Derek, ale jego oddział go opuścił, więc chłopak ostatni raz kopnął Grady ego w nerkę i uciekł.

Sześć sióstr Goodall podbiegło do brata, a Floss upadła na kolana obok niego.

- Wszystko w porządku? Grady, żyjesz?

- Gońmy tych dupków - powiedziała Dory.

- Nie - wymamrotał przez spuchnięte wargi.

Bez znaczenia było to, że Dory go nie dosłyszała. Pozostałe siostry przytrzymały ją, dopóki się nie uspokoiła, po czym postawiły Grady ego na nogi, otrzepały go z ziemi i próbowały pocieszyć, powtarzając: „Te dzieciaki to cieniasy” lub „Ale będziesz miał śliwę”.

Wiedział, co robią, i miał tego dość. Nienawidził ich nadopiekuńczości i tego, że zawsze przychodziły mu z pomocą. Jednak odkąd nie chciał wyjść z wody w dniu, kiedy umarł ich tata, jego siostry zachowywały się tak, jak gdyby były jego aniołami stróżami. Wydawało im się, że sam nie potrafi o siebie zadbać. Co gorsza, były pewne, że ich brat robi sobie krzywdę, przez co jeszcze bardziej skrzywdzi matkę.

Czy mu się to podobało czy nie, ilekroć coś się działo, stawały u jego boku, żeby wszystko naprawić.

Nawet jeśli był czymś zawiedziony, do czego miał przecież prawo, krążyły wokół niego, rozsiewając wokół nerwową, fałszywą radość, aż miał ochotę zamknąć oczy i zakryć uszy dłońmi.

- Dziewczynki, nie martwcie się aż tak o Grady ego -powtarzała ich matka. - Jest po prostu wrażliwy.

Mówiła to tak, jak gdyby to było coś normalnego, lecz on nie znosił tego słowa. Tylko dlatego że tamtego przekłętego dnia nie wynurzał się z wody, uznały, że jest zbyt słaby, by przetrwać bez ich pomocy. Nic nie rozumiały. Nie wiedziały, ile trzeba mieć siły, żeby zostać tam, w głębinie.

To, że w ciągu trzech dni znalazł się już w drugim szpitalu, uważał za absurdalne. Chciał na zawsze zostać w basenie, a teraz miał zakaz wstępu - zawieszono go w prawach członka. Właściciel siłowni powiedział, że Grady miał szczęście. Zaproponowali chamskiemu pływakowi darmowy karnet na rok, jeśli nie wniesie oskarżenia przeciwko zarządcy ani Grady emu. Prawdę mówiąc, Grady czuł się cudownie, po tym jak stłukł tamtego faceta, i wcale nie było mu przykro. Żałował tylko, że nie zrobił czegoś podobnego, kiedy był dzieckiem. Nie miał wtedy pojęcia, jak zadać pierwszy cios i bić się dalej. Teraz zdał sobie sprawę, że właśnie na tym polegała przewaga.

Nawet ból był tego wart. Złamał prawą kość piętową i stłukł lewą. Prawą zapakowano mu w gipsowe ustrojstwo aż do łydki i zabroniono na niej stawać przez cztery tygodnie. Grady nie miał pojęcia, jak tego uniknie, nawet używając kul, które mu zapewniono. Jedno było pewne: leki pomagały. Ból, który wcześniej był nie do zniesienia, teraz zmienił się w przytępienie ómienie.

Telefon Grady'ego znów zadzwonił. Jego matka się nie poddawała. Skrzywił się i odebrał:

- Cześć, mamó.

- Kochanie, Dory dzwoniła i opowiedziała mi o tym okropieństwie, na które cierpi Lucie. Chciałam wam tylko dać znać, że możecie na mnie liczyć. Szkoda, że sam do mnie nie zadzwoniłeś.

- Tak, tak, wiem. - Grady zastanawiał się, co powiedzieć. Zazwyczaj wianuszek siostr nie dopuszczał do niego dzwoniących, ale to prawda, powinien był zatelefonować do matki. Nie czuł się jednak gotowy, by opowiedzieć jej o bójce i urazach. - Przepraszam.

- Jak ona się czuje? I jak ty się miewasz? Dobrze wiesz, że mam mnóstwo czasu. Mogłabym przyjechać i wam pomóc.

- Nie, nie. Radzimy sobie. - Grady wiedział, że nie zabrzmiało to dobrze. - Po prostu...

Urwał, rozważając następne słowa, i obserwował, jak siedząca kilka krzeseł dalej kobieta w zaawansowanej ciąży próbuje pozbiierać z podłogi zabawki swojego

dziecka. Kiedy tylko wrzuciła jedną z nich do torby, chłopczyk wyjął ją i rzucił z powrotem na dywan. Młoda matka uśmiechnęła się do dziecka, jak gdyby było geniuszem, po czym znów pochyliła się z trudem, żeby podnieść zabawkę.

- Po prostu i tak nie było łatwo przywieźć Lucie do domu, tak by czuła się komfortowo i szybko wróciła do normalności. - Wymawiając to ostatnie słowo, zamknął oczy.

- Kochanie, tak mi przykro. Martwię się o ciebie. O was oboje.

- Nie mogę teraz za bardzo rozmawiać. Jakoś się trzymamy. Lucie ma się dobrze. Jest trochę wychudzona, na szczęście je za dwóch, więc pewnie szybko przytyje. - Wybuchł wymuszonym, nienaturalnym śmiechem. Próbował sobie wyobrazić pulchną Lucie, jednak nie potrafił. - Wróciłem już nawet do pracy.

- Tak szybko? Nie powinienes być teraz przy niej?

- Mamo, wszystko w porządku. Wprawdzie Lucie nic nie pamięta, ale jest... Nie wiem, jak to powiedzieć. To nawet dość dziwne, jak dobrze zdaje się sobie z tym wszystkim radzić. - Lepiej niż ja, pomyślał, lecz zachował to dla siebie.

- Chodzi do psychiatry? Dory wspominała, że to ważny element procesu leczenia. Nie próbujcie sobie z tym poradzić bez pomocy specjalisty, synku.

Dory powiedziała, że wszyscy powinniśmy pomóc Lucie w przypomnieniu sobie faktów. Pokazać jej różne zdjęcia i miejsca, opowiedzieć historie. Może przywiesz ją do nas w ten weekend? Na pewno przypomni sobie, jak świetnie się razem bawiliśmy.

- Nie sądzę, by była na to gotowa.

- Oczywiście przywieź ją, kiedy uznasz, że przyszedł odpowiedni moment.

- Dobrze. Jasne. - Na razie Grady za wszelką chciał uchronić Lucie przed swoją rodziną. Przed tymi wszystkimi kobietami, które nawet w najlepszych czasach sprawiały, że napięcie pomiędzy Lucie i Gradem było nie do wytrzymania. - Zobaczymy, jak wszystko się rozwinie. Na razie pozwólmy jej się przyzwyczaić do dawnej rzeczywistości, zajęć i tak dalej.

- Czy ona też wróciła do pracy?

- Jeszcze nie.

Jak miał powiedzieć matce, że firma i reputacja Lucie ucierpiały na tyle, że nie da się ich już uratować? Jego matka była staroświecką kobietą, która nie rozumiała nowoczesnego świata interesów i prędkości, z jaką się zmieniał. Nie wiedziała, że wszystko może się nagle załamać.

Na półkolisty podjazd przed szpitalem wjechała acura.

- Przepraszam, mam, muszę już iść. A ty dobrze się czujesz? Wszystko w porządku?

- Tak, nie martw się. Dziś po południu będziemy zbierać jagody z małym Samem. - Trzyletni Sam był pierwszym prawnukiem w rodzinie, wnukiem Eunie, a matka Grady ego raz w tygodniu spędzała z nim popołudnia, które naprawdę uwielbiała. - Mocno uściskaj ode mnie Lucie, dobrze? Powiedz jej, że chcemy ją zobaczyć!

- Dobrze - odparł, chociaż wiedział, że nic takiego Lucie nie przekaże. Jeszcze nie teraz. Wstał, przewiesił torbę przez ramię i pokuśtykał do drzwi, wspomagając się jedną nogą i dwoma kulami.

Lucie zdażyła już wysiąść z samochodu i otworzyć drzwi od strony pasażera. Kiedy była w ruchu, bardzo przypominała siebie z przeszłości - te same sylwetka, sportowy krok i gesty. Miała na sobie getry do biegania i koszulkę, a *jej* twarz była wilgotna od upału. Musiał przyznać, że podoba mu się bez makijażu. Piegi zawsze były dla niej prawdziwą zморą - jedną z wielu - a patrząc na punkciki rozrzucone po jej policzkach i nosie niczym gwiazdy, miał wrażenie, że widzi zupełnie nową Lucie. Którą, oczywiście, była. Boże, i w dodatku nie miała na sobie stanika. Grady poczuł takie zaskoczenie i pożądanie, że gdyby nie opierał się na kulach, mógłby się przewrócić.

- Cześć - powiedział. Czuł się tak onieśmielony jak w dniu, w którym się poznali. - Czyli jednak potrafisz prowadzić.

Wzruszyła ramionami.

- Na razie idzie mi nieźle.

Zaśmiał się, a ona się uśmiechnęła, po czym wzięła od niego torbę i kule i położyła je na tylnym siedzeniu.

- Poradzisz sobie? - zapytała.

Stała nad nim i obserwowała, jak wkłada do samochodu jedną nogę i wystawia drugą, próbując umościć się na siedzeniu. On widział tylko *jej* piersi falujące pod cienką tkaniną jak miękkie jajka w koszulkach i wilgoć zgromadzoną w zagłębieniu *jej* szyi. Czy naprawdę właśnie teraz musiał dostać erekcji? Wymamrotał, że da radę, z nadzieją, że Lucie przejdzie na stronę kierowcy, a jemu uda się jakoś przyzwocie ułożyć. Kiedy próbował wciągnąć nogę z gipsem do samochodu, uklękła na chodniku, żeby mu pomóc.

- Proszę, nie - rzucił, a ona podniosła wzrok. W jasnym słońcu jej oczy miały odcień bladego nefrytu.

- Zabolęło cię?

- Nie, nie, wszystko w porządku. Naprawdę. Poradzę sobie.

Wyglądała na rozczarowaną, ale wstała i obeszła samochód. Grady jeszcze chwilę mocował się ze stopą i z wdzięcznością pomyślał o lekach przeciwbólo-

wych, które mu podano. W końcu udało mu się po prostu wepchnąć nogę do środka i poczuć tylko lekkie mdłości. W ciągu dnia zrobił się upał, a Grady siedział w czarnym samochodzie na czarnym asfalcie w koszuli, która w ciągu tych kilku minut zdążyła całkiem przesiąknąć potem.

Lucie w milczeniu siedziała za kierownicą, nie zapalała silnika.

Proszę, pomyśl. Po prostu włącz klimatyzację i zawieź mnie do domu.

Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć.

- Powiesz mi, co się stało?

- Później - warknął. Wiedział, jak to zabrzmiało, lecz naprawdę chciał się znaleźć w domu, zanim zwymiotuje albo zemdleje. - To znaczy...

- Zrozumiałam - odparła Lucie. W jej głosie słychać było złość. - Jak mam jechać do domu?

- Najpierw musisz zapalić silnik - powiedział. Czuł, że ma prawo być sarkastyczny. - Potem w nawigacji wybierz „dom”.

Lucie westchnęła i przekręciła kluczyk, a z wywietrzników dmuchnęło chłodne powietrze. Grady odchylił się i zamknął oczy, gdy Lucie wreszcie wyjechała z parkingu. Nie zorientował się nawet, że zasnął. Nagle znaleźli się przed domem, a Lucie stała przed jego drzwiami.

Przewiesiła sobie jego torbę przez ramię i patrzyła, jak Grady wydostaje się z samochodu, po czym podała mu kule. Miał szczęście, że się nie wściekła i nie weszła do domu, zostawiając go własnemu losowi, tak jak zrobiłaby to w ich poprzednim życiu.

- Przepraszam - powiedział. Tym razem czuł, że to słowo brzmi jakoś inaczej. Wcześniej zawsze stanowiło automatyczną odpowiedź, ale teraz naprawdę żałował swojego zachowania. - Nie chciałem być dupkiem.

Zmrużyła oczy i wzruszyła ramionami.

- To nim nie bądź.

- W porządku - odparł.

Nie wydawała się zła. Szła za nim, kiedy kuśtykając, ruszył w górę podjazdu, po czym wyjęła jego klucz i otworzyła drzwi. Znow przejęła inicjatywę, tym razem jednak nie tak jak dawniej. Nie kontrolowała go, tylko się o niego troszczyła. Troszczyła się też o siebie, nawet w tak niesprzyjających okolicznościach.

Grady przerzucił kule przez próg i wciągnął swoje ciało do środka. Był zbyt wkurzony, kiedy instruowano go, jak używać kuli, a teraz niechcący wciąż stawiał ciężar ciała na złamanej stopie. Pomyślał, że jeżeli natychmiast nie usiądzie, zemdleje.

- Mogłabyś mi pomóc dojść do fotela? - zapytał.

Jego górna warga zroszona była potem.

Odstawiła torbę na ziemię, podeszła do niego od strony złamanej stopy, zabrała mu kulę i objęła go w pasie. Otoczył ją ramieniem. Lucie była dość silna, by podeprzeć go, kiedy utykając, podszedł do skórzanego fotela i opadł na siedzenie. Kiedy znów przed nim ukłękła, gwałtownie wciągnął oddech. Chciała tylko delikatnie oprzeć jego stopy na podnóżku.

- Zabolalo cię? - zapytała, a on pokręcił głową. - Musisz mi o tym mówić - dodała.
- O wszystkim.

Gdybym tylko mógł, pomyślał Grady. Gdybym tylko mógł powiedzieć: „Kiedy widzę, jak tak na mnie patrzysz, wszystko się we mnie topi”.

Nie mógł jednak tego powiedzieć do tej osoby, która być może znów zdoła go pokochać. Kiedy ją znaleźli, nie przyszło mu do głowy, że będzie musiał się o nią starać od początku, jak gdyby byli sobie obcy. Powieki zrobiły mu się ciężkie, a jego myśli zasnęła mgła.

- Wczoraj mogłeś mi na przykład powiedzieć, że to twój fotel - powiedziała. - Cały wieczór na nim siedziałam.

Zamknął oczy, choć wciąż chciał na nią patrzeć.

- Dobrze w nim wyglądałaś - wymamrotał i zapadł się w ciężką, pustą przestrzeń. Wydawało mu się, że Lucie się uśmiecha.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

LUCIE

Grady pachniał resztkami chloru, a jego włosy były dziwnie zmierzwione i spłaszczone na czubku głowy. Lucie siedziała na pufie i przyglądała się, jak jej narzeczony zapada w sen wywołany lekami przeciwbólowymi. Była pewna, że w basenie wydarzyło się coś gorszego niż zwykły wypadek zakończony złamaniem stopy. Miała wrażenie, że coś go gryzie - może martwił się tym, co zaszło.

Czy w ogóle do niego pasowała? Jeśli była osobą, którą powoli zaczynała odkrywać, dlaczego w ogóle chciał się z nią żenić? Głowa bolała ją na myśl o tych wszystkich rzeczach zgromadzonych w szafie - nieużywanych, niepotrzebnych, niezwróconych. Przypominała sobie, jak Susan opisała ją biegającą po okolicy - nikogo nie zauważała i z nikim się nie witała.

Zrobiło jej się niedobrze. Najgorsza w tym wszystkim była świadomość, że skórzany fotel należał do Grady'ego. To ona odpowiadała za wystrój domu. Większość rzeczy w piwnicy należała do niego. Powiedział, że płaszcz mógł być własnością jej matki albo ciotki. Ale pianino z pewnością było jej. Miała wrażenie, że gra na nim od zawsze. Reszta przedmiotów - pozostałości z jego dawnego życia - leżała spakowana i zapomniana. Lucie zastanawiała się, dlaczego Grady w ogóle się nią zainteresował.

Nachyliła się i położyła dłoń na lewym udzie Grady'ego, pod którym wyczuła jedynie mięśnie. Jego oddech się nie zmienił, nawet kiedy zwiększyła nacisk. Spał głęboko. Wyglądał teraz niezwykle spokojnie, nie czuł już bólu i nie martwił się tym, co go dręczyło.

Miał przeszłość, rodzinę. Syna. Czy przeżywał to, że nie jest przy nim? Kolejny raz pomyślała o małych dłoniach, zastanawiając się, czy chłopiec ich kiedyś odwiedził.

Kiedy patrzyła na Grady¹ego, ogarnął ją spokój. Zastanawiała się, czy na początku spodobał jej się z wyglądu. A może już wtedy, podobnie jak teraz, doce- niła jego dobroć? Nie sposób było nie zauważyć jego urody - śniadej skóry gładko naciągniętej na mocne kości policzkowe, długiego nosa i wysokiego czoła. Jego usta miały ciemniejszy odcień drewna, a dolna warga była pełna i mięsista. W przeszłości całowała te usta, tę twarz. Żałowała, że tego nie pamięta. Jej dłonie pieściły szerokie ramiona i pewnie zanurzały się w jego włosach w chwilach, o których trudno jej było myśleć teraz, po odkryciu, którego dokonała rano. Byli kochankami. Lucie pomyślała, że jeśli postanowi zostać, znów nimi będą.

Przysunęła się nieco bliżej i rozpięła pierwszy guzik jego koszuli - granatowy odpowiednik białej, którą miał na sobie poprzedniego dnia. Nie poruszył się, więc rozpięła kolejny. Waliło jej serce. Wystarczył jeszcze jeden guzik, by odkryć to, czego szukała. Tym razem Grady się poruszył, ale spał dalej. Zobaczyła to, co chciała: jego pierś porośnięta była ciemnymi włosami, na tyle rzadkimi, że wciąż prześwitywała przez nie skóra. Chociaż wcześniej nie potrafiła go sobie wyobrazić nago, teraz domyślała się reszty.

Cóż, pomyślała, przynajmniej większości. Zabrakło jej odwagi, chociaż wydawało jej się niesprawiedliwe to, że on tak dobrze zna jej ciało.

Zadrapanie było wąskie przy żuchwie, gdzie widoczna była głównie różowa blizna, a dalej, przy delikatnej skórze szyi, zaschnięte. Rana musiała mocno krwawić, lecz teraz zaczynała się już goić. Na ten widok znów przeszedł ją dreszcz. Co się stało?, zastanawiała się. Miała ochotę dotknąć rany, sprawić, żeby się zagoiła.

Lucie wiedziała, że powinna mu zapiąć koszulę, ale jeszcze mocniej odsunęła jej prawą część i odsłoniła kształtny mięsień piersiowy i idealny ciemny sutek. Przełknęła ślinę i pokiwała głową. Wystarczy, pomyślała, jednak kiedy zapinała koszulę, pozwoliła, by jej palce musnęły sutek. Z przyjemnością odkryła, że pod wpływem jej dotyku stwardniał.

Stojąc w sypialni Grady ego - w ich sypialni - Lucie zastanawiała się, czy źle robi, myszkując po domu. Wcześniej kiedy przeszukiwała własne rzeczy, czuła się jak antropolog, ale teraz, kiedy skupiła uwagę na Grady, przypominała raczej podglądacza. Poczowała jednak nagłą potrzebę, żeby wszystkiego się o nim do- wiedzieć. Ubrania w jego małej komodzie były w tym samym stylu co swobodne bawełniane ciuchy, które nosił do tej pory: luźne i wygodne, bynajmniej nie nie- chłujne, utrzymane w odcieniach niebieskości, zieleni i brązu - kolorach ziemi, które bardzo jej się podobały. Po chwili namysłu wyciągnęła szufladę z jego bielizną i chociaż czuła, że to infantylne, ogarnęła ją ta sama potrzeba co wcześniej - aby

jakimś sposobem nadrobić braki w intymnej relacji, która łączyła ją z Gradym. W nieporządnej gmatwaninie jego elastyczne bokserki wyglądały miękko i swobodnie. Wyciągnęła parę niebieskich, zsunęła rajstopy i bieliznę, po czym naciągnęła bokserki. Chociaż Grady był wyższy, miał wąskie biodra. Bielizna otulała ją poniżej talii, a na udach była luźna i wygodna. Czy Grady zauważy ich brak, jeśli Lucie nie schowa ich z powrotem do szuflady? Leżało w niej około piętnastu par, więc uznała, że nie. Kiedy delikatnie zamknęła szufladę, wrzuciła swoje figi do stojącego pod ścianą kosza na rzeczy do prania, gdzie zmieszały się z ubraniem Grady ego: koszulą z poprzedniego dnia, czarną bielizną i zbyt dużym, zniszczonym T-shirtem z dziurami przy szwach. Może wkładał go do spania? Wyjęła koszulkę i przycisnęła ją do twarzy, wdychając zapach Grady ego, po czym wrzuciła ją z powrotem do kosza. Leżąc obok siebie, ich ubrania wydawały się zadowolone.

Weszła do garderoby i zdjęła z wieszaka luźną lnianą sukienkę, po czym jeszcze raz przyjrzała się trzem ścianom ubrań. Na wieszaku Grady ego wisały koszule, spodnie i dwa garnitury. Wyglądało na to, że jest minimalistą. Może z konieczności? Dawna Lucie zostawiła mu w tym domu tak niewiele miejsca...

Cicho zeszła po schodach, starając się nie obudzić Grady'ego i pozwalając, by wypełnił przestrzeń, którą dotąd zajmowała ona. Działo się w niej coś, czego nie rozumiała. Zakochiwała się w nieznanym czy przypominała sobie dawne uczucia? Może desperacko szukała poczucia przynależności, a on był jej jedyną opcją?

Grady się nie poruszył. Lucie nachyliła się, żeby usłyszeć jego oddech i upewnić się, że nie przedawkował leków przeciwbólowych. Mężczyzna westchnął i poprawił się w fotelu, przesuwając ręce, po czym ułożył się, przechylając głowę w jej stronę. Lucie wstała i cofnęła się, żeby nie ulec pokusie i znów go nie dotknąć. Jego torba wciąż leżała bezładnie przy drzwiach wejściowych. Lucie zaniósła ją do gabinetu i położyła na biurku Grady'ego. Zastanawiała się, czy zajrzeć do środka. Westchnęła i podniosła klapę, po czym znów ją opuściła. Nie, pomyślała, to nie w porządku. Przeniosła wzrok na zdjęcia przypięte do tablicy korkowej. Jedno z nich przypominało fotografię, na której ona i Grady jedli ciasto, ale przedstawiało dużą grupę kobiet w średnim wieku - siedziały przy stole rozgadane i roześmiane. Domyśliła się, że to jego siostry. Śniade jak Grady, wydawały się zdecydowanie mniej wysportowane niż on - okrągłejsze i, cóż, radośniejsze. W tle stała o wiele drobniejsza starsza kobieta z siwymi włosami upiętymi w koczek. Jego matka. Słuchając, w jaki sposób Grady o niej mówi, Lucie wyobrażała sobie wysoką, silną kobietę w wieku mniej więcej sześćdziesięciu

pięciu lat. Ale Grady był przecież najmłodszym z siedmiorga dzieci. Oczywiście musiała być starsza. Miała też jasną skórę. Grady wspominał, że była Amerykanką irlandzkiego pochodzenia.

Lucie chciała poznać te kobiety. Miała wrażenie, że miło się wśród nich przebywa. Jeszcze bardziej intrygowało ją to, że wyglądają niezwykle spójnie. Były rodziną. Wyjęła pinezkę, która przytrzymała zdjęcie, i schowała je do torebki ze wskazówkami - rzeczami, które w każdej chwili mogła wyjąć i obejrzeć. Próbowwała stworzyć mapę drogową dla swojego mózgu - ścieżkę prowadzącą od człowieka przez rzecz i wrażenie do wspomnienia. Nie wiedziała, co innego może zrobić. Nie miała ochoty iść do psychiatry - tego była pewna. Żywiła nadzieję, że już nigdy nie będzie musiała odwiedzić szpitala ani lekarza. Myśl o tym przyprawiała ją o dreszcze.

Lucie przebywała w domu zaledwie od dwóch dni, ale mimo to zastanawiała się, dlaczego Grady nie wspominał o nikim, kto chciałby się z nią spotkać lub porozmawiać. Czy naprawdę nie miała żadnych przyjaciół? Znajomych? Jeśli - jak sam twierdził - była częścią wielkiego klanu Grady ego, dlaczego jego rodzina nie powitała jej w domu? Nawet jeśli nienawidziła ciotki, kobieta z pewnością ucieszyłaby się na wieść, że Lucie żyje. A może nie wiedziała nawet, że krewna zaginęła?

W jej głowie mnożyły się pytania. Zastanawiała się na przykład, w jaki sposób Grady emu udało się złamać stopę podczas pływania. Gdyby tylko wiedziała, jak odbyć z nim rozmowę, która pomogłaby mu się odprężyć i opowiedzieć *jej* o tym, co powinna wiedzieć, może sama zaczęłaby sobie wszystko przypominać. Wiedziała, że nie powinna węszyć, lecz na razie przyniosło to o wiele lepsze rezultaty niż czekanie na odpowiedzi.

Lucie spojrzała przez ramię na otwarte drzwi i wyciągnęła laptop Grady'ego z torby. W porównaniu z jej eleganckim komputerem jego wydawał się ciężki. Odporny na zniszczenia i niezawodny. Czy Grady często podróżował? Czy wiele czasu spędzali osobno? Czy się o to kłócili?

Z łatwością poniosła pokrywę. Komputer wydał głośny dźwięk, więc szybko go zamknęła. I tak nie wiedziałaby, czego szukać.

Oprócz laptopa w torbie znalazła pocięte szare teczki wypełnione mnóstwem dokumentów, rozmaitych notatek i skrawków papieru oraz długopisy z pogryzionymi końcówkami. Lucie patrzyła, jak jej dłoń zanurza się w torbie i wyjmuje z niej przypadkowe kartki: stronę z notatnika z logo Boeinga, na którym inżynierskim slangiem zapisano listę zadań do wykonania, rachunek z pubu Dog & Pony Alehouse na sześćdziesiąt cztery dolary i niebieską samoprzylepną karteczkę

pokrytą tym samym pismem co lista zadań, na której znajdowało się hasło „Helen 10?” i numer telefonu. Serce Lucie załomotało, a włosy na głowie i karku stanęły dęba. Czowała, że to coś złego, ale co? Na pewno nie spotykał się z inną kobietą. Była niemal pewna, że to nie w jego stylu. Kiedy chowała kartki z powrotem do torby, drżały jej dłonie. Czego właściwie szukała? Dowodów na to, że między nimi się nie układało?

W głębi domu rozległ się telefon. Lucie wybiegła z gabinetu, żeby go znaleźć, zanim dzwonek obudzi Grady ego. To była jego komórka, która leżała na stoliku przy wejściu. Lucie podniosła aparat i zastanawiała się, jak wyłączyć dźwięk. Na ekranie pojawił się napis „MF Goodall”.

To musiała być jedna z jego sióstr, ale za nic nie mogła sobie przypomnieć, jak się nazywają. Wiedziała tylko, że nie noszą zwyczajnych imion takich jak Megan czy Molly. Ich imiona były nietypowe - może nie egzotyczne, lecz zaskakujące. MF, zastanawiała się. MF. Może Mega Frajerka Goodall? Lekko zażenowana Lucie parsknęła śmiechem, po czym wcisnęła odpowiedni guzik, żeby wyciszyć telefon.

Kiedy nadeszła pora kolacji, w końcu go obudziła. Grady ocknął się z zaskoczeniem i nerwowo rozejrzał się po pokoju.

- Zrobiłam zupę - powiedziała Lucie. - Jesteś głodny?
- Umiesz robić zupę? - Ziewnął.
- Tak. Z puszki. Przynieść ci ją tutaj?
- Jasne. - Poprawił się w fotelu, zmieniając ułożenie zagipsowanej nogi.
- Podać ci poduszkę? Leki przeciwbólowe? - Lucie ruszyła do kuchni.
- Bardzo... chętnie.

W jego głosie brzmiało coś dziwnego. Odwróciła się.

- Co? - zapytała.
- Nie musisz się mną zajmować. Jeśli nie chcesz.
- Wolałbyś, żebym...?
- Nie! Nie, to znaczy...
- To tylko zupa z puszki. Pomyślałam po prostu, że...

Grady zasłonił oczy dłońmi.

- Dziękuję, że mi gotujesz. Dziękuję, że dziś po mnie przyjechałaś. Dziękuję, że jesteś... - Westchnął i opuścił ręce. - Dziękuję, że jesteś przy mnie. To właśnie próbuję ci powiedzieć.

- Nie ma za co. - Dlaczego czuła się tak zawstydzona?
- Przepraszam, że wcześniej zachowywałem się jak dupek.

- Nie szkodzi. Przecież ostatnio miałeś masę problemów. - Wzruszyła ramionami i poszła po talerze. - Kiedy spałeś, ktoś dzwonił na twoją komórkę - zawołała przez ramię.

- Jutro - odparł. - Jutro to sprawdzę.

Spędzili wieczór podobnie jak tuż po jej powrocie ze szpitala: siedząc przed telewizorem w milczeniu, choć bez wina, ponieważ odurzonemu lekami Grady emu i tak z trudem udawało się nie zasnąć, kiedy w telewizji leciał jeden serial za drugim.

Musiał skorzystać z toalety, więc z trudem podniósł się z fotela, a siedząca na kanapie Lucie wstała, żeby mu pomóc. Było oczywiste - przynajmniej dla Lucie - że tej nocy Grady emu nie uda się wejść po schodach do sypialni. A co jeśli postanowi spać w pokoju gościnnym? Z nią? Jej twarz zalało gorąco. Pod sukienką miała na sobie jego bieliznę. Może tym razem to ona będzie spać na piętze.

O dziesiątej Grady westchnął:

- Muszę się położyć. Jestem skonany.

- Dobrze - odparła Lucie i wstała, żeby mu pomóc. - Martwię się, jak poradzisz sobie na schodach.

- Będzie dobrze. Wejdę powolutku.

Odsunęła puf, żeby mógł przejść przez pokój. Stał u podnóża schodów i podniósł wzrok. W półmroku połyskiwały wąskie i strome drewniane stopnie pokryte błyszczącym lakierem.

- Cholera - mruknął i oparł się na kulach.

- Możesz spać w pokoju gościnnym - podpowiedziała Lucie. - Na razie byłoby ci łatwiej, nie sądzisz?

- Pewnie tak - odparł. - A ty pójdziesz do naszej... do sypialni?

- Jasne. Mogę spać gdziekolwiek.

Nie rozważał nawet możliwości, że mogliby spać razem. Nie żeby tego chciała, ale... Cóż. Byłoby miło, gdyby o tym pomyślał.

- W porządku. Dobranoc.

Grady skierował kule w głąb korytarza i powoli ruszył do pokoju gościnnego. Krok, kula, skok.

- Pomóc ci? - Proszę, pomyślała Lucie.

- Poradzę sobie - odpowiedział. - Dziękuję za to, co dziś dla mnie zrobiłaś.

- Spoko.

Czego ona właściwie chciała? Zatrzymał się i z trudem obrócił, żeby na nią spojrzeć.

- No co?

- Mógłbyś mi tylko powiedzieć, co się stało?
- Co się...?
- Z twoją stopą.

Wydawał się tak przytłoczony, że pożałowała tego pytania.

- Próbowałem wykonać nawrót. To manewr, który wykonuje pływak, coś w rodzaju fikołka.

Lucie wzruszyła ramionami. Nie miała pojęcia, o czym on mówi.

- Tak czy siak, pomyliłem się. I to porządnie. Walnąłem piętami o brzeg basenu. - Mówiąc to, skrzywił się.

Wspomniał, że miał naprawdę kiepski dzień, a Lucie wiedziała, że ta opowieść ma drugie dno, lecz skinęła tylko głową.

- Dzięki - powiedziała. - Chciałam tylko wiedzieć.

Kiedy znalazła się w łóżku na górze, Lucie przez dłuższą chwilę nie mogła zasnąć. Muskiała palcami pasek bokserok Grady'ego na swoich biodrach. Zamierzała z nim dłużej porozmawiać, ale on nie miał na to siły przez ból, leki i traumatyczne przeżycia. Chciała zapytać: „Dlaczego nic mi nie mówisz? Dlaczego twoja rodzina trzyma się z daleka? Gdzie są moi przyjaciele? Czy wszyscy mnie nienawidzą? Czy ty też mnie nienawidzisz, ale nie odchodzisz z poczucia obowiązku?”.

Przewróciła się na bok i przesunęła na stronę łóżka, po której sypiał Grady. Jego poduszka była bardziej miękka i wygodniejsza. Poza tym pachniała Grady'ym. Lucie westchnęła. Czy powinna oddzwonić do Mega Frajerki Goodall? A może byłoby dziwne, gdyby zrobiła to za plecami Grady'ego? Zasypiała znudzona nieskończoną liczbą pytań, kiedy przysła jej do głowy nowa myśl i zupełnie ją rozbudziła: Kim jest Helen? To imię wydawało jej się niemal znajome. Jego współpracownicą? Kimś, kogo oboje znali? A może powodem, dla którego Lucie uciekła? Westchnęła z irytacją. Czy właśnie przez to doznała amnezji?

Jęknęła i postanowiła, że nie będzie o tym myśleć. Przecież Grady po nią przyjechał. Pewnie zależało mu na tym, by ją odzyskać. Wepchnęła sobie jego poduszkę pod policzek, wyciągnęła ramię przez materac, żeby dotknąć Grady'ego przed zaśnięciem - jak gdyby leżał tuż obok - i czekała na sen.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

GRADY

Mijały kolejne dni i tygodnie. Ich życiem zaczął rządzić określony rytm. Grady budził się w pokoju gościnnym i słuchał, jak Lucie krząta się w kuchni, robi kawę i wyjmuje miseczki na płatki śniadaniowe. Wyglądało na to, że ta Lucie dobrze się czuła w domu - w wazonach układała kwiaty z ogrodu swojej nowej przyjaciółki Susan i wciąż chciała gotować, chociaż nie wychodziło jej to lepiej niż wcześniej. Grady był tym zaskoczony. W Lucie zaszło tak wiele zmian, że sądził, iż na tym polu też się coś zmieni. No i te pytania! Wciąż pytała o ich przeszłość, o niego, o siebie. Były to bezpieczne, powierzchowne pytania, jak gdyby krążyła wokół jakiegoś tematu. Czy w głębi duszy wiedziała, że zanim uciekła, ich związek prawie się rozpadł?

Czasem w środku nocy budziła go grą na pianinie, ale nigdy więcej nie zagrała ich piosenki ślubnej. Zaproszenia wciąż leżały w pudełkach w salonie, a termin wysyłki już minął. Na szczęście nie wysłali ich przed jej ucieczką, pomyślał Grady. Wyraźnie czuł ich obecność. Zastanawiał się, czy zdołają je wysłać, zanim będzie za późno. Ślub miał się odbyć za mniej niż sześć tygodni, a oni jeszcze o tym nie rozmawiali. Nie wiedział nawet, jak tę rozmowę zacząć.

Kolejnym tematem, którego nie potrafił poruszyć, była wizyta u psychiatry. Lucie wciąż nie umówiła się na wizytę. Wiedział, że powinien ją do tego zachęcać, ale tak dobrze sobie radziła - dlaczego znów miał ją unieszczęśliwiać? Dlaczego miał jej przypominać o sprawach, które tak ją zraniły? To samo dotyczyło jej ciotki. Chociaż Grady wiedział, że Lucie pragnie się dowiedzieć jak najwięcej o swojej rodzinie, nie chciał jej teraz narażać na nic, co przypominałoby jej o przeszłości. Uznał, że przyjdzie czas na rozmowę o ciotce i o wizycie u psychiatry. Kiedy Lucie zdoła się odnaleźć w nowej rzeczywistości.

Grady regularnie sprawdzał wiadomości nagrane na automatyczną sekretarkę w domu, odrzucając coraz rzadsze telefony od dziennikarzy, w tym wytrwałej Ann Howe z San Francisco. Kobieta, której zależało, by zarejestrować każdy krok na drodze do ich pojednania, zostawiała mu setki wiadomości z pytaniami o datę ślubu. Chciała, by bajka trwała, ale Grady wiedział, że ostatnią rzeczą, jakiej potrzebują -jakiej potrzebuje Lucie - jest presja. Powiedział więc Lucie, że nigdy nie odbierają telefonu stacjonarnego i pozwalają, żeby dzwonił, bo po drugiej stronie słuchawki zawsze znajduje się ktoś, kto chciałby im coś sprzedać - i najczęściej była to prawda. Teraz wszyscy korzystali z telefonów komórkowych. Ten argument przekonał Lucie, która odbierała telefon tylko wtedy, gdy na wyświetlaczu pojawiał się jego numer.

Był zaskoczony, że mimo kontaktów, które nawiązała Lucie, i ludzi, którym

pomogła znaleźć pracę lub dobrego pracownika, nikt do niej nie zadzwonił ani nie przesłał życzeń. Uznał, że podała im tylko numer komórki.

Od jego ostatniej wizyty na basenie minęło piętnaście dni. Grady nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatnio spędził tyle czasu na łądzie bez możliwości ucieczki. Pomyślał, że czuje się jak ryba bez wody, i na nowo docenił to wyrażenie.

Pracował teraz w gabinecie w domu - Lucie nie miała już powodów, by zajmować ten pokój. Wcześniej była to *jej* główna przestrzeń do pracy. Co więcej, Grady emu z trudem udawało się ją stamtąd wywabić. Nie działały nawet argumenty, że zamówił jej ulubione tajskie jedzenie albo że mogliby spędzić przyjemny weekend poza domem. Prowadziła jednoosobową firmę i troszczyła się o nią jak o własne dziecko.

Lucie nie biegała już co rano, ale urządzała sobie długie spacerunki po okolicy i wyglądało na to, że za każdym razem poznawała kogoś nowego. Jednego dnia był to barista w kawiarni Zoka przy Pięćdziesiątej Szóstej ulicy, następnego kwiaciarka z Czterdziestej Piątej. Ucinała sobie z nimi długie pogawędki i dowiadywała się najbardziej intymnych faktów z ich życia, o których opowiadała Grady emu przy kolacji. Zbierała osobiste szczegóły, choć sama nie posiadała żadnych. We wszystkim, co robiła, zachowywała się niczym detektyw. Różne notatki i wycinki z prasy chowała do kolorowej torebki, którą przywiozła do domu ze szpitala. Trzymała w niej pewnie nawet plakat ze swoim zdjęciem.

Grady wciąż wyczuwał, kiedy oczekiwała od niego czegoś więcej, ale nie tak jak dawniej. Nie wymagała od niego, by ubierał się albo zachowywał w określony sposób. Pragnęła informacji. Chciała, by opowiedział jej o swoim życiu, ale on nie miał nic ciekawego do opowiedzenia. Nie mógł zaspokoić tego jej żądania, serwując równie interesującą historię o tragicznym życiu miłosnym jak barista czy fascynującą opowieść o złamanej karierze jak kwiaciarka, która przed kryzysem ekonomicznym pracowała jako kierowniczką w korporacji. Grady chciał powiedzieć Lucie: „Jestem nudny. Zanim cię poznałem, byłem nikim i nigdy nie zrozumieć, co we mnie zobaczyłaś pięć lat temu”. Grady wiedział, że już nigdy nie uda mu się poznać tej tajemnicy. Wciąż nie wierzył, że Lucie postanowiła wrócić do tego życia, po tym jak tak drastycznie się od niego odcięła.

Któregoś wieczoru kiedy jedli gumowatą pierś z kurczaka i przesolone puree z ziemniaków, siedząc przed telewizorem, Lucie zapytała:

- Tęsknisz za ojcem?

Grady popatrzył na nią ze zdziwieniem i dalej przeżuwał jedzenie. Dopiero kiedy przełknął, powiedział:

- Oczywiście. - Przecież to normalne, że kiedy umiera ktoś bliski, zwłaszcza ojciec, człowiek odczuwa tęsknotę. - Masz na myśli to, czy tęsknię za nim codziennie?

Wzruszyła ramionami i przygryzła wargę.

- Nie powinnam o to pytać?

- Skąd. Oczywiście, że możesz pytać - odparł i upił spory łyk wina. Nigdy nie rozmawiał o swoim ojcu z nikim poza siostrami i matką.

- Jak umarł? - Przechyliła głowę, co ostatnio miała w zwyczaju. Była w niej jednocześnie szczerłość i niewinność. Kiedyś wiele razy pytał ją o śmierć jej rodziców, ale ona nigdy wcześniej nie zapytała go o śmierć jego ojca. Ta Lucie chciała wiedzieć, jak umarł.

Grady skinął głową, zbierając myśli.

- Co roku w lipcu podpisywał kontrakt z flotą handlową i jechał na Alaskę, gdzie żyją łososie królewskie.

Można było zarobić sporo pieniędzy, a on miał na utrzymaniu siedmioro dzieci. Mnóstwo gęb do wyżywienia. Nie było go przez cały miesiąc. - Grady urwał i westchnął. - W tamtym tygodniu miał wracać, ale jego łódź w coś uderzyła i straciła ster. Kuter zaczął nabierać wody. Łódź zatonęła w dziesięć, piętnaście minut. Wszystko jest w dokumentach. Trzydziestu jeden facetów z załogi przeżyło, dziesięciu nie. Mojego taty nigdy nie odnaleziono. - Z jakiegoś powodu najbardziej przeżywał to, że ojciec został zupełnie sam na dnie, gdzie było zimno. Lucie potrząsnęła głową i złapała go za rękę.

- Strasznie mi przykro.

Grady mógł zamilknąć, ale się rozkręcił. Odtwarzał tamten dzień w wyobraźni - widział nabrzeże i siostry opalające się na plaży. Pamiętał, jak się czuł, zanim o wszystkim się dowiedział. I to, jak czuł się potem.

- Tamtego dnia pływałem z siostrami i nie chciałem wyjść z wody. - Na chwilę zamilkł, a po chwili dodał: - Wtedy na basenie kiedy złamałem stopę...

Lucie skinęła głową. Dlaczego jej o tym opowiadał? Przecież nie pytała.

- Było tak samo. Próbowałem się ukryć, zostać pod wodą.

- Ukryć? Przed czym? - zapytała. - Mam na myśli wtedy, na basenie.

- Spieprzyłem sprawę, Luce. - Zacisnął usta, po czym mówił dalej. - Wdałem się w bójkę z jednym facetem w basenie.

Uniosła brwi.

- Słucham?

- Wdałem się w bójkę. Stłukłem faceta, który zachowywał się jak dupek. Po prostu straciłem panowanie nad sobą i... - Pokręcił głową.

Nachyliła się.

- To było tuż po tym jak wróciłam do domu, Grady. Byłeś zestresowany.

Wzruszył ramionami. O tym nie pomyślał.

- Dlaczego w końcu wypłynąłeś? - zapytała. - Wtedy na basenie.

- Bo nie mogłem oddychać. - Potrząsnął głową i się zaśmiał.

Lucie też się roześmiała.

- Logiczne - powiedziała i znów przechyliła głowę.

- Dlaczego wynurzyłeś się z wody po śmierci taty?

Do oczu napłynęły mu łzy.

- Przez mamę. Wskoczyła do zatoki i mnie wyciągnęła. Gdyby nie to, nie wiem, czy bym wypłynął. - Jak mógł to zrobić matce? Jak mógł być tak samolubny?

- Potrzebowała cię - powiedziała Lucie, ściskając jego dłoń, po czym wstała. - Nie mogła stracić was obu jednego dnia.

Grady obserwował ją, kiedy sprzątała ze stołu. Czy gdy to mówiła, sięgała bezwiednie do własnego doświadczenia? A może czerpała ze wspomnień? Straciła oboje rodziców... Czy do tego właśnie nawiązywała? Nie wyglądała na załamana. Miała w sobie po prostu pokłady ciekawości.

- A twój syn? - zapytała, wracając na miejsce. - Tęsknisz za nim?

Grady zaczął się wiercić w fotelu. Myślał, że ich rozmowa dobiegła końca - przecież opowiedział jej tak wiele - ale może rzeczywiście lepiej było wyrzucić z siebie wszystko za jednym razem.

- Oczywiście. Tęsknię za nim.

- Widujesz go? Czy kiedykolwiek go widziałeś?

- Kiedy się urodził, w szpitalu.

Grady przypomniał sobie, jak lata temu zajrzał przez szybę oddziału dla noworodków. Bał się, że wściekli (i biali) Vountclairebwie go tam zastaną i wyrzucą ze szpitala. Musiał przetrzeć szybę, która zaparowała od jego oddechu. W końcu zobaczył dziecko. Zawiniątko, z którego wystawała strzecha czarnych włosów i zagniewana czerwona twarzyczka. Chłopczyk wiedział, że Grady go porzuca. Od tamtego czasu Grady emu udało się kilkakrotnie zobaczyć syna, kiedy ten miał dwa, pięć i jedenaście lat. (Jezu, pomyślał, teraz ma dwadzieścia cztery. Czy przypominał Grady'ego w tym wieku? Czy był wysoki i zbyt chudy, ale z dnia na dzień coraz bardziej mężczyzną?)

Grady zawsze tłumaczył sobie, że w tych krótkich widzeniach zawiera się niespełnione marzenie - podobnie jak w chwilach kiedy czuł, że chłopak za nim tęskni. Zgodził się jednak trzymać z daleka, by nie rozjuszać swojej zwariowanej byłej żony i jej rodziny, choć czuł, że nie powinien był tego robić - doskonale

wiedział, jak to jest dorastać bez ojca.

- Myślę, że odszuka mnie, kiedy poczuje się gotowy i będziemy mogli zacząć od początku. - On nie miał na to szansy ze swoim ojcem.

Lucie odczekała chwilę i zapytała:

- Chciałbyś go znaleźć?

Grady wzruszył tylko ramionami. Nie potrafił wyrazić słowami tego, jak strasznie by się czuł, gdyby się okazało, że jego syn wcale nie chciał być odnaleziony.

Lucie musiała zauważyć, że go to zasmuciło.

- Dziękuję, że opowiedziałeś mi o swoim tacie i synu.

Skinął głową.

- Miałam nadzieję, że wkrótce uda mi się poznać twoją rodzinę. - Zarumieniła się, a Grady odgadł, że na śmierć bała się tłumy jego siostr i spodziewała się, że lada moment przypuszczą na nich szturm. - Minęło już kilka tygodni i, cóż...

- Nie musisz się z nimi spotykać - powiedział. - Jeszcze nie teraz.

- Czy one nie chcą mnie widzieć?

Gdyby tylko wiedziała, pomyślał Grady. Jego matka i siostry na zmianę zarzucały go mailami, SMS-a-mi i wiadomościami nagrywanymi na pocztę głosową. Zapraszały ich na lunchy i obiady do domu rodzinnego. Miał na razie dobrą wymówkę ze względu na złamaną stopę, lecz ten argument zaczął mu już powszednieć. Poza tym, co będzie, kiedy pięta się zagoi?

- Oczywiście, że chcą się z tobą zobaczyć, ale pomyślałem, że nie jesteśmy jeszcze na to gotowi.

- Nie?

- No dobra - odparł, przechylając się, żeby zmienić ułożenie stopy na podnóżku. - Ja nie jestem.

- Aha.

Spojrzała na niego z taką troską, że prawie się rozpląnął. Tak samo postępowała z kwiaciarką i sąsiadami. Właśnie w ten sposób wydobywała z nich osobiste urazy i pragnienia, bolesne opowieści i intymne szczegóły. Dawna Lucie dobrze wiedziała, dlaczego unikał rozmów na ten temat i trzymał swoją rodzinę na dystans, jednak teraz musiał - a raczej chciał - jej o wszystkim opowiedzieć.

- Są bardzo absorbujące - wyjaśnił. - Wszędzie ich pełno. Poza tym ciągle wtrącają się w nasze sprawy i doprowadzają cię do szału. Po spotkaniu z moją rodziną zawsze się kłócimy.

- O, nie. Dlaczego?

- Moje siostry są nadopiekuńcze. Mówią mi, jak mam żyć. Po śmierci taty przejęły

jego rolę. Zawsze pouczają mnie, jak mam się stać lepszym człowiekiem. I są strasznie głośne.

- Dużo się śmieją? - zapytała Lucie.

- Tak, bez przerwy się śmieją i żartują. Skąd wiesz?

- Ze zdjęć.

Grady pokręcił głową. Owszem, jego siostry były zabawne, ale zbyt często ich żarty odbywały się jego kosztem.

- A twoja mama? Jest taka sama?

- Cóż, chce dla mnie jak najlepiej, ale jest w tym nieco subtelniejsza. Raczej nie próbuje mnie zmieniać.

Nigdy nie myślał o tym w ten sposób, ale taka była prawda. Podsuwała mu różne sugestie, jednak wiedziała, kiedy się wycofać, i nigdy nie dała mu odczuć, że jest nieudacznikiem. Nawet po pierwszym małżeństwie i narodzinach dziecka, po tym wszystkim.

Lucie przekrzywiła głowę.

- Może pojedę do nich bez ciebie?

- Co? Nie. Nigdy bym cię na to nie naraził. Jeśli chcesz się z nimi spotkać, pojedziemy razem.

Słyszając to, Lucie się uśmiechnęła. Grady żałował, że nie potrafi wybić jej tego z głowy, ale ona tak się cieszyła... Myślała, że będzie miała rodzinę - ogromną familię jak z bajki. Musiało jej być trudno. Nikogo nie pamiętała. Nie miała też nikogo, kogo mogłaby pamiętać.

- Mogę zaprosić do nas twoją rodzinę w przyszłym tygodniu? Może zrobimy grilla?

- Może na początek pojedźmy do mamy - odparł. - Jutro do niej zadzwonię.

Nie wystarczał jej. Kiedy Grady to sobie uświadomił, jego wnętrzości skrzyły się jak mokry ręcznik. Czuł, że musi powiedzieć Lucie o ciotce. Kiedy kobieta dzwoniła do biura, nie odbierał telefonu. Nie odsłuchiwał nawet wiadomości.

W przyszłym tygodniu, postanowił. Wtedy powie jej o Helen Dziesięć Dłoni. Musiał to zrobić albo Lucie zda sobie sprawę, że Grady blokował jej kontakt z ciotką, której udało się ją odnaleźć. Lucie zdawała się zupełnie nową osobą i cieszyła się każdym nowym odkryciem, a Grady nie chciał wpuścić do jej świata niczego negatywnego. Jeszcze nie teraz. Lucie udawało się w życiu tylko to, do czego doszła sama dzięki silnej woli. Chociaż tym razem wyglądało to nieco inaczej, cieszył się, że rozpoznaje w niej tę cechę. Niezlomna Lucie. Wciąż miała tę iskrę, która sprawiała, że w jej towarzystwie stawał się pewniejszy siebie i autentyczniejszy.

Później tej nocy, kiedy rozbudzony leżał w pokoju gościnnym, usłyszał, jak Lucie gra utwór, którego nigdy wcześniej nie grała. Wydawał mu się znajomy. Był skoczny i lekki, nie przypominał jednak standardów jazzowych ani dawnych przebojów, które grała do tej pory. W końcu rozpoznał, że to piosenka z lat osiemdziesiątych *Walk like an Egyptian*. Zanucił ją pod nosem i pokręcił głową. Zaśmiał się i przewrócił na bok, żeby zasnąć.

Następnego ranka obudził się wcześniej niż zwykle i wstał przed Lucie, żeby zaparzyć kawę. Przez ostatnie dwa tygodnie nauczył się sprawnie poruszać o kulach i prawdę mówiąc, lubił przebywać w domu, siedzieć w gabinecie, który należał już tylko do niego, i wsłuchiwać się w odgłosy krzątania Lucie i nucone przez nią melodie. W porze lunchu wychodził z pokoju i odkrywał, że przygotowała im coś do jedzenia. Chociaż *jej* potrawy nie smakowały najlepiej i nieraz przez resztę popołudnia Grady cierpiał na niestrawność, Lucie stanowczo postanowiła mu gotować.

Uwielbiała robić zakupy na ekologicznym targowisku znajdującym się nieopodal, a kiedy wracała do domu, zachwycała się pulchnością jagód z doliny Skagit albo kremową konsystencją koziego sera z Oregonu. Grady'ego zaniepokoiły ceny tych ekskluzywnych produktów, uznał jednak, że kosztują mniej niż dania na wynos albo posiłki w restauracjach, gdzie żywili się wcześniej. Z zarobków Lucie nie zostało już prawie nic. Przyszło kilka czeków z prowizjami, a Grady postanowił, że kiedy będzie gotowa, pomoże *jej* przejrzeć rachunki i sprawdzić, czy ktoś jeszcze zalega z płatnościami. Pewne było, że wkrótce będą żyć z jego pensji. Lucie nie robiła już jednak zakupów online, a to właśnie na nie wydawała większość pieniędzy. Nigdy nie rozumiał, dlaczego lubiła otaczać się przedmiotami. Wydawało się, że robi zakupy, by wypełnić jakąś pustkę, tak jak Grady pływał, by naładować baterie. Nigdy nie robił *jej* z tego powodu wyrzutów. Kiedy on dostał pierwsze porządne pieniądze, sprawił sobie mnóstwo rzeczy: nowy komputer, gadżety elektroniczne, ogromny telewizor i zestaw stereo. Kupił też typowo kawalerskie skórzane meble, które sprzedali, kiedy do domu wprowadziła się Lucie. Zostawił sobie tylko fotel. Lucie miała o wiele lepszy gust niż on. Urządziła dom po swojemu, wystrój cechowały elegancja i powściągliwość, nie czuło się tu kobiecej ręki, co bardzo doceniał. W domach jego siostr mnóstwo było kwiatów i falbanek. Zastanawiał się, jak ich mężom udaje się zachować w nich choć odrobinę męskości.

- Dzień dobry - powiedziała Lucie, stając za nim. - Wczesnie wstałeś.

Obrócił się na sprawnej stopie. Kule oparł o blat.

- Dzień dobry - odparł.

Jej oczy wciąż wydawały się zaspane, a włosy sterczały na różne strony. Krótkie pasma urosły i zmieniły się w potarganą czuprynę. Pasemka wciąż miały dziwny kolor, ale powoli ustępowały naturalnemu brązowi jej włosów.

- Dziękuję za wczorajszą rozmowę - rzuciła. -Wiem, że musiałeś się dziwnie czuć.

- Nie przejmuj się.

Chciał ją przytulić. Chciał, by ona przytuliła jego, jednak nie okazywali sobie jeszcze uczuć w ten sposób. Czy kiedykolwiek uda im się wyjść z roli nowych współlokatorów?

Było tyle rzeczy, które chciał jej powiedzieć.

- Kawy? - zapytał tylko.

- Jasne. - Podrapała się po ramieniu. - Jestem dziś wykończona.

- Grałaś do późna - powiedział, odwracając się, żeby wyjąć filiżankę. - Podobała mi się piosenka, która brzmiała tak: da na na, na na na...

- Która?

Nalał kawy do filiżanki.

- *Walk like an Egyptian* - podał tytuł zawstydzony swoim fałszowaniem.

- Nie wiedziałam, że to znam - powiedziała, biorąc od niego filiżankę.

- Znasz. To stary przebój z lat osiemdziesiątych zespołu... The Go-Go's? A może The Spangles? Coś w tym stylu.

Potrząsnęła głową z uśmiechem.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Tak czy siak, grałaś ją.

- Nieprawda.

- Właśnie, że tak. Zaśmiała się.

- Lubię, kiedy tak żartujesz.

Odwróciła się do lodówki, żeby wyjąć produkty na śniadanie, a Grady obserwował ją z uśmiechem. Znów był zadurzony - tak jak na początku. Pomyślał o zaproszeniach ślubnych. Wprawdzie do czwartego września pozostało tylko pięć tygodni, ale wciąż mogli je rozesłać. Nie odwołali rezerwacji sali ani urzędnika, który miał poprowadzić uroczystość. Wciąż mogli się pobrać w planowanym terminie -może bez tych wszystkich luksusów, o które kłócili się przed ucieczką Lucie. Grady emu podobała się ta nowa myśl - nowa nadzieja - więc kiedy Lucie odwróciła się do niego z opakowaniem jogurtu w dłoni, zrobił krok do przodu, nachylił się i pocałował ją w usta.

Zamarła, a on się cofnął.

- Boże, Lucie, przepraszam. Ja... Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. - Oblał się rumieńcem.

- Nie wiesz? - Wciąż wydawała się oszołomiona. Stała w tej samej pozycji z wyciągniętą ręką, którą trzymała jogurt, jak gdyby zamieniła się w posąg.

- Mam na myśli teraz, w tej chwili. Dobrze się bawiliśmy, a ja po prostu... - Jezu, pomyślał, co jest ze mną nie tak?

- Spróbuj jeszcze raz - powiedziała. W końcu się poruszyła i postawiła jogurt na blacie. Była gotowa, ale nie zbliżyła się do niego.

Powoli podniósł rękę, żeby dotknąć jej ramienia, po czym pozwolił, by jego dłoń wślizgnęła się pod jej rękę i przyciągnęła ją do niego. Pachniała tak jak dawna, zaspana Lucie - świeżym praniem i wczorajszą kąpielą. Zrobiło mu się ciepło w piersi, a jego kończyny przeszył dreszcz. Podłożył rękę pod jej głowę i spojrzał jej w oczy. Miała rozszerzone źrenice. Nie wiedział, czy się bała, była podekscytowana czy zwyczajnie ciekawa.

- Hej - wyszeptał. Jego ciałem wstrząsały dreszcze, a serce łomotało w piersi.

- Pocałuj mnie - poprosiła. - Oczywiście, jeśli chcesz...

Przycisnął wargi do jej warg. Nie zrobiła nic, by oddać pocałunek. Pozwoliła tylko, by ją całował, jak gdyby była naukowcem badającym rytuały godowe nieznanym. Już miał się od niej oderwać, kiedy oplotła go w pasie ramionami, pogłaskała po plecach. Jej usta zrobiły się miękkie i uległe. Całowali się w ten sposób - tylko ustami, nie poruszając językami ani zuchwami - dopóki w końcu nie zaczęła chichotać i nie odsunęła się od niego.

- Hmm, dziękuję - powiedziała.

Dziękuję? Odwrócił wzrok. Dlaczego przestała? Może po prostu zapomniała, jak to jest się całować, i chciała się tego dowiedzieć? Czy w ogóle go nie pragnęła?

Grady odwrócił się w stronę zlewu i udawał, że opłukuje naczynia, które były już opłukane. Czy wiedziała, jak na niego działa? Jezu, westchnął w duchu.

- Zaniosę ci śniadanie do jadalni - oznajmiła Lucie.

Skinął głową, czekając, aż jego erekcja ustąpi.

Czuł, że coś musi się zmienić. Był więźniem we własnym ciele i nie miał żadnej drogi ucieczki. Jeśli wkrótce nie popływa, zwariuje. Miał zakaz wstępu do klubu, ale przecież w dzielnicy Green Lake znajdował się basen publiczny. Zbyt wielu sąsiadów, pomyślał, zbyt wielu ludzi, którzy mogliby go zauważyć i zacząć wypytywać o nogę. W Queen Anne Hill był jeszcze jeden basen - znajdował się zaledwie dziesięć minut drogi samochodem od domu, za to odwiedzali go zupełnie inni ludzie. Grady westchnął. Do zdjęcia ortezy pozostało wiele tygodni. Kto wie, kiedy znów uda mu się pocałować Lucie.

ROZDZIAŁ DZIEWICTNASTY

LUCIE

Przez cały dzień czuła na ustach ciepły dotyk jego warg: kiedy brała prysznic po śniadaniu, w drodze na targ i później, gdy czytała „Seattle Times”. Na myśl o Grady *jej* ciało reagowało - krew buzowała, a serce waliło jak szalone. Czuła na sobie jego zapach, który sprawiał, że rodziło się w niej głębokie, ciepłe podniecenie. Pragnęła Grady ego. Jej ciało nie wyrzuciło tego z pamięci.

Kiedy rozmawiali, z jednej strony czuła się zawstydzona, a z drugiej - coraz odważniejsza. Lucie wciąż nie mogła uwierzyć, że zmusiła go, by ją tak pocałował. Grady był uroczy i czuły, ale kiedy nic więcej z tego nie wynikło, poczuła się jak idiotka i odsunęła się, żeby nie zawstydząć ich obojga.

Poprzedniej nocy Grady tak bardzo się otworzył, że Lucie czuła bliskość, kiedy opowiadał o tak trudnych sprawach, a ona spoglądała mu w twarz. Wydawało jej się, że robią postępy. Może on nie podzielał jej zdania?

Siedziała właśnie przy stole, kiedy usłyszała otwierające się drzwi gabinetu i stukot kul na podłodze w salonie.

- Hej - powiedział, wtykając głowę przez drzwi. - Masz ochotę zjeść dziś kolację na mieście?

Najwyraźniej nie znosił jej kuchni. Wiedziała, że stara się być miły za każdym razem, kiedy Lucie przygotowuje posiłek. Za wszelką cenę chciała ugotować coś, co będzie mu smakowało, więc próbowała dalej.

- Byłoby miło.

- W okolicach targu obok szkoły jogi jest knajpka, do której lubimy chodzić.

- Tak?

Przyzwyczajili się do mówienia w ten sposób o sobie z przeszłości. Lucie pytała: „Co lubimy robić w weekendy?” albo „Czy mamy przyjaciół?”, a on odpowiadał:

„Nie robimy zbyt wiele. Pracujemy i chodzimy do restauracji". Przestali się poprawiać i wstawiać czas przeszły. Było tak, jak gdyby postanowili zachować status quo do czasu, aż coś się wyklaruje.

Lucie dobrze zdawała sobie sprawę z tego, że w pudełkach leżą zaproszenia ślubne. Wyciągnęła jedno z nich i kilkakrotnie je przeczytała, zastanawiając się, czy wieczorem czwartego września uda im się spotkać wraz z przyjaciółmi i rodziną w hotelu Fairmont Olympic. Cóż, przynajmniej z jego rodziną. Kto wie, których przyjaciół zamierzali zaprosić. Odkąd wróciła do domu, nikt się z nią nie skontaktował. Czy miała przynajmniej znajomych z pracy? Przyjaciół ze studiów? Jednak na razie nikt jeszcze nie otrzymał zaproszenia, a Lucie nie potrafiła sobie wyobrazić, że ją i Grady ego wciąż czeka ta bajkowa chwila.

Grady wspominał, że tego dnia przypadają także jej czterdzieste urodziny! Z pewnością jej ciotka nie była tak podła, żeby zignorować tak doniosłe wydarzenie.

A może była. Grady mówił także, że Lucie jej nienawidzi. Była jej jedyną krewną, a w ogóle nie miały ze sobą kontaktu. Lucie poczuła znajome ściskanie w gardle, które po chwili ustąpiło. Wkrótce będzie miała rodzinę. Grady także nią był.

O wpół do siódmej wyszli z domu. Nadal było upalnie - słońce wciąż świeciło tak mocno, że Grady włożył okulary przeciwsłoneczne. Lucie znalazła w szafie jedwabną sukienkę bez rękawów i włożyła sandały, w których wróciła ze szpitala.

- Na pewno chcesz iść pieszo? - zapytała

Grady od jakiegoś czasu tak dobrze i zgrabnie poruszał się o kulach, że czasem zapominała, iż w ogóle ich używa.

- Muszę się więcej ruszać - odparł. - Nie przesiedziałem tyle czasu w fotelu od... Cóż, nigdy.

Kiedy mijali dom wdowca, mężczyzna wyszedł z bocznego ogródka, trzymając w dłoni wąż ogrodowy, z którego ciurkała woda. Lucie rzadko widywała go podczas swoich przechadzek, ale ilekroć się to zdarzało, próbowała nawiązać z nim kontakt wzrokowy i wołała: „Dzień dobry!" Sąsiad nigdy się do niej nie odezwał ani na nią nie spojrział.

- Dobry wieczór, Don - powiedział Grady, a mężczyzna kiwnął głową, nie podnosząc wzroku.

- Nieźle - wyszeptała Lucie. - Mnie nigdy nie odpowiada.

Grady odczekał, aż się oddalą, po czym powiedział:

- Prawdę mówiąc, Luce, nie przepadacie za sobą.

- Ale ciebie lubi? - Dlaczego było jej z tego powodu przykro?

- Mamy po prostu taki męski pakt. Nasza komunikacja ogranicza się właściwie do

tego, co widziałaś.

Lucie w milczeniu pokonała pół przecznicy, muskając po drodze rabatki rozmarynu i melisy. Zatrzymała się, żeby przyjrzeć się przepięknej kwitnącej pomarańczowej róży.

- Dlaczego jestem taka wredna? - zapytała. Grady westchnął.

- Nie jesteś wredna. Jesteś po prostu...

- Trudna?

Wzruszył ramionami.

- Jasne, bywasz trudna. Przecież czasem wszyscy tacy jesteśmy, prawda? Odkąd złamałem stopę, też nie byłem specjalnie przyjemny.

- Ty przynajmniej masz powód.

Grady odchrząknął.

- Co? - zapytała, odwracając się, żeby spojrzeć na jego profil.

Szli dalej przed siebie, a Grady wbijał wzrok w chodnik.

- Myślę, że ty też masz dobre powody, żeby być taka, jaka jesteś.

-Tak? Skinął głową.

- Na przykład? - Proszę, po prostu mi powiedz, pomyślała.

Grdyka Grady ego podjechała do góry i opadła w dół jego długiej szyi. Jedna z kul poślizgnęła się na kamieniu, tak że się potknął. Kiedy całym ciężarem spadł na uszkodzoną stopę, wymamrotał pod nosem przekleństwo.

- Ojej, nic ci się nie stało? - zaniepokoiła się.

Skinął głową, nic nie mówiąc. Postanowiła, że poczeka, aż wygodnie usiądą. Dopiero wtedy zapyta go o wszystko to, co znajdowało się na liście w jej głowie: co takiego wydarzyło się między nimi, że postanowiła uciec? Czy naprawdę jej teraz pragnął? Czy wciąż chciał się z nią ożenić? Zdała sobie sprawę, że te pytania są dla niej trudne, bo tak bardzo chciałyby usłyszeć odpowiedź twierdzącą. Wrócili do siebie zaledwie kilka tygodni temu, ale uczucie, którym go darzyła, zrodziło się gdzieś głęboko. Zadrzała, uświadamiając sobie, że jej miłość do Grady ego nie jest nowa, lecz w pełni dojrzała.

Lucie widziała tę restaurację za pierwszym razem, kiedy wraz z Susan odwiedziła sklepy znajdujące się w pobliżu Pięćdziesiątej Szóstej ulicy. Przeszły się po sąsiedztwie, a Susan pokazała jej pub, w którym serwuje się świetne kanapki Ruben z wołowiną, krawcową, która ma swój punkt w pralni, i wegańską knajpkę z pączkami. Lucie zapytała Susan o restaurację przy tej samej ulicy - uznała, że przyjemnie byłoby tam zjeść lunch albo kolację. Nazywała się „Belle”.

Wnętrze było niewielkie i wykładane drewnem, a na stołach stały wazoniki z

konwaliaami. Lucie czuła ostry zapach świeżego szczypiorku i krzepiącą woń roztapianego na patelni masła.

- O Boże! Hej! - powiedziała młoda kelnerka. Kaskada jedwabistych włosów spłynęła na jej ramiona jak w reklamie szamponu, kiedy wyciągnęła ręce, żeby uściskać Grady'ego. Zarumienił się. - Wróciłaś! - Krzyknęła do Lucie, ale najwyraźniej nie zamierzała jej przytulać. Uśmiechnęła się tylko szeroko, ukazując idealne zęby i mrużąc perfekcyjnie umalowane oczy. Lucie miała wrażenie, że dziewczyna chce powiedzieć coś jeszcze, ale ona znów zwróciła się do Grady'ego: - Ojej, biedaku. Kule!

Z zaplecza wyszedł tęgi mężczyzna w średnim wieku w eleganckiej, nakrochmalonej białej koszuli i ze starannie ułożonymi siwymi włosami. Wyglądał na Greka albo Włocha. Kiedy podszedł do Lucie i Grady'ego, uniósł ręce.

- Panie Goodall! Panno Walker! Tak się cieszymy, że wróciliście. - Ujął rękę Grady'ego w obie dłonie i potrząsnął nią, po czym odwrócił się i ścisnął dłoń Lucie. Spojrzał jej w oczy. - Już lepiej? Już nie ucieknie pani od tego chłopa?

- Bez przesady... - zaczął Grady, ale Lucie była zachwycona.

- Nie, wróciłam do domu - powiedziała.

Odkąd wróciła, nikt nic takiego nie powiedział.

Czuła się tak, jak gdyby ktoś otulił ją kołdrą. Ten mężczyzna ją znał i lubił. Tak bardzo chciał, żeby tu była, że zganił ją za ucieczkę.

Pobiegł przed nimi przodem, podczas gdy kelnerka wskazała im stolik przy oknie. Najpierw wyciągnął krzesło dla Lucie, a następnie odsunął krzesło Grady'emu po drugiej stronie stołu, zabierając mu kule i odstawiając je do pobliskiego kąta.

- Jak będzie pan chciał, żebym je podał, proszę mnie zawołać. Zajmę się wami. Dziś kolacja na koszt firmy. Podać to co zwykle? - Spoglądał wyczekująco to na Grady'ego, to na Lucie.

- Oczywiście - odparła Lucie. - Prosimy to co zwykle.

Kiedy zostali sami, Grady uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Powinienem był to przewidzieć. Przepraszam. Nie przemyślałem tego.

- Czego? Podoba mi się to miejsce. I ci ludzie. Czuję się tu bardzo, bardzo...

Oczy jej zwilgotniały. Grady wydawał się zaskoczony.

- Ojej, Luce - westchnął.

Po jej policzkach potoczyły się łzy.

- Potrzebuję tego - powiedziała.

Czuła się zawstydzona tym, że płacze w publicznym miejscu. Na szczęście jedyny zajęty stolik znajdował się po drugiej stronie pomieszczenia. Grady podał jej swoją

serwetkę.

- Nie wiedziałem, że jesteś taka nieszczęśliwa.

- To nie to - powiedziała, przyciskając materiał do twarzy. - Nie jestem nieszczęśliwa. Ja... nie wiem, jaka jestem. Nawet tego nie wiem. - Opuściła serwetkę. Nie tak miało to zabrzmieć. - Kim jestem, Grady? Co sprawia, że ja to ja? Dlaczego jestem tu z tobą?

Wydawał się zaniepokojony.

- Nie, to nie tak jak myślisz. Chcę tu być. Mam tylko na myśli...

- Wiem, co masz na myśli - odparł cicho. - Nie wiesz, czy my, czy to...

- Nie - powiedziała głośno, po czym ściszyła głos. - Nie wiem, czy to ty jesteś pewien. A naprawdę chciałabym. Chciałabym wiedzieć wszystko, znać każdy szczegół, a nigdy nie rozmawiamy o sprawach, które są zbyt... - Westchnęła. - Nie wiem.

- Co chcesz wiedzieć? - Miał wyprostowaną sylwetkę i rozszerzone nozdrza. Wyglądał tak, jakby stał przed plutonem egzekucyjnym.

- Chciałabym wiedzieć...

Boże, jak to zrobić? Jak mogła zadawać mu te pytania teraz, kiedy przyprowadził ją do tego cudownego miejsca, gdzie często spędzali romantyczne chwile? Przygryzła wargę i rozważyła wszystkie pytania na liście. Nie potrafiła nic na to poradzić. Jedno z nich wybijało się na pierwszy plan, odsuwając wszystkie inne na bok.

- Kim jest Helen? - Znała to imię z przeszłości, ale nie wiedziała, co oznacza. Grady zrobił się blady jak ściana.

- Cholera - powiedział. - O nie. Nie wiedziałem, kiedy ci o tym powiedzieć. Nie byłem pewien, czy w ogóle to robić. Przepraszam, Lucie, naprawdę. - Teraz jego oczy wypełniły się łzami i mężczyzna wyciągnął rękę przez stół, ale Lucie nie ujęła jego dłoni.

Czy mogła mieć pewność, że Grady nie zwiąże się z nikim innym? Widziała, że go to boli, ale i tak poruszyła ten temat. Chociaż dopiero tego ranka pocałowali się po raz pierwszy, miała zamiar wydobyć z niego nieprzyjemną, niewypowiedzianą prawdę.

- Kochasz ją? - zapytała ze świadomością, że to głupie pytanie.

- Słucham?

- Powiedz, proszę.

- Nawet jej nie znam - odparł, a jego ciemne oczy lśniły. - Po prostu nie wiedziałem, jak ci o niej powiedzieć. Nie chciałem cię jeszcze bardziej skrzywdzić.

Miała ochotę wrzasnąć: „Pieprz się! Teraz mnie skrzywdziłeś”.

- Zadzwoiła do mnie do pracy. Próbowwała mnie namówić, żebym ci o niej powiedział. Miałaś rację, jest strasznie dziwna. Chciałem chwilę odczekać, zanim ci powiem. - Odwrócił wzrok, po czym znów spojrzał na Lucie. - Próbowiałem cię chronić.

- Próbowaleś...

- To twoja ciotka, Lucie. Ciotka Helen. Pamiętasz?

- Co? - To słowo zabrzmiało głośno i odbiło się echem w restauracji. - Nie powiedziałaś mi o jedynej żyjącej krewnej, która mnie szuka? - Zerwała się od stołu tak szybko, że przewróciła krzesło.

Jej przeszłość istniała na niewielkim kawałku niebieskiego papieru, który stanowił jedyne łącznik z jej matką, ojcem i ciotką znającą ją od urodzenia. A Grady to przed nią ukrywał. Właściciel restauracji szedł w ich stronę z butelką szampana i dwoma kieliszkami, lecz kiedy Lucie rzuciła serwetkę na stół, przystanął niepewnie. Lucie przeszła przez restaurację, mijając zdziwionych gości przy sąsiednim stoliku i kelnerkę, i ruszyła przed siebie, przeciskając się przez pary starszków i młode rodziny na spacerze albo w drodze na kolację.

Przeszła przez ruchliwe skrzyżowanie na czerwonym świetle. Jej myśli buzowały od coraz większej ilości pytań, jednak tym razem nie dotyczyły one Grady'ego. Jej krok przyspieszył i stał się coraz bardziej zdecydowany - jeszcze jedna przecznica, a potem kolejna. W końcu Lucie znalazła się na podjeździe i niezgrabnie włożyła klucz do zamka.

Kiedy znalazła się w środku, ruszyła prosto do gabinetu i sięgnęła po leżącą na biurku torbę Grady'ego. Zanurzyła w niej dłoń i wyrzuciła papiery oraz teczki na podłogę, aż znalazła niebieską karteczkę, którą przysunęła do światła drżącymi dłońmi, jak gdyby chciała się upewnić, że nie jest podrobiona.

Dlaczego nie dał jej tego numeru? Jak mógł? Chwyciła słuchawkę telefonu stojącego na jego biurku i próbowała wybrać numer. Palce drżały jej zbyt mocno, a wzrok był zamglony. Poczula się tak zraniona, że zaczęła szlochać i z trudem łapała powietrze.

Podobnie jak smutek, żal i niepewność, poczucie zdrady było kolejną emocją, którą Lucie dobrze znała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

HELEN

Whisky Canadian Club przelała się przez krawędź szklanki, a maleńkie kropelki zniekształciły niewielką tarczę zegarka Glorii -jedynej pamiątki po siostrze, jaką Helen otrzymała po jej śmierci. Helen odstawiła drinka na tacę i zza paska stanika wyciągnęła chusteczkę, żeby osuszyć zegarek i cienką skórę

nadgarstka. Lekarz zdawał się nie przejmować pogarszającym się drżeniem jej rąk i wycieńczającej astmy, ale ona wiedziała, co zwiastują te objawy. Raymond, menadżer kasyna, zaczynał wątpić w to, czy Helen potrafi szybko przeliczyć setki klejących się od alkoholu banknotów, których potrzebowała na każdej zmianie, i nadażyć z sortowaniem jedno-, pięcio- i dziesięciodolarówek.

Po tym jak Lucie wróciła do domu, Helen ani razu nie widziała jej w wiadomościach, choć wytrwale oglądała telewizję z nadzieją, że ujrzy dziewczynę. Lucie zrobiła się taka chuda i blada, podczas gdy kiedyś była krzepka, miała zaróżowione policzki i sprężysty krok. Helen westchnęła. Postanowiła, że jeśli uda jej się nie zasnąć, obejrzy kolejne wiadomości o jedenastej.

Otworzyła właśnie album ze zdjęciami na pierwszej stronie, kiedy zadzwonił telefon. Ostatnio, co prawda, nie dzwonił do niej nikt poza organizacjami zbierającymi fundusze na weteranów z policji i nachalnymi sprzedawcami kredytów hipotecznych, lecz Helen znów zaczęła odbierać telefon, po tym jak Lucie się znalazła, a zwłaszcza po tym jak dała swój numer temu Gradyemu Goodallowi. Kiedy sięgnęła po zieloną słuchawkę, jej ramię wplątało się w poskręcany kabel i przekłęta pod nosem, po czym przyłożyła słuchawkę do ucha.

- Halo?

- Czy to... - kobiecy głos nagle się urwał. Brzmiał zupełnie jak głos Glorii, ale to była ona, ta dziewczyna. Helen wszędzie by ją poznała, nawet we śnie, nawet gdyby leżała trzy metry pod ziemią wraz z Edwardem.

- Lucie! - Wcześniej postanowiła, że jeżeli Lucie w końcu zadzwoni, będzie bardziej opanowana, ale w jej osłabionych żyłach i kruchych kościach buzowały takie emocje, że nie mogła się powstrzymać. - Tak się cieszę, że słyszę twój głos. - Po drugiej stronie słuchawki usłyszała płacz i jej także do oczu napłynęły łzy.

- Czy naprawdę jestem twoją siostrzenicą? - zapytała dziewczyna nosowym i i zrozpaczonym głosem.

- Oczywiście, że tak. Obiecuję.

- O Boże, ja po prostu... nie mogę...

- Ojej - westchnęła Helen.

Musiała zdjąć okulary, żeby otrzeć oczy. Jej siostrzenica była równie poruszona tym, że znalazła Helen, jak jej ciotka tym, że została odnaleziona. To nie była ta sama Lucie, która odeszła od nich ponad dwadzieścia lat temu. Tamta Lucie była pozbawiona emocji.

- Gdzie mieszkasz? Mogę do ciebie przyjechać?

Proszę.

Czy może przyjechać? Helen miała ważenie, że zaraz straci nad sobą panowanie.

Znów zaczęły jej drżeć ręce, więc zacisnęła pustą dłoń w pięść i wbiła paznokcie w skórę, aż poczuła ból.

- Wciąż mieszkam tu w Marysville. Może przyjedziesz jutro rano? Obawiam się, że nie mam nic do jedzenia, ale mogę zaparzyć kawę. Musiałam zrezygnować z domu, ale mieszkam teraz w ładnym małym mieszkanku w mieście. Na wschód od rezerwatu - dodała, próbując pobudzić pamięć dziewczyny.

- Ja... Nie mam pojęcia, co to wszystko znaczy - odparła Lucie. - Przepraszam. Możesz mi podać swój adres? Mam w samochodzie takie urządzenie z nawigacją. Boże, nie mogę uwierzyć, że jesteś tak blisko, a ja nic o tym nie wiedziałam.

- Po tak długim czasie rzeczywiście trudno w to uwierzyć - powiedziała Helen, zastanawiając się, czy całą sprawą nie kierował przypadkiem duch Glorii. -Jutro, powiedzmy, o jedenastej? O pierwszej zaczynam pracę, więc powinniśmy mieć dość czasu na to, by znów się poznać. - Podała Lucie swój adres i informacje, jak zjechać z autostrady, chociaż dziewczyna protestowała, twierdząc, że znajdzie ją za pomocą tego czegoś, co miała w samochodzie. Za pierwszym razem Helen miała trudności ze znalezieniem swojego osiedla, mimo że znała teren. Nie lubiła zdawać się na los, nie wspominając już o elektronicznych gadżetach.

- Do zobaczenia jutro o jedenastej - potwierdziła Lucie. - Bardzo dziękuję.

- Za co? - mruknęła Helen, po czym zdała sobie sprawę z tego, jak to zabrzmiało. - Lucie, jesteśmy rodziną.

Po krótkiej pauzie Lucie spytała:

- Mogę ci zadać jedno pytanie?

Helen wzięła głęboki oddech. Czego najbardziej chciała się dowiedzieć ta dziewczyna, po tym jak straciła pamięć? Z pewnością zapyta o tę tragedię -coś, o czym Helen wciąż nie potrafiła rozmawiać. Gdy do nich wróciła, Lucie nigdy nie wspomniała słowem o tym, co zaszło. Helen i Edwardowi to odpowiadało. W tamtym czasie dziewczyna była nie do zniesienia, a oni sami musieli sobie jakoś poradzić z tragedią. Jednak ta Lucie wydawała się otwarta i szczerą - jak wtedy gdy była mała i bezgranicznie kochała Helen.

- Oczywiście. O co chodzi?

Po drugiej stronie słuchawki zapadło chwilowe milczenie.

- Czy miałam pianino?

Helen przewróciła oczami. Pianino. Minęło tyle czasu, a ona pytała o pianino?

- Tak, tak, twoje pianino. Pewnie wciąż je masz? - Lepiej, żeby tak było. Ona i Edward wydali na nie mnóstwo pieniędzy.

- Skąd się wzięło? - zapytała Lucie. - Czy należało do moich... rodziców? - Jej głos

zadrzał. Znów płakała.

- Dostałaś je od nas w prezencie - odparła Helen łagodnie.

Wspominała dzień, w którym przywieźli je do małego żółtego domku obok rezerwatu. Pamiętała minę dziewczynki obserwującej, jak troje dorosłych: Helen, Edward i Gloria, próbuje je wciągnąć na schodki ganku i do salonu. Biło od niej szczęście tak czyste, że na to wspomnienie oczy Helen znów się zaszkliły.

Lata później, kiedy Lucie do nich wróciła, Edward uznał, że dobrze by było, gdyby miała pianino, i zapłacił za jego przewóz z Kalifornii, ale dziewczyna nigdy więcej nie dotknęła klawiszy, a przynajmniej nie w ich obecności. Edward nalegał, by je zabrała, kiedy wyprowadzała się na dobre.

Leżąc w łóżku, Helen odmówiła swoja cowieczorną modlitwę:

- Edwardzie, daj mi siłę, której potrzebuję, by poradzić sobie tu bez ciebie - po czym dodała - i tym razem nie przeganiaj Lucie. Nie potrzebuję, żebyś mnie chronił. Nigdy tego nie potrzebowałam. - Przez dłuższą chwilę leżała w milczeniu, po czym szepnęła: -Chociaż oczywiście doceniam twoją troskę, kochany.

Westchnęła w ciemności. Wkrótce do niego dołączy, ale najpierw musi się zatroszczyć o jedyne żyjące dziecko, które łączyło ją z siostrą. Wtedy będzie mogła umrzeć w spokoju.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

GRADY

Rano po koszmarze poprzedniego wieczoru Grady obudził się w pokoju gościnnym. Wokół panowała cisza. Lucie nie robiła śniadania i nie krzątała się po domu. W nocy nie grała na pianinie. Znów czuł, że jest sam, a ból, który odczuwał, wrócił do niego ze zdwojoną siłą.

Zbyt długo czekał w restauracji, zanim ruszył za nią. Siedział przy stoliku - opróżnił swój, a następnie jej kieliszek i nie pozwolił, by Milos przyniósł mu jedzenie. Później, kiedy starszy mężczyzna był w kuchni, a kelnerka zajmowała się usadzaniem kolejnych gości, Grady zostawił na stole dwie dwudziestki, po czym powoli pokuśtykał o kulach z powrotem do domu.

Dlaczego nie ruszył za nią, nie poprosił Milosa, żeby go podwiózł? Był prawie pewien, że Lucie nie ucieknie po raz drugi, ale co jeśli się mylił? Był inżynierem, profesjonalistą, któremu płacono, żeby rozwiązywał złożone problemy, a jednak nie miał pojęcia, co zrobić ani od czego zacząć. Jego najnowszym sposobem na radzenie sobie z kłopotami okazał się paraliż działania. Co jeszcze nie dotarło do

tej jego tępej głowy?

Grady zdał sobie sprawę z tego, że się boi. Zawsze się bał.

Kiedy wrócił do domu, Lucie siedziała zamknięta w gabinecie i rozmawiała przez telefon. Płakała. Wiedział, że rozmawia z ciotką i że musiała przeszukać jego torbę. Dlaczego zaskoczyło go to, że nie pamiętała imienia ciotki? Przecież miała pieprzoną amnezję.

Zamiast porozmawiać z nią, kiedy odłożyła telefon, i wszystko jej wyjaśnić, poszedł do pokoju gościnnego, położył się na łóżku i przez zamknięte drzwi nasłuchiwał odgłosów jej aktywności. Miał nadzieję, że zapuka do jego drzwi, ale się mylił. Dlaczego miałyby to zrobić? Przecież ukrył przed nią coś bardzo dla niej ważnego.

Gdyby tylko rozumiała, dlaczego tak postąpił.

Wiedział, że musi jej to wytłumaczyć. Grady wstał z łóżka zdeterminowany, żeby zachować się jak mężczyzna.

Poszedł do łazienki, po czym skradając się, krążył po domu, o ile można mówić o skradaniu się o kulach i z twardym kawałkiem gipsu wokół stopy. Nie było jej w gabinecie. Nie widział też śladów, które mogłaby po sobie pozostawić poprzedniego wieczoru. Czego się spodziewał? Kałuży łez na dywanie? Jego rzeczy podartych na strzępy na biurku?

Nie było jej w salonie, w jadalni ani w kuchni. Nie zaparzyła kawy. Wyjrzał przez okno wychodzące przed dom. Jej samochód wciąż stał przy krawężniku. Odwrócił się i spojrzał w górę schodów. Wokół panowała cisza.

Grady postawił zdrową stopę na pierwszym stopniu, po czym mocno nachylił się do przodu i odepchnął od podłogi, tak by postawić kule i ortezę na schodach. Nie upadł, więc w ten żmudny sposób wspiał się po wąskich drewnianych stopniach, pierwszy raz od wypadku na basenie. Kiedy był już prawie na górze, usłyszał głęboki, swobodny oddech, który oznaczał, że Lucie wciąż śpi.

Nie porzuciła go. Przez chwilę stał nieruchomo, próbując opanować przyspieszony oddech i zaskoczenie.

Na szczycie schodów oparł kule o ścianę i utykając, podszedł do łóżka. Dopiero kiedy otworzyła oczy, przypomniał sobie, że jest ubrany tylko w bokserki i zniszczony podkoszulek, który wkładał do spania.

- Przepraszam - powiedział. Przekazanie tego, co czuł za pomocą słów, wydawało mu się nedorzeczne, ale nie miał innego wyjścia. - Myślałem, że postępuję właściwie, że cię chronię.

Przez chwilę przyglądała się jego twarzy - zdezorientowana i zaspana - po czym uniosła kołdrę i przesunęła się, żeby zrobić mu miejsce. Była naga. Grady

odwrócił wzrok, podciągnął nogę i położył się obok niej, nie dotykając jej ani nie spodziewając się, że ona go dotknie. Leżał cicho, wsłuchując się w jej oddech i czekając, aż ustąpi podniecenie wywołane bliskością jej ciała. W pewnej chwili Grady emu przyśniło się, że pływa w morzu jaskrawych ptaków.

Przebudził się gwałtownie, kiedy z dołu dobiegł łoskot. Był sam w łóżku. Czy śniło mu się to, że leżała obok? Przeciągnął ręką po jej miejscu - pościel wciąż była ciepła.

Grady usiadł, jeszcze bardziej zaspany niż po pierwszym przebudzeniu. Była dziewiąta trzydzieści - od lat nie spał do tak późna. Czuł, że musi się wykapać. Zadzwoić do pracy I - co najważniejsze - wziąć się w garść i porozmawiać z kobietą, którą kocha, niezależnie od tego, kim teraz była.

Wstał, znalazł bokserki i świeży podkoszulek. Schodzenie po schodach okazało się o wiele bardziej skomplikowane niż wchodzenie. Grady miał wrażenie, że lada chwila spadnie na złamanie karku na sam dół, więc chwycił kule w jedną rękę i usiadł, zsuwając się po stopniach na pupie i wyciągając przed siebie nogę ze złamaną stopą. Miał nadzieję, że Lucie nie przyjdzie sprawdzić, co się dzieje.

Nie przyszła. Zastał ją ubraną przy niewielkim kuchennym stole, gdzie czytała gazetę. Miała przed sobą kawę i pustą miseczkę po płatkach śniadaniowych. Na blacie nie było innych naczyń.

- Dzień dobry - powiedział.

Podniosła wzrok i skinęła głową, tak samo jak rano w łóżku, ale nie podniosła się, żeby mu pomóc ani przygotować mu śniadanie. Znowu spojrzała na gazetę.

Grady nalał kawy do filiżanki i pił ją, stojąc przy blacie. Nie wiedział, czy powinien usiąść naprzeciwko Lucie, czy po prostu wyjść.

- Chyba powinniśmy porozmawiać - powiedział.

Nie podniosła głowy.

- Prawda? - spytał.

Nie miał pojęcia, jak mocno na nią naciskać. Co teraz? Jego ciało było jak sparaliżowane poza ręką, którą raz po raz podnosił filiżankę kawy do ust, aż wypił całą.

- To może później - zasugerował.

Lucie zacisnęła usta i odwróciła gazetę, żeby przeczytać ostatnią stronę. Grady westchnął.

- Hej - rzucił. - Daj spokój. Musisz mi trochę pomóc. - Brak reakcji. To było absurdałne. - W takim razie chciałbym ci powiedzieć, że zrobiłem to, żeby cię chronić. Nienawidzisz tej kobiety. Kiedy byłaś nastolatką, tylko przez nią cierpiałaś i uciekłaś z tamtego domu najszybciej, jak mogłaś. Nie chciałem, by znowu cię zraniła, Luce. I

tyle. To cała moja zbrodnia. Jestem winny. A teraz pójdę wziąć prysznic.

Nie mógł sobie, niestety, pozwolić na teatralne wyjście. Wymacał kule i powoli się odwrócił. Pozytywną stroną tego manewru było to, że zobaczył jej minę. Kiedy na ułamek sekundy podniosła wzrok, na jej twarzy malowały się dezorientacja i ból.

I dobrze, pomyślał. Powiedział swoje. Jeśli jej się to nie podobało albo jeśli było jej z tego powodu przykro, przynajmniej jechali na tym samym wózku.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

LUCIE

Droga do mieszkania Helen wiodła przez teren, który Lucie na pewno już kiedyś widziała. Kierowała się do miejsca, które podobno знаła przez całe życie, a jednak wszystko wydawało jej się nowe: wdzięcznie zaniedbane osiedla ustępujące miejsca nowym centrom handlowym oraz ciągnące się kilometrami drzewa. Nawigacja samochodowa zapowiedziała, że Lucie znajdzie się u celu za czterdzieści dziewięć minut, choć ona szczerze w to wątpiła. Jednak w czterdziestej drugiej minucie przez gęstwinę drzew przedarło się miasto Everett - Marysville leżało zaledwie kilka kilometrów dalej.

Przyjechała za wcześnie. Chciało jej się siusiu. Musiała się zastanowić. Na myśl o tym, że w końcu dowie się czegoś o swojej przeszłości, na zmianę do oczu cisnęły się jej łzy i zbierało się jej na wymioty. Wiedziała, że Grady ją chronił, ale jak mógł nie zauważyć, że pragnęła się wszystkiego dowiedzieć? Choć nie powiedziała mu, dokąd wybiera się tego poranka, odniosła wrażenie, że on to doskonale wie.

Znak na autostradzie sygnalizował, że przy następnym zjeździe znajduje się kawiarnia Starbucks. Włączyła kierunkowskaz. Ilość samochodów na drodze 1-5 była przytłaczająca, więc zachowywała szczególną ostrożność. Czy zawsze była tak roztropnym kierowcą? Czy już ciągle będzie podawała w wątpliwość wszystkie swoje działania i starała się porównać je z czasami, których być może nigdy sobie nie przypomni? Będzie się zastanawiać, czy Grady kiedykolwiek jej pragnął? Jakim cudem mężczyzna mógł znaleźć się w łóżku z kobietą, którą podobno kochał i chciał poślubić, i nawet jej nie dotknąć?

Kiedy ją przeproszał, w jego głosie słyszała czułość i skruchę. Musiała mu przebaczyć. Tak bardzo się o nią troszczył, że choć wprowadził ją w błąd, ogarnęło

ją nagle pożądanie. Uniosła kołdrę, myśląc: „Teraz, w końcu”, a on leżał obok niej jak martwy.

Przygryzła dolną wargę, próbując powstrzymać drzenie. Po prawej stronie Lucie dostrzegła znaki z logo Starbucksa i zjechała na skrajny pas autostrady. Czowała, że przed spotkaniem z ciotką musi uporządkować myśli. Było tyle spraw, o które chciała zapytać, tyle spraw, które pragnęła w końcu poznać i zrozumieć - kim jest, kim była jej rodzina i, co najważniejsze, co się stało z jej rodzicami. Wiedziała, że dopóki nie dowie się, skąd pochodzi, nigdy nie poczuje się sobą.

W kawiarni Lucie udała się do toalety. Zdała sobie sprawę z tego, że instynktownie zna rozkład tego miejsca. Wcześniej musiała bywać w starbucksie - znała nastrojowo oświetlone łazienki na zapleczu, półkolisty kontuar, wiedziała, gdzie złożyć zamówienie, a gdzie je odebrać, kojarzyła nawet szklane lampki nad ekspresem do kawy. W tle leciała piosenka po hiszpańsku albo portugalsku. W środku siedziały matki z wózkami, a swobodnie ubrani biznesmeni rozmawiali lub czytali gazety.

Lucie skorzystała z toalety, po czym przemyła twarz wodą i spojrzała w lustro. W przyziemnym świetle zastanawiała się, czy ciotka ją rozpozna. Helen. Czy nazywała ją ciocią Helen? Lucie miała zapuchnięte oczy, a jej włosy płasko przylegały do czaszki. Dlaczego nie była jeszcze u fryzjera? Jej fryzura robiła się coraz bardziej niedorzeczna: matowy brąz odrostów odznaczał się wyraźną granicą od miejsca, gdzie zaczynała się prawdziwa feeria barw. Przeczesła włosy palcami. Wyglądała jak obłąkana, więc znowu je przyglądziła i poszła zamówić herbatę ziołową bez kofeiny, po czym znów ruszyła w drogę.

Może rzeczywiście powinna się spotkać z psychiatrą. Myślała, że poradzi sobie sama, kiedy będzie miała więcej czasu i znajdzie się w otoczeniu przyjaznych twarzy, ale oprócz Grady ego nie widywała na razie zbyt wielu osób. Pamiętała tylko piosenki i małe ręce na klawiaturze. Nie było to zbyt pomocne. Teraz pojawiła się Helen. Wszystko miało się zmienić, a Lucie zastanawiała się, czy będzie to zmiana na lepsze czy na gorsze. Chociaż była zła na Grady ego, słuchała, kiedy mówił, że staruszka jest trochę stuknięta i że w przeszłości ich relacje były burzliwe. Ale przez telefon jej głos był taki... cóż, stary. Może przez lata Helen złagodniała.

Lucie zjechała z autostrady przy zjeździe 199. Na końcu drogi znajdował się znak informujący, że rezerwat Indian Tulalip mieści się po lewej stronie, a Marysville po prawej. Wcześniej miała nadzieję, że kiedy tu przyjedzie, poczuje się znajomo, ale to miasto przypominało wszystkie inne amerykańskie miasteczka: były tu restauracje Dairy Queen i Burger King, chrześcijańska księgarnia i

sieciówkowy sklep JCPen-ney. Przez kilka przecznic kierowała się wzdłuż głównej drogi i po chwili dotarła do rogatek miasta. Miasto fantom, pomyślała. To stąd pochodziła jej rodzina?

Przy następnym skrzyżowaniu skręciła w lewo i wjechała na ulicę, którą podała jej nawigacja, po czym jeszcze kilkakrotnie skręciła, mijając domy wybudowane po drugiej wojnie światowej. Po chwili zobaczyła jedyny blok mieszkalny w okolicy - dwupiętrowy budynek z elewacją z wyblakłego szarego drewna. Zaparkowała na ulicy i wysiadła z samochodu, spoglądając na rzędy okien, z których każde przedstawiało osobowość mieszkańca: pocięte żaluzje, opuszczone rolety, firanki. Zaskakująco wiele okien przesłoniętych było folią aluminiową. Lucie już miała wejść do budynku, kiedy w oknie na drugim piętrze zobaczyła starszą kobietę. Helen mieszkała pod numerem 218. Lucie uśmiechnęła się i pomachała. Kobieta cofnęła się w głąb pomieszczenia.

W budynku unosił się zapach smażonej ryby i kociego moczu. Lucie wspięła się po schodach i dotarła do samego końca korytarza.

Drzwi do mieszkania 218 przystrojone były zakurczonymi czerwonymi, białymi i niebieskimi chorągiewkami i kilkoma sflaczałymi już balonami. Lucie zdała sobie sprawę, że kiedyś nie było, świętowano Dzień Niepodległości. Od razu pomyślała o sałatce ziemniaczanej i zapachu świeżo skoszonej trawy. Czy było to wspomnienie? Zamknęła oczy, wciągnęła i wypuściła oddech, czekała. Już miała się poddać, kiedy coś się pojawiło: migotanie barw na ciemnym tle, rytmiczne uderzenia o klatkę piersiową, zapach spalenizny.

- Ojej - wymamrotała i ściągnęła brwi.

Miała ochotę przycisnąć dłonie do uszu i krzyżeć. Otworzyła oczy i znów znalazła się na korytarzu przystrojonym oklapłymi dekoracjami. Czy kiedy była mała aż tak bardzo bała się fajerwerków?

Wzięła głęboki oddech i zapukała. Drzwi uchyliły się na szerokość kilku centymetrów i pojawiła się w nich siwa głowa.

- Wejdz, wejdz, zanim ucieknie całe ciepło.

Był początek sierpnia, na zewnątrz temperatura wynosiła dwadzieścia siedem, a w mieszkaniu była jeszcze wyższa. Helen okazała się drobniejsza, niż Lucie sobie wyobrażała, i przygarbiona. Ubrana była w beżowe spodnie z poliestru opadające luźno na białe trampki i za dużą koszulkę z krótkim rękawkiem i marynarskim symbolem. Na nosie miała grube szkła w różowozłotych oprawkach, w których jej źrenice były wielkie jak u bohaterów kreskówek. Wyciągnęła do Lucie powykręcane ręce - Ruch sprawił, że luźna skóra jej ramion zafalowała.

- Ojej - westchnęła. - Wypisz wymaluj, twoja matka.

Lucie pochyliła się, żeby ją przytulić, i do oczu napłynęły jej łzy. Wciągnęła zapach sosnowego detergentu, gotowanych jajek i whisky.

- Naprawdę? - Lucie się cofnęła i zauważyła, że Helen też uroniła łzę. - Jestem do niej podobna? Masz zdjęcie?

- Oczywiście, oczywiście. - Helen podprowadziła siostrzenicę do poplamionej sofki pokrytej sztruksem. Na stoliku stały filiżanki czarnej kawy i talerz kanapek pokrojonych w ćwiartki. Helen podniosła zdjęcia leżące na fotelu o takim samym obiciu co sofa i usiadła obok niej. - Zanim zaczniemy oglądać zdjęcia, może coś zjedzmy?

Nieporządny stosik zawierał stare czarno-białe fotografie i nowsze kolorowe - razem było ich około piętnastu. Ciotka podała Lucie czarno-białe zdjęcie robione z góry, z którego spoglądała kobieta przypominająca Helen. Stała obok mężczyzny o ponurym wyglądzie.

- To twoi dziadkowie - wyjaśniła Helen. - Moi rodzice. Niech spoczywają w pokoju.

- Moi dziadkowie - powtórzyła Lucie, nie czując z nimi żadnego związku ani ich nie rozpoznając. Chciała zobaczyć swoich rodziców. Po to tu przyjechała. - Znałam ich? - zapytała uprzejmie.

- Tylko jak byłaś bardzo mała - odparła Helen. - Umarli młodo.

Młodo! Lucie pomyślała, że para wygląda na starców.

- Jak odeszli? - Jakie choroby zdarzały się w jej rodzinie, zastanawiała się, choć ta myśl była dla niej zupełnie nowa. Na jaką chorobę kiedyś umrze?

- Ze smutku - oznajmiła Helen i zabrała Lucie fotografię. - W mojej rodzinie melancholia jest dziedziczna. Tatuś nie mógł już tego wszystkiego znieść, więc w sześćdziesiąte urodziny zamknął się w garażu przy włączonym silniku, a mamusia umarła po tym wszystkim z samotności. - Westchnęła i musnęła dłonią ich twarze.

- Depresja? - zapytała przestraszona Lucie. - W naszej rodzinie występuje depresja?

- Cóż, w dzisiejszych czasach chyba tak się to nazywa - wymamrotała staruszka, podnosząc filiżankę kawy do ust.

- Czy ja też na nią cierpiałam, kiedy mnie znałaś?

- Byłaś najradośniejszym dzieckiem na świecie - odparła Helen, odstawiając filiżankę.

- Bałam się? Na przykład głośnych odgłosów i fajerwerków?

Helen cmoknęła.

- Nie żartuj. Nie byłaś cykorem. - Zaczęła przeglądać zdjęcia powykrecanymi

palcami. - Tu mam dowody.

Podalała jej kilka pozółklych fotografii i Lucie nagle rozpoznała siebie pośród nieznanym scenarii: uśmiechnięte dziecko w wysokim krzeselku, kilkulatka trzymająca w dłoni kolbę kukurydzy, jak gdyby była to nagroda, mała dziewczynka w płaszczu przeciwdeszczowym wspinająca się po drabince na wysoką ślizgawkę.

- To ja - powiedziała Lucie. Wiedziała, że to prawda, ale skąd?

- Oczywiście, że to ty. Widzisz, jaką byłaś rozkoszną dziewczynką? Nie bałaś się i na pewno nie bywałaś smutna, co to, to nie. - Helen cmoknęła. - A teraz zjedz coś. Jesteś za chuda.

Lucie pomyślała o literach wydrapanych na taborecie od pianina.

- Czy mówiło się do mnie „Lulu”?

Helen poprawiła okulary.

- Nie pamiętam, ale jestem już stara. Pamięć potrafi płać figle.

„Mnie to mówisz”, miała ochotę rzucić Lucie.

- Miałam kuzynów? Wciąż mi się wydaje, że wychowywałam się z innymi dziećmi, a przynajmniej z jednym, które grało ze mną na pianinie. Czy to wspomnienie, czy...

Starsza kobieta zakaszlała, odkrztuszając flegmę i otarła usta.

- Nie, żadnych kuzynów - odparła i podała Lucie więcej fotografii.

Kolejna przedstawiała kobietę po trzydziestce stojącą przy samochodzie w rybackich i obcisłym swetrze. Na jednym zdjęciu znajdowała się sama, na kolejnym w towarzystwie kobiety, najpewniej Helen, a na trzecim z wysokim mężczyzną śniadym jak Grady. Czy on też był Indianinem?

- Nie, to nie twój ojciec, ale to twoja matka - wyjaśniła Helen.

Lucie lepiej przyjrzała się twarzy kobiety, próbując sobie wyobrazić, że ją kocha, ale zamiast tego poczuła odrazę. W ogóle nie była do niej podobna, wbrew temu, co twierdziła Helen. To nie mogła być jej matka.

- A to mój mąż a twój wuj Edward. Przystojniak z niego, co? To pewnie ze względu na indiańskie pochodzenie. Skykomish to piękni ludzie.

Lucie miała wrażenie, że zaraz się rozplacze. Chciała czegoś więcej. Chciała, by twarze na fotografiach przywróciły jej wspomnienia - miłość i więź, których tak jej brakowało. Pragnęła nagłego, cudownego uzdrowienia, lecz wciąż czuła się niechciana, osierocona.

I jak to się stało, że jej wuj także był Indianinem? Czy to dlatego była z Grady?

- Jak się nazywała moja matka?

- Gloria - odparła Helen. - Gloria Frances. Została nazwana na cześć przodków ze

strony ojca. Ja otrzymałam imiona Nancy Helen po babciach ze strony matki. Jako dziecko nie lubiłam imienia Nancy, prawdopodobnie dlatego że nie znosiłam także tej babki.

Lucie odłożyła zdjęcia na stół. Nie mogła już na nie patrzeć. Nie chciała oglądać twarzy, których sobie nie przypominała.

- Proszę - powiedziała - czy mogłabyś mi o niej opowiedzieć? I o moim ojcu? Co się z nimi stało? Co się stało ze mną? Muszę to wiedzieć.

- Ale jest więcej...

- Proszę - rzuciła Lucie. - Po prostu mi powiedz.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

HELEN

W tej dziewczynie było tyle rozpaczy. Tyle uczuć i łez. Nie przypominała żadnej z Lucie, które znała Helen. Nie była radosna, czuła ani beztroska. Nie była też zimna i pozbawiona uczuć. Helen podejrzewała, że Lucie czuje zbyt wiele emocji. Przeszłość w końcu ją dopadła.

Helen wzięła od dziewczyny zdjęcia, które tak starannie wybrała, i odłożyła je na stół. Miały nad Lucie taką samą władzę jak nad nią. Helen wiele wieczorów płakała nad tymi fotografiami, a jej siostrzenica była wyraźnie zdenerwowana, kiedy je oglądała.

- Spokojnie - powiedziała Helen. - Zjedz kanapkę. Kawa ci stygnie. Opowiem

ci tyle, ile będę mogła.

Gloria Frances była młodsza od Helen o rok i osiem miesięcy. Urodziły się w Everett. Gloria przyszła na świat, kiedy ich ojciec służył w marynarce. Matka powiedziała im, że był dobrym człowiekiem, ale wojna zupełnie go zmieniła. Stał się chimeryczny, nieuważny.

- Dobrze, że nie zabrał nas ze sobą, kiedy udusił się w garażu - powiedziała Helen. Mówiąc, splotła powykręcane palce. Był to dawny nawyk, o którym zdążyła zapomnieć. Edward często jej z tego powodu dokuczał.

Dziewczyna wydawała się zniecierpliwiona. Jej matka. Oczywiście, chciała usłyszeć o swojej matce. Helen odchrząknęła.

- Gloria była jak światło. - Na chwilę przymknęła oczy i mówiła dalej. - Wyjątkowa. Nie przypominała innych dziewcząt z tamtych czasów. Była spragniona przygód - powiedziała Helen, specjalnie nie używając określeń „dzika”, „nierozsądna” ani „porywczą”, chociaż i one do niej pasowały.

Helen postanowiła się skupić na pozytywnych cechach Glorii ze względu na Lucie. Prawdę mówiąc, uwielbiała szaleństwa Glorii, chociaż czasem rodzice strofowali ją za to, że nie potrafi utrzymać siostry w ryzach. To Helen była tą rozsądniejszą z dwóch sióstr, ale w głębi duszy zachwycała się wyskokami swojej siostry, na przykład kiedy Gloria wdrapała się na latarnię tylko po to, by udowodnić, że potrafi. Nic jej się nie stało, nawet kiedy dotknęła przewodu pod napięciem i spadła na ziemię. Po prostu wstała i zaniósła się śmiechem.

Albo kiedy ukradła pick-upa pani Higgins i pojechała do Bellingham, po czym złapała ją policja stanowa i odwiozła do domu. Dostała za to lanie od ojca, ale kiedy wychodziła ze stodoły, mrugnęła do Helen. Za to oberwało się z kolei jej starszej siostrze, lecz ta nie miała pretensji.

Helen powiedziała Lucie, że ona i jej siostra były nierozłączne aż do 1969 roku, kiedy Gloria poznała ojca Lucie Gene a. Mężczyzna miał długie, obrzydliwe baczki i twierdził, że chce się utrzymywać z płodów ziemi czy coś równie absurdalnego. Nie, nie miała jego zdjęcia. Po zaledwie miesiącu znajomości uciekli do Boise, gdzie się pobrali i zamieszkali w przyczepie kempingowej. Trzy lata później Gloria wróciła do domu bez niego, za to z córeczką Lucie. Gene zadał się z jakimiś podejrzanymi typami, wplątał się w narkotyki i zaczął uczestniczyć w orgiach, a wiele lat później Helen dowiedziała się, że zmarł na raka czegoś tam. Nie podobała jej się mina Lucie, kiedy to mówiła. Żałowała, że nie ujęła tego delikatniej. Nawet ojciec, którego nie znała, nie żył.

- Ale ja wciąż żyję. To dlatego zależało mi na tym, żeby cię znaleźć - powiedziała Helen, ujmując dłoń dziewczyny. Była taka gładka, nieoszpecona żyłami ani

starczymi plamami. Helen kiedyś też miała takie ręce. - Widzisz, ja też nikogo nie miałam. A teraz mamy siebie nawzajem.

Lucie skinęła głową. Na jej twarzy malował się ból.

- Proszę, mów dalej - powiedziała, wczepiając się w dłoń Helen.

Staruszka poczuła przyjemny dreszcz na plecach. Ile lat minęło od czasu, kiedy ta dziewczyna jej dotknęła?

- Później ty i twoja mama zamieszkałyście ze mną i Edwardem - ciągnęła Helen - i były to jedne z najszcześniejszych chwil w naszym życiu. Przez dziesięć lat mieliśmy cię u siebie w Marysville. Spacerowaliśmy po plaży, wykopywaliśmy małże, piekliśmy kukurydzę nad ogniskiem, a co lato chodziliśmy do kina i na festiwal truskawek. Nawet kiedy ty i twoja mama wyprowadziłyście się do własnego domu, często u nas nocowałaś...

Tak wiele wspomnień. Zlewały się w umyśle Helen i zmieniały kierunek jak ławice ryb. Przyływały i odpływały, zbyt śliskie, żeby można je było przytrzymać i pokazać dziewczynie, jak wyglądały ich relacje, tak by uwierzyła, że byli prawdziwą, kochającą się rodziną.

- Edward i ja nie zostaliśmy obdarzeni dziećmi, więc twoja obecność w naszym życiu była...

Helen poczuła, jak emocje biorą nad nią górę. Obiecała sobie, że się nie zdenerwuje. Byli dla tej dziewczyny jak rodzice, ponieważ Gloria lubiła się zabawić w nocy, a imprezy często przeciągały się do następnego dnia, a czasem trwały i dłużej. Jednak Lucie nie musiała tego słyszeć. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Co się stało potem? - nie odpuszczała Lucie.

Nie obchodziło *jej* to, jak byli sobie bliscy ani co czuła Helen. Nie. Ona oczywiście chciała się zanurzyć w złe wspomnienia. Helen westchnęła.

- Cóż, potem twoja mama zakochała się w innym mężczyźnie, który był o wiele gorszy niż ten pierwszy. Próbowalam jej o tym powiedzieć, Edward też starał się wyperswadować jej ten związek, ale Gloria zabrała cię i przeprowadziła się z nim do San Francisco, kiedy miałaś zaledwie jedenaście lat. Miał tam rodzinę i sądził, że brat zatrudni go w komisie samochodowym. Dzień, w którym odjechałaś, był bardzo smutny. Siedziałaś z tyłu samochodu i do nas machałaś. Biedactwo. Nie chciałaś jechać.

Dziewczynka płakała tak, jak gdyby pękało jej serce. Wszyscy płakali. Helen poczuła, jak wzbiera w niej dawny smutek, fala morza i soli, w których zaczyna się topić tak jak wtedy. Sięgnęła po chusteczkę i otarła nos. Była coraz mniej pewna, czy da radę mówić dalej.

- Do San Francisco? - Lucie wyglądała na wstrząśniętą. - Dokąd w San

Francisco? To pewnie dlatego tam pojechałam. - Robiła się niecierpliwa, a Helen nie podobał się ton *jej* głosu. - Wiedziałam. Czułam, że czegoś szukałam. Gdzie mieszkaliśmy? - Proszę, jestem stara. Pozwól mi zebrać myśli. To dla mnie bardzo trudne. Wkrótce zacznym swoją zmianę i... Możesz zjeść kanapkę? Specjalnie poszłam do sklepu i kupiłam dobrą wędlinę. Lucie podniosła kanapkę, ale nie wzięła ani kęsa.

- Co się wydarzyło w San Francisco? Nie możesz teraz milczeć. Nie teraz kiedy tu przyjechałam. Przecież wiesz wszystko. - Wyglądała tak, jakby miała się rozpłakać. Helen zatknęła chusteczkę z powrotem za dekolt.

- Ojej, przeze mnie ty też się zdenerwowałaś. - Helen się uspokoiła. - Oczywiście, że wszystko ci opowiem. Po to tu jesteś. - Najwyraźniej nie przyjechała po to, by mnie poznać, pomyślała. Uznała, że czas powiedzieć o rodzinnym brzemieniu. - Jak już mówiłam, ten mężczyzna nie był porządnym człowiekiem. Stawał się jeszcze gorszy, kiedy pił.

Spojrzała na Lucie, żeby odczytać jej reakcję, ale młoda kobieta siedziała z kanapką na kolanach i wpatrywała się w nią, nie biorąc ani kęsa, chociaż Helen kupiła także drogi majonez. Westchnęła i mówiła dalej.

- W ciągu tych czterech lat twoja matka pisała do mnie listy, z których wynikało, że jej partner jest agresywny, ale nigdy nie przyznała tego wprost. Ona także nie była księżniczką z bajki. Gloria nigdy nie dawała sobie w kaszę dmuchać, ale cóż. W walce z mężczyzną kobieta nigdy nie ma szans.

Oddech Lucie zrobił się płytki. Ojej, pomyślała Helen, to wcale nie zabrzmiało dobrze, lecz czy był inny sposób, żeby o tym opowiedzieć?

- Wciąż zmieniała zdanie. Zrywała z nim, a potem przyjmowała go z powrotem. Użerała się z nim przez cztery długie lata.

- Bił ją? - Oczy Lucie były szeroko rozwarte. Zamieniła się w słuch.

- Tak, ale ona była silna i uparta. Prawdziwe kłopoty pojawiły się, kiedy zaczęłaś dojrzewać. Przerzucił swoją podłość na ciebie.

- Bił... mnie?

- Wiem tylko, że pewnego dnia twoja matka wróciła z pracy i na twojej nodze znalazła ślady po przypalaniu papierosem, kiedy on pijany spał na kanapie.

- Jezu - rzuciła Lucie.

Przyłożyła rękę do uda, a Helen doskonale wiedziała, co kryje się pod spodem. Nie, to wcale nie było znamię, chociaż lata temu pozwoliła dziewczynie tak to nazywać. Może powinna była ją zmusić, żeby powiedziała prawdę. Może lekarze mieli rację, ale łatwiej było jej pozwolić, by zaczęła nową opowieść, w której nie było mowy o tym, co się wydarzyło, ani o tym, kto tego dnia zginął.

- Co było potem? - Lucie nie zamierzała odpuszczać. Czy jeszcze nie rozumiała? Jak mogła tego nie pamiętać?

- Cóż, Gloria zadzwoniła do mnie z płaczem, a ja próbowałam ją uspokoić.

Helen zadrzała na myśl o tamtej rozmowie. Nigdy nikomu o niej nie opowiadała i teraz też nie zamierzała tego robić.

„Zaopiekuj się moimi dziećmi”, powiedziała Gloria, a to tak bardzo wystraszyło Helen, że zażądała, by jej siostra natychmiast opuściła dom. Gloria jej nie słyszała. Helen podejrzewała, że w jej stanie było to nie* możliwe. „Nie pozwól, by Lucie stała się podobna do mnie”, jęknęła, po czym odłożyła słuchawkę. Helen wielokrotnie do niej dzwoniła, ale Gloria nie odebrała. - Oczywiście wiedziała, gdzie on trzyma broń. Urwała, jednak Lucie wciąż patrzyła na nią wyczekująco z nadzieją na szczęśliwe zakończenie. Helen westchnęła. Jej dłonie zaczęły drżeć. Żałowała, że tamtego dnia nie zdołała przekonać Glorii, by opuściła dom, ani że nie zadzwoniła na policję w San Francisco... Helen zawiodła swoją siostrę. Zawiodła wszystkich. Wzięła łyk kawy. Szkoda, że to nie whisky, pomyślała i otarła usta. Uznała, że musi opowiedzieć to wszystko do końca.

- Zastrzeliła go na kanapie. - Postanowiła, że na tym skończy.

Lucie gwałtownie wciągnęła oddech, wysysając cały tlen z pomieszczenia.

- Co? Zabiła go?

- Nie rozumiesz, że ją sprowokował? Była jak niedźwiedzica chroniąca swoje młode. Natychmiast sprowadziłam cię tutaj, żebyś zamieszkała z nami. Nikt więcej ci nie został.

- Ale moja matka...

- Zmarła niedługo po tym. Co się w niej załamało.

Te słowa sprawiły, że dziewczyna się skuliła, jak gdyby do ostatniej chwili miała nadzieję, że jej matka żyje. Wydawało jej się cudem, że nastoletnia Lucie nigdy nie odezwała się ani słowem na temat tamtego dnia i że nigdy nie wspomniała o członkach swojej rodziny. Lekarze powiedzieli, że była w szoku, i zgadywali, że tamtego dnia uciekła do sypialni i nic nie widziała. Edward uznał, że najlepiej nie zmuszać jej, by o tym mówiła, a Helen się z nim zgodziła. Ale które dziecko nie odczuwa żałoby po utracie rodziny? W jaki sposób Helen miała powiedzieć tej młodej kobiecie, że wtedy stała się pozbawionym uczuć potworem?

Ta Lucie była człowiekiem.

Helen zadrzała. Pierwszy raz przyszło jej do głowy, że nastolatka, która wróciła samolotem z Kalifornii, wtedy także mogła być pozbawiona wspomnień.

- Ojej, jak późno. Wkrótce zaczynam zmianę - powiedziała Helen, po czym przeprosiła i poszła do łazienki.

Nagle zawstydzila się, że lata temu gniewali się na siostrzenicę. Helen odkaszlnęła i z trudem złapała oddech. Jej dręczona astmą klatka piersiowa się zapadła. Gdzie położyła inhalator?

Lucie miała wtedy amnezję. Helen była tego teraz pewna, przypominając sobie twarz dziewczyny, którą widziała w telewizji, po tym jak ją odnaleziono. Miała te same puste oczy, a jej twarz była pozbawiona wyrazu. Nagle wszystko stało się jasne.

- Edwardzie, co myśmy narobili... - wyszeptała, a każdemu słowu towarzyszył świszczący oddech.

Czuła, jak drętwieją jej opuszki palców. Wiedziała, że jeśli spojrzy w lustro, zobaczy zsiniałe usta. Musi ponownie spotkać się z mężem. On ją pocieszy, powie, że zrobili wszystko, co mogli, że dyscyplina jest najlepszym sposobem na dzieci, które nie szanują starszych.

Tylko że ten sposób nie zadziałał. Sprawił, że Lucie się od nich oddaliła.

Inhalator leżał na umywalce obok pudełka chusteczek. Helen podniosła go drżącymi dłońmi i zbliżyła do ust. Najpierw jednak ogarnęła ją ochota, żeby ułożyć swoje nędzne stare ciało w wannie i poczekać, aż Edward Dziesięć Dłoni pociągnie ją w stronę światła, gdzie będzie mogła przebywać z nim oraz ze swoimi rodzicami, a także z Glorią i tym ślicznym chłopczykiem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

GRADY

Kiedy Grady wycierał się po kąpieli, wiedział, że Lucie wyszła. Czuł jej brak w bezruchu domu i chmurach, które zgromadziły się na niebie. Nie miał wrażenia, że go zostawiła, ale wiedział, że kiedy wróci, wszystko się zmieni. Znów.

Pojechała spotkać się z ciotką. Oczywiście. Gdyby w ciągu kilku poprzednich tygodni kupił jej nowy telefon, mógłby teraz do niej zadzwonić, ale tego nie zrobił. Zawsze przebywała w domu albo kręciła się po okolicy, sprawiając wrażenie, że się aklimatyzuje, a nawet jest szczęśliwa. Z komórką było podobnie jak z psychiatrą. Wcześniej uznał, że przyjdzie na to czas, teraz zaś uświadomił sobie, że powinien był dopilnować obu tych rzeczy, powinien był postawić na swoim i umówić Lucie do lekarza. Powinien był wziąć sprawy w swoje ręce i pójść do sklepu elektronicznego po nowy telefon.

Kierował nim egoizm. Do tej pory nie chciał się nią z nikim dzielić, jej powrót do zdrowia zależał od tego, czy znów znajdzie swoje miejsce w świecie. Musiał jej pomóc i sprawić, by wiedziała, że Grady jest po jej stronie.

Nagi pokuśtykał do gabinetu i szukał w torbie kartki z numerem Helen. Nie znalazł. Pewnie Lucie zabrała ją ze sobą.

Ilu ludzi w Marysville może nosić nazwisko Dziesięć Dłoni?

W internecie znalazł tylko jednego - Edwarda Dziesięć Dłoni. Grady musiał porozmawiać z Lucie. Martwił się, że spotkanie z Helen okaże się dla Lucie przykre. Czy naprawdę kierowała się dobrem Lucie? A może po tym jak zobaczyła siostrzenicę w mediach, znów ogarnęło ją chore pragnienie, żeby ją skrzywdzić?

Kiedy Helen odebrała, powiedział:

- Chciałbym rozmawiać z Lucie.

- A kto dzwoni?

- Dobrze pani wie. Proszę mi ją dać do telefonu. -Znów pojawił się gniew, emocja, którą dotąd wypierał. Przyjął ją z satysfakcją.

Usłyszał szuranie i szepty, a potem płaczącą Lucie.

- Co się dzieje? - zapytał. - Wszystko w porządku? Mam po ciebie przyjechać?

- Nie - odparła stanowczo, po czym znów zaczęła szlochać. - Boże - wyszeptala - to wszystko jest takie straszne. Nic dziwnego, że jestem taką wariatką.

- Nie jesteś wariatką. Tak ci powiedziała? Stoi obok ciebie?

- Poszła zaparzyć kawę - odpowiedziała Lucie. -Jest dziwaczką, ale chyba nie

kłamie. To po prostu... Boże. To o wiele gorsze niż sobie wyobrażałam. - Wymuchała nos. - Ale wiesz co? Kiedy byłam dzieckiem, mieszkaliśmy w San Francisco. Przynajmniej teraz znam powód, dla którego tam pojechałam.

- Jadę po ciebie.

- Nie. Przecież nie możesz prowadzić. - Powiedziała coś do staruszki, zapewniając ją, że wszystko w porządku.

- Wcale nie jest w porządku - odparł Grady. - Proszę, żebyś natychmiast stamtąd wyszła.

- Przepraszam - szepnęła Lucie - ale muszę kończyć.

Zaraz pewnie odłoży słuchawkę. Wciąż była na niego zła, a teraz znajdowała się pod wpływem ciotki. Grady nie wiedział, co robić.

- Lucie, chcę postąpić właściwie, ale nie wiem, co to oznacza. Nie wiem, czego oczekujesz. Chciałbym być z tobą i ci pomóc, ale... cholera. - Zniżył głos prawie do szeptu. - Tak bardzo cię kocham, lecz nie wiem, czy wciąż jeszcze powinienem to mówić.

- Grady - rzuciła. - Muszę to rozegrać do końca. - Miała rację, choć jemu się to nie podobało. - I tak. - Urwała. - Powinieneś to mówić.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza.

Z torbą na siłownię w ręce Grady ciężko zszedł po schodach ganku i dotarł do samochodu. Lekarz powiedział, że nie powinien prowadzić, ale Grady czuł, że bez trudu uda mu się rozgryźć, w jaki sposób ułożyć ortezę tak, by dotrzeć na basen Queen Anne. Pomyślał, że jeśli wyjedzie teraz, wróci do domu jeszcze przed Lucie. Czuł, że jeśli zostanie w domu i dalej będzie się zamartwiał, zwariuje.

Umieścił kule i torbę na tylnym siedzeniu, po czym usadowił się za kierownicą. Wciśnięcie gazu unieruchomioną nogą mogło się okazać trudne, ale Grady miał szczęście, że lewa stopa zagoiła się na tyle, by mógł obsługiwać sprzęgło. Gdyby w ciągu kilku ostatnich tygodni pożyczył od Lucie samochód z automatyczną skrzynią biegów, bez problemu by sobie poradził. W głębi duszy był tego pewny, ale chciał być w domu. Blisko Lucie.

„Powinieneś to mówić”, powiedziała. Te słowa wywołały w jego piersi zamęt tak gwałtowny, że poczuł, iż jego ciało zamieszkują ptaki, które biją skrzydłami i mówią: „Widzisz? Kocha cię albo jeszcze cię pokocha”. Uniesienie skowronków. Stado cholernych mew. Orgia papużek nierozłączek, pomyślał, stukając palcami w kierownicę w rytm piosenki Modest Mouse, którą puścił z ipoda, i nucąc refren: „Na to właśnie czekam, na to właśnie czekam, prawda?”.

Przyszła mu do głowy nowa myśl: potrafił udowodnić Lucie, jak bardzo go kochała. Posiadał dane, którymi mógł to potwierdzić. Dokumentacja ich pięciu wspólnych lat znajdowała się w ckliwej korespondencji, którą zachował - kiczowatych romantycznych kartkach i w listach miłosnych. Postanowił, że po powrocie do domu je znajdzie i pokaże jej tak jak pierwszego dnia zdjęcia. W ten sposób pomoże jej sobie przypomnieć. Kiedy przeczyta słowa, które do niego napisała, z pewnością poczuje, jak coś się w niej budzi.

Starym volvo jechał na zachód po Czterdziestej Piątej ulicy przez dzielnicę handlową Wallingford, kierując się na autostradę 99, po czym ruszył na południe przez wysoki most Aurora cieszący się niechlubną sławą z powodu liczby skaczących z niego samobójców. Widok wody i gór w oddali powinien przynieść ukojenie nawet najsmutniejszemu człowiekowi. Grady czuł magnetyzm tego miejsca. Przejeżdżając obok wysuszonych bukietów kwiatów i liścików wczepionych w siatkę mającą uniemożliwić samobójstwa, Grady musiał odwrócić wzrok, żeby nie wyobrazić sobie skoku.

Skręcił w ulicę Queen Anne Hill, nagle uświadamiając sobie, że nie przewidział, jak trudne będzie pokonanie stromych pochyłości w samochodzie z manualną skrzynią biegów - orteza niezdarnie opadała na gaz i hamulec. Dwa razy zgasł mu silnik, ale dwa razy udało mu się ponownie uruchomić samochód i nie pozwolić, by stoczył się na stojącego za nim niecierpliwego rangę rovera.

Po przejechaniu przez kręte, wąskie uliczki zabudowane okazałymi starymi domami Grady w końcu znalazł się w leżącej obok dzielnicy biznesowej na szczycie wzgórza - mnóstwo tu było kawiarenek, modnych restauracji, szkół jogi i salonów masażu. Wymijając wózki, biegaczy i dzieciaki na deskorolkach na każdym skrzyżowaniu, toczył się dalej, dopóki nie udało mu się zaparkować samochodu przy krawężniku. Mimo prestiżowego statusu dzielnicy basen publiczny Queen Anne był zwyczajnym miejskim akwenem, gdzie świetlówki dawały zbyt jaskrawe światło, zapach chloru był zbyt ostry, a wrzeszczące dzieciaki za głośnie. Kąpielisko w niczym nie przypomniało komfortowego basenu Sound Fitness, ale to nie miało już znaczenia.

Woda to woda. Życie toczyło się dalej, a Grady miał wrażenie, że jeśli zdejmie ortezę, ale wciąż będzie chronił nogę i jeśli nie będzie się przemęczał, odkryje, że jego stopa zagoiła się na tyle, by mógł wrócić do pływania. Albo i nie. Jedno było pewne - musiał spróbować.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

LUCIE

Helen musiała już jechać do kasyna, więc Lucie podprowadziła ją do

samochodu na parkingu przed budynkiem. Kiedy patrzyła na powykęcane od reumatyzmu palce kobiety, widziała, jak *jej* ciotka drży, kaszle i z trudem oddycha, miała spore wątpliwości, czy staruszka powinna prowadzić. Wiedziała jednak, że nie ma sensu się z nią o to kłócić. Nie dlatego że Helen była uparta, choć była, ale dlatego że Lucie wyczuwała ból w dawnych ranach ciotki -rozpacz po utraceniu najbliższych, smutki dręczące ją od lat. Lucie straciła rodziców i, co gorsza, samą siebie. Ale wyglądało na to, że Helen urwał się kontakt ze światem. Była dziwna i zwariowana, bo nikt nie wymagał od niej, by taka nie była. Nikt nie trzymał jej w ryzach. Nikt nie czekał na nią w domu pod koniec dnia ani nie życzył jej dobrej nocy przed snem. Stara toyta celica należąca do Helen przechylona była na lewo, a opony od strony kierowcy lekko sflaczały. Stara kobieta wyciągnęła kluczyki z torebki.

- Cóż... - powiedziała pośpiesznie.

Lucie wiedziała, że powinna ją przytulić, lecz nie potrafiła się do tego zmusić. Jakaś część niej nienawidziła Helen Dziesięć Dłoni i wszystkiego, czego się od niej dowiedziała.

- Wkrótce znów mnie odwiedzisz, prawda? - W kącikach wysuszonych warg Helen zebrala się ślina. Jej okulary były poplamione.

Lucie skinęła głową, chociaż nie wiedziała jeszcze, czy znów się z nią spotka. Kiedy w końcu znalazła się w swoim samochodzie, odchyliła fotel i zamknęła oczy. Wciąż było jej niedobrze na wspomnienie zapachu kanapki z wędliną i wodnistej neski oraz zdjęć przedstawiających ludzi, których nie rozpoznawała, których nie kochała. Opowieści, o których nie chciała myśleć. Jeśli mogła wierzyć Helen, jej życie było serialem tragedii. A *jej* rodzina istnym koszmarem.

Moja matka była morderczynią, pomyślała. Chociaż zabiła w obronie własnej, a właściwie w obronie Lucie, to wszystko było jakimś wariactwem. Mężczyzna leżał nieprzytomny na kanapie. Dlaczego jej matka po prostu nie zabrała Lucie i nie odeszła? Przecież Gloria wciąż miała rodzinę, do której mogła wrócić.

Moja rodzina, pomyślała roztrzęsiona. Gdyby ta opowieść dotyczyła nieznajomych, Lucie mogłaby się dziwić, jak złe decyzje podejmowała matka co do mężczyzn i sposobu rozwiązywania konfliktu, ale z tą częścią osobowości Glorii potrafiła się identyfikować. W jej desperacji było coś znajomego. Tylko że Grady był dobrym człowiekiem. Najwyraźniej nie odziedziczyła po matce gustu do nieudaczników. Pokłócili się, ale przynajmniej Lucie go nie zastrzeliła. Tylko uciekła. Dlaczego? Z opisu Gradyego wynikało, że ich kłótnia nie była taka straszna.

Czy coś przywołało tamte wspomnienia, a może tylko to sobie wyobrażała? Ogarnęło ją tylko mętne wrażenie jak wtedy, gdy widziała dekoracje z okazji Dnia

Niepodległości albo grała na pianinie. Wrażenie, że kogoś brakuje. Wybuchy. Swąd dymu.

Wystrzał broni.

Lucie się wyprostowała. Miała szeroko rozwarte oczy. To nie były fajerwerki.

Siedziała zupełnie nieruchomo. Waliło jej serce, a jedną ręką ścisnęła klamkę. Czy pamiętała moment, w którym *jej* matka zastrzeliła tamtego mężczyznę? Czy za chwilę ogarnie ją panika i najdą przerażające wspomnienia? Czy znów postrada rozum?

Czekała na to, co się wydarzy. Po kilku minutach jej tętno zwolniło, a ciało się rozluźniło. Wciąż była rozedrgana i towarzyszyło jej poczucie głębokiej straty, ale czuła się tak przecież już od dłuższego czasu.

W końcu przypomniała sobie coś prawdziwego. Coś, co można było potwierdzić, jeśli Helen mówiła prawdę. Nie zabiło jej to. Nie skrzywdziło. Chciała wiedzieć więcej.

Zapięła pas i włączyła silnik. O dziwo, mimo tego, czego się dowiedziała o swojej rodzinie, czuła się lepiej. W końcu miała na co czekać.

Wnętrze domu pachniało chlorem. Z gabinetu dochodziło gwizdanie. Grady nigdy wcześniej nie gwizdał.

- Halo? - zawołała Lucie, wieszając torbę na krzesło w jadalni.

Owszem, wciąż była zła, że nie powiedział jej o Helen, ale jej złość była wydumana. W ten niezręczny sposób próbował się nią zaopiekować, chociaż ona podejrzewała, że myślał raczej o potrzebach poprzedniej Lucie. Zrozumiała jednak, że Grady potrafi dochowywać sekretów, i to tych najważniejszych. Jeśli jej stan miał się poprawić i jeśli miała zacząć żyć normalnie, będzie musiał powiedzieć jej prawdę.

Lucie ruszyła w stronę gabinetu i wpadła na Grady ego w korytarzu. Nie posługiwał się kulami. Spojrzała w dół i zauważyła, że nie ma na sobie ortezy.

- Co się dzieje? - zapytała.

- Dobrze się czujesz? Co ci powiedziała? Skąd mamy wiedzieć, że ona w ogóle jest poczytalna?

Lucie westchnęła.

- Jest. Niestety.

- Ale...

- Co ty robisz? Gdzie orteza, kule?

- Przeprowadzam mały eksperyment - odparł. - Ból jest całkiem znośny. - Skrzywił się, robiąc krok. - No, powiedzmy. Poza tym niedługo i tak miałem zre-

zygnować z kul.

- Proszę - powiedziała. - Włóż ortezę. Zrób to dla mnie.

Miała wrażenie, że jej słowa go ucieszyły - uśmiechnął się szerzej niż kiedykolwiek.

- W porządku - odparł. - Dla ciebie. - Odwrócił się i pokuśtykał z powrotem do gabinetu. - Pływałem dzisiaj - zawołał przez ramię. - To wtedy wpadłem na pewien pomysł.

- Gdzie? - Poszła za nim i zobaczyła stosy kartek i listów leżących na jego biurku.

Wyglądało na to, że je sortuje, a przynajmniej sprząta szufladę. Usiadł w fotelu, podniósł ortezę, rozszerzył ją i wsunął do niej stopę.

- W basenie Queen Anne. Jest dość mały i bardzo zatłoczony, ale nie mogłem pojechać nigdzie dalej. Pływanie nie sprawiło mi zbyt wielkiego bólu, więc pomyślałem, że spróbuję chodzić. Nie sądzę, by lekarze znali dokładnie prędkość, z jaką dana osoba wraca do formy. Musi istnieć jakiś współczynnik zmienności.

- Grady. - Lucie powiedziała to cicho, ale on przestał mówić i spojrzał na nią spod uniesionych brwi. - Kiedy tam byłam, coś sobie przypomniałam.

Jego uśmiech przygasł.

- Naprawdę? Co?

- Po pierwsze, chciałabym, żebyś powiedział mi całą prawdę.

- Mówię, zawsze mówiłem - zapewnił, ściągając brwi. - O czym?

- Co wiedziałam o swojej przeszłości? Jak wiele opowiedziałam ci o rodzicach i moim dzieciństwie? Skoro nie powiedziałam ci nawet, że mieszkałam w San Francisco...

Na jego twarzy pojawiło się odprężenie. Pochylił się do przodu i oparł łokcie na kolanach.

- Nie zdradziłaś mi nic poza tym, że twoi rodzice nie żyją. Że nienawidziłaś wuja i ciotki i że jak najszybciej się stamtąd wyprowadziłaś. Nie jestem pewien, czy sama wiedziłaś więcej, ale powiedziłaś mi tylko tyle.

Milczała zamyślona.

- I nie nalegałeś? Nie byliśmy jedną z tych par, które rozmawiają o wszystkim? Nie byliśmy ze sobą stuprocentowo szczerzy?

Wzruszył ramionami.

- Po prostu nie chciałaś o tym wszystkim rozmawiać. Zawsze żałowałem, że nie podzieliłaś się ze mną niczym więcej, ale wolałaś to zachować dla siebie. Wydawało się, że to dla ciebie zbyt trudne, więc przestałem cię zmuszać do rozmowy na ten temat. - Urwał. - Myślałem, że robię dobrze, ale teraz... Nie jestem już tego taki

pewien. Nie potrafię ci pomóc.

Lucie skinęła głową.

- Cóż, wydaje mi się, że w pewnym sensie coś sobie dzisiaj przypomniałam. Wybuchy przypominające strzały. Na myśl o nich miałam ochotę zacząć krzyczeć albo zwymiotować. - Znow przeszły ją ciarki. - Myślę, że to mógł być odgłos broni, którą moja matka zabiła swojego męża a mojego ojczyma.

- Co? To właśnie ci powiedziała? Lucie, ona na pewno cierpi na demencję.

- W pewien sposób to wyczuwałam - powiedziała Lucie. - Myślę, że mówiła prawdę. - Czekala, aż Grady zada jej jakieś pytanie, ale on siedział w milczeniu ze spuszczonej oczami. - Wiem, że wcześniej nie chciałam, ale czy teraz mogę z tobą o tym porozmawiać? - zapytała.

Z zaskoczeniem podniósł wzrok.

- Tak. Oczywiście. Nie jestem przyzwyczajony do...

- Jesteś pewien, że...

- Oczywiście - powiedział Grady, zapinając ortezę. Wstał i utykając, podszedł do Lucie. Wyciągnął rękę, a ona ujęła ją i wstała. - Chodźmy gdzieś, gdzie będzie nam wygodniej - zaproponował.

Lucie wiedziała, że Grady ma na myśli salon, ale pierwsza wyszła z gabinetu i zamiast w prawo, skręciła w lewo. Weszła do pokoju gościnnego. Mówił, że ją kocha. Nie miał innej kobiety o imieniu Helen. Nic nie stało na przeszkodzie.

Co ja robię, przeszło jej przez myśl, ale nie zawróciła. Może po prostu chciała, by po tym okropnym dniu spotkało ją coś przyjemnego. Pragnęła afirmować życie, poczuć coś, co potwierdziłoby, że są razem tu i teraz i że między nimi może być coś więcej. A może czuła potrzebę fizycznej bliskości, zanim zdoła odpuścić i zaufać Grady'emu na poziomie emocjonalnym. Czuła, że musi się dowiedzieć, że on kocha ją w ten sposób - i w każdy inny. Potrzebowała pewności, że jest bezpieczna.

Lucie podeszła do łóżka, ściągnęła narzutę i porządnie ją złożyła. Odwróciła się i spojrzała na Grady ego opierającego się o framugę bez kul i spoglądającego na nią w sposób, który był dla niej nowy, a jednocześnie znajomy. Znała tę twarz, tę minę - wspomnienie pochodziło z tego samego miejsca co wybuchy. Małe dłonie na klawiaturze. Większe dłonie na jej piersiach, talii, biodrach.

Oddech Grady ego przyspieszył, a jego usta się rozchyliły. Wpatrywał się w nią tak, jak gdyby już była naga.

- Hej - powiedziała. Zaczynało jej szumieć w głowie.

- Hej - odparł zachrypniętym głosem.

Lucie uśmiechnęła się nerwowo i ściągnęła bluzkę przez głowę. Zsunęła

sandały ze stóp i patrzyła, jak Grady ją obserwuje. Pragnął jej, powinna to wiedzieć od początku. A ona potrzebowała, by był blisko, najbliżej jak to możliwe - skóra przy skórze, oddech przy oddechu. Chciała czuć słodycz, sól, miękkość i wilgoć. Zanim z nim porozmawia, musiała wiedzieć, że jest pomiędzy nimi jedność i solidarność, że cała należy do niego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

GRADY

Usta Lucie smakowały tak samo jak wtedy, gdy pocałował ją po raz pierwszy - jak zachód słońca po upalnym dniu albo nagły deszcz. Jak jabłka zrywane z drzewa. Jej pocałunek zawsze wyrywał go z monotonii dnia, z otchłani, rutyny. Teraz było podobnie. Stała przed nim naga i rozpięła mu koszulę, po czym

pomogła mu dokuśtykać do łóżka. Usiadł i czekał, aż Lucie skończy go rozbierać. Przez cały czas patrzyła mu w oczy.

Jej skóra delikatnie pachniała balsamem - zwyczajnym kremem, którego używała codziennie, odkąd tylko pamiętał. Jej twarde, szczupłe ciało zniknęło zastąpione miękkością, na którą nie przestawał się gapić. Nie utyla ani nie zrobiła się pulchna. Po prostu bez intensywnych treningów stała się bardziej kobieca. Tak bardzo pragnął jej dotknąć, że jego palce drżały.

- Myślałem, że chcesz porozmawiać - powiedział. Z jednej strony, nie chciał zaprzepaścić szansy na to, by kochać się z Lucie po tak długim czasie, z drugiej jednak, bał się, że coś źle zrozumie. Dlaczego robiła to teraz? Jak miał na to zareagować?

- Chcę - odparła, przesuwając dłońmi po jego piersi, muskając sutki i nachylając się, żeby je pocałować. Podniosła wzrok. Jej wargi były różowe, a twarz zarumieniona. - Porozmawiamy.

- Boże - powiedział, dotykając jej głowy, policzka i przesuwając dłonią po jej szyi aż do obojczyka. - Za chwilę nie będę już mógł rozmawiać - odparł.

- Cśś - wyszeptała Lucie.

Pociągnęła za jego szorty i bokserki, a on uniósł biodra, żeby mogła mu je zsunąć z pośladków i zdjąć przez ortezę. Kiedy jej dłoń musnęła jego wzwiedzionego członka, przez ciało Gradyego przeszedł tak gwałtowny dreszcz, że się od niego odsunęła.

- Zabolało cię? - zapytała.

- Nie - jęknął i przyciągnął ją do siebie. - Absolutnie nie. Jesteś niesamowita.

I rzeczywiście była. Ta Lucie wydawała się odważniejsza. Przejęła inicjatywę i go rozebrała. Zawsze uwielbiał się z nią kochać - kiedy już się odprężyła, potrafiła się cieszyć seksem, ale to on musiał inicjować zbliżenie, pieścić ją i całować, tak by porzuciła wszelkie zahamowania. Ta kobieta zdawała się ich nie mieć. Klęczała między jego kolanami, a teraz brała go do ust, podczas gdy wcześniej robiła to tylko w jego urodziny albo kiedy wypila zbyt dużo wina. Czubek jej głowy był inny, a jej ciemniejsze włosy stały się gładziej i nie sterczały. Nagle poczuł się tak, jak gdyby zdradzał Lucie. Jego Lucie.

Skrzywił się, kiedy uświadomił sobie, że traci wzwód. Jak to możliwe? Czuł się tak cudownie, kiedy robili to, co robili.

- Przepraszam, ja...

Jej usta ześlizgnęły się z niego. Wydała odgłos przypominający wiatr na pustyni. Odchyliła się na pięty, wstała i zaczęła zbierać swoje ubrania.

- Lucie, poczekaj, przepraszam. Ja... Nie chciała na niego spojrzeć.

- Nie jestem już nią, prawda?

Grady oblał się rumieńcem wstydu i złapał poduszkę, żeby się zakryć. Chciał zaprotestować. Ta Lucie miała wszystko, czego pragnął w kobiecie. Nie wymagała, by poświęcał jej stuprocentową uwagę, nie była trudna ani skomplikowana. Była cierpliwa i dobra. Przyjemnie spędzało się z nią czas. Poza tym była tak cholernie seksowna, że nie mógł sobie z tym poradzić. Jak, na litość boską, jakikolwiek prawdziwy mężczyzna mógł stracić wzwód w takim momencie?

Ale miała rację. Rzeczywiście tęsknił za dawną Lucie. Rozpaczwał po kobiecie, na której miłość musiał sobie zapracować i która uciekła od niego przez jego kompleksy i niepewność. Gdyby tylko potrafił ją lepiej kochać, gdyby mógł jej udowodnić, że jest jej wart, nigdy by nie uciekła. Teraz już nigdy nie będzie miał na to szansy.

- Przepraszam - powiedział.

Wiedział, że powinien stanąć na swojej głupiej złamanej stopie i porwać prawdziwą Lucie w ramiona, ale położył się na łóżku, zakrywając dłońią oczy, i czekał, aż Lucie wyjdzie z pokoju. Przewrócił się na bok i pozwolił sobie na rozpacz po swojej pierwszej, ukochanej Lucie, której aprobaty miał już nigdy nie zyskać.

Tej nocy, kiedy Lucie grała w piwnicy jakiś klasyczny utwór, Grady znów zakradł się do gabinetu. Chciał przeczytać kartki i listy od kobiety, która kochała go, zanim wszystko się rozpadło. Podniósł kartkę leżącą na górze stosiku z piękną japońską ryciną. Na pierwszym planie znajdowały się pienne fale, a w oddali porośnięte drzewami góry. Zaczął czytać kartkę od Lucie zapisaną starannym pismem:

Grady, wiem, oczywiście, że mnie kochasz. Przecież ja też cię kocham. Nie o to tu chodzi. Mam po prostu tyle do zrobienia, a nie starcza mi czasu. Wiem, że ty też jesteś zajęty pracą nad poprawkami do projektu. Czy możemy po prostu ustalić, że się kochamy, i nie dać się wciągnąć w kłótnię na temat tego, ile czasu spędzamy tylko we dwoje?

Podpisała list dużą literą L z zawijasem i dodała postscriptum: „Czy w przyszły piątek uda ci się przyjść na galę Tech Night w operze? Byłoby miło, gdybyś mógł. Zapisalam ci to w kalendarzu i zanoslam twój garnitur do pralni”.

Grady przeczytał jeszcze kilka kartek. Nie były to listy miłosne, tylko

instrukcje i wytyczne na temat ich wspólnego życia, w których opisywała swoją wizję ich ciągłych zmagania. Zapewniała go, że choć wszystko jest w porządku, i tak zrobi to, co na ma ochotę, i byłaby wdzięczna, gdyby się do tego dopasował. Dlaczego sądził, że znajdzie w nich dowód czulszej i prawdziwszej relacji? Zawsze próbował namówić Lucie, by spędzili wspólny wieczór w domu. Nazywał je ich „randkami”, ale ona uważała, że na randki powinno się chadzać do restauracji i na wydarzenia kulturalne w mieście. Podchodziła do sprawy wielozadaniowo. Rozdawała swoje wizytówki i przechodziła na drugi koniec pomieszczenia, żeby przywitać się z dyrektorem personalnym albo potencjalnym klientem.

Grady wrzucił korespondencję z powrotem do pudełka z pamiątkami, które przechowywał pod regałem. Dlaczego ją zachował? Jeśli odsunąć na bok stylową grafikę, którą wybrała Lucie, i jej porządne, ładne pismo, były to tylko notatki informacyjne przeznaczone dla współlokatora.

Przeszedł do jadalni, gdzie snop światła z ulicznych latarni oświetlił białe pudełka z zaproszeniami ślubnymi leżące w stosach na podłodze. Nie mógł już na nie patrzeć - przypominały mu tylko o tym, czego tak naprawdę nigdy nie miał. Jutro przypadał dzień zbiórki recydingu. Czuł, że coś musi się zmienić. On musi się zmienić. Podniósł pudełka i zaniósł je do garażu.

Następnego dnia nie miał już wyboru - musiał wrócić do pracy. Udowodnił, że może prowadzić samochód i pływać. Mógł żyć tak jak przed złamaniem stopy i odnalezieniem Lucie, zanim stracił ją po raz pierwszy. Bał się, że teraz znów ją stracił.

Siedząc w biurze z nogą opartą na krześle dla klientów, wybrał numer komórki Dory.

- Hej, G! Jak tam miesiąc miodowy?

Innego dnia powiedziałaby po prostu: „W porządku”, ale to właśnie z tego powodu do niej dzwonił. Chciał się zwierzyć. Chciał, by go skarciła i przywróciła do porządku.

- Miesiąc miodowy się skończył - powiedział ze świadomością, jak grobowo to brzmi, ale taka była jego rola. Siostry nazywały go ponurakiem.

- O nie, co się stało?

Oczami wyobraźni Grady widział, jak Dory zasiada w swoim boksie, chociaż w tym celu musiała się przebić przez tłum klientów.

- Zawałem sprawę, a teraz ona myśli, że już jej nie kocham. Tak bardzo się zmieniła. Trudno uwierzyć, że to wciąż ta sama osoba. Ale ma w sobie też tyle...

Lucie. Jest jak jej bardziej odprężona wersja. Lucie w alternatywnej rzeczywistości. Tylko że ja wciąż żyję w tej normalnej.

- Jak dla mnie, brzmi super. Lucie zawsze była trochę spięta. Co takiego straszniego zrobiłeś?

Grady potarł brew i zamknął oczy.

- Chciała to zrobić.

- Rany, nie wiem, czy chcę tego słuchać - odparła Dory. - Proszę bez szczegółów. Ale zgaduję, że ty tego nie chciałeś.

- Chciałem, naprawdę. Tęsknię za nią.

- W takim razie w czym problem? To wciąż twoja narieczona. To ta sama osoba, Grady. Przysięgam. Ludzie, który padli ofiarą traumy...

- Jakiej traumy? Tego właśnie nie rozumiem. W ciągu pięciu lat naszego związku jakoś nie przejmowała się śmiercią rodziców.

- Daj spokój, Grady. To się nazywa „wyparcie”, a nie zdrowie emocjonalne. Fuga dysocjacyjna pojawia się po wielkiej emocjonalnej traumie. Przechodzą ją żołnierze na froncie i tak dalej.

Matka zastrzeliła ojczyzna Lucie. Dobry Boże, jeśli nie można tego nazwać traumatycznym przejściem... Dlaczego nie powiedział o tym Dory?

- Co się wydarzyło w dniu, w którym odeszła, Grady?

Poczuł, jak zaciska mu się szczęka. Powiedział Dory więcej niż innym, a teraz tego żałował.

- Przecież ci mówiłem. Pokłóciliśmy się. I to poważnie. Nie rozumiem, co te dwie sprawy mają ze sobą wspólnego. Nie jestem członkiem jej porabanej rodziny. Mnóstwo ludzi ma problemy, które nie doprowadzają do wymazania ich całego życia. My też nie mieliśmy łatwo. Nie można tak po prostu porzucić kogoś, kogo się kocha.

Kiedy tylko to powiedział, dotarło do niego to, co musiała usłyszeć Dory. Wcześniej nigdy nie pozwolił sobie na wypowiedzenie tych słów, bo były tak absurdalne i egoistyczne.

- Zaraz, o kim my właściwie mówimy? O tacie czy o Lucie?

- Wiem, wiem.

- Posłuchaj, to po prostu kwestia mózgu. - Dory zawsze była pewna takich rzeczy. - Biologia, natura, wychowanie, nieważne. Każdym z nas rządzi osobny mechanizm, a jej się zwichrował. Nie możesz jej karać za chorobę psychiczną. Przecież nie robiłbyś tego, gdyby dowiedziała się, że ma raka. To nie fair, Grady.

- Ona nie jest chora psychicznie! - Grady podniósł wzrok, sprawdzając, czy nikt go nie słyszał, po czym ściszył głos. - Jest po prostu... - Nie wiedział, jak dokończyć

zdanie.

- Obawiam się, że według klasyfikacji DSM-IV zaburzenie dysocjacyjne podpada pod chorobę psychiczną, kochanie. Była chora, ale wraca do zdrowia. Może spróbujesz pomyśleć o tym w ten sposób?

Grady westchnął.

- Wiem. Powinienem.

- Jak idzie terapia u psychiatry?

- Nie chce na nią chodzić.

- Co? Grady... - Wiedział, że Dory przewraca oczami. - Pomyśl o tym w ten sposób. Czy gdyby miała raka... powiedzmy... mózgu i była niesprawna umysłowo, powierzyłbyś jej tę decyzję?

- Znasz Lucie. Nikt nie może jej do niczego zmusić. Dory westchnęła.

- A więc to ta sama Lucie.

- Tak. Pod pewnymi względami. Ale czy mówiłem ci, że teraz grywa na pianinie? I gotuje. I nawiązuje nowe przyjaźnie.

Dory się zaśmiała.

- Wygląda na to, że jest zupełnie zdrowa. Jeśli ci się to nie podoba, to ty masz problem, nie ona.

No i proszę. Tego właśnie potrzebował, a Dory nigdy go nie zawiodła.

- Nienawidzę tego - rzucił. - I nienawidzę, kiedy masz rację.

- Oczywiście, że mam rację. Mam też rację w kwestii lekarza. Jeśli wkrótce nie umówisz Lucie na wizytę, ja to zrobię.

Grady się zaśmiał.

- Dobra, dobra, w porządku.

- Hej, muszę wracać do pracy. Walczę z zarządem budynków komunalnych, żeby odpuścił klientowi rachunek za elektryczność, chociaż nie należy to do moich obowiązków, a szefowa urządzi mi awanturę, jak się dowie. Dobrze przynajmniej, że nie ma zimy. Jak można oczekiwać od ludzi, że będą godnie żyli w ciemności?

Grady oparł głowę o krzesło.

- Wiesz, jak to jest.

- No to po prostu włącz światło, braciszku. Pewnie zobaczymy się w niedzielę u mamy? O co w tym chodzi?

- Nie wiem. Z jakiegoś powodu Lucie bardzo chciała się ze wszystkimi spotkać. Nie wiem, co czuje teraz, bo nie chce nawet na mnie patrzeć.

Dory parsknęła.

- Dlaczego miałyby nie chcieć się z nami spotkać? Jesteśmy super! Poza tym szepnę jej dobre słowo na twój temat, braciszku.

Grady potrząsnął głową, ale kiedy odkładał słuchawkę, czuł determinację. Jeśli Lucie mogła stworzyć nową, lepszą wersję siebie, on też spróbuje. Grady wersja 2.0.

Kiedy tego wieczoru wrócił do domu, znalazł ją przy biurku w gabinecie pochłoniętą czymś na komputerze. Nie widział, żeby zbliżyła się do laptopa od powrotu do domu - nie sądził nawet, że wie, jak go używać. Wyglądało jednak na to, że Lucie surfuje po internecie.

- Hej - powiedział od progu, spodziewając się, że Lucie to zignoruje, jednak ona się odwróciła. - To dla ciebie - powiedział, wskazując na dwanaście różowych gerber, które trzymał w dłoni. Przyniósł do domu także pieczonego kurczaka i sałatkę ogórkową, którą kiedyś uwielbiała. Zaniósł to wszystko do kuchni.

- Jest już tak późno? - zapytała. - Nie zdążyłam nawet pomyśleć o kolacji. - Wstała i podeszła do Grady ego, po czym wzięła od niego bukiet i zbliżyła go do twarzy.

Oczywiście, gerbery są bezwonne. Powinien był o tym pomyśleć. Przechadzając się po okolicy, zawsze zatrzymywała się, żeby powąchać kwiaty. Kiedyś lubiła gerbery, bo uważała, że są ładne.

- Nie musisz się martwić kolacją - powiedział. - Kupiłem pieczonego kurczaka.

Odczekał. Czy wiedziała, że kiedyś było to jej ulubione danie? Wyobrażał sobie, jak on i Lucie siedzą przy stole w jadalni przy zapalanej świeczce i butelce wina i rozmawiają o wszystkim, czego dowiedziała się w domu ciotki. Zamknęła się przed nim. Czuł się tak, jakby dostał to, czego chciał. Dawna Lucie uwielbiała ciche dni.

- Nad czym pracujesz? - zapytał.

- Przeprowadzam małe badanie - odparła, a jej usta ułożyły się w wąski, niezobowiązujący, pozbawiony radości uśmiech. Przeszła obok niego. - Wstawię je do wody.

Zrobili tyle kroków w tył. Zastanawiał się, jak zdoła to naprawić.

Grady poszedł za nią do kuchni i patrzył, jak z górnej półki zdejmuje wazon i niesie go do zlewu. Znała tę kuchnię lepiej niż on - tak jak przedtem, zanim wszystko wyparła.

Nie, pomyślał. Zanim jej mózg skapitulował. Postanowił posłuchać sugestii Dory.

- Lucie - powiedział do jej pleców. Nie odwróciła się. - Chciałbym, żebyś wiedziała, jak mi przykro z powodu tego, co zaszło wczoraj. Staram się sobie radzić z tą całą sytuacją, ale najwyraźniej mi to nie wychodzi. Proszę... - Umilkł.

Lekko odwróciła głowę w jego stronę.

- Co „proszę”?

- Proszę, spójrz na mnie.

Zakręciła kurek i stanęła do niego przodem. Znał ją na tyle dobrze, że wiedział, iż próbuje nie okazać żadnych emocji, ale nie przychodziło jej to już tak łatwo. Dzięki Bogu, pomyślał.

- Proszę, nie przekreślaj mnie - odparł.

- Dlaczego wyrzuciłeś zaproszenia na nasz ślub? - zapytała. - Widziałam je na śmietniku. Mogłeś mi przynajmniej powiedzieć. - Zadrżała jej broda. Zaciśnęła usta i odwróciła wzrok.

- Cholera - mruknął.

Zaniosła wazon do jadalni i postawiła go na stole.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

LUCIE

Następnego ranka kiedy Lucie nalewała sobie kawy, pomyślała, że lubi ciszę i pustkę, które panują w domu pod nieobecność Grady ego. Podczas wczorajszej kolacji, kiedy Grady próbował jej wytłumaczyć, że dobrze im zrobi, jeśli nie będzie nad nimi wisieć wizja ślubu, czuła się okropnie. Dlaczego nie zapytał jej o zdanie? Nie potrafił na to odpowiedzieć.

Dla Lucie najgorszym upokorzeniem było to, że próbowała się z nim kochać i została odrzucona. Skompromitowała się przed nim, a teraz czuła się jak idiotka, ilekroć przebywali razem, a zwłaszcza siedzieli naprzeciwko siebie przy stole. Nie chciała na niego patrzeć.

Jak to się stało, że tak błędnie zinterpretowała sygnały, które jej wysyłał? Przecież nie pierwszy raz miał przy niej wzwód. A jednocześnie był uroczy, przynosił jej kwiaty i prosił, żeby go nie przekreślała.

To wszystko doprowadzało ją do szału.

Zaniosła kawę do gabinetu i otworzyła laptop. Dotąd nie znalazła w sieci satysfakcjonujących informacji na temat haseł „Gloria Walker”, „morderstwo” i „San Francisco”. Próbowała wymyślić inne słowa klucze, których mogłaby użyć.

Kiedy komputer budził się do życia, na pulpicie zauważyła folder o nazwie „zdjęcia/filmy”. Zawahała się, lecz po chwili kliknęła w ikonkę.

Miała przed oczami listę setek zdjęć oznaczonych numerkami. Nie sposób było się połapać, co jest czym, więc otworzyła pierwsze z brzegu. Była to ciemna, ziarnista fotografia zrobiona w miejscu, które przypominało salę konferencyjną zastawioną rzędami stolików. Następne zdjęcie potwierdziło, że były to jakieś targi albo konferencja. Nuda, pomyślała Lucie, przeskakując o kilka plików i klikając w przypadkowe. Nagle zobaczyła siebie w pełnym makijażu i starannej fryzurze. Uśmiechała się szeroko, stojąc obok innej kobiety. Robiła im jedno z tych „zdjęć z ręki”, na których wszyscy mieli za duże nosy.

Z obu kobiet biła pewność i triumf- cechy, których Lucie nie potrafiła sobie u siebie wyobrazić. Były do siebie podobne jak dwie krople wody w tych swoich strojach, perfekcyjnym makijażu i z gładko zaczesanymi włosami.

- To ja - powiedziała Lucie na głos, próbując się do tego przekonać, ale nic w twarzy ani wyglądzie kobiety nie wydawało jej się znajome. Miała wrażenie, że to jej zaginiona siostra bliźniaczka. Rozdzielona z nią po urodzeniu.

Przejrzała kilkadziesiąt zdjęć - wszystkie przedstawiały biznesmenów zajmujących się interesami w centrach biznesowych. Gdzie był Grady? Czy miała jakiegokolwiek fotografie domu? Czy kiedykolwiek robiła cokolwiek innego poza pracą?

Przynajmniej filmy opatrzone były jakimiś tytułami. „Zbiórka pieniędzy na rzecz walki z rakiem piersi 2009”, „Brunch z okazji otwarcia Mariners 2008”. Na dole listy znajdował się plik o nazwie „Gala 2006, taniec”. Taniec... Odtworzyła filmik.

Na początku na ekranie panowała ciemność, a po chwili pojawił się stół nakryty dla wielu osób - jeden spośród wielu innych stołów. Sala balowa. Kamera objęła parkiet skąpany w kolorowych światłach i wypełniony wirującymi ciałami.

- Spójrz na nich - usłyszała swój głos przekrzykujący muzykę.

Po chwili odezwał się Grady:

- Idź. Nikt nie tańczy z partnerem. Nie jestem ci potrzebny.

Kamera zawirowała wokół pomieszczenia, po czym zatrzymała się na twarzy Grady'ego. Mężczyzna wzruszył ramionami. Miał krótsze włosy, a pod szyją krawat w niebieskie paski - to zdjęcie zostało zrobione tej samej nocy co fotografia na jej stoliku nocnym.

- Wierz mi, że nie chcesz ze mną tańczyć - powiedział. - Nie mam poczucia rytmu, za to wielkie stopy. Obie lewe. - Kamera znajdowała się tak blisko, że w jego czarnych oczach odbijało się pomieszczenie. Widać było nawet jego rzęsy.

Nie zmuszaj go, chciała powiedzieć Lucie do tej kobiety.

- Ale ja chcę zatańczyć z tobą - usłyszała swój głos, z tym że wcale nie należał do niej. Był to głos kogoś, kto lubi flirtować i chce postawić na swoim. – No chodź. Na pewno nie jest z tobą aż tak źle. Masz tyle siostr. Musiały cię czegoś nauczyć. Poza tym to moja ulubiona piosenka.

Lucie starała się usłyszeć muzykę, ale wokół panował tylko rytmiczny hałas. Jaka była jej ulubiona piosenka? Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiała, a teraz nie mogła znieść, że tego nie wie.

Grady zacisnął usta i kiwnął głową. Odwrócił wzrok, po czym znów spojrzał w kamerę.

- W takim razie pewnie musimy zatańczyć - powiedział. - Ale pod warunkiem że *jej* ze sobą nie zabierzesz.

Kamera podskoczyła, po czym na ekranie pojawiła się dawna Lucie. Śmiała się. Była chyba trochę pijana. Prześliczna. Jej oczy błyszczały, a ciemnoczerwone wargi były bardzo ponętne. Dekolt połyskującej sukienki, którą miała na sobie, odkrywał górną część jej piersi.

- W porządku - powiedziała. - Nie udokumentuję naszego pierwszego tańca dla potomnych. Ale wierz mi, że tego pożałujesz. - Nachyliła się i wszystko się skończyło. Ekran zrobił się ciemny.

Twarz Lucie zalał rumieniec. Miała ochotę się rozplakać. Jestem zazdrosna, pomyślała. Wcześniej nie wierzyła, że ta druga kobieta naprawdę istniała, lecz oto miała ją przed oczami. Była dokładnie taka, jak wynikało ze zgromadzonych dowodów. Nawet wibrator pasował do tego obrazka. Ubrania od projektantów, drogie kosmetyki i broszurki opisujące, jak zachować urodę. Co najważniejsze, rozumiała teraz fascynację Grady ego - jego pożądanie i miłość do tej eleganckiej kobiety, która już nie istniała.

Lucie zamknęła laptop i wzięła kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić. Przecież nie można było być zazdrosnym o siebie samą. To nie miało sensu. Przełknęła ślinę. Zaburczało jej w brzuchu. Miała ochotę na śniadanie - ciepły posiłek złożony z jajek, ziemniaków, naleśników, syropu klonowego i zbyt dużej ilości wszystkiego, co zdołałoby wypełnić pustkę.

Szkoda, że była tak beznadziejną kucharką. Dlaczego nie wiedziała nawet, jak się robi naleśniki albo sprawia, by własny narzeczony cię pokochał?

Jajecznicą, pomyślała. Tego nie można zepsuć.

W kuchni wbiła dwa jajka do miski, po czym przez dłuższy czas wylawiała skorupki z mazi. Patelnia, którą postawiła na gazie, zaczęła dymić. Wyłączyła ogień, zastanawiając się, czy powinna wytrzeć rozpuszczone masło, które zrobiło się

brązowe. Umierała z głodu.

Uznała, że zostawi skorupki. Szybko roztrzepała jajka i wylała masę na patelnię, po czym zapaliła gaz i zabrała się do robienia tostów.

Kiedy smarowała kromki masłem, poczuła zapach spalenizny i rzuciła się do kuchenki, żeby zamieszać jajka. Kremowo-żółta mieszanka przywarła do dna.

- Cholera - wymamrotała i wyłączyła palnik. Kiedy Lucie zeskrobała przypaloną jajecznicę do śmietnika, wybrała numer Susan.

- Hej - powiedziała, kiedy przyjaciółka podniosła słuchawkę. - Wybierzemy się na śniadanie?

Drzwi wejściowe domu Susan były uchylone. Lucie zapukała we framugę i weszła.

- Halo? - zawołała. - Dlaczego tu pachnie boczkiem?

- Jestem tutaj! - odkrzyknęła Susan,

Lucie przeszła przez dom i pchnęła drzwi do kuchni.

- Co robisz? - zapytała, ale odpowiedź była oczywista. Wszystkie palniki na kuchence były zapalone i przykryte garnkami, w których znajdowało się coś, co wyglądało i pachniało wybornie. - Myślałam, że zjemy na mieście.

- Wejdz. - Susan podała Lucie kwiecisty fartuch. - Lekcja gotowania numer jeden - powiedziała. - Dziś robimy omlety.

Lucie przyłożyła do siebie fartuch i potrząsnęła głową.

- Ja nie potrafię nawet zrobić jajecznicy.

- Bo jest trudniejsza - odparła Susan i nachyliła się nad patelnią z boczkiem. - Jajecznica wymaga szóstego zmysłu. Natomiast zrobienie omletu opiera się na pewnym wzorze. Wystarczy się trzymać kilku prostych zasad i omlet uda się za każdym razem.

Lucie przyjrzała jej się z uwagą. Nie chciało jej się w to wierzyć, ale Susan wydawała się boginią domowego ogniska. Osiągnęła doskonałość we wszystkim - od ogrodnictwa, przez urządzenie wnętrza i pieczenie, aż po przyrządzanie jajek.

- Dobra - odparła Lucie i zawiązała fartuch w pasie. Przyjrzała się stojącym na płycie garnkom: boczkwowi skwierczącemu na jednej patelni oraz ziemniakom i czerwonym paprykom na drugiej. W niewielkim rondelku dusiły się grzyby na maśle. - Zrobiłaś to wszystko w czasie, którego potrzebowałam, żeby tu dojść?

- Pierwsza zasada gotowania: zawsze miej pod ręką przydatne składniki. - Susan zdjęła grzyby z ognia, potrząsnęła nimi i odstawiła rondel z powrotem, wyłączając palnik. - Resztki z poprzedniego dnia, takie jak pieczone ziemniaki,

świetnie się nadają do wykorzystania w innych daniach.

- Jesteś naprawdę bardzo miła - powiedziała Lucie. - Nie ma w tobie nic z jędzy. - Lucie pomyślała, że jeśli nie będzie ostrożna, zupełnie się rozklei, a Susan nie lubiła kłliwości. Przyjaciółka wzruszyła ramionami, ale Lucie widziała, że jej słowa sprawiły Susan przyjemność.

- Dobrze, ja zajmę się dodatkami, a ty, moja droga, będziesz odpowiedzialna za danie główne. Gotowa? - Susan otworzyła lodówkę.

- Bardziej nie będę - odparła Lucie, biorąc od Susan opakowanie brązowych jajek.

Lucie usiadła przy niewielkim stoliku w ogrodzie za domem Susan i wzięła kęs omleta, który wydawał jej się idealny.

- Mmm - zamruczała. - Pyszny. - Ten smak, konsystencja, miękkość... Zamknęła oczy. Jajka poprawiały jej nastrój, zawsze tak było. Nie miała o tym pojęcia, dopóki nie spróbowała dzisiejszego śniadania.

- A nie mówiłam? - Susan spróbowała omletu i posypała go solą morską, którą przyniosła z kuchni. - Jest pyszny, ale odrobina soli zawsze wydobywa smaki.

Lucie skinęła głową i przełknęła pierwszy, idealny kęs. Będzie musiała sobie przypomnieć, jak się robi omlet.

- Powinam była zapisać to, co robiłyśmy. Po pierwsze, trzeba kupować jajka z wolnego wybiegu, a nie z fermy.

- Najlepiej tuż spod kurzego kupra. - Susan rozgniotła ziemniaki widelcem. - Zimą kiedy targowisko jest zamknięte, bywa trochę trudniej, ale warto ich poszukać.

- Rozbić dwa jajka, dodać odrobinę wody i roztrzepać je, aż będą błagały o litość.

- Brutalnie powiedziane, ale tak. Należy ubić jajka tak, by białka połączyły się z żółtkami. Dwoje ma się stać jednym.

Lucie zastanawiała się, czy Susan specjalnie przemycza życiowe mądrości w przepisach, ale mówiła dalej:

- Zasada numer trzy: nie dodawać więcej niż dwóch dodatkowych składników.

- Zbyt wiele smaków przytłacza zmysły - powiedziała Susan, zasłaniając usta pełne jedzenia, po czym przełknęła. - Jajka same w sobie są niezwykle aromatyczne, a oliwa lub masło, na których się je podsmaża, cudowne. Zioła, w porządku. Odrobina sera? Dobrze. Grzyby? Tak. Do moich omletów zawsze dodaję grzyby.

- Cztery: dużo lubrykantu na patelnię...

- Fúj. - Susan się skrzywiła, wymachując widelcem. - Nie użyłam tego słowa.
 - Właśnie, że użyłaś. Powiedziałaś: „Nie ma znaczenia, jakiego lubrykantu użyjesz: masła czy oliwy. Upewnij się tylko, że go nie przypalisz”.
 - Niech ci będzie. Dobra, co po lubrykancie?
 - Pięć: mały lub średni ogień, przykrywka.
 - A sześć? - zapytała Susan.
 - Cierpliwość.
 - Najważniejszy ze wszystkich składników. - Susan uniosła filiżankę kawy do ust. - W porządku, co robimy, kiedy krawędzie omletu lekko zbrązowieją?
 - Zmniejszamy ogień.
 - Dobrze.
 - Bierzymy gumową szpachelkę...
 - Termoodporną.
 - Bierzymy termoodporną gumową szpachelkę, żeby lekko unieść omlet. Pozwalamy, by surowa masa trafiła pod spód. Upewniamy się, że dół jest żółty, a góra przestaje się trząść.
 - Dopiero wtedy... - odpowiedziała Susan.
 - Delikatnie przekładamy omlet na ciepły talerz. Susan uniosła kawę.
 - Gratuluję, jesteś moją najlepszą uczennicą.
- Lucie podniosła swoją filiżankę i stuknęła nią o filiżankę Susan.
- Przypuszczam, że jestem twoją jedyną uczennicą.
 - To prawda. - Susan się uśmiechnęła. - Czego jeszcze będziesz się chciała nauczyć? Piekę całkiem dobre kruche ciasto. Zrobienie go też wymaga trzymania się tylko kilku prostych zasad.
- Może jest jeszcze nadzieja, że nauczę się gotować, pomyślała Lucie. Muszę tylko poświęcić na to trochę czasu.
- Dziękuję - odparła. - Z chęcią nauczę się piec ciasta.

Po południu kiedy Lucie znalazła się z powrotem w domu, weszła do gabinetu i włączyła stojący w kącie wentylator. Dzień zrobił się parny, a znad Pacyfiku miała nadciągnąć burza. Lucie zaplotła ramiona i rozejrzała się wokoło. Przyszła tu w jakimś celu, ale w jakim?

Ludzie, uświadomiła sobie. Susan stała się jej przyjaciółką - z pewnością byli też inni, z którymi mogła nawiązać ponowny kontakt, skoro przebywała w domu już od jakiegoś czasu i wiedziała, dokąd zmierza.

Kiedy po raz pierwszy otworzyła skrzynkę mailową, czuła się zdezorientowana - znalazła w niej mnóstwo obcych nazwisk i ludzi, którzy chcieli, by była dawną

Lucie i pomogła im rozwiązać ich problemy.

Może nie zauważyła kogoś miłego - kogoś, z kim mogłaby porozmawiać o tym, jaka była, czym się zajmowała. O tym, o czym na początku nie chciała nawet słyszeć.

Otworzyła skrzynkę pocztową i zaskoczeniem odkryła nowe wiadomości o znacznie przyjaźniejszych nagłówkach:

Szybkiego powrotu do zdrowia! Witaj w domu! Cieszymy się, że wróciłaś!

Przez chwilę siedziała w milczeniu i po prostu na nie patrzyła. Ludzie ją pamiętali. Obchodziło ich to, co się z nią stało. Kiedy przeskanowała wiadomości, odkryła, że choć stylem przypominają oficjalne notatki, są niezwykle miłe. Może podobnie jak z Susan i innymi sąsiadami, to ona trzymała znajomych z pracy na dystans.

Przeskanowała wzrokiem mniej więcej dziesięć wiadomości i w końcu z uśmiechem przeczytała nazwisko nadawcy: mfgoodall@aol.com. E-mail zatytułowany był: „Kiedy będziesz się czuła gotowa...”.

- Mega Frajerko - powiedziała Lucie. - Tu jesteś. - Kliknęła w wiadomość i przeczytała ją:

Najdroższa Lucie,

Grady mówił mi, że wracasz do zdrowia, ale potrzebujesz prywatności, a ja doskonale to rozumiem. Cieszę się, że odwiedzisz nas w ten weekend. Tęsknię za tobą. Martwię się o was oboje. Nie chcę się narzucać -jestem w końcu twoją starą, stukniętą teściową - więc powiem tylko, że z przyjemnością porozmawiam z tobą o wszystkim za pośrednictwem e- ma i la albo przez telefon, jeśli uznasz, że pomoże ci to w odzyskaniu pamięci (a Dory twierdzi, że tak). Daj znać, kiedy będziesz miała ochotę pogadać. Grady może być niezadowolony, kiedy dowie się, że do ciebie napisałam, ale wiem, że w głębi serca chce dla ciebie jak najlepiej. Jest po prostu przerażony tym, że mógłby cię stracić tak jak ojca. Tak w każdym razie twierdzi Dory i chyba ma rację.

Kochająca

Mary Faith

Mary Faith Goodall. Lucie zawstydziała się, że nazywała matkę Grady ego „Mega Frajerką”. Cieszyła się z każdego słowa zawartego w jej wiadomości. Kliknęła „Odpowiedz” i napisała:

Droga Pani Goodall,
jestem niesamowicie szczęśliwa, że...

Potrząsnęła głową, zaznaczyła i skasowała tekst, po czym spróbowała jeszcze raz. Ale nie miało to znaczenia. Wszystko, co pisała, przypominało wynurzenia z pamiętnika nastolatki. Długo wpatrywała się w ekran, po czym napisała:

Droga Pani Goodall,
dziękuję, że się Pani do mnie odezwała. To dla mnie bardzo ważne. Nie mogę się doczekać niedzieli, kiedy poznam Panią i całą rodzinę. Wiem, że to dziwnie brzmi. Wy już mnie znacie, ale czuję się tak, jakbyśmy się miały zobaczyć po raz pierwszy. Oczywiście, widziałam was na zdjęciach, a z opowieści Grady ego wiem, że jesteście cudownymi ludźmi.

Przez chwilę zawahała się nad tym niewinnym kłamstwem, ale postanowiła go nie kasować. Dopisała: „Do zobaczenia wkrótce, Lucie”.

Nieco poniżej listu Mary Faith znalazła wiadomość od innej kobiety z rodziny Goodall wysłaną z adresu dorothy.goodall@piercecounty.wa.gov. Dory. Ulubiona siostra Grady ego.

Otworzyła wiadomość.

Cześć, Lucie,
pamiętasz mnie? (Wybacz, kiepski żart!). Chciałam ci tylko napisać, jak bardzo się cieszę, że jesteś już w domu. Grady mówi, że znalazłaś sobie nowe zajęcia. To świetnie. Pamiętaj tylko, że spotkanie z psychiatrą pomoże ci najbardziej, więc mam nadzieję, że wkrótce umówisz się na wizytę. Cieszymy się na niedzielne spotkanie. Jestem pewna, że Grady ci o nas opowiadał, opisując to, co dobre, złe i bardzo złe. Zwariowana z nas paczka, ale wszyscy mają dobre serca, nawet Eu-nie. W pierwszym kontakcie potrafi być dość... drażliwa, ale to wynika z jej troski o brata. Zajmowała się nami, kiedy tata zmarł, a mama wróciła do pracy. Na szczęście nie mam więcej przestroż! Przygotuj się na tłum ludzi i hałas. Aha, i na łzy. I całe mnóstwo jedzenia.

Na koniec dodała uśmiechniętą buźkę i dopisała: „Kochająca Dory”.

Lucie kilkakrotnie przeczytała tę wiadomość. Nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby skontaktować się z którąś z sióstr Grady ego, zanim się z nimi spotka. Zastanawiała się, jak wygląda Dory. Podeszła do tablicy korkowej przy biurku Grady ego. Nie sposób było odgadnąć. Wszystkie kobiety były do siebie podobne -miały ciemne włosy, a większość nosiła okulary. Jedna z sióstr

wydawała się drobniejsza od innych i miała krótką fryzurę, podczas gdy cała reszta nosiła długie włosy. Lucie dotknęła palcem twarzy drobniejszej kobiety. Dory, pomyślała. Ale dlaczego? Ogarnęło ją dziwne wrażenie, że *jej* krew zaczyna buzować. Wpatrywała się w pozostałe twarze, lecz pozostawały dla niej tajemnicą.

Wróciła do komputera, kliknęła „Odpowiedz” i napisała: „Kochana Dory, jesteś tą siostrą z krótkimi włosami?”.

Kliknęła „Wyczyść” i wysłała Dory przyjazną wiadomość podobną do tej, którą napisała do pani Goodall. Pozna je w weekend. Najważniejsze było to, że te kobiety chciały z nią porozmawiać i pewnie by ją odwiedziły, gdyby Grady im na to pozwolił.

Gdyby Grady... Zagotowała się ze złości, ale po chwili odłożyła tę myśl tam, gdzie chowała inne sprawy, które im nie wychodziły. Na razie mogła się skupić tylko na tym, by posuwać się naprzód, krok po kroku.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

GRADY

Kiedy Grady był mały, niedzielne poranki oznaczały dla niego wiele rzeczy. Wielkie rodzinne śniadania z naleśnikami, goframi lub omletami - zimą z jabłkami, a latem z jagodami. Dłuższe pływanie w basenie lub w Dash Point. Wizyty w kościele -zwłaszcza po śmierci taty. Gdy dorósł, niedziele były dla niego dniami, który spędzał w domu zamiast w pracy, różniły się tylko tym, że rzadziej sprawdzał maila. On i Lucie nie mieli żadnych specjalnych rytuałów takich jak wystawne śniadania („Za dużo węglowodanów”, mówiła), a już na pewno nie niedzielna msza. Oczywiście Grady wcale nie miał ochoty bywać w miejscu, gdzie ktoś mówił mu, co ma myśleć i o co się modlić.

Jednak leżąc w łóżku w pokoju gościnnym, zdał sobie sprawę, że chciałby w jakiś sposób czuć, że jeden tydzień się kończy, a zaczyna drugi, i cieszyć się różnymi sprawami - nawet zauważać, czego mu w życiu brakuje. Przez liczne obowiązki nie mieli czasu na myślenie. Może właśnie dlatego zajmowali się remontem domu i wprowadzaniem ulepszeń - wszędzie poza ich związkiem. Pomyślał, że jeśli Lucie kiedykolwiek do niego wróci - tak naprawdę do niego wróci - poprosi ją, żeby spędzali razem wyjątkowe, ciche niedziele.

Bez jego rodziny.

Grady jęknął i przewrócił się na drugi bok. Przyszedł dzień, w którym Lucie pozna jego matkę i siostry po raz drugi.

Za pierwszym razem to ona wpadła na pomysł, żeby pojechać do Tacoma na rodzinny grill. W końcu jego związek z Lucie zaczynał się robić poważny. Nie zdawał sobie sprawy z tego, czym się skończy połączenie tak różnych elementów.

Przez cały ranek Lucie była zdenerwowana i ubrała się zbyt oficjalnie jak na tę okazję - w granatową sukienkę i szpilki na niezbyt wysokim obcasie. Jak mógł jej o tym powiedzieć? Chciała po prostu zrobić dobre wrażenie, ale zachowywała się tak, jakby nigdy wcześniej nie była na grillu. On włożył szorty i T-shirt, lecz przebrał się, kiedy w spojrzeniu Lucie dojrzał panikę.

Nalegała, żeby zatrzymali się i kupili wino oraz kwiaty. Jak mógł jej powiedzieć, że jego matka zdobywa liczne nagrody za kwiaty hodowane w swoim ogrodzie i że latem jej dom jest nimi wypełniony? I że nikt w jego rodzinie nie pije wina? Że on także tego nie robił, dopóki jej nie poznał. Jaki zakochany facet by tego nie zrobił? Miał tylko nadzieję, że jego rodzina nie wzgardzi pinot gris, które starannie wybrała Lucie, ani piwoniami z kwaciarni.

Kiedy przyjechali na miejsce, głupie psy skoczyły na nią brudnymi łapami i wystraszyły ją na śmierć, jeszcze zanim kogokolwiek poznała. Po chwili nadeszły jego siostry, które zmierzyły ją wzrokiem od stóp do głów, a kiedy myślały, że Lucie ich nie widzi, spoglądały na siebie, unosząc brwi. Ale on wiedział, że Lucie to dostrzegła.

Oczywiście Dory uratowała Lucie - tylko ona mogła to zrobić. Przytuliła ją, wzięła od niej wino i podziękowała, obiecując, że zaraz otworzy butelkę, tak by mogły się go napić. Nie tylko szkolenie psychologiczne sprawiło, że Dory potrafiła rozładowywać nieprzyjemne sytuacje. Ani determinacja, z jaką broniła słabszych. Dory zawsze była tą „inną” siostrą. Tą, która skręcała w lewo, kiedy inne szły w prawo, która ścięła włosy i podróżowała w egzotyczne zakątki świata, która nie wyszła za męża. Dory zawsze podążała własną drogą, a dobroć, z jaką traktowała Lucie, była z pewnością jej prezentem dla Grady'ego.

Jeśli chodzi o jego matkę, to cóż... Mary Faith Goodall zawsze opiekowała się zbłąkanymi psami, przyjaciółkami maltretowanymi przez mężów i poturbowanymi przez życie dziećmi. Nawet teraz, w wieku osiemdziesięciu dwóch lat, była ich opoką - twardszą niż cała reszta razem wzięta. Tego dnia pięć lat wcześniej wzięła Lucie pod rękę i oprowadziła ją po ogrodzie, zachwycając się jej piwoniami. Oznajmiła, że mają akurat ten odcień róży, którego nigdy nie udało jej się uzyskać w tych hodowanych przez siebie.

Kiedy wszyscy znaleźli się z powrotem w domu, w kuchni jak zwykle zrobił się

tłok. Siostry Grady ego zaczęły zadawać pytania. Jak się poznali, od jak dawna się spotykają, dlaczego Grady im nie powiedział, że kogoś sobie znalazł? I czy to dlatego wyglądał tak porządnie? Od ich trajkotania pękała mu głowa.

Następnie zwróciły się do Lucie. Pytały ją o pracę, chociaż nawet nie udawały, że rozumieją to, co mówi. Jedna z nich, chyba Renie, rzuciła, że Lucie musi chyba dobrze zarabiać, mierząc ją przy tym wzrokiem. Potem oczywiście zapytały ją o rodzinę. Kiedy Lucie odparła, że jej rodzice nie żyją, kobiety spojrzały na siebie porozumiewawczo.

Oczywiście ich brat znalazł sobie kobietę, która została osierocona. Według nich była to jedyna cecha, która charakteryzowała Grady ego, a on miał już tego dość. Czy to nie one przy każdym spotkaniu powtarzały, że śmierć taty wcale nie oznacza końca? Najstarsza siostra Eunie miała właśnie skończyć pięćdziesiąt cztery lata i wciąż była wściekła, że na pogrzebie nie dano jej przeczytać wiersza, który napisała. Owszem, był okropny, a Grady śmiał się razem z pozostałymi za każdym razem, kiedy Eunie postanawiała go wyrecytować tylko po to, by udowodnić, że potrafi. Można się było spodziewać rymów takich jak woda-uro-da czy kwiat-świat, ale kiedy w wierszu zaczynał się rymy ryba-spoczywa i woda-szkoda, którymi opisywała wypadek na morzu, nikt nie mógł się powstrzymać. Parskali śmiechem, a to, co akurat pili, wypływało im nosem, wyli ze śmiechu i walili dłońmi w stół. Matka próbowała ich uciszyć, ale ona także śmiała się pod nosem. To wszystko było absurdalne i żałosne, a jednak w rodzinie mówiło się, że to Grady nie może sobie poradzić ze śmiercią ojca.

Kiedy tamtego dnia wracali do domu, Lucie powstrzymywała płacz, a Grady czuł się odrętwiały. Dopiero po trzech dniach ich stosunki wróciły do normy. Minęło sporo czasu, zanim Lucie i jego siostry zaczęły się jakoś dogadywać, lecz większość z nich się do niej przekonała. Poza Eunie, której brakowało cierpliwości do kogokolwiek, kto nie był taki, jaki jej zdaniem być powinien. Grady zawsze powtarzał Lucie: „Jej strata. Nie przejmuj się”, ale oczywiście Lucie się zamartwiała.

Grady wstał z łóżka i bez kul pokuśtykał do łazienki, żeby się przygotować. Marzył o tym, by ten dzień skończył się, zanim się jeszcze zacznie. Jakim cudem on i Lucie to wszystko przetrwają, zwłaszcza jeśli nawet ze sobą nie rozmawiali? Dlaczego wyrzucił ich ślubne zaproszenia, nie pytając jej o zdanie? Miała rację. Poczuł po prostu, że nie ma już dla nich nadziei, i postąpił impulsywnie.

W rurach u góry popłynęła woda z prysznicza. Grady wyobrażał sobie nerwową ekscytację Lucie - nie mogła się doczekać, aż wszystkich pozna. Jedno było pewne - tym razem nie wystroi się przesadnie. Nie widział jej w eleganckich ciuchach,

odkąd odeszła. Jego siostry pewnie się zdziwią, kiedy zobaczą nowy, swobodny styl Lucie, i znów będą ją o wszystko pytać. Ale on zadba o to, by tym razem wszystko było w porządku. Nawet jeśli nie zamierzała z nim rozmawiać, Grady dopilnuje, by tym razem nikt nie zrobił jej przykrości.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

LUCIE

Podłoga w sypialni zmieniła się w pustynny krajobraz beżu i szarości - wokół rozrzucone były dawne ubrania Lucie. Ta Lucie chciała, by Goodallowie uznali ją za miłą i przyjazną. Byli jej ostatnią szansą na posiadanie normalnej rodziny. Marzyła o tym, by ubrać się kolorowo i zabawnie jak siostry Grady ego, które widziała na zdjęciach, ale w szafie nie znalazła niczego, co by się nadawało. Przypomniała sobie pomarańczową koszulkę ze słowami: „Jestem rzeczownikiem” wypisanymi na piersi - przekaz nie był zbyt duży, za to dobitny. Czy Grady będzie wściekły, jeśli Lucie pojedzie w niej w odwiedziny do jego matki? Jego siostry lubiły się śmiać. Czy będą rozbawione? Dory na pewno tak.

- Mnie tam się podoba - wymamrotała, podchodząc do szafy.

Mogła zestawić koszulkę z białymi dżinsami, które polubiła, i podwinąć nogawki, a do tego włożyć sandały ze szpitala i kolczyki, które kupiła w jednym ze sklepików w Wallingford. Pomyślała, że zrobi sobie nawet makijaż - od czasu tamtej fatalnej kolacji na mieście nie umalowała się ani razu.

Stojąc przed lustrem w łazience, Lucie przekopała się przez szufladę z kosmetykami. Wszystko, co miało w nazwie słowa „korektor” albo „kryjący”, z satysfakcjonującym metalicznym brzękiem lądowało w śmietniku obok toalety.

Dawna Lucie poświęcała mnóstwo czasu i wysiłku na to, by wtopić się w neutralne tło nicości. Była jeszcze większą niewiadomą niż ta Lucie. Próbowwała zniknąć i cóż, w końcu jej się to udało.

Przygryzając wargę, Lucie zrobiła bilans tego, co *jej* pozostało: podkłady, pudry, cienie, róże, szminki. Pozbyła się wszystkiego, co nie pasowało do *jej* karnacji. Zatrzymała najładniejszy róż, najciemniejszą kredkę do oczu i tusz do rzęs. Następnie zajęła się szminkami.

Uskrzydłona, przejrzała resztę szuflad, półki pod umywalką i szafkę z lekami, wyrzucając rzeczy, których już nigdy nie użyje, mikstury, obietnice i cudowne lekarstwa na autentyczne życie.

Cudownie było pozbyć się rzeczy dawnej Lucie, a zostawić sobie te, które jej się

podobały. Koniec końców, kosmetyki, które zatrzymała, zajęły jedną szufladę i dwie półki w szafce. Pomyślała, że Grady będzie zaskoczony, kiedy...

Podniosła wzrok i w lustrze zobaczyła swoje zmarszczone czoło. Grady nie korzystał już z tej łazienki. Nie sypiał z nią. Nie chciał się z nią kochać. Nie zamierzał się już z nią ożenić. Ani nawet zabrać jej do domu matki. To Lucie zmusiła go do tego, żeby zorganizował spotkanie.

Jej nos i policzki zrobiły się ciemnoróżowe. Postarała się rozluźnić czoło, ale wciąż towarzyszyła jej uraza, która zagnieździła się w jej gardle, tak że trudno jej było z nim rozmawiać. Cofnęli się, a Lucie nie wiedziała, jak zrobić krok do przodu. Pragnęła tego, co nie należało do niej - miłości, którą darzył dawną Lucie.

Obnażyła zęby i warknęła do lustra. Potrafiła być wredna i złośliwa. Twarda i zimna. Miała wrażenie, że taka właśnie była dawna Lucie. Gdzieś w głębi pamiętała, jak się wtedy czuła. Spotkanie z Helen uświadomiło jej to, z czym musiała się mierzyć przez całe życie. Nic dziwnego, że tak bardzo oderwała się od rzeczywistości. Czy z taką przeszłością mogła postąpić inaczej? Jak to się stało, że przetrzymała to piętnastoletnia dziewczyna, która straciła rozum dopiero dwadzieścia pięć lat później po kłótni z facetem?

Poczuła mrowienie na skórze. Jezu, pomyślała.

- Jesteś gotowa? - zawołał Grady z dołu.

Helen wspominała, że kiedy Lucie z nimi zamieszkała, była cicha i wycofana. Normalna nastolatka byłaby znerwicowana i pogrążona w żałobie po utracie matki - rozmyślałaby o rzezi, której była świadkiem, prawda? Czy to wspomnienie w jakiś sposób by jej nie naznaczyło? A jednak nigdy nie rozmawiała o tym z Gradym.

- Luce? Musimy zaraz wychodzić. Nachyliła się nad umywalką i ścisnęła blat.

- Lucie?

Jej dłonie drżały.

- Już idę - odpowiedziała.

Odkręciła kurek i ochlapała twarz wodą. To by było na tyle, jeśli chodzi o makijaż - nie miała już czasu. Przejrzała tylko szminki, których nie wyrzuciła. Po kolei czytała ich nazwy zapisane niewielką czcionką na spodzie, aż znalazła to, czego szukała - pomadkę o nazwie „Malinowy pocałunek”. Odkręciła szminkę, pomalowała nią na usta i cmoknęła. Proszę bardzo. Kolorowo. Radośnie. Lucie spojrzała na swoje odbicie i zmusiła się do uśmiechu, po czym starła ślad szminki z zęba i zeszła na dół.

Jazda do Tacomy drogą 1-5 samochodem Lucie była długa i upłynęła im w milczeniu. Grady uparł się, żeby prowadzić. Zaparkował przy krawężniku pod

domem matki. Kiedy wysiedli z samochodu, podbiegły do nich dwa stare psy. Lucie ukłękła i chwyciła ich radosne mordki w dłonie, żeby przywitać się z nimi i podrapać je za uszami.

- Przypominasz je sobie? - zapytał Grady, a ona podniosła wzrok.

- Nie, po prostu lubię psy.

Ze sposobu, w jaki pokiwał głową, domyśliła się, że była to jej kolejna nowa cecha. Przyzwyczajaj się, miała ochotę powiedzieć.

Nagle z domu wysypał się tłum ludzi, którzy rozbiegli się po trawniku. Grupa kobiet szczebiotała, śmiała się i przekrzykiwała:

- O Boże!

- Cześć!

- No, w końcu!

Lucie stała i uśmiechała się nerwowo. Nie sądziła, że będzie się bała, a jednak ogarnął ją lęk. Sióstr Grady'ego było tak wiele i tak bardzo różniły się od kobiet, które poznała w Wallingford. Tamte były blade i szczupłe, ubierały się w czarne sportowe ubrania lub naturalne tkaniny w zgaszonych odcieniach, a ich włosy ułożone były w niedbałe fryzury: proste, krótko ostrzyżone i wygładzone.

Otaczał je obłok zwiewnych apaszek w jasnych barwach, bransoletek, długich włosów i ciężkich kolczyków. Większość z nich była wysoka jak Grady, ale okrąglejsza. Ich karnacje miały ciepłe odcienie - od złotawej opalenizny do śniadej skóry jak u Grady'ego. Najmniejsza z sióstr - ta z krótkimi włosami - dotarła do nich pierwsza i podeszła prosto do Lucie. Kiedy Lucie wyciągnęła dłoń, kobieta się zaśmiała i przyciągnęła ją do siebie, żeby ją przytulić.

- Chodź tutaj - powiedziała. - Jestem Dory. -W ładnych orzechowych oczach miała łzy.

- Cześć, Dory - odparła Lucie, a kiedy wypowiadała to imię, mocniej zabiło jej serce.

Rzeczywiście, rozpoznała ją na zdjęciu! Po chwili podeszła do nich kolejna siostra, a potem następna. Przytulały ją, ścisnęły jej ramię i uśmiechały się przez łzy. Jedna zaśmiała się z jej koszulki, inna podziwiała gwatemalską torbę. Florence, Isabel, Nanette, Irenę - wypowiadając te imiona, Lucie czuła się tak, jak gdyby miała w ustach karmelki. Kiedy nadeszła kolej na Eunice (przed którą przestrzegala ją Dory), poczuła niemal ulgę, że najstarsza spośród sióstr zachowała dystans nieznajomej.

- Witaj z powrotem. - Eunice nie patrzyła jej w oczy, po czym odwróciła się, żeby podnieść wczepione w jej nogę dziecko. - Pamiętasz mojego wnuka?

Lucie uśmiechnęła się do chłopczyka. Miał wielkie oczy i drobne ząbki.

- Cześć, Davy - powiedziała, wyciągając rękę, żeby ścisnąć jego pulchne kolanko. Zobaczyła, że Grady jej się przygląda.

- Davy? - rzuciła Eunie. - Skąd wytrzasnąłeś to imię? To jest Sam.

Lucie się wzdrygnęła i potrząsnęła głową, opuszczając rękę.

- O Boże, nie wiem. Jest uroczy. Musisz być bardzo dumna. - Nie przestawała mówić wytrącona z równowagi tonem Eunie. - Naprawdę bardzo mi przykro. Nie wiem, dlaczego to powiedziałam.

- Pewnie nie wiesz, dlaczego robisz wiele rzeczy - powiedziała starsza kobieta, odchodząc.

- Wstydz się, Eunie. - Lucie usłyszała szept, który mógł należeć do którejkolwiek z sióstr,

- Sama się wstydz - wypaliła Eunie. - To także twój brat.

Grady podszedł do Eunie i z wściekłością powiedział jej coś na ucho.

Boże, pomyślała Lucie. Już zdążyła coś zepsuć. Dlaczego powiedziała: „Davy”? Tak jej po prostu wyszło.

Pozostałe siostry zdawały się nie mieć do niej pretensji. Uśmiechały się, trajkotały, robiły szum wokół Grady'ego. Niemiłosiernie z niego kpiły. Jego zawstydzenie i rozbawienie były dla Lucie czymś nowym.

W ich towarzystwie zachowywał się jak dwunastolatek, a Lucie zastanawiała się, dlaczego przy niej był inny. Czy przed jej ucieczką był weselszy? Nie mogła sobie tego wyobrazić.

Z domu wysypały się nastolatki i dzieciaki, które trzymały się z tyłu, wraz z kilkoma podenerwowanymi mężczyznami. W końcu Lucie zobaczyła matkę Grady'ego, która niemal podbiegła, żeby wsunąć się pod ramię syna, tak by zamiast na kuli, mógł się oprzeć na jej ramieniu. Była o wiele niższa od swojego potomstwa, a w porównaniu z nim wydawała się drobna i blada - miała jednak tyle samo energii co ono. Musiała być co najmniej rówieśniczką Helen, ale podczas gdy ciotka Lucie przywołała na myśl rozpad, ta kobieta była fontanną, która wydała na świat całe to życie. Urodziła Grady'ego, wyratowała go z wody. Była z nim od narodzin i będzie aż do swojej śmierci. Teraz uśmiechnęła się do Lucie jasnymi niebieskimi oczami i przywołała ją do siebie.

Kiedy Lucie ruszyła w stronę Mary Faith, z jej oczu popłynęły niespodziewane łzy. Wszyscy wokół ucichli - może myśleli, że zobaczą, jak ta przesycona emocjami chwila przywraca pamięć Lucie, ale tak nie było. Lucie po prostu zatęskniła nagle za własną matką. Chociaż wydawało się to nie mieć sensu, tak właśnie było. Nie rozpoznała jej twarzy na fotografii i w ogóle jej nie pamiętała, ale za nią tęskniła. Nigdy nikogo tak mocno jej brakowało.

- Witaj w domu, kochanie - wyszeptała Mary Faith i mocno ją przytuliła.

Lucie z wdzięcznością poddała się jej uściskowi.

- Dziękuję, że pani do mnie napisała - powiedziała. - Dopiero niedawno otworzyłam pocztę. W przeciwnym razie od razu bym zadzwoniła.

Kobieta wyciągnęła drobne, zniszczone dłonie i ujęła policzki Lucie.

- Dobrze zobaczyć twoją buzię.

Lucie zaczęła płakać. Dlaczego *jej* mózg szwankował, wymazując pamięć o dawnym życiu oraz o wszystkich, których znała? Ile razy tak się stało? Odczekała, aż znów będzie mogła mówić, po czym wyszeptała:

- Jak mam się do pani zwracać? Pani Goodall czy Mary Faith?

- Możesz do mnie mówić Mary Faith - odpowiedziała kobieta szeptem - ale mam nadzieję, że po ślubie będziesz się do mnie zwracała „mamo”.

Lucie kiwnęła głową, wytarła twarz i zobaczyła, że Grady im się przygląda. Znowu. Może bał się, że Lucie wszystko zepsuje?

Podeszła do niej reszta - wszystkie dzieci i mężowie, ich dzieci i inne osoby niewiadomego pokrewieństwa. Została przedstawiona każdemu z osobna. Wiedziała, że nigdy nie spamięta ich imion. Cudownie się czuła, poznając tyle osób, które ją znały, uśmiechały się nieśmiało lub szeroko, które zdawały się ją lubić albo przynajmniej uznawały ją za część swojej grupy, niezależnie od tego, czy rozumiały, co się z nią stało.

Niektórzy pytali ją o to, co się wydarzyło, i o to, jak to jest niczego nie pamiętać. Inni chcieli jej pomóc odzyskać pamięć i opowiadali o wspólnie spędzonych chwilach. O Halloween, kiedy piekarnik Mary Faith zapalił się po tym, jak za dużo wypili i zapomnieli, że prażą pestki dyni. O pikniku w Święto Pracy w Dash Point, kiedy wrzucili Grady ego do wody. Dziewięcioletnia siostrzenica Hannah pokazała jej srebrną bransoletkę, którą dostała od Lucie na zeszłoroczne święta.

Kiedy zapadł zmrok, najstarszy syn Nan Adam przyniósł gitarę i zaczął na niej brzdąkać. Wszyscy uciszyli się, żeby posłuchać. Od jednego z mężów Lucie się dowiedziała, że młody mężczyzna jest w wojsku i wkrótce ma zostać wysłany na misję.

Mary Faith wyszła przez przesuwne drzwi, a przechodząc obok wnuka, pocałowała go w krótko ostrzyżoną głowę.

- Babciu - zaprotestował, na co ona uśmiechnęła się, patrząc w ziemię. - Dobrze, zagram twoją piosenkę, ale tylko ten jeden raz. Nie wszystkim podobają się te stare kowbojskie przeboje.

Wszyscy się zaśmiali, a siostra o imieniu Izzy nachyliła się do Lucie i wyszeptała:

- Nasz tata śpiewał to mamie podczas podróży poślubnej. Adam nauczył się tej piosenki na jej osiemdziesiąte urodziny. Teraz biedny dzieciak musi ją śpiewać na wszystkich rodzinnych imprezach.

Adam miał łagodny tenor. Lucie zamknęła oczy, żeby posłuchać. Była to smutna, sentymentalna piosenka o utracie ukochanej osoby. Podczas refrenu wokół słycać było pociąganie nosem: „Myślę dziś o moim niebieskookim, który żegluje po morzu...”. Jej usta zaczęły się poruszać. Zdała sobie sprawę z tego, że doskonale zna słowa tej piosenki. Co więcej, pamiętała ton głosu Adama, kiedy ją śpiewał.

Otworzyła oczy i rozejrzała się z zaskoczeniem. Znała tych ludzi - przechowywała ich ukrytych gdzieś głęboko w sercu. Ta pewność nie przyniosła ze sobą wspomnienia żadnych wydarzeń, dat ani miejsc, ale podniosła ją na duchu. Spojrzała na Grady'ego, który siedział obok swojej mamy. Trzymali się za ręce, a z ich oczu płynęły łzy. To oni są sentymentalni, pomyślała, a raczej sobie przypomniła.

Czy to dlatego nie powiedział jej całej prawdy o dniu, w którym uciekła? Ależ on jest irytujący, pomyślała.

Tego wieczoru kiedy Grady wioził ich do domu, Lucie odchyliła się do tyłu i udawała, że śpi. Była zbyt wykończona, żeby poradzić sobie z tą całą sytuacją. Marzyła o tym, by znaleźć się w łóżku, położyć na plecach i czekać na sen.

Zakochała się bez pamięci w rodzinie Grady ego. Tuż po posiłku, kiedy Lucie skrobała resztki z talerzy w kuchni, najbardziej artystyczna dusza spośród sióstr, Floss, podeszła, by ją przytulić.

- Nie wiem, co ci się stało, Lucie, i przykro mi, że tak wiele przeszłaś, ale wydaje mi się, że to wszystko nas zbliżyło. Czuję się tak, jakbyśmy miały nową siostrę.

Nawet Eu nie była na tyle uprzejma, by pod koniec wieczoru się z nią pożegnać.

Wyglądało na to, że zapadł następujący werdykt: nowa Lucie biła na głowę starą. Widzisz, chciała powiedzieć do Grady ego. Jestem was warta.

Poczuła, jak pod zamkniętymi powiekami zbierają jej się łzy, a w ustach gromadzi się ślina. Sporo dziś płakała, przy czym były to przede wszystkim łzy szczęścia. Znalazła sobie rodzinę. Jednak powód tych łez był zupełnie inny. Im bardziej starała się je powstrzymać i uspokoić szloch, tym głębiej niewidzialne pazury zatapiały się w jej pierś. To wrażenie było mroczne i znajome. Poprzedzało wszystko inne -wszystko to, co Lucie znała - teraz jednak wiedziała, skąd się brało.

Wybuchy. Morderstwo. Jej matka odprowadzana przez policję i mała Lucie,

która musiała sobie radzić sama. Kogoś brakowało, kogoś tak ważnego, że czuła z nim niemal fizyczną więź. To wrażenie towarzyszyło jej od chwili, kiedy ocknęła się w San Francisco, ale nie miała pojęcia, o kogo chodzi. Może o jej matkę? Dłonie Lucie musiały leżeć na klawiaturze obok dłoni Glorii. Wybuchy, dym. Przerazenie. Gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Grady, a kiedy zauważył, że Lucie nie może odpowiedzieć, zatrzymał się na poboczu. - Lucie, co się dzieje? Myślałem, że wszystko poszło dziś dobrze.

Zaciągnął hamulec i odwrócił się, żeby ją do siebie przyciągnąć. Odepchnęła się od jego piersi i wystawiła łokcie, by nie pozwolić mu się objąć. Chciała otworzyć drzwi i uciec.

- Nie! - krzyknęła w dłonie. - To znów się stanie! Przestań, przestań!

- Co? - zapytał Grady i ją puścił. - Co się dzieje?

- Ty mi powiedz!

- Co mam ci powiedzieć? Próbowałem...

- Okłamujesz mnie, skrywasz przede mną tajemnice!

- Co? Jezu? - Ogarnęła go złość. - Nie wiem, co się dzieje! Daj spokój. Co mam ci powiedzieć?

- Co masz mi... - Kurwa!, miała ochotę wrzasnąć. -Masz mi powiedzieć, co wydarzyło się w dniu mojej ucieczki. Po prostu mi powiedz!

Grady opadł na siedzenie tak mocno, jak gdyby ktoś go pchnął, i z trudem łapał oddech. W ciemności widziała jego profil, rozwartą szczękę i oczy wpatrujące się w mrok. Bał się. Widziała to. Lucie bardziej się bała tego, co się stanie, jeśli Grady nie powie jej prawdy.

Wytarła twarz i nos rękawem.

- Wiem, że wydarzyło się coś poważnego. Czy w przeciwnym razie tak by się to skończyło?

Grady zamknął oczy.

- Musisz mi powiedzieć - powiedziała. - Proszę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

GRADY

Grady czuł, że Lucie go obserwuje. Po ich szamotaninie wciąż miała przyspieszony oddech. Myślał już prawie, że... ale nie. Została. Gdyby uciekła,

ruszyłyby za nią.

Nie zrobiła tego. Jego Lucie wciąż siedziała w samochodzie i czekała, aż Grady się odezwie. To mogła być jego jedyna szansa.

Od czego zacząć? Jak daleko się cofnąć? Zawsze bardzo na sobie polegali: Grady był *jej* wdzięczny za to, że stał się kimś, kim naprawdę lubił być, a Lucie... cóż. Ciężko było stwierdzić, czego od niego chciała, ale podejrzewał, że chodziło o poczucie bezpieczeństwa. Jeśli do Grady'ego pasował jakiś przymiotnik, to właśnie „zrównoważony”. Lucie wcale nie była tak pewna siebie, jak mogło się wydawać. Potrafiła być krucha i bała się spraw, o które nie podejrzewałby jej żaden daleki znajomy ani współpracownik. Lucie nie miała siostr ani mamy, ani przyjaciółek - a przynajmniej takich jak inne kobiety, z którymi mogłaby się umówić na kawę i dzielić sekretami. Lucie nikomu, nawet Grady emu, nie wyjawiała tajemnic, ale na nim polegała. Wtedy jednak nie zdawał sobie z tego sprawy. Potrzebowała go. Także teraz. Chciała, by był z nią szczery, chociaż prawda mogła zniszczyć ich związek. Jego twarz oblała się gorącem. Miał wrażenie, że całe jego ciało stanęło w ogniu. Uchylił okno, wpuszczając do środka ryk silników przejeżdżających ciężarówek i wilgotną zapowiedź nadciągającej burzy. Wypuścił powietrze i powiedział:

- Zawiodłem cię. Na całej linii.

- W jaki sposób? - Jej głos był cichutki w odróżnieniu od wcześniejszego płaczu i krzyków.

Na tym właśnie polegał problem. Dawna Lucie nigdy nie była taka krucha. Nawet jeśli się tak czuła, na zewnątrz zawsze zachowywała się ostro i prowokująco.

Grady się skrzywił.

- Przestałem w nas wierzyć. Poddalem się.

Wyglądała na zaskoczoną. Nic dziwnego.

- Rzuciłeś mnie? - Przekręciła się w fotelu, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

- Nie, oczywiście, że nie.

- Jak to się stało? To moja wina? Zrobiłam coś nie tak?

Potrząsnął głową.

- Nie, chodziło o mnie. Podczas naszej ostatniej kłótni zachowałem się jak kompletny dupek. Zniknąłem na prawie całą noc i piłem, bo byłem zbyt wielkim mięczakiem, żeby wrócić do domu i powiedzieć ci, że mam wątpliwości.

Znowu westchnęła i próbowała przetrawić nowe informacje. Grady zastanawiał się, czy Lucie go znieawidzi, nie miało to już jednak znaczenia. Chociaż wydawało mu się, że z nową Lucie uda mu się zapomnieć o tym, co było, prawda

atakowała ich na każdym kroku. Lepiej o wszystkim jej powiedzieć, pozwolić, by poznała fakty i sama podjęła decyzję.

- Tamtego dnia powinienem był wrócić do domu po pracy i porozmawiać z tobą o wszystkim, ale wtedy byłaś już tak...

W mroku słyszał, jak Lucie przetyka ślinę. Ona również bała się poznać prawdę o sobie.

- Miałaś jasny plan. Chciałaś doprowadzić do ślubu. Wszystko obmyślałaś, zaplanowałaś i zamówiłaś. Wszystkiego było za dużo i wszystko było horrendalnie drogie... Sam nie wiem. Pomyślałem, że gdzieś po drodze o mnie zapomniałaś.

Przez chwilę milczeli, po czym Lucie powiedziała:

- Masz na myśli, że zapomniałam o nas? O tym najważniejszym: „ty” i „ja”?

Grady zamknął oczy i skinął głową. Podobał mu się sposób, w jaki to powiedziała. „O tym najważniejszym: »ty« i »ja«”.

- Przepraszam ~ powiedziała. - Żałuję, że nie byłam inna.

- Nie. - Odwrócił się do niej. Gdyby nie to, że jego kolano było unieruchomione przez ortezę i skrzynię biegów, właśnie by się dotykali.

- Nie, to nie tak. Kochałem cię. Kochałem cię taką, jaka byłaś, a potem straciłem do tego wszystkiego cierpliwość. Cofnąłem się. Stałem się jednym z tych facetów, których ogarnia lęk, kiedy robi się ciężko. Zmieniłem się w paskudnego dupka. Sam nie wiem. Chyba chciałem cię odepchnąć, sprawić, żebyś przestała mnie kochać. Żebyś mnie zostawiła.

Boże, tak właśnie było. Zamierzał ją opuścić, lecz był zbyt wielkim tchórzem. Chciał, by to ona podjęła decyzję o odejściu.

Zaplotła ramiona wokół zeber.

- Opowiedz mi o tym, co było w tym wszystkim najgorsze. Bo jest coś gorszego, prawda? Grady, przecież dostałam amnezji.

- Tak - wyszeptał.

Obok z hukiem przetoczyła się kolumnada samochodów ciężarowych. Na przednią szybę spadły drobne krople wody.

Grady odchrząknął.

- Masz rację, to była poważna kłótnia - powiedział. - Czy możemy pojechać do domu i tam o tym porozmawiać?

- Nie - odparła. - Zaraz znów postradam zmysły.

Muszę wiedzieć, i to teraz.

Czy ona sobie żartowała? Popatrzył na nią w mroku. Już nie płakała. Siedziała nieruchomo. Była jednocześnie smutna i śliczna. Grady wymacał górne światelko i

włączył je, wydobywając z mroku ich sylwetki spowite w nietwarzowe żółte światło i długie cienie.

- Hej - rzucił. - Chciałem tylko zobaczyć twoje oczy.

- Jezu - mruknęła. Była zła? Drżał jej podbródek, a oczy napędlły się łzami. - Chcesz mnie zostawić? Czekałeś tylko na odpowiednią chwilę, żeby...

- Lucie, nie! Kocham cię. Niczego bardziej nie pragnąłem niż tego, byś przypomniała sobie, jak bardzo cię kocham.

Na te słowa się wzdrygnęła, ale po jej policzkach potoczyły się łzy.

Jakim cudem nawet traumatyczne emocje sprawiały, że miał ochotę zerwać z niej ubranie? Marzył o tym, by ich ciała się połączyły, zlały, wykręciły i obróciły tak, by stać się jednością. Chciał w nią wniknąć, umieścić w niej dziecko i do końca życia się nią opiekować.

Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę i sycił się jej widokiem - była taka prawdziwa, gotowa na wszystko. Walilo mu serce.

- Tamtego poranka leżałem na kanapie. Miałem straszego kaca, a może byłem jeszcze pijany. Zachowywałem się jak totalny dupek. Ty wystroiłaś się na spotkanie. Powinnaś była być szczęśliwa, ale jak mogłaś? Wszystko zepsułem. To właśnie na przymiarkę sukni cieszyłaś się najbardziej.

Urwał i odgarnął z czoła wilgotne włosy. Teraz następowała część, której nienawidził, ale musiał jej o niej opowiedzieć.

- Zanim wyszłaś, usiadłaś przy mnie na kanapie. Zapytałaś wprost, czy chcę zakończyć ten związek, a ja odpowiedziałem, że... cholera.

- Proszę, mów dalej.

- Powiedziałem, że mam to w dupie. Że nic mnie już nie obchodzi. - Przełknął ślinę. - Że ciebie także mam w dupie.

Dla niego to właśnie było najgorsze, ale Lucie powiedziała tylko: -1 co potem? Krople deszczu miarowo rozbijały się o szybę.

- Rzuciłaś się na mnie. Lucie szerzej otworzyła oczy.

- Ja...

- Po prostu nagle zaatakowałaś mnie na kanapie. Biłaś mnie pięściami i kopałaś, a ja byłem w zupełnym szoku. Na chwilę zamieniłaś się w kogoś zupełnie innego. Jakbyś mnie nie znała albo nienawidziła.

Wspomnienie tamtej chwili było takie żywe... Grady potarł bliznę na szyi.

- Rozciąłaś mi skórę brylantem z pierścionka. Nie sądzę, byś zrobiła to specjalnie, ale kiedy zobaczyłaś, że krwawię, wydałaś przerażający ryk jak jakieś dzikie zwierzę poddawane torturom. Boże, Lucie. To było po prostu...

- Nigdy wcześniej się tak nie zachowywałam, prawda? Nie byłam agresywna?

- Nie, oczywiście, że nie. To było przedziwne. Jakby coś w tobie pękło. Wiem, że to oklepane, ale takie właśnie miałem wrażenie. Coś w tobie pękło.

Lucie wyciągnęła rękę, żeby wyłączyć lampkę. Drżała, choć noc była ciepła. Odwróciła się, żeby wyjrzeć przez okno.

- A potem uciekłam?

- Tak.

- Czy wcześniej powiedziałam coś jeszcze? Płakłam czy...

Grady potrząsnął głową.

- Nie, wydałaś tylko ten dźwięk. I tyle. Zniknęłaś. Powinienem być za tobą pobiec.

- To niczego by nie zmieniło. - Znow spójrzała na niego w mroku. Nie odwracała wzroku.

- Mogłem cię chociaż dogonić i... Potrząsnęła głową.

- Uciekłam. Było już za późno.

Skąd miała te pewność? On od tygodni próbował to wszystko poskładać w całość. W którym momencie straciła kontrolę nad swoimi działaniami? Kiedy ta prawdziwa, świadoma Lucie go opuściła? Wtedy na kanapie? Uciekając? Na dworcu kolejowym? W San Francisco? Nie spytał, bo nie mogła tego wiedzieć, a i tak była już tym wszystkim umęczona. Wiedział to. Wiedział też, że cierpiała bardziej od niego, chociaż można by pomyśleć, że wyparcie tych wszystkich zdarzeń z pamięci stanowiło rodzaj błogosławieństwa. Ale ją to dręczyło. Jeśli niczego sobie nie przypomni, być może już nigdy nie poczuje się jak prawdziwy człowiek.

- Grady - rzuciła. - Wydaje mi się, że zaczynam to rozumieć. Muszę ci opowiedzieć resztę. O Helen.

O mnie i mojej matce. O tym, dlaczego jestem taka, jaka jestem.

Ujął jej dłonie i zatrzymał w swoich.

- Chcę wiedzieć - odparł.

To właśnie tych szczegółów był ciekawy, kiedy się poznali, i zbyt mocno na nią naciskał, żeby je poznać. A teraz kiedy miała mu w końcu o nich opowiedzieć - kiedy mogła to zrobić - czuł, jak coś się w nim rozpada. Trzymał ją za rękę, próbując być tak blisko, jak to tylko możliwe, kiedy opowiadała mu o tym, czego dowiedziała się od Helen - o tym, co potworne, przejmujące, przyziemne. O rzeczach, które sprawiły, że Lucie stała się kobietą, którą była teraz i którą była, kiedy ją poznał, na dobre i na złe. Zdał sobie sprawę, że potrafi sobie poradzić z tymi faktami, ponieważ ukształtowały Lucie.

Kiedy znaleźli się w domu, przez chwilę stali w korytarzu skrepowani - Lucie miała się udać na górę, a Grady do pokoju gościnnego. Nie wiedział, jak właściwie działa fuga dysocjacyjna, ale zastanawiał się, czy kiedy poznał ją pięć lat wcześniej, po prostu nie wiedziała, co się stało z jej rodzicami. Może tamte okropne wydarzenia także wyparła. Jednak świadomość tego, przez co przeszła tyle lat wcześniej, zanim ją poznał i mógł ją ochronić, była druzgocąca. Czuł się tak, jakby osobiście ją zawiódł. Chciał pójść za nią do sypialni, położyć się obok niej, owinać ją kołdrą, przytulić i patrzeć, jak zasypia.

Stali i patrzyli się na siebie. Znów miał ochotę ją pocałować. Wyglądała na wycieńczoną, ale nie ruszyła się z miejsca.

Czuł się już zmęczony tym, że zawsze zastanawia się, co powinien zrobić. Przełknął ślinę i przysunął się bliżej, tak że poczuł jej ciepło. Podniosła wzrok, a on się nad nią nachylił i delikatnie pocałował ją w usta. Ich oddechy były nieświeże po całym dniu, a skóra przesycona zapachem potu i dymu. Wyglądała tak młodo - prawie jak dziecko - z tymi swoimi piegami, zmierzwionymi włosami i zabawną pomarańczową koszulką. Pomyślał, że kocha ją mocniej niż kiedykolwiek. Proszę, błagał w myślach. Poproś, żebyśmy poszedł z tobą do sypialni.

- Miałam pierścionełk zaręczynowy? - zapytała zamiast tego. - Pewnie drogi? Zgubiłam go, prawda?

Wzruszył ramionami. I tak by się o tym dowiedziała.

- Boże, Grady. Tak mi przykro, że cię skrzywdziłam.

- Wiem, ale... Skrzywdziliśmy się nawzajem.

Skinęła głową. Nie można było powiedzieć nic więcej. Lucie odwróciła się i weszła po schodach. Na górze zapaliła światło w sypialni. Grady spróbował postawić ciężar ciała na prawej stopie. Poczul tępe mrowienie, którego nie można było nazwać bólem. Dam radę, pomyślał i oparł kule o ścianę. Postanowił, że jutro schowa je do piwnicy wraz z innymi przedmiotami, których już nie potrzebował.

Później - dużo później - Grady obudził się w mroku gościnnego pokoju. Przez chwilę miał wrażenie, że wszystko jest tak jak dawniej, że nigdy nie wydarzyło się nic złego. Nagle zdał sobie sprawę z tego, co go obudziło - brak muzyki dochodzącej z piwnicy. W domu znów panowała ciężka cisza.

Lucie zaufała mu tej nocy na tyle, by powiedzieć mu wszystko, co o sobie wiedziała - przekazać mu więcej niż kiedykolwiek. Opowiedziała mu o rzeczach gorszych, niż potrafił sobie wyobrazić, ale zdał sobie sprawę, że niezależnie od tego, co się jej przydarzyło, nie była to jej wina. Wydarzenia z jej dzieciństwa -to, w jaki sposób zachowywali się i reagowali dorośli - nie zależały od niej. Zrobiła

wszystko, co mogła, żeby przeżyć.

Przeżycie. Właśnie to pragnienie napędza naszą egzystencję. Odkąd życie przeniosło się na ląd.

Grady czuł na sobie ciężar wody. Ciągnęło go do niej jak nigdy wcześniej. Postaci zmieniające się w niewyraźne kształty, cisza i ciemność panująca na dnie. Powietrze uciekające z płuc, szybujące do góry bąbelki, jeden oddech za drugim, aż...

Aż zupełnie go zabraknie, pomyślał Grady. Nigdy wcześniej nie pozwolił sobie na rozważanie nieodwracalności tej chwili. Kiedyś chciał zostać pod wodą, czuł to pragnienie od śmierci ojca. Pish pish, pomyślał Grady. Nie chciałem być rybą. Chciałem po prostu przestać być chłopcem. W pewnym sensie pływanie było jak śmierć. Znikanie.

Grady nie marzył już o tym, żeby zniknąć.

Przekreślił się na drugi bok. W kościach czuł ołowiany ciężar pragnienia, by znów zobaczyć ojca. Czy Harry emu Goodallowi spodobałoby się to, na kogo wyrósł jego syn? Grady miał porządny zawód - na pewno by to docenił - ale czy był mężczyzną, z którego jego ojciec byłby dumny? Czy Grady w ogóle wiedział, co zrobić, by nim być? Jak miał to osiągnąć?

Jego ojciec był duchem.

Lucie była tak samo nękana przez ducha matki. Jeszcze miesiąc temu ona także nie wiedziała, jak być sobą, a teraz proszę - znów stawała się Lucie Walker. Bo to się właśnie działo.

Nie istniały dwie Lucie. Tylko ta jedna.

Lucie, którą znał wcześniej, broniła się przed światem w jedyny sposób, jaki знаła - tworząc potężną twardą skorupę, którą teraz zrzuciła. Tego dnia obserwował ją w towarzystwie swojej rodziny. Była tak otwarta i szczerą, że wszyscy się w niej zakochali, tak jak powinni to byli zrobić za pierwszym razem.

Grady przewrócił się na drugi bok, twarzą do ściany. Żałował, że Lucie nie leży przy nim. Albo że nie wstała i nie zaczęła grać na pianinie. Nie potrafił już bez tego zasnąć.

|

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

LUCIE

Następnego ranka Lucie obudziło stukanie. Czy ktoś pukał do drzwi? Dlaczego tak wcześnie? Odwróciła się na drugi bok i naciągnęła kołdrę na głowę.

- Luce? Obudziłaś się? - To Grady stał na dole schodów i delikatnie stukał w ścianę.

Lucie spojrzała na zegarek. Spała do późna, była już dziewiąta. Poprzedni dzień ją wykończył: wizyta u rodziny Grady ego, emocje, rozmowa w samochodzie, nowe odkrycia.

- Mhm - próbowała wymamrotać na tyle głośno, żeby ją usłyszał.

Cieężko stąpając, dotarł do połowy schodów i się zatrzymał.

Lucie przeczesła włosy palcami i przetarła twarz.

- Możesz wejść, nie śpię.

Usiadła i podciągnęła kołdrę, żeby zakryć piersi. Dotarł na szczyt schodów bez kul. W dłoni trzymał kubek.

- Hej - rzucił, podając jej kawę. - Miłego poniedziałku.

- Nieźle, jak w hotelu. - Lucie wzięła od niego kubek. Był ciepły i gładki w dłoniach. Opuściła głowę, by poczuć zapach napoju i wziąć łyk. Grady parzył świetną kawę. - Dzięki.

- Właśnie wychodzę, więc... - Wepchnął ręce do kieszeni. - To tyle. Dobrego dnia.

Lucie spojrzała mu w oczy. Wiedziała, że czegoś chce, ale nie potrafiła się domyślić, co to mogło być.

- Tobie też - odparła.

Skinął głową i ruszył w stronę schodów.

- Hej - powiedziała, żeby się odwrócił. – Minęły już cztery tygodnie?

Spojrzał na nią nierozumiejąco.

- Chodzi mi o kule. Już się ich pozbyłeś? Jego twarz pojaśniała.

- A, tak. I to legalnie.

- Co będziesz dziś robił w pracy?

Wciąż nie do końca rozumiała, czym zajmuje się Grady. Wiedziała tylko, że ma to coś wspólnego z samolotami i nowoczesną technologią.

- Czekają mnie głównie spotkania. Wchodzimy w fazę krytyczną przeglądu projektu. Jak zwykle mamy opóźnienie. Wiesz, jak to jest.

Kiedyś wiedziała. Teraz już nie.

- A ty? - zapytał Grady ośmielony jej zainteresowaniem. - Jakie masz dziś plany?

- Poszperam trochę w internecie. I chyba znów zadzwonię do Helen. - Uznała, że równie dobrze może mu o tym powiedzieć, chociaż czuła, że będzie protestował.

Odpowiedział jednak, że to dobry pomysł, pomachał jej i ruszył w trudną drogę powrotną w dół schodów: stuk ortezy, krok, stuk ortezy, krok. Słyszała, jak zbiera swoje rzeczy i wychodzi.

Lucie westchnęła i wstała, ubrała się i zniosła kubek na dół. Za każdym razem kiedy wydawało jej się, że wie, co czuje i czego pragnie Grady, myliła się. Raz po raz posuwał się naprzód i cofał. Kiedy przyjechał do San Francisco, szukał dawnej Lucie. Było oczywiste, że już nigdy nie będzie tamtą kobietą, niezależnie od tego, czy odzyska pamięć. Czy zawsze brakowało jej pewności co do Grady ego i jego uczuć? Zawsze zastanawiała się, czy dostatecznie ją kocha? Może ta niepewność nie była niczym nowym. Może tak po prostu wyglądała ich relacja.

Czy to wystarczy? Lucie pokręciła głową. Wcześniej nie myślała o tym, że być może ich związku nie warto było ratować. Na początku liczyła na Grady'ego pod każdym względem - zapewniał jej jedzenie, schronienie i przynosił ukojenie, które czuła na myśl, że ktoś ją zna. Ale teraz była prawie pewna, że uda jej się przetrwać samej. Susan powiedziała Lucie, że jeśli będzie szukała pracy, jej szwagier potrzebuje kogoś do pomocy w gabinecie kręgarskim. Już wcześniej poradziła sobie w tym świecie, kiedy prawie nic nie wiedziała i wszystkiego musiała się

nauczyć na nowo. Lucie czuła, że da sobie radę, jeśli znów zajdzie taka potrzeba.

Nie, pomyślała. Jeśli będę chciała.

W nocy kiedy spała męczona przez senne koszmary, jej myśli, lęki i pragnienia połączyły się w swego rodzaju plan. Wzięła laptop z gabinetu i zaniósła go do kuchni. Już niemal rozumiała, dlaczego w jej mózgu doszło do zwarcia i wyczyszczenia wszystkich wspomnień, zarówno tych dobrych, jak i tych, których nie mogła znieść. Jeśli jej hipoteza była poprawna, wydarzenie sprzed miesiąca nie było pojedynczym epizodem - to samo wydarzyło się dwadzieścia pięć lat wcześniej. Dwa odpowiedzialne za ten stan zdarzenia wcale tak bardzo się od siebie nie różniły.

Jej matka zastrzeliła swojego męża na kanapie. Lucie zaatakowała Grady'ego. Na kanapie. Dla pierwotnej części mózgu - tej emocjonalnej, a nie intelektualnej - te dwa zajścia mogły się wydawać bardzo podobne. Własna agresja mogła wystraszyć Lucie do tego stopnia, że straciła rozum, podobnie jak w przeszłości, kiedy wstrząsnęły nią tamte wydarzenia.

Opowieść Grady ego na temat dnia, w którym uciekła, przyniosła jej ulgę - pocieszała ją świadomość, że ich kłótnia była czymś poważnym, a nie banalną sprzeczką. To, że zachowała się agresywnie, a nawet sprawiła, że poląła się krew, było najlepszą wiadomością, jaką usłyszała. Dzięki temu pozornie nieprzystające do siebie kawałki układanki zaczęły do siebie pasować, chociaż tworzyły nieciekawą obraz tego, kim była. Jednak Lucie i tak myślała o swoim dawnym wcieleniu jak o kimś zupełnie obcym. Prawdę mówiąc, nie bardzo przepadała za tamtą Lucie. Świadomość tego, co ją spotkało, i zrozumienie błędów mogły jej pomóc w stworzeniu nowej siebie.

O wiele łatwiej było jej teraz o tym myśleć. Odkąd wróciła do domu, skupiała się na stronie emocjonalnej, tak że cały proces okazał się bolesny i niezadowolający. Potrzebowała dowodu, jasnych i konkretnych faktów. Nazwisk, dat, raportów i relacji. Opowieść Grady ego zaostriła jej apetyt i obudziła w niej głód informacji.

Gdyby udało jej się znaleźć dowód potwierdzający, że Helen mówiła prawdę, wszystko nabrałoby sensu. Jej palce nieświadomie dotknęły blizny na udzie, gdzie tamten mężczyzna przypalił ją papierosem i sprowokował jej matkę do popełnienia morderstwa. Jak on się nazywał? Podczas wizyty u Helen nie zdążyła nawet o to zapytać. Szukając danych w internecie, używała panieńskiego nazwiska matki. Nic dziwnego, że nic nie znalazła.

Ból po oparzeniach musiał być nieznośny, pomyślała zdumiona tym, że nawet młoda dziewczyna potrafiła go znieść. Tego samego dnia nastąpił wystrzał - ostatni i najpotworniejszy akt łańcucha przemocy w patologicznej rodzinie. W którym

momencie piętnastoletnia Lucie straciła pamięć? Czy wiedziała, że policja zabiera jej matkę? A może to wybuch sprawił, że jej mózg zatopił się w pustce?

Czy w policyjnych aktach znajdzie się notatka na temat zachowania Lucie? Czy istniała ocena psychiatryczna strauumatyzowanej dziewczyny? Czy dopóki nie oddano jej pod opiekę wujostwa, mieszkała z rodziną zastępczą albo w domu dziecka? Czy istniały jakieś dokumenty, które mogły to wszystko potwierdzić?

Helen Dziesięć Dłoni ucieszy się, kiedy siostrzenica do niej zadzwoni. Lucie była tego pewna, kiedy wybierała numer staruszki w telefonie. Po czwartym sygnale Lucie zaczęła się zastanawiać, jaką wiadomość zostawi. Po siódmym Helen odebrała. Ciotka Lucie nie wyglądała na osobę, która w tygodniu sypia do późna, ale kobieta wydawała się zaspana.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Lucie. - Obudziłam cię?

Starsza kobieta sapiała.

- Wszystko w porządku, wszystko w porządku. Byłam w kibelku. Nie jestem już tak szybka jak kiedyś.

- Chciałabym cię dzisiaj odwiedzić - powiedziała Lucie. - Mam wiele pytań.

- Przykro mi, ale dziś mi nie pasuje. Pracuję jako wolontariuszka w klubie dla dziewcząt i chłopców Tulalip. - Zakaszłała do słuchawki, po czym odsunęła telefon od twarzy, dopóki kaszel nie ustąpił.

- Na pewno dobrze się czujesz? Jeśli jesteś chora, może powinnaś zgłosić to w pracy.

- Nie, nie. To tylko astma. Przyzwyczyłam się. A spotkanie z dziećmiakami to mój ulubiony punkt tygodnia. One mnie potrzebują.

Lucie wyobraziła sobie, że na końcu tego zdania ciotka wydaje znaczące chrząknięcie.

- Ja też cię potrzebuję, ciociu Helen.

- Tak? - Helen wydawała się mile połechtana. -W takim razie może odwiedzisz mnie jutro? Mogę nam przygotować miły lunch, zanim zacznę zmianę w kasynie.

Tylko nie kolejna kanapka z wędliną, pomyślała Lucie.

- Jeśli nie mogę dziś przyjechać, to czy mogłybyśmy przez kilka minut porozmawiać? Ja... cóż, muszę z kimś pogadać. Z kimś, kto mnie zna.

- Może ze swoim narzeczonym? - Tym razem ciotka Lucie nie cieszyła się tak bardzo z jej telefonu.

- Mam na myśli kogoś z przeszłości. Znałaś mnie całe życie. - Była to prawda, a wypowiedzenie jej na głos sprawiło, że na powierzchnię wydostały się przesycone goryczą emocje. - Proszę - powtórzyła Lucie. -Przepraszam, ja po prostu...

- Już dobrze. Możemy chwilę porozmawiać, ale potem muszę się przygotować do wyjścia. Nie lubię się spóźniać.

Lucie miała wiele pytań, lecz musiała uzbroić się w cierpliwość. Podobnie jak inni, Helen chciała po prostu, by ją doceniano. Kochano. Niezależnie od tego, kim się było i czy w ogóle miało się jeszcze jakąkolwiek tożsamość, to właśnie liczyło się najbardziej.

- Opowiedz mi jeszcze raz o moim dzieciństwie, kiedy mieszkaliśmy razem w Marysville. Przed przeprowadzką do Kalifornii. - Nie po to dzwoniła, ale nagle to właśnie zapragnęła usłyszeć. Radosne wspomnienia.

- Ojej... - Helen się zająknęła i zaniosła się kaszlem. - Tak, to były cudowne czasy.

Lucie zamknęła oczy i słuchała opowieści Helen o piknikach, żeglowaniu po jeziorze Silver, zbieraniu truskawek na plantacjach w Marysville.

- Co roku zabieraliśmy cię na festiwal truskawek. Tylko ty, ja i Edward - powiedziała staruszka. - Twoja matka... dużo pracowała. - Helen na chwilę umilkła. - To głównie twój wujek i ja zbieraliśmy truskawki, a ty śpiewałaś nam piosenki i trzymałaś wiaderko, dopóki nie robiło się zbyt ciężkie.

Tak, pomyślała Lucie. Słodycz ogrzanych słońcem truskawek umieszczanych w buzi. „Mały ptaszek”, mawiał jej wujek, karmiąc ją owocami. Czuła się wyjątkowa, ale... zaraz. Helen nic o tym nie wspomniała. Lucie znała ten smak, przyjemność bycia rozpieszczaną. Jednemu ze wspomnień udało się przedostać.

- Mielicie pomarańczowy samochód - powiedziała Lucie. - Na tylnym siedzeniu było rozdarcie.

Pomarańczowa barwa, słodycz truskawek. Śmiech kobiet w sąsiednim pomieszczeniu. Może to jej matka i ciotka, a może ktoś inny.

- Dodge - rzuciła Helen. - Skąd to pamiętasz? Miałaś zaledwie pięć albo sześć lat, kiedy sprzedaliśmy ten samochód.

- Nie wiem - powiedziała Lucie - ale pamiętam, że w nim siedziałam.

Bawiła się strzępkami rozerwanej tkaniny, rozpruwającym się splotem. Ta świadomość wydawała jej się normalna. Nie słyszała dzwonów, syren ani fajerwerków. Nie czuła mdłości. Nie tak jak wtedy gdy przypomniła sobie wybuchy. To wspomnienie było jak zmarszczka na spokojnej wodzie, jak cichy powiew. Chciała wiedzieć więcej.

- Mieszkałyśmy z wami przez cały czas?

- Na początku tak. Pamiętasz nasz duży dom obok rezerwatu?

- Tak jakby - odparła Lucie. - Prawie.

- Miałaś własny pokój pomalowany na niebiesko z zasłonkami w kwiatki.

Lubiłaś się bawić w dom w wielkiej szafie na ubrania na dole. Boże, potrafiłaś się w to bawić godzinami, jeśli tylko ktoś miał do tego wystarczającą cierpliwość. Twoja matka i ja po kilku minutach się poddawałyśmy, ale nie twój wujek. On miał bzika na twoim punkcie.

Lucie zadrżała, żalując, że tego wszystkiego nie pamięta.

- Po jakimś czasie Gloria dostała pracę w nowym sklepie spożywczym Thriftway i przeprowadziłyście się kilka ulic dalej, ale wciąż nocowałaś u nas, bo rano twój wujek piekł ci ciasteczka. Pamiętasz?

- Nadal lubię ciasteczka - odparła Lucie. - Może to dlatego.

- Wszystko się układało, dopóki twoja mama nie związała się z tym sukinsynem, który pracował w salonie samochodowym chevy - powiedziała Helen po chwili milczenia.

Lucie przeszył dreszcz.

- Czy to... Czy to był on? - Po to właśnie dzwoniła. Tego chciała się dowiedzieć.

- Tak, to był on. Gdyby nie Ron Douglas, moja siostrzyczka wciąż by żyła, jestem tego pewna. Mieszkałaby tu, w Marysville, w małym żółtym domku, a ty nigdy byś się nie wyprowadziła i... - Lucie usłyszała szloch.

- Dobrze się czujesz? Helen?

Po drugiej stronie słuchawki rozległ się szum i połączenie przerwano. To wszystko było zbyt bolesne dla starszej kobiety. Lucie zmusiła ją do zbyt wielu wspomnień, ale przecież musiała to zrobić. Żeby cokolwiek sobie przypomnieć, Lucie potrzebowała informacji, a tylko Helen je posiadała.

Ron Douglas.

Drżącymi palcami otworzyła wyszukiwarkę i do okienka wpisała: „Ronald Gloria Douglas morderstwo San Francisco 1986”.

Na stronie SFGate, gdzie przechowywano archiwalne wydania gazety „San Francisco Chronicle”, znalazła to, czego szukała:

„Podwójne morderstwo i samobójstwo w Richmond: przeżyła tylko niema dziewczynka”.

Asfalt zachrzącał pod oponami. Dłonie Lucie wczepione były w kierownicę, kiedy uciekała z miasta. Na drodze panował umiarkowany ruch, a słońce świeciło tak, jakby był to zwyczajny dzień. Z jej głową wszystko było w porządku, więc nie można było powiedzieć, żeby uciekała. Jej podróż miała cel. Nie była wariatką. To się naprawdę wydarzyło.

Jechała znajomą drogą na północ, nie zauważając mijanych znaków ani krajobrazów. Skupiała się na jedynych słowach wypalonych w jej mózgu.

Podwójne morderstwo.

Podwójne...

Ronald Douglas i trzyletni syn...

Małe dłonie na klawiaturze obok jej dłoni...

Oszalała z rozpaczy Gloria Douglas popełniła samobójstwo.

Helen skłamała. Co jeszcze przed nią ukrywała?

Niema dziewczynka została umieszczona w rodzinie zastępczej, a następnie przekazana krewnym w stanie Waszyngton.

Niema. Utracona. Lucie otarła twarz, wciąż płakała. Ciekło *jej* z nosa, a łzy były cichym ukojeniem po dźwiękach, które wydarły się z jej ust, piersi i brzucha, gdy czytała artykuł. Teraz wciąż powtarzała jego słowa w potwornych fragmentach, jak mantrę niedowierzania - wiedzy, a jednocześnie niewiedzy. To wszystko zdawało jej się w pewien sposób znajome.

Ronald Douglas został zastrzelony, kiedy leżał na kanapie z trzyletnim synem Davidem. Chłopca, który spał pod kocem przytulony do ojca, trafiły te same kule. Kule.

Wybuchy. Zawsze pamiętałam wybuchy, pomyślała Lucie, w liczbie mnogiej. Czują je teraz głęboko w piersi - bum, bum, bum. Każdy z nich pozbawił kogoś życia: ojczyrna Lucie, a potem, Boże, jej młodszego brata! Chłopiec zginął na jej oczach! Zobaczyła wpatrującą się w nią przerażoną kobietę - tę samą co na fotografiach Helen. Ciałem Lucie wstrząsnął spazm. Czy to naprawdę się wydarzyło? A może były to tylko jej wyobrażenia podsyczone słowami artykułu?

Nie spuszczać oczu z drogi i trzymając kierownicę jedną ręką, sięgnęła po leżącą na fotelu obok torbę. Wyciągnęła z niej zwitek banknotów i kilka landrynek, po czym przejrzała zgromadzone dotąd kartki i zdjęcia. Na dnie znalazła karteczkę, na którą przepisała litery z taboretu.

DAYY.

V, pomyślała, nie Y. Kartka drżała w jej dłoniach. Davy - imię, którym nazwała trzyletniego wnuka Eu-nie. Davy i Lulu. Braciszek musiał tak do niej mówić: Lulu. To jego ręce leżały na klawiaturze. Znała je. Były drobne, miały dołeczki i nierówno przycięte paznokietki. Czują jego pulchne ciało i ciepło, które biło od chłopczyka, kiedy siedział obok niej przy pianinie. Czują zapach szamponu dla dzieci i słyszała walenie w klawisze, gdy próbował *jej* akompaniować. Nagle znów ogarnęło ją uczucie, które rozrywało jej wnętrzności, odkąd ocknęła się w Zatoce San Francisco: rozpacz, że nie potrafiła go uratować. Że przeżyła, podczas gdy wszyscy inni umarli. Mogłaby utonąć w tym wrażeniu. Dlaczego Gloria zostawiła Lucie samą siebie? Dlaczego jej także nie zabrała?

To zbyt wiele, pomyślała Lucie. Zbyt wiele emocji. Coś się wydarzy.

Nie mogła oddychać. Krztusząc się i płacząc, zjechała z drogi na wyboiste pobocze i gwałtownie wcisnęła hamulec. Samochód znieruchomiał. Dlaczego uciekła tak szybko? Dlaczego wcześniej nie zadzwoniła do Grady ego? Gdyby miała komórkę, mogłaby teraz usłyszeć jego głos. Mogłaby go poprosić, żeby po nią przyjechał, bo bała się zostać sama z myślami, w których rozpoznawała wspomnienia.

Dlaczego Helen nie powiedziała jej prawdy? Jak mogła?

- Boże! - krzyknęła Lucie. - Nienawidzę tego!

Mogła już oddychać. Już się nie dusiła i otrzeźwiała na tyle, by zauważyć, że zatrzymała się w strefie zakazu parkowania. Wiedziała, co musi zrobić - czy to się jej podobało czy też nie. Marysville było już blisko.

Lucie otarła łzy i wpakowała wszystko z powrotem do torby, po czym zapaliła silnik. Obejrzała się przez ramię i włączyła do ruchu. Minęła trzy zjazdy, a potem jeszcze dwa. Wybrała zjazd 199 do Marysville i tym razem na dole rampy skręciła w lewo w stronę rezerwatu Tulalip.

Kierowała się za znakami na zachód, zastanawiając się, czy dotrze do klubu dla dziewcząt i chłopców Tulalip przed Helen. Minęła centrum handlowe i niewielkie kasyno po czym przejechała przez most i znalazła się w zupełnie innym świecie. Jeśli chodzi o handel, zauważyła tu tylko stragan z owocami, rozklekotaną kawiarenkę z kawą na wynos i sklepik, w którym sprzedawano rzeźbione w drewnie niedźwiedzie. Gęstwina po obu stronach drogi tworzyła kanion, a od czasu do czasu między drzewami ukazywały się niewielkie bardziej lub mniej zniszczone drewniane domki. Po lewej stronie zza drzew prześwitywała zielono-niebieska woda. „Zatoka Possession”, głosił znak.

Jej ciało buzowało z nerwów lub podekscytowania -nie była pewna, co przeważało. Zastanawiała się, czy już kiedyś jechała tą drogą. Czuła się tak, jakby wracała do znanego sobie miejsca, a nie odkrywała je na nowo. Po kilku kilometrach nad drogą zauważyła duże przejście dla pieszych. Po lewej stronie na trawiastej polanie znajdował się plac zabaw, a przed Szkołą Podstawową Tulalip wznosił się stary słupek totemiczny.

Wiedziała, że kiedy skręci, szmaragdowy bezmiar łąki z niskimi budynkami szkoły ustąpi połyskującej wodzie i porośniętym drzewami brzegom po drugiej stronie zatoki Tulalip. Wyjątkowe miejsce. Całe to piękno coś oznaczało, a ona wiedziała to od dawna.

Za placem zabaw i niewielkim ogródkiem warzywnym zauważyła duży niebieski budynek przypominający szopę, który był celem jej podróży. Klub dla dziewcząt

i chłopców Tulalip. W oknach wisiały dziecięce rysunki i rękodzieło indiańskie. Na parkingu stało kilka samochodów, w tym stara biała celica Helen. Lucie wjechała na plac i zaparkowała. Znow miała przyspieszone tętno. Czy od tego łomotania można było dostać ataku serca? Niezdarnie odpięła pas.

Postanowiła zmusić Helen, by wreszcie o wszystkim jej powiedziała, albo zagrozi jej, że już nigdy jej nie odwiedzi. Wsiadła z samochodu i ruszyła w stronę budynku.

- W czym mogę pani pomóc? - zapytała starsza kobieta o długich siwych włosach stojąca za kontuarem recepcji. - Jest pani nową nauczycielką?

Lucie zaczęła mówić, po czym nagle umilkła. Słyszała śpiew dzieci i głos osoby dorosłej przemawiającej w niespotykanym języku. Skądś dochodził śmiech, na zewnątrz zakrakała wrona. Całe stado ptaków rozkrzyczało się z górującego nad nią drzewa, kiedy odpychając się nogami, bujała się na huśtawce, a piach brudził półkoliste czubki jej tenisówek.

- Dobrze się pani czuje? - zapytała kobieta, wstając i obchodząc biurko. Na jej twarzy malowała się troska.

Lucie potrząsnęła głową, nie mogła mówić. To kolejne wspomnienie, strzęp czasu sprzed tak wielu lat - wyrzucony z pamięci jeden, dwa, a może więcej razy? Chodziła tu do podstawówki. Oczywiście, że tak.

Kobieta otoczyła ją ramieniem i podprowadziła do krzesła pod ścianą. Kiedy Lucie usiadła, uklękła przed nią i ujęła jej dłonie.

- Co się dzieje? Potrzebuje pani pomocy?

- Ja... znam to miejsce - powiedziała Lucie.

- Ach, jest pani mamą któregoś z dzieci czy...? Kobieta była niezwykle miła, a jej dłonie miękkie.

Lucie przypomniawszy sobie pływaków, którzy podeszli do niej, gdy stała w wodzie w San Francisco. Pamiętała ich ciepłe ręce i łagodne głosy.

- Nie, ja po prostu... dawno tu nie byłam.

- Tak, to wyjątkowe miejsce. - Kobieta wstała i się uśmiechnęła. - Ludzi, którzy wracają tu po latach, często nawiedzają żywe wspomnienia.

Lucie skinęła głową i z trudem przełknęła ślinę.

- Chciała się pani tylko rozejrzeć?

- Nie, przepraszam. - Lucie wstała. - Moja ciocia pracuje tu jako wolontariuszka. Muszę z nią porozmawiać.

- Ach, panna Helen. Szkoda, że moje ciocie nie są choć w połowie tak energiczne jak ona. - Kobieta schowała się z powrotem za kontuarem i napisała „Gość” na naklejce, którą podała Lucie. - Właśnie zaczęło się czytanie bajek, ale

jeśli chce pani wejść i posłuchać, ciocia jest w sali sto sześć. W dół korytarza i na prawo. Dostała pani identyfikator, więc nikt pani nie zatrzyma.

Lucie zdjęła podklejkę i przykleiła prostokąt do bluzki.

- Ucieszy się, że pani przyszła - powiedziała kobieta z uśmiechem. - Wciąż o pani opowiada.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

HELEN

Mała dziewczynka Raelene - wnuczka Alberta Coya i najnowszy obiekt uczuć Helen - była dziś nieobecna. Helen spojrzała na biegającą po sali chmarę dzieci i próbowała wybrać sobie specjalnego pomocnika. Wiedziała, że powinna poprosić któregoś z chłopców, bo pewnego dnia ktoś się zorientuje i oskarży ją o... cóż, nieważne o co. Odczuwała gwałtowną potrzebę uczucia ze strony małej słodkiej dziewczynki. To pragnienie było równie silne jak palpacje, które już nie mijały.

Serce waliło jej w piersi, jak gdyby chciało ulecieć na wolność.

Helen pogłaskała schowany w kieszeni inhalator. Przed czytaniem powinna się nim zaciągnąć, żeby nie dostać zadyszki. Odwróciła się i przyjęła jedną dawkę leku, a następnie jeszcze jedną - dla pewności.

Zakręciło jej się w głowie, a jej wzrok się wyostrzył. Odwróciła się i klasnęła.

Raz, dwa, raz-dwa-trzy. Kłaśnięcie rozbrzmiało głośnie echem w jej uszach.

Dzieci się uciszyły i odwróciły do niej, odklaskując podany rytm.

- Usiądźcie na dywanie - powiedziała, przysuwając sobie taboret, żeby nie stracić równowagi.

Kiedy dzieci usiadły, za ich plecami na żółtym plastikowym krzeselku przeznaczonym dla sześciolatków Helen dostrzegła Lucie. Tak bardzo przypomniała sobie z przeszłości, że Helen przestraszyła się, iż ma halucynacje. Poprawiła okulary. Lekarz powiedział, że jeśli zbyt często będzie używać inhalatora... Ale nie - to naprawdę była Lucie. Dziewczyna pomachała do niej i uśmiechnęła się tym swoim przekrzywionym uśmiechem. Helen myślała, że już nigdy go nie zobaczy. Odmachała, próbując opanować drżenie rąk, ale i tak wszyscy je widzieli, niezależnie od tego, jak bardzo starała się je ukryć. Helen żałowała, że nie jest w lepszej kondycji dla Lucie, ale cóż. Może to właśnie była jej najlepsza kondycja.

Odchrząknęła i podniosła wybraną na ten dzień książkę, którą dzieci uwielbiały. Wciąż prosiły, by ją przeczytała.

Kiedy zaczęła czytać, jej głos był nienaturalnie wysoki i drżący.

- Jeśli wręczy się łośiowi ciastko...

W powietrze wystrzeliło mnóstwo małych dłoni, które machały jak szalone. Helen podniosła wzrok.

- O co chodzi?

- Musi pani wybrać kogoś, kto będzie pokazywał obrazki! - oznajmił starszy chłopiec, a pozostałe dzieci pokiwały głowami i powtórzyły jego słowa.

Oczywiście, że tak. Doskonale o tym wiedziała.

Helen rozejrzała się po sali. Zazwyczaj robiła widowisko i wybierała najposłuszniejsze dziecko, które najmniej się wierciło i gadało. Podniosła oczy i napotkała wzrok Lucie.

- Lucie? Czy mogłabyś mi dziś pomóc w pokazywaniu obrazków?

Dzieci odwróciły się, żeby spojrzeć na Lucie. Zaczęły sapać i pokrzykiwać.

- To niesprawiedliwe! - rzucił starszy chłopiec.

- Chłopcy i dziewczęta, odwiedził nas dziś wyjątkowy gość. To moja siostrzenica Lucie. Powitajcie ją.

Zarumieniona Lucie wstała i podeszła do taboretu, na którym siedziała Helen. Dzieci się uspokoiły, a Helen czytała dalej, po każdej stronie przekazując książeczkę Lucie, żeby pokazała dzieciom ilustracje. Lucie trzymała się na dystans, a kiedy odbierała książkę od ciotki, chwyciła ją z przeciwnej strony i nie patrzyła Helen w oczy. Kobieta wiedziała, że nie wszystko jest tak, jak powinno być. Ale postanowiła, że dopóki żyje, nie przestanie się starać.

Pod koniec opowieści Helen zapytała dzieci, czy mają jakieś uwagi albo pytania dotyczące książki. Starsza siostra Raelene uniosła rękę.

- Co to znaczy „siostrzenica”, panno Helen? To samo co kuzynka?

- Nie, Bertho - odparła zniecierpliwiona Helen. Poczowała, że ogarnia ją gwałtowne zmęczenie, ale *jej* zmiana kończyła się dopiero za trzydzieści dwie minuty. - Kuzyn to ktoś podobny do brata lub siostry, tylko że jego mama lub tata jest siostrą lub bratem twojej mamy lub taty. Rozumiesz?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

- A co to jest siostrzenica?

Helen zakaszlała w chusteczkę. Potrzebowała kolejnej dawki inhalacji. Czowała, że powinna poprawić szminkę, zanim ktoś zauważy jej sine usta.

- Jestem córką *jej* siostry - wyjaśniła Lucie dziewczynce. - To więc raczej tak, jakbym była... - Spojrzała na Helen, jak gdyby zachęcała ją do wypowiedzenia tych słów.

- Jakby była pani *jej* córką - dopowiedziała dziewczynka, a Helen poczuła słodkie ukłucie tego słowa, ból i rozkosz, jakie *jej* przyniosły.

Bertha zerwała się z podłogi wraz z pozostałymi dziećmi. Chwilowe roztargnienie Helen odebrały jako znak, że mogą się rozejść.

- Ty będziesz moją córką - powiedziała do innej dziewczynki z rumianą buzią i rozwiązanymi sznurowadłami. - A ja twoją kuzynką.

- Matką - poprawiła ją Helen cicho pośród gwaru. - Będziesz *jej* matką.

Jednak dzieci *jej* nie dosłyszały. Helen wstała i z trudem podeszła do regału, na który odłożyła książkę, po czym usiadła na fotelu w głębi sali. Lucie siadła obok.

- Dobrze się czujesz? - zapytała, przechylając się, żeby dotknąć ramienia ciotki.

Ciepło, pomyślała Helen. Jest mi tak zimno, ale czuję twoje ciepło.

- Wkrótce - powiedziała Helen. - Wkrótce poczuję się lepiej.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

LUCIE

Mnóstwo przejętych małych twarzyczek wpatrywało się w Helen, kiedy czytała im książeczkę. Lucie pomyślała, że ciotka robi to bardzo zręcznie. Dobrze radziła sobie z dziećmi. Maluchy ją szanowały i, co więcej, lubiły. Nic dziwnego, że na spotkanie z nimi czekała cały tydzień. Nie miała rodziny, męża ani przyzwoitej pracy, miała za to dwadzieścioro dzieci, które co tydzień okazywały jej miłość. Była to rodzina, którą sama sobie stworzyła. Lucie była pełna podziwu dla ciotki. Zastanawiała się, jak czuła się Helen, kiedy tyle dzieci wpatrywało się w nią z uczuciem. Na ich buziach malowało się niewiarygodne przejęcie.

Pod koniec zmiany Helen Lucie zaproponowała, że odwiezie ją do domu. Spodziewała się, że ciotka odmówi, ale Helen skinęła głową i zebrała rzeczy. Kiedy znalazły się w samochodzie, starsza kobieta zamknęła oczy. Gdy wciągała powietrze w płuca, słychać było szmer przypominający szelest suchych liści.

- Na pewno dobrze się czujesz? - zapytała Lucie.

Skóra ciotki nabrała szarawego odcienia. Niezależnie od tego, ile razy użyła inhalatora, oddychanie wciąż przychodziło jej z trudem.

- Muszę po prostu odpocząć.

Lucie wybrała adres Helen w pamięci nawigacji.

- Kieruj się na wschód po Marine Drive Northeast - oznajmił elektroniczny głos.

Starsza kobieta wyprostowała się i nachyliła, żeby spojrzeć na wyświetlacz.

- Ojej - rzuciła. - A więc o tym mówiłaś. - Poprawiła okulary, żeby lepiej przyjrzeć się urządzeniu, po czym znów opadła na siedzenie. - Zawsze lubiłaś elektroniczne sprzęty. Zupełnie jak wujek Eddy.

- Eddy? Nazywałam go Eddy?

- Tak. Potrafiliście godzinami rozbierać radio tranzystorowe albo kuchenny zegar tylko po to, by zobaczyć, jak działają.

- Co je nakręca - poprawiła ją Lucie.

- Tak właśnie zawsze mówił - wyszeptała Helen. - Kiedy coś trafiało w wasze ręce, można było mieć pewność, że nie będzie działało tak jak kiedyś.

Lucie się uśmiechnęła. Jak mogła nie lubić tej dziwnej kobiety? Nie chodziło tylko o to, że potrzebowała informacji, chociaż każdy ich strzép był dla niej jak drogocenny kamień. Wujek Eddy. Nie pamiętała radia ani zegarów, ale myśl o nim przynosiła jej ukojenie - ciepła flanelowa koszula, zapach sosny i benzyny.

Przez chwilę jechały w milczeniu przez tunel zieleni, rozproszonego światła i starych dusz górujących nad nimi drzew. Lucie spojrzała na siedzącą obok Helen.

- Musimy porozmawiać o pozostałych sprawach. Starsza kobieta patrzyła przed siebie, nie zaprotestowała.

- Przeczytałam w gazecie artykuł o morderstwie - dodała Lucie. - Dlaczego nie powiedziałaś mi całej prawdy?

Helen z trudem zamrugła, po czym powiedziała:

- To zbyt bolesne.

- Nieprawda. Muszę to wiedzieć. - Lucie starała się, by w jej głosie nie było złości.

- To zbyt bolesne dla mnie - odparła Helen.

- Jak mogłaś mi nie powiedzieć, że miałam brata?

- Przyrodniego.

- Jak mogłaś mi nie powiedzieć, że moja matka popełniła samobójstwo?

- Bo ona wcale tego nie chciała. Nie rozumiesz? - Helen spróbowała przekreślić się w fotelu, żeby spojrzeć na Lucie. - Nie mogła uwierzyć w to, co zrobiła! Co za potworność! Przypadkiem zabić własne dziecko!

Nagle Lucie zaczęła płakać. Jej twarz była mokra, a oddech uwiązł w gardle. Rozpacz, która ją ogarnęła, była głęboka i ciężka - miała wrażenie, że jej organy wewnętrzne stopiły się w jeden, a ból robił się coraz ostrzejszy, coraz bardziej nieznośny.

- Dlaczego mnie też nie zabiła?

Pokój, gęsty mrok rozproszony jedynie światłem telewizora. Zapach spalenizny w powietrzu. Stało się coś złego - coś bardzo, bardzo złego.

- Nigdy! - zawołała Helen. - Ona nie chciała zabić tego chłopczyka. To był wypadek. Kiedy ten pijak jego ojciec stracił przytomność, mały musiał się wczołgać pod koc. Gloria nigdy nie zabiłaby własnego dziecka.

Jej matka przy kanapie. Podnosi koc - wszędzie pełno krwi, chłopczyk w jej ramionach, po jednej stronie rozszarpany jak zwierzę potrącone przez samochód. Krew na ramionach matki i na jej rękach, bluzce. Krew na jej

policzkach, po tym jak wtuliła twarz w chłopca.

Lucie nie mogła oddychać. Nic nie widziała. Zatrzymała się na poboczu i zaciągnęła hamulec.

Okaleczony chłopiec zwisający ciężko z lewego ramienia matki, broń w jej drżącej prawej dłoni.

- Tyle krwi - jęknęła Lucie. Zapach rdzy. Słodki i mdlący.

- Proszę, przestań. - Helen szlochała. Po chwili zdjęła zaparowane okulary.

Jaj matka podnosząca ramię.

- Wycelowała do mnie z pistoletu.

- Nie - upierała się Helen. - Kochała cię.

- Do mnie też mierzyła - powtórzyła Lucie. - Krzyczałam.

Mamo! Nie!

Wciąż słyszała swój krzyk odbijający się echem w jej czaszce, jak gdyby zawsze tam był, tylko dotąd pozostawał wyciszony. Pierwsze trzy strzały, potem krzyki. Za wszelką cenę chciała uciec. Ucieczka wydawała się jedynym sposobem na przetrwanie.

Ale nie ruszała się z miejsca sparaliżowana, pewna, że zaraz umrze.

- A potem... - Lucie przełknęła ślinę. Drżała. - Wycelowała w siebie. - Teraz już pamiętała. Wtedy właśnie wszystko się skończyło.

- O Boże, nie, nie. - Helen sięgnęła po dłoń Lucie. - Proszę, powiedz, że to nieprawda.

- Wiesz, że tak.

- Wiedzieliśmy tylko, że z rozpaczy popełniła samobójstwo. Byłaś jedyną osobą, która to wszystko widziała, a po powrocie nie powiedziałaś ani słowa. - Palce Helen wczepiły się w dłoń Lucie, przygwożdżając ją do tego czasu, tego miejsca. - Nawet jednego słowa! Ani o matce, ani o braciszku, ani o tym, co widziałaś. Myśleliśmy, że jesteś potworem, ale ty przepadłaś... Twój umysł przepadł. - Z każdym słowem staruszka schylała się coraz niżej, aż zwinęła się jak muszla, a jej ciałem wstrząsał szloch. - Tak mi przykro, tak mi przykro... o Boże.

Lucie pokręciła głową i próbowała złapać oddech. Nie, nie mogli znać każdego szczegółu, którego była świadkiem, ale jak mogli nie wiedzieć, że coś jest nie tak i nie zapewnić jej pomocy?

Wiedziała jednak, że ma na sumieniu ten sam grzech. Nie zadzwoniła do psychiatry.

- Tak, przepadłam - powiedziała Lucie, wciąż drżąc. Jej myśli zaczęły się

układać. Była dla siebie miłosierna i wyrzuciła z pamięci chwilę śmierci matki. Na dwadzieścia pięć lat pozbawiła się wszystkich wspomnień. - Długo mnie nie było. Zapominałam.

Nic dziwnego, że nie przypominała Lucie, którą znał Grady. To wszystko zaczęło nabierać przedziwnego sensu. Amnezja zresetowała jej umysł dwa miesiące wcześniej, kiedy Lucie uciekła. Nie powróciła jednak do życia sprzed ucieczki. Lucie zastanawiała się, czy zaczęła na nowo jako piętnastolatka, zanim była świadkiem wydarzeń, które nią wstrząsnęły i sprawiły, że zamknęła się na świat. Z artykułu wynikało, że na początku w ogóle się nie odzywała. Kiedy znów zaczęła mówić? Postanowiła, że zapyta o to Helen innym razem - tego dnia ciotka dość już wycierpiała.

Staruszka chwyciła jej rękę. W dłoni miała kolejną chusteczkę wyłowioną ze stanika. Lucie podejrzewała, że kobieta trzyma ich tam całe pudełko. To ona podnosiła ciotkę na duchu, a nie odwrotnie. Tak to wyglądało. Helen była stara i krucha. Potrzebowała kogoś, kto się nią zajmie.

- Jedziemy do domu? - zapytała w końcu Lucie, ale starsza pani wciąż siedziała zgarbiona. - Ciociu?

Nie odpowiedziała, ale zaczęła dyszeć.

- Helen? - powiedziała Lucie głośniej. - Dobrze się czujesz?

Kobieta wciąż się nie poruszała, Lucie odchyliła ciotkę w fotelu, chwytając ją za kruche ramiona i zaglądając w jej puste oczy. Szukała w nich światła, ale *jej* ciotka zdawała się przebywać gdzieś indziej, jak gdyby ktoś pstryknął jakiś przełącznik. Szybko oddychała. Jej twarz poszarzała, a usta zrobiły się sine.

- O nie - rzuciła Lucie przerażona. - Cholera, cholera, cholera.

Szpital. Trzeba ją zawieźć do najbliższego szpitala. Nawigacja. Szybko wystukując polecenia na ekranie, znalazła sposób, żeby wyszukać punkty według kategorii. Po wciśnięciu ikonki szpitala otworzyła się lista placówek - najbliższej znajdował się szpital Valley General w Monroe położony mniej niż pół godziny jazdy od rezerwatu. Czy Helen będzie jeszcze żyła?

Lucie przekręciła kluczyk i obejrzała się przez ramię. Pomóż mi, proszę, pomyślała. Koła zachrzęściły na żwirze i wjechały na asfalt.

Po dwudziestu pięciu kilometrach Lucie spojrzała na prędkościomierz i zauważyła, że jedzie sto czterdzieści na godzinę. Droga była długa i szeroka, pozbawiona niebezpiecznych zakrętów. Pomyślała, że jeśli policja ruszy za nią w pościg, pozwoli jej na to aż pod same drzwi szpitala.

- Dobrze się czujesz? - zapytała znów, wpatrując się w Helen tak długo, jak

mogła. Przez hałas panujący w samochodzie Lucie nie słyszała oddechu ciotki, wyczuwała jednak, że klatka piersiowa kobiety się porusza. Jej ciotka siedziała z głową odchyloną do tyłu i przekrzywioną na bok, a z jej brody skąpy wała ślina. - O Boże, błagam. Wytrzymaj jeszcze kilka minut.

Czy to naprawdę się działo? Czy Lucie miała być świadkiem śmierci wszystkich członków swojej rodziny? Czy to jakaś klątwa?

Mocniej ścisnęła kierownicę. To naprawdę się działo, nie miała jednak zamiaru uciekać. Chociaż strasznie się bała, to ona panowała nad sytuacją - zamierzała zrobić wszystko, żeby dowieźć Helen do szpitala żywą.

Nagle jej oczom ukazały się znaki prowadzące do Monroe i do szpitala oraz szeroki wjazd na oddział ratunkowy. Lucie nie wiedziała, czy powinna zaparkować i wbiec do szpitala, żeby poszukać pomocy, czy po prostu trąbić, dopóki ktoś nie nadejdzie. Wcisnęła klakson. Zza szerokich podwójnych drzwi wyjrzało dwóch mężczyzn, żeby sprawdzić, co się dzieje. Lucie wyskoczyła z samochodu.

- Jest nieprzytomna - zawołała. - I ma trudności z oddychaniem.

Jeden z mężczyzn podszedł i otworzył drzwi od strony pasażera. Uklęknął przy jej ciotce, sprawdził jej puls i zaczął do niej mówić, opowiadając, co się z nią dzieje, choć kobieta była nieprzytomna. Drugi mężczyzna przyprowadził wózek, po czym obaj wyciągnęli z samochodu Helen, która przelewała im się przez ręce i wyglądała, jakby nie żyła, po czym umieścili ją na wózku.

- Kiedy straciła przytomność? - zapytał jeden z nich.

- Nie wiem. Najdalej pół godziny temu.

- To pani rodzina? - zapytał drugi.

- Tak - odparła Lucie. - Jestem... *jej* siostrzenicą. Co jej jest?

- Proszę tam zaparkować, a następnie zgłosić się do rejestracji - odparł, po czym wprowadził wózek na oddział. - Zajmiemy się nią, ale będą nam potrzebne jej dane.

Lucie cieszyła się, że powierzono *jej* listę zadań do zrobienia. Zaparkowała samochód, następnie chwyciła torebkę Helen, wbiegła na izbę przyjęć i pogrzebała w torbie. Podała dowód osobisty i numer ubezpieczenia pracownikowi rejestracji, po czym ktoś inny zaprowadził ją do gabinetu.

Helen miała na sobie jasnoniebieską koszulę nocną. Pracownicy szpitala zajmowali się nią, podłączali ją do urządzeń kontrolnych, pobierali jej krew i zakładali wenflon. Twarz Helen pod maską tlenową była matowa.

Lucie przeszły ciarki. Przypomniała sobie, jak wyprowadzano ją z wody, zakładano maskę. Jak bardzo się wtedy bała. Czy Helen się bała? Staruszka coś wymamrotała, a Lucie głęboko wciągnęła oddech. Ciotka żyła. Lucie miała wrażenie, że lada chwila ugną się pod nią nogi.

Wysoka siwowłosa kobieta w białym fartuchu stała przy laptopie ustawionym na wózku.

- Doktor Bryant. Pani musi być siostrzenicą pani Dziesięć Dłoni. - Uśmiechnęła się przelotnie, stukając w klawiaturę.

- Jestem Lucie. Jak ona się czuje? Jest przytomna?

- Podamy jej tlen i zrobimy badania. Mam nadzieję, że pomoże nam pani w ustaleniu historii jej choroby.

Lucie potrząsnęła głową.

- Przykro mi, niewiele mogę pani powiedzieć. Prawie *jej* nie znam. Ale mam *jej* torebkę. W środku są leki.

Drżącymi dłońmi wyciągnęła inhalator i kilka buteleczek z lekami na receptę, po czym podała je lekarce. Żałowała, że rano tak mało zjadła.

- Kolejny inhalator? W kieszeni już jeden znaleźliśmy. - Lekarka przeczytała etykietę. - W porządku, zobaczmy, co jeszcze tam ma. - Spojrzała na Lucie. - Może pani poczekać? Tam w rogu stoi krzesło.

Lucie z wdzięcznością podeszła, żeby usiąść na krzesło, wciąż przyciskając torebkę Helen do brzucha. Miała wrażenie, że nie panuje nad kończynami - wydawały jej się gumowate i obce. Może powinna schylić głowę między kolana.

- Proszę powiedzieć, co się stało - poprosiła lekarka.

Lucie wzięła głęboki oddech, a potem kolejny.

- Nie czuła się zbyt dobrze po zajęciach, które prowadzi jako ochotniczka w rezerwacie, więc chciałam ją zawieźć do domu. Widziałam, że ma problemy z oddychaniem. W pewnej chwili przestała mówić, przestała mi odpowiadać. - Kiedy to było? Lucie rozejrzała się w poszukiwaniu zegara. - Rozmawialiśmy... o bardzo stresujących sprawach. Prosiłam, żeby opowiedziała mi coś, o czym nie chciała mówić. - Lucie zamrugnęła oczami. Nie chciała płakać. Nie tu, nie teraz.

Doktor Bryant podniosła wzrok. Miała ładną twarz i jasnoniebieskie oczy.

- To nie pani wina - powiedziała. - Zapewniam. Musi pani zrobić kilka głębszych wdechów.

Lucie skinęła głową i głęboko wciągnęła powietrze, po czym mówiła dalej.

- Jechałyśmy tu pół godziny. W tym czasie zorientowałam się, że straciłam przytomność.

- W porządku - powiedziała lekarka, wklepując informacje do komputera. - Wygląda na to, że pani ciotka przebywała u nas kilkakrotnie w ciągu ostatnich lat, więc mamy tu trochę przydatnych danych.

Do gabinetu weszła młoda kobieta w różowym fartuchu.

- Można? - zapytała lekarki, a ta skinęła głową. Kobieta wprowadziła wielką szarą

maszynę na kółkach.

- Prześwietlenie klatki piersiowej - wyjaśniła Lucie doktor Bryant. - Zobaczymy, co się tam dzieje. Może pani usiąść w poczekalni. Przyjdę po panią. To może chwilę zająć.

Lucie podziękowała lekarce i wyszła, trzymając w dłoni torebkę Helen. Usiadła przy oknie. Potrzebowała tlenu, mnóstwa tlenu. Uświadomiła sobie, że poczekalnia musiała zostać wyremontowana w ciągu ostatniego roku. Wszystko było czyste i nowe - otaczały ją drewniane meble w ciepłym odcieniu i oliwkowe tkaniny. Nie interesowały ją magazyny ani ludzie, którzy mniej lub bardziej zdenerwowani wchodzili albo wychodzili z oddziału.

W jej głowie wirowało i zderzało się ze sobą mnóstwo myśli. W artykule, który czytała, napisano, że w chwili śmierci Gloria Douglas miała czterdzieści lat. Grady powiedział, że Lucie bała się czterdziestki. Czy zbliżające się urodziny wywołały u niej amnezję?

Mieszkała z rodziną w Richmond po drugiej stronie Zatoki San Francisco. Do artykułu dołączona była mapka. Czy tego właśnie szukała, kiedy weszła do wody?

Skąd mogła wiedzieć, co myślała, co robiła i jak żyła, kiedy jej nie było? Czy kiedykolwiek to sobie przypomni, a może jej umysł zabierze jej najlepsze wspomnienia razem z tymi najgorszymi?

Były rzeczy, które chciała wiedzieć: Czy jej matka miała szczęśliwe życie? Czy Lucie była dobrą córką i siostrą? Czy przed śmiercią mały chłopczyk odczuwał lęk, a może było tak, jakby ktoś po prostu wyłączył światło? Lucie zadrzała. Wiedziała, że jej matka była przerażona. Lucie wciąż widziała to w jej oczach. Chciała jej przekazać, że ona przeżyła. Że pracowała nad tym, by być szczęśliwą, choć musiała włożyć wysiłek w to, by odzyskać harmonię i zdrowie.

Z sąsiedniego krzesła podniosła torebkę Helen z ekologicznej skóry i położyła ją sobie na kolanach. Żeby podać jej dane w rejestracji, już wcześniej musiała naruszyć prywatność ciotki. Portfel Helen wypchany był fotografiami w plastikowych osłonkach. Zastanawiała się, czy obejrzenie ich będzie strasznym grzechem.

Lucie pogrzebała w torebce, wyciągnęła z niej portfel i przez chwilę przytrzymała go w dłoniach. Był stary i zniszczony, a na górze miał zapięcie typu bigiel. Wcześniej widziała jej prawo jazdy, kiedy podała je pracownikowi rejestracji. Nie mogła się nadziwić temu, że na ziarnistej fotografii sprzed lat ciotka wyglądała zupełnie inaczej. Urodziła się dwudziestego maja tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku. Miała zaledwie sześćdziesiąt dziewięć lat, a wyglądała jak kobieta po osiemdziesiątce.

Lucie otworzyła zatrask i zobaczyła pierwsze zdjęcie. Wykonano je w studiu

fotograficznym. Przedstawiało Helen i Edwarda w średnim wieku. Spoglądali w tę samą stronę z uśmiechem. Oboje mieli okulary. Wydawali się zadowoleni. Czy to zdjęcie zrobiono przed czy po tym, jak z nimi zamieszkała? Na kolejnym zdjęciu widniał młody Edward bez koszuli. Był wysoki, szczupły i miał krótko przystrzyżone włosy. Trzymał linkę ze złowioną rybą. To niesamowite, że można kogoś kochać przez tak długi czas, pomyślała Lucie.

Następne zdjęcie wzruszyło ją do łez - kolejny profesjonalny kadr: matka i dwoje dzieci. Zmęczona Gloria i dojrzewająca, pryszczata Lucie z grzywką. Pomiędzy nimi siedział tłusciutki szkrab prezentujący nowe ząbki w zaślinionym uśmiechu. W ramionkach ścisnął pluszowego lwa.

„Lef”, usłyszała jego głosik.

Lucie zamknęła oczy i słuchała, czekając na więcej.

Półtorej godziny później doktor Bryant wyszła z oddziału i usiadła obok Lucie.

- Pani ciotka coraz lepiej oddycha - powiedziała. - Mamy już wyniki kilku badań. Pani Dziesięć Dłoni cierpi na przewlekłą chorobę płuc i niewydolność serca, ale jesteśmy prawie pewni, że dzisiejszy wypadek był wynikiem przedawkowania leku. To zwykły błąd.

- Aha - wyszeptała Lucie, prostując się w krześle. Plecy bolały ją od garbienia się.

- U starszych osób takie rzeczy się zdarzają. Jej stan się poprawi, kiedy przywrócimy ją do sił, ale ktoś będzie jej musiał pomóc w organizacji i właściwym przyjmowaniu leków. Była też bardzo odwodniona. Czy ostatnio pani ciocia miała większe problemy z pamięcią niż zazwyczaj?

Lucie pokręciła głową.

- Nie wiem. Widzę ją dopiero drugi raz w życiu.

- Rozumiem. - Lekarka pokiwała głową. - Wie pani, czy ciotka ma kogoś, kto mieszka blisko i kto mógłby do niej zaglądnąć? Dzieci, krewnych? Sąsiadów?

Lucie przygryzła dolną wargę.

- Niestety, nie wiem. Mieszkam w Seattle.

- W takim razie być może lepiej jej będzie w domu opieki.

- O Boże - westchnęła Lucie. - Pewnie się na to nie zgodzi.

- Może za jakiś czas - dodała lekarka. - Na razie proszę się tym nie martwić. Dobrze się pani czuje? Chce ją pani zobaczyć? Wygląda już o wiele lepiej.

Lucie skinęła głową i ruszyła za lekarką z powrotem do gabinetu. Pomyślała, że Helen wygląda bezbrinnie jak noworodek - była taka drobna, przytłoczona tym całym sprzętem. Ale lekarka miała rację. Jej ciotka nabrała kolorów i nie miała

już trudności z oddychaniem.

- Jest wyczerpana - powiedziała doktor Bryant. - Miała niski poziom tlenu we krwi. Zastosowaliśmy rehabilitację oddechową, którą powtórzymy dziś wieczorem i przez kilka następnych dni. Być może po wyjściu ze szpitala będzie musiała być podłączona do tlenu.

- Na stałe?

Lekarka skinęła głową.

- Prawdopodobnie tak. Mamy pani numer, ale może pani dzwonić, żeby dowiedzieć się o jej stan. Wkrótce przeniesiemy ją na OIOM. Mamy nadzieję, że jutro poczuje się na tyle dobrze, żebyśmy mogli ją położyć w zwykłej sali.

Lucie westchnęła. Miała ją tu tak po prostu zostawić?

- Nie sądzę, żeby miała się obudzić – powiedziała lekarka - ale może pani z nią zostać.

Lucie podziękowała doktor Bryant i podeszła do łóżka Helen. Chwyliła się bocznej poręczy i patrzyła, jak usiane niebieskimi naczynkami powieki ciotki od czasu do czasu drgają. Może coś jej się śniło, a może był to tylko bezwarunkowy tik. Tam gdzie umieszczono jej rurki z tlenem, jej nozdrza były zaróżowione. W miejscach gdzie zrobiono jej zastrzyki, tworzyły się brunatne siniaki. Tego popołudnia wiele przeszła.

- Przepraszam - wyszeptła Lucie, wyplątała palce ciotki z rurek, którymi skapywała kroplówka, i ujęła jej dłoń. - Już nigdy ci tego nie zrobię.

Postanowiła, że zaczeka tak długo, aż Helen odzyska przytomność, by opowiedzieć jej o tym, co zaszło. Każdy zasługiwał na to, by usłyszeć to od kogoś bliskiego.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

GRADY

Członkowie jego zespołu rozumieli, kiedy powiedział, że zapowiada się trudny dzień dla Lucie i że Grady nie przyjdzie na popołudniowe zebranie, bo musi przy niej być. Jego technicy i inżynierowie przez cały czas go wspierali, a Grady zorientował się, że nigdy nie znalazłby pracy, która tak bardzo mu odpowiadała, gdyby nie Lucie. Wtedy na targach przejrzała go na wylot.

Bogowie parkowania musieli mu sprzyjać, bo znalazł miejsce tuż przed targowiskiem, które Lucie tak uwielbiała.

Teraz kiedy nie używał kul, wszystko było proste, chociaż utykał jak kuternoga. Wziął koszyk i ruszył w głąb niewielkich alejek, szukając produktów, które będą smakować Lucie. Obiecał sobie, że nie popełni już tego samego błędu i nie wybierze zdrowej żywności, którą tak lubiła dawna Lucie. Wypełnił koszyk słodyczami i wykwintnymi produktami, a z wiader stojących przy kasach wyjął kwiaty o najpiękniejszym zapachu. Zamiast wybrać jedną wiązanekę, do plastikowej osłonki wepchnął całą zawartość wiadra i wetknął bukiet pod pachę. Kwiaty nosiły nazwę „groszek pachnący”. Idealnie, pomyślał.

Niezależnie od miejsca, które wybiorą, wydawało się, że będzie to najlepszy piknik na świecie. Wyobraził sobie, jak siedzą w parku i spoglądają na domy na jeziorze Union albo rozkładają koc na piasku nad zatoką Shilshole. Pomyślał jednak,

że kolacja, którą zaplanował, może się odbyć nawet przy kuchennym stole.

Kiedy zatrzymał się przed domem, samochód Lucie zaparkowany był w innym miejscu niż rano, gdy Grady jechał do pracy. A więc była w Marysville, żeby odwiedzić Helen Dziesięć Dłoni. Grady westchnął. W jakim nastroju zastanie ją tym razem?

Wysiadł z samochodu i spojrzął w okna domu, zastanawiając się, w którym pomieszczeniu przebywa i co może robić o czwartej czterdzieści siedem po południu. Powinien był zadzwonić i powiadomić ją, że wróci wcześniej - tak właśnie powinien był zrobić, ale chciał być spontaniczny. Zrzucił torbę na ramię, po czym chwycił torby z zakupami i ogromny bukiet kwiatów. Zamknął drzwi samochodu biodrem i kuśtykając, wszedł po schodach. A co jeśli nie będzie miała na to wszystko ochoty?

Torby okazały się cięższe, niż przewidział. Na przedostatnim schodku Grady zahaczył ortezą o stopień i poleciał do przodu. Siatki wypadły mu z rąk i ich zawartość rozsypała się po chodniku, arbuz z łoskotem pękł na pół, a brzoskwinie się poobijały. Upadł na prawą dłoń, a w nadgarstku i przedramieniu poczuł kłujący ból.

- Kurwa! - krzyknął, przekręcając się na bok i przytrzymując dłoń.

Niemożliwe, żeby złamał też cholerną rękę. Usiadł i chwycił nadgarstek drugą dłonią, naciskając go i puszczając. Wciąż mógł nim poruszać, podobnie jak ramieniem. Tylko że koszmarnie go to bolało. Rozejrzał się wokół. Na szczęście żaden z sąsiadów tego nie widział.

Drzwi wejściowe się otworzyły i Grady podniósł wzrok. W progu stała Lucie w jego bokserkach i koszulce, na bosaka, a na jej twarzy malowało się niezrozumienie. Miała zapuchnięte oczy i czerwony nos.

- Hej - rzucił. - Chciałem ci zrobić niespodziankę.

Przekrzywiła głowę i wyszła na chodnik.

- Widzę. - Usiadła obok niego na stopniu, ujęła jego obolały nadgarstek w chłodne dłonie i przyjrzała mu się. - Zawsze jesteś taką gapą? - zapytała.

- Na ogół, - Cieszył się jej bliskością, tym, że jej włosy znajdują się tak blisko jego twarzy. Podobała mu się w jego bieliźnie.

- Myślę, że tym razem obejdzie się bez wizyty w szpitalu - powiedziała w końcu i puściła jego rękę. -Dzięki Bogu.

- Wszystko w porządku? - zapytał. - Byłaś u Helen?
Skinęła głową.

- Prawie przy mnie umarła. - Jej podbródek zadrżał.

-Co?

- Odwoziłam ją do domu, kiedy straciła przytomność. Zabrałam ją do szpitala i...

- Dobrze się czuje?

- Nie do końca. Powiedzieli, że przyjęła za dużo leków. - Lucie potarła czoło. - Odbywałyśmy ciężką rozmowę na temat tego, co się stało ze mną i z moją mamą i... - Urwała i zapatrzyła się w dal.

- Luce, wszystko w porządku? - Grady dotknął jej policzka zdrową ręką, a ona wzruszyła ramionami.

- To wszystko jest jeszcze większym koszmarem, niż sobie wyobrażałam - odparła, po czym na niego spojrzała. - To dla mnie zbyt wiele. Wiem, że muszę iść do psychiatry, po prostu nigdy nie...

- Już dobrze.

- Nieprawda. Wydawało mi się, że dam sobie radę sama, ale nie potrafię, a to wszystko jest takie...

- Nie jesteś sama. Jestem tuż przy tobie.

Po policzkach spłynęły jej łzy. Zarzuciła mu ręce na szyję, wyszeptała: „Dziękuję”, i go puściła. Czuł ciepło wszędzie tam, gdzie go dotknęła.

Lucie odwróciła się, żeby obejrzeć rozrzuconą na schodkach zawartość siatek. Sięgnęła po kawałek pękniętego arbuza i wetknęła go do ust.

- Boże - powiedziała. - Jaki słodki. - Podniosła kolejny kawałek i podała go Grady'emu.

Nie była to plaża, inne malownicze miejsce ani nawet kuchenny stół. Ale Grady czuł, że to właśnie ta chwila.

- Kocham cię - powiedział i nachylił się, żeby zjeść arbuza z palców Lucie, - Chcę się z tobą ożenić.

Skrzywiła się, a jej twarz zalał ciemnoróżowy rumieniec. Zaczęła płakać.

- Boże, a dopiero skończyłam - rzuciła.

Wyciągnął rękę, żeby zebrać możliwie jak najwięcej kwiatów, po czym ułożył z nich bukiet.

- Dla ciebie - powiedział.

Wzięła je i schowała twarz w jaskrawych płatkach.

- Kocham cię, Lucie - powtórzył, tak by go usłyszała. - Mam ci tyle do powiedzenia, ale lepiej sobie radzę na piśmie.

Podniosła wzrok. Miała mokre policzki. Grady położył sobie torbę na kolanach, chwilę w niej pogrzebał, po czym wyjął list, nad którym pracował niemal cały dzień, i podał go Lucie. Pozwoliła, by kwiaty rozsypały się na jej kolanach i

chodniku. Grady miał wrażenie, że to najpiękniejszy obraz, jaki kiedykolwiek widział. Wzięła od niego kartkę i przez chwilę na nią patrzyła, a w końcu mu ją oddała.

Poczuł nagły ciężar. Miał wrażenie, że coś wciąga go w otchłań, ciszę. W jej życiu działo się zbyt wiele, żeby przejmować się nim i jego uczuciami. Musiał być cierpliwy, chociaż nie wiedział, ile jeszcze wytrzyma. Mijały sekundy, które dłużyły się jak wieki - znajome i bolesne. Dlaczego nie przewidział, że nie będzie na to gotowa? Lucie wytarła nos i wzruszyła ramionami.

- Przeczytasz mi go? Lubię twój głos.

Jezu, pomyślał, drżąc, i wziął od niej list.

- Droga Lucie - zaczął. Czuł, że zalewa go pot. - Odchrząknął, wziął głęboki oddech i zaczął czytać.

Pewnie zdążyłaś już zauważyć, że o wielu sprawach nie mówię, ale chciałbym to zmienić. Wiem, że wydaje ci się, iż nie kocham cię równie mocno jak wcześniej albo że w ogóle przestałem cię kochać, ale to nieprawda - kocham cię, może nawet bardziej niż kiedykolwiek. Chciałbym, żebyś to czuła, wiedziała, żebyś była tego pewna. Nawet jeśli nam nie wyjdzie i znów poczujesz, że musisz odejść.

Usłyszał nagle westchnięcie - szloch - ale czytał dalej.

To prawda, że jesteś inna, ale ja także się zmieniłem. Zdałem sobie sprawę, że może nadszedł czas, by wszystko uległo zmianie. To musiało się stać, bo nie znaleźliśmy właściwego sposobu, żeby się komunikować. Oczywiście to wszystko jest bardzo trudne i będziemy musieli ciężko pracować, żeby sobie z tym poradzić, ale wiem, że jesteś dość silna, by to zrobić. Prawdę mówiąc, ja też dopiero zaczynam się w tym wszystkim odnajdywać.

Dowiedziałem się głównie tego, jaki byłem smutny przez całe życie. Nie chcę już czuć tego smutku. Nie chcę uciekać. Kiedy cię straciłem, odkryłem, jak bardzo potrzebuję cię w moim życiu. Pod wieloma względami jesteś teraz inna, ale i taka sama: wydostajesz mnie z ciemnych otchłani, w które się zanurzam. Wnosisz do mojego życia światło. Wiem, że to wszystko brzmi banalnie, ale to prawda. Zawsze to robiłaś - od dnia, w którym się poznaliśmy.

Chcę ci o wszystkim opowiedzieć. O moim tacie i o tym, jak trudno jest być synem nieżyjącego mężczyzny. Chcę ci opowiedzieć o tym, czym jest dla mnie pływanie. Chciałbym, żebyś wybrała się popływać ze mną, chcę się z tobą pluskać w wodzie, jak wtedy gdy w dzieciństwie bawiłem się z siostrami. Umiesz pływać? Nawet tego nie wiem, nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Chciałabyś pójść ze mną? Jeśli nie umiesz pływać, nauczę cię.

Wiem, że to dziwny list, ale chciałbym, żeby był początkiem czegoś nowego. Chcę z tobą rozmawiać bez końca, Lucie. Mam nadzieję, że ty też tego pragniesz.

Kocham cię, G.

Podniósł wzrok. Lucie wpatrywała się w niego. Jej zielone oczy błyszczały, a rzęsy były posklejane.

- Tak - powiedziała. - Tak?

- Chcę z tobą popływać. Wyjęła mu list z rąk.

- Teraz?

Grady spojrział na rozrzucone zakupy - wyciekające z kartonu roztopiające się lody i brzoskwinie przesycające upalne powietrze słodkim zapachem. Temperatura musiała wynosić ponad trzydzieści stopni i miała się utrzymać aż do wieczora.

Lucie zebrała kwiaty i wstała.

- Nic się nie zepsuje, jeśli schowamy je do środka. A jezioro Green jest tak blisko. Susan wciąż zabiera tam bratanków.

Grady się zawahał. Nie tak to wszystko zaplanował. Czy ona rozumiała, co próbował zrobić? Czy za niego wyjdzie?

- To chyba najlepszy dzień mojego życia - oznajmiła, otwierając drzwi. Zanim weszła do środka, odwróciła się. - Nie, jestem tego pewna. - Przyłgnęła do niego, tak że przygnietli słodko pachnące kwiaty, i pocałowała go wargami o smaku arbuza.

Pół godziny później brodzili w mętnej wodzie jeziora. Zanim Lucie wspomniała o jeziorze Green, Grady zawsze myślał o nim jak o miejscu, gdzie bawią się dzieci. Oczywiście nie była to zatoka, gdzie powietrze było przesycone zapachem oceanu, a woda kołysana spokojnymi prądami, ani czysty niebieski basen, ale duży akwen jeziora wydawał się przyjazny - otoczony był plażą, a pośrodku znajdowały się pomosty do nurkowania.

Grady nie mógł się doczekać, aż wbiegnie do jeziora, rozbryzgując wodę, i wypłynie na odpowiednią głębokość, ale został z Lucie - nie tylko ze względu na obolałą nogę. Chłodna woda coraz mocniej ich otulała i zapewniała bezpieczeństwo, wypychając ich na powierzchnię.

Kiedy woda sięgała im piersi, zatrzymali się.

- Zobacz, jak tu pięknie - powiedziała, obracając się dokoła własnej osi, żeby przyjrzeć się otaczającym potężne jezioro drzewom, dryfującym w oddali grzebieniom i jaskrawemu błękitowi późno popołudniowego nieba

poprzecinanego białymi smugami odrzutowców.

Nad ich głowami przeleciał klucz gęgających gęsi. Woda miała ziemistą woń i lekko pachniała mułem, w którym grzęzły im stopy, jednak ten zapach nie był nieprzyjemny.

Grady zastanawiał się, czy Lucie będzie umiała pływać. Dlaczego nigdy wcześniej nie byli razem w wodzie? Miała trzy stroje kąpielowe - wszystkie czarne -ale wybrała prosty jednoczęściowy kostium, który idealnie dopasowywał się do jej sylwetki. Naturalnie, nie umknęło to jego uwadze.

Kilkadziesiąt metrów dalej unosił się na wodzie drewniany pomost. Po drabince wspinały się na niego kościste nastolatki, po czym zeskakiwały z niego, krzycząc i śmiejąc się, jakby robiły to po raz pierwszy. Grady pamiętał, że kiedy był w ich wieku, on także to uwielbiał: wrażenie, że szybuje się w powietrzu i uderza o wodę z najgłośniejszym pluskiem, jaki można było wydać, po czym szybko nurkuje w bąbelki. Pamiętał, jak odpychał się od dna i wypływał z powrotem na powierzchnię, przebijając się przez lustro wody, potrząsał głową, żeby osuszyć włosy, i znów łapał zardzewiałą drabinę.

- Chcesz skoczyć, prawda? - powiedziała Lucie. Nie było to właściwie pytanie, raczej zdanie oznajmujące. -Płyn. Poradzę sobie. - Wstrzymała oddech i zanurkowała pod wodę, po czym wypłynęła twarzą do słońca z przygładzonymi włosami, tak że przypominała fokę.

- A ty nie masz ochoty?

Uśmiechnęła się i skierowała w stronę pomostu, przecinając wodę ramionami. Po chwili wahania ruszyła naprzód, mocno się odpychając i płynąc stylem klasycznym.

Grady przez chwilę ją obserwował. Jej ciało było równie silne i zwinne w wodzie jak na lądzie. Pish, pish, pomyślał z uśmiechem, a następnie ruszył za nią, wykonując długie pociągnięcia ramionami, żeby ją dogonić.

Tego wieczoru Lucie zadzwoniła do szpitala. Chociaż korzystała z telefonu w kuchni, a Grady siedział w salonie z laptopem, słyszał, jak rozmawia z kimś o ciotce, pyta o to, jak się czuje i kiedy zostanie wypisana.

Wiedział, do czego to wszystko prowadzi. Westchnął. Pomiedzy nimi stanie kolejny członek rodziny, pomyślał. Nie. To nie rodzina była problemem. Nigdy tak nie było. To jego podejście do rodziny powodowało napięcie.

Lucie odłożyła słuchawkę, weszła do salonu i usiadła na kanapie, podwijając nogi.

- Jutro do niej pojedę - powiedziała. Grady odłożył komputer na podnóżek.

- Dobrze.

- Wiem, że jej nie lubisz i...

- Luce, to twoja ciocia. Rozumiem to.
- Ona nie ma nikogo poza mną - oznajmiła Lucie ze smutkiem.
- Jeśli tego chcesz... - Wzruszył ramionami.- Tylko to się dla mnie liczy.
- Ja też cię kocham - oznajmiła. - Wcześniej ci tego nie powiedziałam.
- Ale powiedziałaś „tak”. - Grady się uśmiechnął.
- To dotyczyło pływania. - Wydawała się zawstydzona. - I całej reszty. W swoim czasie.

Grady zamknął oczy, żeby nie zobaczyła, jak bardzo jest zawiedziony, po czym skinął głową.

- Oczywiście - odparł i otworzył oczy. - W swoim czasie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

HELEN

Szorstka pościel drażniła jej skórę, a poduszka, na której opierała głowę, była zbyt

twarda. Powinni wiedzieć, że starsi ludzie mają szczególne potrzeby, pomyślała i kolejny raz wcisnęła guzik przywołujący pielęgniarkę. Nie mogła nawet znaleźć okularów. Jak miała zasnąć, kiedy nie mogła się ułożyć? Na dodatek w sali wciąż paliło się światło. Na oddziale intensywnej terapii przynajmniej się nią zajmowali. Odkąd przeniesiono ją do zwykłej sali, personel o niej zapomniał.

Dlaczego nie pozwolili jej po prostu umrzeć? Prawie *jej* się to udało. Mogła im się wymknąć. Chciała po prostu znów zobaczyć Edwarda, swoich rodziców i siostrę. Wolałaby umrzeć, gdyby nie Lucie. Ta dziewczyna widziała śmierć całej swojej rodziny.

Teraz Helen czuła, że już nigdy jej nie zobaczy, a siostrzenica zapamiętają właśnie w tym stanie.

Gdyby tylko Helen miała dość sił, by pomóc Lucie sobie przypomnieć, wrócić do zdrowia... Ale była stara i zniedołężniała. Dla nikogo się już nie liczyła.

Na co mogła czekać? Lekarka powiedziała, że prawdopodobnie będzie musiała być na stałe podłączona do tlenu. Jak miała pracować w kasynie i klubie dla dziewcząt i chłopców, dźwigając ze sobą butlę z tlenem? Z tymi okropnymi rurkami w poprzek twarzy? Ta lekarka była na tyle bezczelna, że zasugerowała, by Helen zrzekła się prawa jazdy. Jak miała sobie poradzić bez samochodu? Oczywiście będą jej teraz wmawiać, że do kasyna jeżdżą autobusy, a targ znajduje się zaledwie pięć przecznic dalej.

- Hmm - mruzczała staruszka, kiedy ludzie roztaczali przed nią te świetlane wizje, naginając do nich rzeczywistość.

Starość była przekleństwem, którego żadna młoda osoba nie potrafiłaby znieść. Nie podobała jej się też opieka pielęgniarska w szpitalu Valley General. Skąd pielęgniarki wiedziały, że nie dzwoni właśnie dlatego, że ma zawał? Na wszelki wypadek wcisnęła guzik jeszcze kilka razy. Ignorowały ją, a ona dobrze o tym wiedziała.

Po chwili ktoś zapukał do drzwi i wszedł do środka. Proszę, proszę. W końcu.

- Nie macie żadnych poduszek, które nie są wypełnione cegłami? - zapytała Helen.

- Dzień dobry - powiedział ktoś.

Helen zmrużyła oczy, a jej zmęczone, stare serce zabiło tak, jakby to sali wszedł duch. Jej dziewczynka. Była coraz bliżej.

- Och, Lucie - szepnęła Helen. Próbowwała się podciągnąć, ale poddała się i opadła na łóżko. - Myślałam, że to pielęgniarka. Gdzie moje okulary?

- Tu, na stoliku - odparła Lucie i podała jej je. Helen wsunęła je na nos, a postać jej siostrzenicy nabrała ostrości.

Patrząc na stojącą przy łóżku Lucie, serce Helen wezbrało tęsknotą za siostrą. Lucie wyrosła na piękną kobietę i, prawdę mówiąc, wcale nie przypominała Glorii, chociaż była w tym samym wieku co jej matka, kiedy ta umarła. Może to dlatego, widząc dziewczynę, Helen za każdym razem myślała o Glorii. Podejrzewała, że Lucie wdała się w rodzinę ojca.

- Cóż, wyglądasz lepiej, niż kiedy widziałam cię po raz ostatni - oznajmiła Helen, sięgając po dłoń siostrzenicy.

Wtedy obie były zdenerwowane i zrozpaczone. Helen wydawało się, że Lucie była z nią na izbie przyjęć, ale nie potrafiła tego wszystkiego poskładać w całość.

Lucie się zaśmiała.

- Ja? Cóż, ty też. Przez chwilę bardzo się o ciebie bałam. Podobno czujesz się coraz lepiej.

- Mówili ci, że być może będę potrzebowała tlenu?

- Mówią, że poczujesz się z nim lepiej. Będziesz miała więcej energii do dawnych aktywności. Prawda, że to miła wizja?

Helen zaczęła już chrząkać i protestować, ale przestała. Ogarnęło ją dziwne mrowienie, chłodna fala zalewająca ją od stóp do głów. Czy to Edward mówił jej, żeby dostrzegła stojący przed nią dar? A może Gloria płakała na widok córki - całej i zdrowej? Lucie przyjechała aż z Seattle, żeby zobaczyć ciotkę, i próbowała ją pocieszyć, trzymając ją za dłoń i uśmiechając się. Jeśli Helen miała się odwdzińczyć za ten cud noszeniem w nosie jakiejś cholernej rurki, to trudno. Może nie była to aż tak wysoka cena.

- Dziękuję, że przyjechałaś - powiedziała Helen. - Od leków, które mi tu podają, łzawią mi oczy.

- Ciociu Helen - powiedziała Lucie, a staruszce napłynęło do oczu tyle łez, że musiała zamknąć powieki. Wystarczyły te dwa słowa. - Czuję się okropnie po tym, co stało się wczoraj - dodała jej siostrzenica. - Przepraszam, że zmusiłam cię, żebyś mi o tym wszystkim opowiedziała. Zachowałam się samolubnie.

- Nie! - Helen gwałtownie otworzyła oczy. Mniejsza o łzy. - Już dawno powinnam była z tobą o tym porozmawiać, ale Edward uważał... Cóż, nie powinnam była go słuchać, chociaż był moim mężem. Powinnam cię była wziąć w ramiona i wszystko ci opowiedzieć. Oczy Lucie zasnuły się łzami.

- Powinnam ci była powiedzieć, że twoja matka i twój brat umarli i że niezależnie od okoliczności zawsze możesz na nas liczyć. Nie wiedziałaś tego. Byłaś w szoku. Zmusiłaś się do tego, żeby zapomnieć. Przepraszam za wszystko. Za to, że tak źle cię traktowaliśmy. Gdyby twój wujek żył, na pewno byłoby mu równie przykro. Nie wiedzieliśmy, że ludzki umysł może się tak złamać. Po prostu

nie wiedzieliśmy. – Helen zdjęła okulary i otarła twarz.

Lucie wzięła pudełko chusteczek z parapetu i podała kilka ciotce. Sama też wytarła nos.

- Nikt nie zdaje sobie z tego sprawy, dopóki jego samego nie spotyka takie nieszczęście. Nikt nie wie, jak koszmarnie mogą być emocje, dopóki sam ich nie doświadczy.

- To prawda.

Helen potrząsnęła głową. Nigdy nie rozmawiała o swojej siostrze z nikim poza Edwardem. Kiedy umarł, nikt na świecie nie wiedział, co Helen czuła, jaki ciężar dźwigała, co straciła.

Aż do dziś.

Helen wydmuchała nos i włożyła okulary.

- Wystarczy tego płaczu na dziś.

Lucie uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Dobrze. Wystarczy. - Przechyliła głowę.

Helen wydawało się, że dziewczyna jest zawstydzona, kiedy zapytała:

- Co powiesz na jeszcze jednego gościa?

- Sama nie...

- Czeka w korytarzu. Chciałby cię poznać.

Dobry Boże, pomyślała Helen. Miała zaczerwienione oczy i ubrana była w cieniutką bawełnianą koszulę.

- Masz może szczotkę? - zapytała siostrzenicy, dotykając włosów. Nie miała pojęcia, jak wygląda.

- Nie, ale spróbuję...

Dziewczyna przyglądała włosy Helen, przeczesując je palcami. Starsza pani zamknęła oczy. Odkąd przestała chodzić do fryzjera, nikt nie dotykał jej głowy. Edward głaskał ją po włosach, a ona zawsze wszystko psuła, drocząc się z nim, że traktuje ją jak psa.

Lucie skończyła i zaplotła ramiona.

- No i proszę, o wiele lepiej.

- Mogłabyś też znaleźć mój, cóż... - Helen ściszyła głos - mój stanik?

Lucie odwróciła się i otworzyła szafę. W środku leżały porządnie poskładane ubrania Helen. Lucie wyjęła stanik, podała go ciotce i wcisnęła guzik, który podniósł łóżko Helen do pozycji siedzącej.

- Pomóc ci?

Helen pokręciła głową.

- Nie, dziękuję. Poradzę sobie.

- W takim razie poczekam z Gradym, aż będziesz gotowa - odparła Lucie. - Daj nam znać.

Helen skinęła głową, a kiedy dziewczyna wyszła z sali, z trudem poradziła sobie z troczkami, zatrzaskami i supełkami na koszuli. Jej dłonie drżały. Na miłość boską, pomyślała. Można by pomyśleć, że nigdy dotąd nie wkładałam stanika.

Kiedy doprowadziła się do porządku i szczelnie otuliła szpitalną koszulą, najgłośniej jak potrafiła, powiedziała:

- W porządku. Jestem ubrana.

Miała wrażenie, że jej głos brzmi słabo, ale Lucie weszła do sali, wciągając za rękę Grady ego Goodalla. Był wysoki jak Edward i na wszelki wypadek musiał się schylić, żeby nie uderzyć głową we framugę. Na tym podobieństwa się nie kończyły, chociaż gęste włosy Edwarda zawsze były krótko przystrzyżone i zaczesane do tyłu.

- Ciociu, to jest Grady - oznajmiła Lucie.

- Rozmawialiśmy przez telefon - powiedział, robiąc krok w jej stronę i ściskając jej dłoń. - Miło mi panią poznać osobiście, pani Dziesięć Dłoni.

Czuła się zażenowana na myśl o swoich pomarszczonych starych palcach w jego dużej i śniadej dłoni, ale mężczyzna przez chwilę ją przytrzymał, spojrzał na nią znajomymi czarnymi oczami i uśmiechnął się łagodnie, tak jak zwykł to być robić jej mąż.

- Czy twoja rodzina pochodzi z plemienia Skykomish? - zapytała, bacznie się mu przyglądając. Była pewna, że tak. - Albo Flathead?

- Rodzina ze strony ojca to przede wszystkim plemię Puyallup - odparł. - Ale moja mama jest stuprocentową Irlandką.

Nagle przy drzwiach zrobił się rumor, a pielęgniarka wtoczyła sprzęt na kółkach, odsuwając Lucie i Grady ego na bok i pytając Helen, dlaczego ciągle wciska guzik, jak gdyby to wszystko było jakimś żartem, ale starszej pani już to nie obchodziło.

- Przyjechała do mnie rodzina - odparła, kiedy pielęgniarka założyła jej rękaw do mierzenia ciśnienia. - To moja siostrzenica Lucie. Może widziała ją pani w wiadomościach. Zaginęła, ale ten młody człowiek ją odnalazł.

Pielęgniarka odwróciła się i przelotnie uśmiechnęła do Lucie i Grady ego, po czym wyciągnęła stetoskop i przyłożyła chłodny krążek do zgięcia w łokciu Helen.

- To narzeczony mojej siostrzenicy Grady Goodall. Pracuje dla Boeinga. Byłaby pani zaskoczona tym, jak bardzo przypomina mojego zmarłego męża Edwarda Dziesięć Dłoni.

Helen sięgnęła za pazuchę w poszukiwaniu chusteczki, ale oczywiście *jej* tam nie znalazła. Oczy zaszły jej łzami i głośno pociągnęła nosem. Poczula, jak ktoś wciska jej chusteczkę do ręki.

Lucie była taka troskliwa.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

LUCIE

Jeśli to w ogóle możliwe, w mieszkaniu Helen pachniało gorzej niż za pierwszym razem. Lucie patrzyła na nie oczami Grady ego; zniszczone meble, poplamiony dywan, brudne powierzchnie. Wszystko domagało się porządnego szorowania. Helen pewnie już od dawna nie sprzątała.

Lucie podeszła do okna i spojrzała na zmęczone stare domy, brązowe trawniki i popękany trotuar.

- To wszystko jest takie ponure - mruknęła, otwierając okno.

Pomyślała, że bez trudu uda się wywietrzyć mieszkanie Helen, posprzątać je i uporządkować w ramach niespodzianki, zanim ciotka wróci ze szpitala. Lucie potrafiła sobie wyobrazić, że co jakiś wpada do Marysville, żeby pomóc Helen. Może nawet wozic ją do lekarza i na zakupy. Albo nad jezioro, które tak uwielbiała.

Poza tym Helen lubiła mówić. Lucie pomyślała, że w końcu pozna więcej szczegółów ze swojego dzieciństwa.

- Dobrze - rzuciła, biorąc głęboki oddech i odwracając się do Grady ego. - Pójdę po jej ubrania. To powinno zająć tylko chwilę.

Sypialnia była ciemna i mała, odgradzona od świata grubymi zasłonami, a pościel zatęchła i skotłowana. Lucie włączyła światło. Na stoliku nocnym roilo się od buteleczek z tabletkami, na wpół opróżnionych szklanek wody i pomiętych chusteczek. Oprócz Helen pewnie nikt nigdy nie wszedł do tego pokoju. Lucie czuła się jak intruz. Ubrania. Po to tu przyszła.

W małej komodzie Lucie znalazła zniszczone nylonowe majtki, z których większość miała dziury na szwach i gumkę tak rozciągniętą, że Lucie zastanawiała się, jakim cudem nie spadają. A więc potrzebna jej nowa bielizna. Sprawdziła rozmiar i markę, po czym przejrzała szuflady, szukając piżamy, która mogłaby zastąpić szpitalną koszulę.

Kiedy pogrzebała głębiej w dolnej szufladzie, usłyszała szelest papieru. Zawahała się. W ostatnich tygodniach przeszukiwała wiele szuflad i znajdowała

w nich rzeczy, które przynosiły jej zawód albo lęk i tylko czasem radość. Czy powinna dalej myszkować, czy raczej zabrać rzeczy Helen i wyjść?

Lucie przygryzła wargę. Najlepsze sekrety kryły się zawsze na dnie szuflady lub w jej głębi.

Przesunęła rzeczy na bok, odsłaniając dolną część starego pudełka na ubrania, a w nim zawiniątko w żółtej bibule. Przypomniała sobie o wszystkich tych nieużywanych, nowych ubraniach we własnej szafie. Lucie zastanawiała się, czy tendencja do kupowania i nienoszenia ubrań była w tej rodzinie dziedziczna.

Pod papierem znalazła tkaninę w znajomą pomarańczowo-brązową kratę. Sukienka dla dziewczynki z krótkimi bufiastymi rękawkami, przewiązana pomarańczową kokardą. Lucie wyciągnęła ją z pudełka. Miękki materiał był tak stary i znoszony, że błyszczał.

- Co to? - zapytał Grady od progu. Wystraszył ją.

- Moja sukienka - odparła, odwracając się, żeby mu ją pokazać. - Uwielbiałam ją. Nie wierzę, że przez te wszystkie lata ją przechowywała.

- Pamiętasz ją?

Lucie skinęła głową. Pamiętała.

- Uwielbiałam ją.

- I... - zachęcił ją ostrożnie.

- Uszyła ją dla mnie.

Lucie przyglądała się ściegowi na brzegu sukni i ręcznie wycinanym dziurkom na guziki na plecach.

- Przeznaczona była na specjalne okazje, ale ja wciąż chciałam ją nosić. Aha, raz ją rozdarłam. - Lucie przesuwiała materiał spódniczki w palcach, aż znalazła naprasowaną od spodu łątkę w rozmiarze monety. - Helen ją naprawiła. Nikomu nic nie powiedziała, nawet mamie. - Odwróciła się do Grady ego. - Pamiętam to. Zawsze trzymałyśmy sztamę.

- Rany - rzucił. - To naprawdę... coś. - Podniósł trzy albumy ze zdjęciami. - Co jeszcze pamiętasz?

Lucie próbowała sobie przypomnieć coś więcej.

- Tylko to poczucie... - zamknęła oczy - że jestem częścią czegoś większego. Że nie jestem sama. - I tyle. Wspomnienia wracały do niej w strzępach, ale przynosiły ze sobą emocje i wrażenia. Karmiła się nimi.

- Ojej - wyszeptał, a głos więził mu w krtani. - Toto dobrze.

- Tak. - Lucie schowała sukienkę z powrotem do szuflady, zostawiając ją tak, jak ją znalazła. Wyciągnęła znoszoną flanelową koszulę, którą chciała zawieźć do szpitala. - A ty co tam masz? - zapytała, wstając.

- Helen poprosiła, żeby przywieźć jej zdjęcia. - Wzruszył ramionami. - Nigdy nie widziałem cię na zdjęciach z okresu przed naszym spotkaniem. Mogę zajrzeć?

Lucie zmarszczyła nos, ale kiwnęła głową. Chociaż wiedziała, że będzie się czuła nieswojo, nie mogła się oprzeć, by nie odkryć czegoś znajomego, nie poszukać odpowiedzi. Jak długo będą trwały te poszukiwania? Czy kiedykolwiek przyjdzie czas, kiedy poczuje się usatysfakcjonowana teraźniejszością?

Grady wyciągnął rękę.

- Chodź. Jeśli uznasz, że to dla ciebie zbyt wiele, przerwiemy.

Przenieśli się na niewielką sofkę w salonie. Usiedli i rozłożyli na nogach pierwszy album. Przekartkowali go, a Lucie najlepiej jak umiała opowiadała o zdjęciach. Zauważyła dziury po fotografiach, które Helen wyjęła z albumu, żeby jej pokazać. Wokół tych pustych miejsc znajdowały się zdjęcia, które uzupełniały luki - kadry przedstawiające domy, wysokie drzewa, plaże i ludzi, rodzinę przemieszczającą się przez kolejne fotografie i momenty w życiu - na pierwszy rzut oka szczęśliwą i zadowoloną.

Odwróciła przedostatnią stronę.

- A to chwila, która wszystko zmieniła.

- Co? Która? - zapytał Grady.

Wskazała na zdjęcie przedstawiające samochód i mężczyznę pakującego walizki do bagażnika. Obok stała Gloria i pyzata jedenastoletnia Lucie. Wiedziała, co to za chwila. Pamiętała, jak zrobiono to zdjęcie.

- To mój ojczym - oznajmiła.

Skąd to wiedziała? Może z jego dominującej obecności na zdjęciu, a może z obrzydzenia, jakie ją ogarnęło. Miała wrażenie, że go nie pamięta, ale w głębi duszy go znała. Przyglądała się mężczyźnie, jego profilowi, płóciennym spodniom i koszuli z krótkimi rękawami - jego sylwetce i postawie. W rękach trzymał walizki - w rękach, którymi bił jej matkę i przypalił nogę Lucie. Niczym się nie wyróżniał. Jego okrucieństwo nie było widoczne na pierwszy rzut oka.

- Wyjeżdżamy tu do Kalifornii - powiedziała, wzdychając.

Jej matka wydawała się zestresowana - jak każda matka przeprowadzająca się z rodziną tysiące kilometrów dalej. Uśmiechała się do stojącej za obiektywem siostry. Gloria myślała, że czeka ją lepsze życie. Kalifornia! Nowy mąż! To wszystko musiało być dla niej jak sen.

Dziewczynka płakała. Lucie zauważyła to, wpatrując się w swoją dziecięcą twarz. Czuła smutek, że opuszcza Helen, Edwarda i jedyny dom, jak zna, ale wtedy jeszcze była dzieckiem przyzwyczajonym do radości i troski były jej obce.

Nie miała pojęcia, co może się wydarzyć.

Lucie zamknęła album.

- Chcesz wyjść? - zapytał Grady, kładąc dłoń na jej nodze w miejscu, gdzie wcześniej leżał album.

Skinęła głową, ale nie ruszyła się z miejsca. Jeszcze nie teraz, pomyślała i odczekała, aż Grady zabierze rękę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

LUCIE

Lato w Seattle osiągnęło szczyt pod koniec sierpnia. W tym krótkim okresie suchego żaru przeważały dni, w których temperatura przekraczała trzydzieści stopni, a zazwyczaj soczysty krajobraz wysechł na wiór. Trawa chrzęściła pod stopami porzucona na śmierć - deszcz miał zacząć padać dopiero jesienią - a kwiaty skurczyły się i opadły.

Kiedy pewnego popołudnia Lucie zeszła po schodach i znalazła się przed domem, pomyślała, że tak właśnie powinien wyglądać sierpień. Jako dziecko wyobrażała sobie, że w taką pogodę smaży jajka na gorącym chodniku. Może wszystkie dzieci o tym fantazjowały, ale Lucie pamiętała, że myślała o tym, stojąc przed małym żółtym domkiem, gdzie dorośli rozsiedli się na składanych fotelach w otoczeniu koniczyny.

W ogrodzie stał dmuchany niebieski basen. Pamiętała obietnice przyjazdu furgonetki z lodami i sorbetu prosto z zamrażarki.

Tak to teraz wyglądało - zdarzały jej się krótkie zerknięcia w przeszłość, która przez jakiś czas była dla niej niedostępna. Kiedy tylko Lucie przypominała sobie coś takiego, wspomnienie stawało się jej częścią. Zawsze nią było. Miała nadzieję, że im więcej sobie przypomni, tym mniej będzie analizowała ostatnie, koszarne wydarzenia z dzieciństwa.

Jej sąsiad Don siedział na zielonym plastikowym leżaku, który miał taki sam odcień jak płócienny dach nad frontowymi drzwiami jego domu. Mijając go, Lucie podniosła wzrok i zauważyła, że sąsiad ją obserwuje.

- Don - powiedziała, kiwając głową jak Grady.

Don także skinął głową, a ona uśmiechnęła się, ciesząc się tym małym sukcesem. Mężczyzna odchrząknął i powiedział:

- Cieszę się, że wróciłaś do domu cała i zdrowa.

- Dziękuję - odparła.

Z trudem powstrzymała się, żeby nie powiedzieć czegoś jeszcze, ale wiedziała, że to na razie wystarczy. Kierowała się dalej w stronę domu Susan.

Tego wieczoru jedli ciasto rabarbarowo-truskawkowe przy kuchennym stole. Okna było szeroko otwarte, a wentylatory wyrzucały z pomieszczenia nagromadzony w ciągu dnia upał. Lucie opowiadała Grady'emu o małych radościach, które spotkały ją tego dnia - o lekcji pieczenia ciasta i o przeblyskach wspomnień z dzieciństwa w Marysville.

Przed nią otwierało się życie, oferując zarówno możliwości, jak i lukę, której nie potrafiła zapełnić. Niedługo miała skończyć czterdzieści lat, a jeszcze tak wielu

rzeczy musiała się o sobie dowiedzieć. Jednak doktor Seagreave zapewniła ją, że większość czterdziestolatków czuje się podobnie.

- Nie wszystko w życiu, co wydaje się zagadką, jest utraconym wspomnieniem. Życie pełne jest spraw, których nie rozumiemy - powiedziała podczas pierwszej sesji.

Po kolacji Grady udał się do gabinetu, żeby zająć się jakąś nagłą awarią, która wynikła w pracy. Lucie siedziała na podłodze w garderobie w sypialni i wpatrywała się w dziesiątki pakunków, które ignorowała - na rzeczy, które kupiła w poprzednim życiu i których nigdy nie użyła. A może w tych torbach były takie, które mogły jej się spodobać? Postanowiła, że to, czego nie będzie chciała, odda do sklepu, natomiast rzeczy, których nie będzie już można zwrócić, przekaże organizacjom charytatywnym.

Musiała odbyć wiele wycieczek w górę i w dół stromych schodów, ale w końcu udało *je*) się znieść paczki do salonu. Otaczały ją teraz niczym gwiazdkowe prezenty. Rąbkiem koszuli otarła pot z czoła, ciesząc się na myśl o tym, że w szafie zrobiło się więcej miejsca. Może przejrzy też swoje ubrania, ograniczając się do tych, które rzeczywiście nosiła. Pomyślała, że komuś innemu przydadzą się bardziej.

Lucie otworzyła najpierw niewielką paczkę z Saksa, do której wcześniej nie zaglądała. Wyciągnęła z niej długi biały kaszmirowy szal - luksusowy i miękki. Pomyślała, że zimą będzie pięknie wyglądał na ramionach Mary Faith. Uśmiechnęła się i odłożyła go na bok. Następnie otworzyła pudełko butów z Zappos i z zachwytem odkryła, że leżą w nim męskie kapcie z owczej wełny w rozmiarze Grady ego. Czyli nie robiła prezentów wyłącznie sobie. Poczula, jak ściskają w gardle. Z ulgą pokiwała głową. Każda paczka przynosiła jej małą niespodziankę, idealny prezent dla kogoś bliskiego: ocieplacz na czajniczek do herbaty dla Susan albo bransoletki z koralików dla co najmniej jednej spośród licznych szwagierek.

W ostatniej paczce znajdowała się torebka. Lucie nie potrafiła uwierzyć w to, że ją wybrała - przecież kiedyś tak bardzo lubiła neutralne barwy - chociaż torebka miała metkę Prądy i kosztowała prawie czterysta dolarów. Widok ceny ją poraził, ale torba jej się spodobała. Nie była szara, brązowa ani czarna. Jej materiał przypominał czerwone maki namalowane na białym jedwabiu. Torba miała czerwone skórzane rączki i pasek na ramię oraz przestronne czerwone jedwabne wnętrze.

Lucie musiała przyznać, że torba była piękna. Od tygodni napychała rzeczy do gwatemalskiej torebki, w której robiło się już ciasno. W większej torbie mogła nosić całe mnóstwo przedmiotów: słodycze w paczkach zamiast pojedynczo i książkę

do czytania w poczekalniach. Telefon, z którego mogła zadzwonić do Grady ego. Zdjęcia ludzi, których kochała. Wiśniową szminkę, która pasowała do maków.

Dlaczego zamówiła tę torbę? Czy chciała komuś zrobić prezent? Za taką cenę musiał to być ktoś naprawdę wyjątkowy.

Nagle wszystko pojęła. Dziękuję, pomyślała, przyciskając torbę do piersi. Jeśli nie mogła być dawną Lucie, mogła przynajmniej ją docenić.

W nocy Lucie leżała samotnie w sypialni na piętrze i układała dłonie na brzuchu w akordy tej piosenki Gershwin, którą grała pierwszego dnia po powrocie do domu. Czuła się zbyt zmęczona, żeby zejść do pianina. To pragnienie osłabło z czasem, kiedy zaczęły do niej wracać wspomnienia. To tak jakby muzyka była bramą - przejściem, przez które przenikała reszta. Grady pewnie lepiej sypiał w pokoju gościnnym bez jej nocnych występów.

Przestała poruszać palcami. Poczowała, jak otwiera się w niej otchłań i wraca dawny ból, który wypełniał jej ciało od brzucha po gardło. Brakowało jej sypiania z Grady, kiedy leżeli na bokach jak znaki nawiasu, ich ciała rozpoznawały się nawzajem, a jego ręka drgała na jej biodrze, gdy zapadał w sen.

Skąd to wiedziała? Serce zabiło jej gwałtowniej. Wzięła głęboki oddech, a potem kolejny. Było to tylko kojące wspomnienie, pocieszenie równie żywe co fizyczne doznanie.

Czym jest miłość, zastanawiała się, a czym wspomnienie? W którym miejscu się krzyżowały i kiedy nie będzie miało już znaczenia, co było pierwsze?

Nago wyslizgnęła się z łóżka i w mroku zeszła po schodach. Skręciła za róg i ruszyła w głąb korytarza. Tu znalazła go pierwszej nocy, kiedy słuchał jej gry. Tam, w kuchni, pierwszy raz ją pocałował. Cofnęła się w stronę pokoju gościnnego, gdzie ją odrzucił.

Weszła do środka i patrzyła, jak Grady śpi. Leżał twarzą do ściany w bokserkach i koszulce, chociaż noc była upalna. Przypomniała sobie, że kiedyś zawsze sypiał nago, a to ona wkładała jego stare T-shirty. Zaczął się ubierać z szacunku do niej, czekając, aż Lucie znów będzie się przy nim czuła komfortowo. To, że teraz to ona sypiała nago, było dla niej tajemnicą.

Cicho zbliżyła się do łóżka i wsunęła pod kołdrę obok Grady ego, starając się go nie obudzić. Jednak kiedy tylko się położyła, odwrócił się na drugi bok i otoczył ją ramieniem.

- Grady - wyszeptała, ale on spał dalej.

Lucie była zbyt podekscytowana, żeby zasnąć. Kiedy myślała o tym, co właśnie zrobiła, łomotało jej serce. Wiedziała jednak, że wkrótce się uspokoi i zaśnie, a rano...

cóż.

Zobaczy, co będzie dalej.